

MICHAŁ MEDWID

SUNR&LYKE



MICHAŁ MEDWID
SWAROŻYK



Wrocław 2022

Tytuł: *Swarożyce*
Autor: Michał Medwid

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru 2022
Copyright © Michał Medwid 2022

Dom Horroru
ul. Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Redakcja, korekta: Patrycja Żurek
Okładka: DigitalArt Fire
Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2022

ISBN 978-83-67342-31-5

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru
tel:691962519

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Babka](#)

[Co w stawach posnęło](#)

[Kupalnocka](#)

[Pole chwały](#)

[Ulfhedinn](#)

[Upiór](#)

[Więzy krwi](#)

Babka

Dzieci potrafią wymyślić niesamowite historie, prawda? Opowieści o strzygach gnieźdzących się w popielniku, mamunach snujących się ponuro po korytarzu nocą czy beboku czatującym pod oknem z dębową lagą do bicia niegrzecznych chłopców. Świat dziecka wydaje się być pełen tajemnic, wszystko w nim skrywa magię. Począwszy od kamienia wyłowionego z płytkiej górskiej rzeki, przez poskręcane drzewo w borze za obrzeżami wsi, aż po prastare Wzgórze Kościeja.

Każda rzecz skrywała część życia, w którą jako dziecko święcie się wierzyło. Nie wolno było iść do lasu po zmroku nie dlatego, że łatwo się zgubić po omacku, ale ze względu na świetliczki, które wodziły na manowce. Świat dzieci to świat wyobraźni, wiecznego ruchu, instynktownych lęków i nazywania nieznanego. Dla dzieci nie istnieją rzeczy niewyjaśnione, ponieważ wszystko można wytłumaczyć, jeśli tylko się nad tematem głębiej zastanowić. Im jednak człowiek starszy, tym bardziej racjonalny i tym samym coraz mniej zespolony z pierwotnością poznawczą. Dalej w dorosłość, człowiek robi się coraz bardziej inteligentny, tracąc równocześnie ulotną, dziecięcą mądrość. A przede wszystkim zdolność widzenia rzeczy takimi, jakie naprawdę są.

* * *

Jagoda Miłorzębska zaparkowała starą toyotę corollę przed drewnianym domem pokrytym łuszczącą się białą farbą. Omiotła wzrokiem wysokie malwy rosnące po obu stronach

drzwi wejściowych. Budynek miał krzywy dach, który od wschodniej strony wyglądał, jakby miał się lada chwila zapaść. W północno-zachodnim zakątku do ściany z desek przytulał się zielnik pełen roślin, które dla Jagody w niczym nie różniły się wyglądem od chwastów. W głębi podłużnego ogrodu chwiały się na lekkim czerwcowym wietrze gałęzie drzew owocowych. Rozpoznawała wiśnie i śliwy. Granicę działki od zachodu stanowiła ściana boru, w którym niezależnie od pory dnia panował mrok. Prastary las miejscowi nazywali Radkową Kępą, ale nikt już nie pamiętał dlaczego.

Jagoda westchnęła, złożyła dłonie na udach i pomodliła się krótko. Wróciła do domu.

* * *

Stara Jaga zza własnoręcznie szydełkowanej firanki obserwowała przyjazd Jagody. Patrzyła zamglonymi oczyma, jak kobieta mocowała się z zapięciem fotelika dziecięcego. Po chwili po trawniku ganiała, brykając jak mała kózka, dziewczynka z lichymi blond włosami, upiętymi w dwa cienkie kucyki. Matka krzyczała coś do dziecka, pewnie przestrogi, równocześnie grzebiąc przy jednej z kilku toreb, które spoczywały na tylnym siedzeniu samochodu.

Jaga widziała, jak pierś kobiety uniosła się i opadła w ciężkim westchnieniu, gdy zwróciła się w stronę chaty.

- Chodź, dziecko - wymamlała cicho, sepleniąc słowa przez bezzębne dziąsła. - Nie bój się domu. Nie bój się Jagi.

Jagoda tymczasem odwróciła się w stronę córeczki, przywołała ją izbliżyła do drzwi, niosąc dziewczynkę na rękach. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się zasłonić przed czyhającymi niespodziankami dzieckiem. Zapukała cicho, tak cicho, że gdyby Jaga nie wiedziała, że ktoś stoi po drugiej stronie, pewnie by tego stukania w ogóle nie dosłyszała.

Otworzyła drzwi, które jak zawsze skrzypnęły wpierw ostro, rozdzierająco, by przejść w żałośnie cichutki wizg przy framudze. Spotkała się wzrokiem z Jagodą. Jagoda wyglądała, jakby wolała być wszędzie, byle nie tu. I tak z pewnością myślała, a Jaga się jej wcale, ale to wcale nie dziwiła.

- Dziecko. - Stara skłoniła się lekko, nie odrywając oczu od twarzy Jagody.

- Babko. - Kobieta ukłoniła się z szacunkiem, choć wargi miała niemal białe, nie wiadomo czy ze strachu, czy powstrzymanej złości. - To moja córka, Aniela.

Stara wyciągnęła pomarszczoną dłoń ku dziecku, które wpatrywało się w nią z ciekawością. Dotknęła gładkiego czoła, pogłaskała mięciutkie włosy. Trwając tak chwilę, uśmiechała się do siebie, mrużąc oczy. W końcu opuściła dłoń, odsunęła się nieco w głąb sieni, by wpuścić gości do domu.

- Wejdźcie. Głowy tylko w progu pochylcie.

Jagoda przestąpiła przez próg z opuszczoną głową, pilnując, by jej dziecko także się ukłoniło. Ruszyły za babką do kuchni, w której pachniało ziołami i ciepłym mlekiem. Usiadły wokół okrągłego stołu, wyheblowanego z jednego kawałka dębu. Porządny stół, stary mebel pamiętający zamierzchłe czasy, kiedy nikt we wsi nie miał prądu. Jagoda usadziła córkę na kolanach, starając się nie patrzeć w oczy starej kobiecie, która z kolei świdrowała ją wzrokiem bez skrzępowania. Jagoda nie miała żalu, po prawdzie nie spodziewała się niczego innego. Co więcej, oczekiwała znacznie zimniejszego przywitania.

- Mów, dziecko. Dawno cię nie było.

- Babko. - Jagoda z trudem przełknęła ślinę, miała ściśnięte, wyschnięte gardło. - Babko, proszę o pomoc. Moje życie... niczego już nie mam. Tylko to dziecko na kolanach i oddech w piersi. Straciłam męża, pracę, mieszkanie, pieniądze. Nic mi nie zostało. Nie mam się gdzie podziać.

Jaga siedziała po przeciwnej stronie stołu niewzruszona. Mrugała wyblakłymi oczami. Nie odzywała się tak długo, że Jagoda straciła nadzieję, że cokolwiek usłyszy. Wtem jednak Jaga wstała od stołu, wstawiła obity czajnik na płytę pieca. Nie pytając o nic, otworzyła szafkę kuchenną, wyjęła puszkę po kawie, z której wysypała do trzech kubków suszone zioła. Postawiła kubki na stole, usiadła na powrót. W kuchni słychać było jedynie trzask ognia pod piecem oraz grzechotanie srok w ogrodzie. Jagoda mimowolnie zauważyła, że przydałoby się uszczelnić szyby nowym kitem, stary bowiem skruszał.

- Dziecko, mówisz, że wszystko straciłaś, a ty masz wszystko. Masz oddech w piersi i dziecko na kolanach. Co ci więcej potrzeba, żeby odzyskać życie? Jak myślisz, co możesz dostać ode mnie, co ci pomoże?

Jagoda spojrzała na babkę, a w jej oczach widniała mieszanina desperacji i rozpacz. Wiedziała, że rozmowa nie będzie łatwa, przygotowywała się do niej długo, ale nie zmieniło to niczego. Czuła się okropnie. Maluczka, nic nie warta, jak żebraczka, jak ochłap rzucony psu.

- Babko, nie mam gdzie mieszkać. Nie mogę wychować córki bez domu.

-Ten dawno temu. Pamiętam, jakimi słowami się z nim żegnałaś. Nie myśl, że zapomniałam.

- Nie myślę. Wiem, co wtedy mówiłam. Ale teraz jest inaczej, teraz nie mam wyjścia. Mój Andrzej... on...

- Nie żyje, a z nim umarła część ciebie. Wiem, dziecko. Jesteś inną niż wtedy. Jesteś słaba, pożałowania godna.

Jagoda skuliła się, jakby trzaśnięto ją nahajem na gołe plecy. Mocniej przytuliła się do córki, która zupełnie jak nie ona nie odezwała się ani słowem, odkąd tylko weszła do domu. Aniela wpatrywała się w babkę z całą powagą pięcioletniego majestatu.

- Ja ciebie, dziecko, szanowałam tylko raz. Kiedy się stąd zabrałaś, pełna gniewu i planów. Wtedy wiedziałaś, kim jesteś, czego chcesz. Nic cię nie mogło zatrzymać. Wtedy byłaś taka młoda, a taka silna. A teraz? Lat ci przybyło, ale siły nie masz i przykro się na ciebie patrzy. Takimi mnie przy naszym pożegnaniu mocnymi słowami częstowałaś, że czułam jednocześnie wściekłość i dumę. A teraz mi się nad tobą nawet litować nie chce. Ale pomogę.

- Dziękuję, babko. Dziękuję...

- Pomogę ze względu na małą - przerwała bezobcesowo Jaga. - Idź do samochodu, przynieść rzeczy. Twój stary pokój jest wciąż tam, gdzie był. Jak wrócisz, napijemy się ziół i opowiesz mi więcej.

* * *

Aniela bawiła się w ogrodzie, oczarowana ilością przyrody, która ją otaczała. Dziewczynka urodziła się w mieście, gdzie zaglądało się sąsiadom do okien, a niewielkie skwery zieleni okupowały dzikie tabuny ludzi. Nigdy dotąd nie widziała tak wielu drzew, nie wachała tylu kwiatów. Nie miała okazji poczuć pierwotnie nabożnego lęku na widok starożytnego boru. Lęku, jakiego nie potrafiła ogarnąć dziecięcym rozumem, a mimo to miała świadomość jego istnienia.

Tymczasem matka z babką siedziały na kamiennym stopniu przed domem wśród falujących malw i milczały. Jagoda nie chciała wracać w rodzinne strony do jedynej rodziny, jaka jej pozostała, a która przerażała ją bardziej niż ktokolwiek inny na świecie. Bała się jednak bezdomności o wiele bardziej. Lękała się również o przyszłość córki, więc nie mogła sobie pozwolić na luksus unoszenia się dumą. Kiedy nabrała pewności, że sama nie dałaby sobie rady, spakowała niezbędne rzeczy i wyruszyła z Anielką w daleką podróż. Przejechały niemal całą Polskę, by dojechać do domu. Jagoda bowiem wyprowadziła się

tak daleko od Swarżyc, jak to możliwe. W czasach buntu, odwagi i samodzielności, kiedy nie musiała się nikim opiekować, uciekła z domu, byle dalej. Wracając, czuła rosnący ciężar na sercu, który robił się coraz trudniejszy do udźwignięcia wraz z każdym przebytym kilometrem.

Jaga zaś sprawiała wrażenie, jak gdyby nie miała już nic więcej do powiedzenia. Zupełnie jakby wygadała się w kuchni, zarzuciła wnuczkę okrutnymi słowami, pocięła jej duszę, poszarpała samoocenę i to w zupełności wystarczyło. Trzymała w ręce soczyście czerwone jabłko, którego kawałki odkrajała kozikiem o drewnianej rączce. Każdy kęs żuła długo i zapamiętale, zmiękczając owoc dziąsłami. Ubrana w długą do ziemi, czarną spódnicę oraz wykrochmaloną koszulę obszytą w ludowe wzory, z twarzą poznaczoną gęstą siecią zmarszczek i krogulczym nosem wyglądała jak wiedźma z bajek. Siwe włosy, nadal lśniące i gęste, miała upięte w luźny kok na czubku głowy. Kilka kosmyków wydostało się spod spinek i opadało wzdłuż twarzy, powiewając na wietrze.

- Nie wiem, co mam zrobić. - Jaga przerwała milczenie, którego nie potrafiła dłużej znieść.

- Życ - odparła tyleż zdawkowo, co enigmatycznie babka.

- Babko, ja ciebie nie rozumiem. Dlaczego...

- Dlaczego jestem taka oschła? Dlaczego cię nie witam z otwartymi ramionami i sercem? - Jaga przeniosła spojrzenie zimnych, rozmytych oczu na wnuczkę, która aż zadrżała pod ich ciężarem. - Odtrąciłaś mnie i to, co chciałam ci dać. Odtrąciłaś boleśnie i dosadnie, dając do zrozumienia, że nie potrzeba ci w życiu zabobonu. Ja ci tego nigdy nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę. Bo za wiele mnie twój wybryk mógł kosztować. Oj, zbyt drogo sobie za swobodę policzyłaś, dziewczyno.

- Babko...

- Nie zapomnę, ale ci pomogę. Ale nie ze względu na ciebie, jak już mówiłam.

Jagoda zamarła, gdy z jej piersi wydarł się cichy, pojedynczy szloch. Nie chciała płakać przy babce. Stłumiła, przytrzymała łyzy. Z zaciśniętymi mocno ustami i oczami odczekała chwilę, by nabrać pewności, że będzie w stanie mówić.

- Dziękuję ci. Za siebie i za Anielę. Mam nadzieję, że uda nam się odbudować to, co kiedyś miałyśmy. Mam na myśli mnie i ciebie, babko.

- Zobaczymy, czy to możliwe. Sporo czasu upłynęło, wiele się zmieniło. Ty jesteś inna niż wtedy. Nie wierzysz w to, co kiedyś. Nie masz tych samych oczu, co dawniej. I ja jestem inna. Dla ciebie z pewnością.

Bezbarwne oczy Jagi powędrowały ku Anieli, usiłującej wspiąć się na niską, rozłożystą jabłoń. Jagoda poczuła, jak jej ciało pokrywa gęsia skórka.

* * *

Nocą strachy wychodzą z zakamarków, by szarpać załęcznionych ludzi za włosy. Tak mawiał dziadek Kornel, dawno temu, kiedy Jagoda miała tyle lat co Aniela. Pamiętała dziadka jak przez mgłę, bowiem umarł, nim miała okazję go dobrze poznać. Wiedziała jednak, że był ciepły, pogodny i lubił makabryczne baśnie dla dzieci. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że terroryzował wnuczkę swoimi historyjkami.

Jagoda siedziała na parapecie okna z nogami zwieszonymi na zewnątrz, gdzie przyjemnie chłodna mgła głaskała jej skórę. Pierwsza noc na nowym, pomyślała. Ciekawe, co się śniło Anielce?

Opar mgły sprawiał wrażenie, jakby chciał siłą wtargnąć do pokoju. Napierał na Jagodę, rozpychał się niematerialnymi mackami, wsuwał za parapet, by rozwiać w niepamięć w zetknięciu z cieplejszym powietrzem. Jagoda słuchała nocnego

lasu, który miał wiele do powiedzenia, ale dawno zapomniała języka. Babka miała rację, nie miała już tych samych oczu ani uszu. Nie słuchała jak dawniej. Nie potrafiła, ponieważ nie chciała potrafić. Któregoś dnia powiedziała dość, wyparła nabytą wiedzę, a ta odeszła precz. Jagoda tak długo powtarzała, że nie wie, aż stało się to prawdą. Słyszała jedynie pohukiwanie sowy, szum słabego wiatru w koronach drzew i okazyjny wizg lisa. Nic z tego nie rozumiała.

Zrezygnowana, okręciła się na parapecie, opuściła stopy do środka pokoju. Zamknąwszy okno, podeszła do starego łóżka, które pamiętała z dzieciństwa. Aniela spała głęboko, z rozrzuconymi nóżkami i rączkami. Jagoda poprawiła koszulkę od piżamy, tak by zakryć córce brzuszek, po czym położyła się obok. Zawinęła zmarznięte stopy w kołdrę, objęła dziecko i zasnęła o wiele szybciej niż sądziła, że będzie to możliwe.

* * *

Obudziła się rano, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Usiadła na łóżku, skołowana powiodła wzrokiem wokół. Zrazu przypomniała sobie wszystko.

Pokój, w którym mieszkała jako dziecko, nie zmienił się ani odrobinę. Meble nadgryzł ząb czasu, szpary i szczeliny pokrywała grubsza warstwa kurzu, ale reszta wyglądała dokładnie tak samo, jak zapamiętała. Jagoda od zawsze myślała o otoczeniu, w którym się wychowała jak o skansenie. Wszystko bowiem sprawiało wrażenie antycznego. Nie wiekowego a antycznego, jak gdyby stało w jednym miejscu dłużej niż niejedno drzewo w Radkowej Kępie.

Nagle Jagoda uprzytomniła sobie, że Aniela nie leżała z nią w łóżku. Nie czuła obok cudownego, ciepła dziecięcego ciała. Spanikowana wyskoczyła z pościeli i popędziła do kuchni. Zastała tam córeczkę w towarzystwie babki, siedzące naprzeciwko siebie, oddzielone długością stołu. Dziewczynka

ledwo wystawała zza wysoko ustawionego blatu, pomimo tego, że Jaga posadziła ją na grubej książce.

Kiedy Jagoda weszła do kuchni, odniosła wrażenie, że przerwała coś istotnego. Babka z wolna zwróciła się w jej kierunku, zaś Anielka wyglądała na przestraszoną. Zsunęła się szybko z krzesła, strącając na podłogę książkę, na której siedziała, i podbiegła do mamy. Jagoda objęła małe, okrągłutkie plecy dziecka, czując, jak strach napełnił ją siłą wilczycej broniącej szczęki.

- Co jej robiłaś, babko? - spytała ostro. - Ładowałaś jej do głowy te same bzdury, co i mnie dawniej?

- Aniela wie i rozumie więcej od ciebie. Nawet wtedy, gdy sama wiele rozumiałaś i niejedno wiedziałaś.

- Co to ma znaczyć? Jak mam to rozumieć?

- Rozumuj sobie, jak chcesz. Albo spytaj dziecko. Jak będzie chciało, to ci opowie.

- Nie życzę sobie, żebyś się do niej zbliżała!

- To po co w takim razie tu przyjechałaś? - rzuciła z chytrym błyskiem w oku babka. - Nie masz w swoim pięknym Gdańsku żadnych przyjaciółek? Nikogo, gdzie mogłabyś się zatrzymać na jakiś czas, aby stanąć na nogi? Koniecznie musiałaś przyjechać aż do Swarżyc, do babki Jagi? Nikogo nie stało na świecie tylko znieawidzona Jaga?

Jagoda wpatrywała się w starą, dysząc ciężko z kipiącej wewnątrz złości. Nic jednak nie mówiła, bo nie chciała przyznać babce racji. A na kłótnie nie starczyłoby jej sił i słów.

- Tyś tu, dziecko, z nieprzymuszonej woli przyjechała. Wiesz przecież, kim jestem, jaka jestem i co robię. Wiedziałaś to, uciekając z domu i wiedziałaś, wracając. Twoja niepamięć niczego tu nie zmienia. Więc powiedz mi teraz, a szybko, czy zostajesz z dzieckiem, czy wyjeżdżacie?

Siedziała przed domem i wpatrywała się smętnie w ścianę Radkowej Kępy, gdzie gęsto rosły buki, olchy i czeremchy. Wspominała rzeczy, które dawno temu widywała na obrzeżach boru. Czasem wychodziły do ogrodu Jagi, niektóre śmielsze od innych. Bywały i takie, które pomieszkiwały w obejściu, ale je trzeba było specjalnie zaprosić, ugościć należycie. Rzeczy, na których zapomnienie poświęciła połowę życia, a które samoistnie zaczynały wyłaniać się z zakamarków pamięci.

Wspominała maj, dzień przed komunią świętą, gdy dziewczynki z wioski zbierały kwiatki na łąkach, by mieć piękny bukiet dla Pana Boga, a ona szukała po ogrodzie dziadka Kornela, który umarł, ale babka mówiła, że poczuł się lepiej i należało go sprowadzić, aby nie stała mu się większa krzywda. Przypomniała sobie, że go znalazła na skraju sadu, wśród jabłoni i bzyzących pszczół. Jagoda zawsze kochała te owady, bowiem dawały słodki miód i wosk na świece. Od dziecka wiedziała, że bez ich pracy świat by upadł i nie byłoby co jeść. Jednak od dnia, w którym zobaczyła dziadka w otoczeniu brzęczącego roju, jej sympatia przepadła bez śladu.

Dziadek sprawiał wrażenie zagubionego, rozglądał się wokół, jakby niczego nie rozpoznawał. Jagoda pamiętała, że krępowała się podejść, ponieważ stał nagi. Ładny garnitur, w którym złożono go do grobu, gdzieś przepadł. Skóra luźno wisiała na wątłych mięśniach, marszczyła się fałdami. Lecz mimo to dziadek wyglądał szczuplej, niż kiedy Jagoda widziała go po raz ostatni. Wyglądał, jakby go nieco sprasowało, skutkiem czego urósł, ale również zwięził się w ramionach.

Szukała, ponieważ poprosiła ją o to babka Jaga. Mówiła, że spodziewała się go lada chwila i że na pewno będzie gdzieś w sadzie. Powiedziała też małej Jagodzie, żeby się nie bała, bo dziadek nic jej nie robi, chociaż mógł jej nie poznać. Może wydawać się inny, ale to ten sam dziadek Kornel. Jagoda uwierzyła babce, wtedy wierzyła jej we wszystko. Kochała ją,

uczyła się od niej dużo więcej niż inne dzieci w szkole, do której czasem chadzała. Nie lubiła tego, uczenia się niepotrzebności, ale wpojono jej, że dziecko musi chodzić od czasu do czasu. Jagoda nie rozumiała po co, ale chadzała, ilekroć babka stwierdziła, że tak należało uczynić. Za każdym razem niosła kopertę, w której znajdował się specjalny list do pani dyrektorki. Babkę znano w Swarżycach i okolicy. Babki bano się wszędzie w Swarżycach i okolicy. Podeszła ostrożnie do dziadka, którego nie powinno być w sadzie, szturchnęła go w plecy. Skóra przypominała w dotyku suchą korę chorego drzewa. Dziewczynka musiała sprawdzić, czy na palcu nie został jej trocinowy pył. Cofnęła się zaraz, bowiem dziadek drgnął i zaczął się z wolna odwracać.

Dorośla Jagoda z drzeniem wynurzyła się na powierzchnię wspomnień. Jabłonie, przy których znalazła dziadka, nadal rosły tam, gdzie wtedy. Nad opadłymi na trawę owocami brzęczały pszczoły.

* * *

Mała Anielka nie rozumiała napięcia, które wyczuwała między mamą a starą panią, u której spały ostatniej nocy. Nie rozumiała, ale intuicyjnie wyczuwała, że nie wszystko jest w porządku, że mama i pani babcia dzieliły jakąś smutną historię. Taką, która powoduje, że dorośli nie umieją ze sobą rozmawiać w zgodzie. Aniela wiedziała, że starsza pani to jej prababka, tak bowiem powiedziała Jagoda. Świadomość pokrewieństwa niczego jednak nie zmieniała. Anielka nie wiedziała, jak należy się zachowywać w obliczu babek, ponieważ z żadną nie miała do czynienia. Tatuś nie miał rodziców, mamusia też nie. Wiedziała jedynie tyle, co zasłyszała z opowieści dzieci w przedszkolu, a one mówiły, że babcie są miłe, gotują dobre obiady, dają słodczyce, gdy rodzice nie patrzą, i kupują prezenty, których nikt inny nie chce kupić. Aniela miała silne przeczucie,

że Jaga nie miała w sobie zbyt wiele ze staruszek, o których mówiły dzieci w przedszkolu.

Rano przyszła do pokoju, w którym Aniela spała z mamą i długo patrzyła na dziewczynkę. Tak długo, aż miała w końcu otworzyć oczy, wyczuwając przez sen, że jest obserwowana. Wtedy babka bez słów poprosiła ją, by poszła za nią. Dziewczynka wysunęła się spod gryzących koców, opuściła stopy na drewnianą podłogę wyłożoną wyleniałym dywanem i poczłapała za Jagą.

Weszły do przestronnej kuchni, której sufit roił się od pęków ziół. Usiadły naprzeciwko siebie, stara pomogła dziewczynce wgramolić się na wysokie krzesło z książką na siedzisku. Aniela nie miała pewności co do tego, co nastąpiło później. Siedziały dość długo, patrząc sobie w oczy. Żadna nie mrugała. Babka jak gdyby zniewoliła Anielę spojrzeniem dziwnych, mętnych oczu. Patrzyły na siebie, równocześnie oglądając obrazy wyświetlane w wyobraźni. Anielka nie rozumiała co takiego widziała, nie wiedziała, czym są postaci, zjawiska i cuda, jakie pokazywała jak Jaga. Czowała zarówno strach, jak i fascynację. Patrzyła tak długo, aż przyszła mama i zerwała więź. Aniela zerwała się z krzesła, podbiegła do mamy, by upewnić się, że ta wciąż istnieje i wciąż jest jej mamą.

* * *

Czas w domu babki meandrował leniwie jak ciemna woda w głębokim zakolu rzeki. Miało się wrażenie, że dni trwały znacznie dłużej niż powinny. Słońce wspinało się mozolnie, głąskało czubki wysokich buków i topól, barwiąc niebo pomarańczem. Tymczasem Jagoda nie spała już od godziny. Po niespokojnej nocy, pełnej dziwnych, ulotnych snów skapitulowała nad ranem i z kubkiem mocnej kawy przysiadła przed chatą.

Zanurzyła nogi w chłodnej od rosy trawie, kubek trzymała w dłoniach i wpatrywała się w mozolną wędrówkę słońca. Rozmyślała nad tym, co należało zrobić, aby zapewnić Anielce najlepsze możliwe warunki na wsi. Zastanawiała się nad tym, jaką pracę podjąć. Czy w okolicy znajdowało się przedszkole, do którego mogłaby posłać córeczkę. Nie chciała zostawiać małej samej z babką. Czuła przed starą irracjonalny, nabożny wręcz lęk. Nie bała się jej, było to raczej coś w rodzaju wrażenia maleńkości, jakie odczuwała w kościołach. Kiedy wchodziła do imponującego, pełnego surowego piękna wnętrza, automatycznie zaczynała mówić szeptem, stawiała się bardziej świadoma ubioru. Z przygarbionymi plecami siadała w ławie, zerkając ukradkiem na wysoki, ginący w półmroku sufit. Coś podobnego czuła w stosunku do babki Jagi.

Zastanawiała się nad istotą tych odczuć. Nie pamiętała zbyt dobrze czasu, który spędziła w Swarozycach. Kiedy wysilała pamięć, wracały strzępy wspomnień, jak to o dziadku w ogrodzie. Nie mogła jednak przypomnieć sobie zwykłych chwil, takich jak zabawy z dziećmi, spaceru po lesie czy nauka. Wiedziała, że chodziła od czasu do czasu do szkoły, ale nic więcej. Co do dziadka zaś, uznała po chwili, wzięwszy ostrożny łyk parującej kawy, że z pewnością coś jej się pomyliło. Prawdopodobnie poplątała koszmar ze wspomnieniem. Jak inaczej wytłumaczyć równie niedorzeczne zjawisko jak zmartwychwstanie staruszka?

Przez chwilę nie zaprzętała sobie więcej tym głowy, całkiem zadowolona z wyjaśnienia, na jakie wpadła. Zaraz jednak spochmurniała. Jeśli bowiem to był wyłącznie sen, dlaczego pamiętała go tak wyraźnie i z takimi szczegółami jak zapach opadłych, lekko nadgniłych owoców, wśród których pracowicie brzęczały pszczoły. Czy sny mogłyby być równie wyraźnie?

Z zamyślenia wyrwał ją cichy trzask drzwi w chacie. Odwróciwszy się, złowiła przelotny ruch za oknem. Babka w

kwiecistej koszuli nocnej szurała pantoflami na korkowej podeszwie w stronę kuchni. Jagoda odwróciła się ponownie w stronę lasu, upiła kolejny łyk kawy. Dziadek Kornel, pomyślała, co takiego się z nim stało? Ostatnie wspomnienie, jakie z nim miała, to to z ogrodu. Ale to tylko sen. Sfrustrowana westchnęła i wsparła dłoń na brodzie.

Tymczasem z kuchni dobiegł ostry wizg pary wodnej, przeciskającej się przez wysłużony gwizdek żeliwnego czajnika o ubitym dzióbku. Po chwili zaś na podwórko wyszła babka, niosąc przed sobą szklanę w wiklinowym koszyczku z uchem. W szklance kołysała się czarna jak smoła kawa. Widać było wirujące wciąż, opadające wolno ku dnie naczynia zmielone ziarna kawy. Babka piła wyłącznie tradycyjną polską plujkę, ciesząc się jej głębokim aromatem, który z czasem się pogłębiał. Usiadła ciężko obok wnuczki, poprawiła koszulę plątającą się wokół kostek.

- Źle spałaś - stwierdziła, nie spytała.

- Źle - przyznała Jagoda.

- Mam zioła, które możesz wypić przed snem. Pomogą.

Przez moment kobiety siedziały w milczeniu, popijając kawę. Słońce coraz śmieiej wyzierało zza zasłony lasu.

- Jak sobie to wyobrazasz? - spytała w końcu Jaga, spoglądając na wnuczkę z ukosa. - Nasze wspólne tutaj życie?

Jagoda zastanowiła się chwilę, następnie powiedziała babce, nad czym dumiała chwilę wcześniej. Stara nie sprawiała wrażenia, jakby wywód wnuczki szczególnie jej zaimponował.

- Czyli nie wiesz, co dalej. Przyjechałaś po tylu latach bez zapowiedzi, z dzieckiem, którego na oczy wcześniej nie widziałam, o którym nie wiedziałam nawet, że się urodziło, i co dalej?

- Babko, jeśli mam ci tu przeszkadzać, to wyjadę - odparła cicho Jagoda, czując w równej mierze złość, co bezsilność.

- Już ci powiedziałam przecież, że pomogę - warknęła niemal Jaga. - Nie rób z siebie zatem ofiary, bo mnie takie zachowanie drażni, a tobie nie przystoi. Wolałam cię jako ubliżającą mi buntowniczkę. Pytam o twoje plany przez wzgląd na dziecko.

- Muszę znaleźć pracę, to po pierwsze - odezwała się Jagoda po pełnej złości chwili. - Muszę stanąć na nogi, usamodzielnic się na powrót. Znaleźć mieszkanie. Przecież nie mogę tu z tobą mieszkać nie wiadomo jak długo. Obie wiemy, że to się nie sprawdzi. Mamy swoje rytuały, przyzwyczajenia, a poza tym...

- Oszczędź mi tej pokrętnej dyplomacji - przerwała niecierpliwie babka. - Jeśli o mnie chodzi, wcale nie musisz szukać ani tym bardziej znajdować pracy. Poradzimy sobie. Ale przez wzgląd na ciebie uważam, że dobrze ci zrobi, jeśli znajdziesz zajęcie. Pewnie już odwykłaś od życia na wsi i może ci się zacząć nudzić. A nuda rodzi głupie myśli i durne pomysły.

Jagoda nie skomentowała, wyczuwając w słowach babki zastawioną pułapkę. Nie wiedziała, do czego Jaga piła, niemniej nie zamierzała tego odkrywać. Nie tak wcześniej rano.

Ciężkie milczenie, które zawisło między kobietami, przerwało pojawienie się Anielki. Dziewczynka tarła zaspane oczy i, ziewając co chwila, poprosiła o coś pysznego na śniadanie. Nim Jagoda zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, babka z zadziwiającą w jej wieku werwą zerwała się na nogi i, objąwszy prawnuczkę, obiecała jej naleśniki.

Mała zapiszczała radośnie, po czym chichocząc popędziła do kuchni. Wyraźnie nie mogła doczekać się obiecanego przysmaku. Jagoda tymczasem, ze wzrokiem ponownie utkwionym w ścianie lasu, wróciła do medytacji. Dumiała zarówno nad aktualną zjadliwością babki, jak i tymi strzępkami wspomnień, które posiadała. Zwłaszcza to dotyczące dziadka Kornela nie dawało jej spokoju.

Ku rosnącemu niepokojowi Jagody babka i Aniela stawały się sobie coraz bliższe. Spędzały razem sporo czasu w ogrodzie, gdzie dziewczynka pomagała staruszce przycinać krzewy, pielic nieliczne grządki, wyrwać chwasty. Nie trzeba głębokich analiz, by zauważyć, że mała czerpała nielichą radość z obcowania z naturą. Babka zaś, z reguły ponuro usposobiona, w pobliżu wnuczki ożywiała się wyraźnie i cieszyła z obecności wnuczki. Jediną osobą niezadowoloną z podobnego stanu była Jagoda, która nie potrafiła opędzić się od złych myśli oraz przeczuć.

Któregoś dnia babka oznajmiła, że zabiera Anielkę do wsi po sprawunki. Uznała bowiem, że czas, aby dziewczynka zaznajomiła się co nieco z okolicą i mieszkańcami. Jagoda, która w pierwszej chwili chciała zaoponować, zrejterowała po krótkim namyśle i wróciła do książki, którą właśnie czytała. Kiedy tylko babka wraz z Anielą wyszły, Jagoda zamyśliła się głęboko. Nadal wodziła wzrokiem po stronach, jednak nie rejestrowała treści. Chciała zrozumieć, dlaczego instynkt podpowiadał jej, że pozostawianie córki samej z Jagą to coś złego, budzącego strach.

Babka, zupełnie nie bacząc na troski oraz niepokoje Jagody, maszerowała z prawnuczką uczeponą jej spódnicy w kierunku centrum wsi. Nazwanie skoncentrowanej zabudowy raptem kilkudziesięciu domów, jednego sklepu wielobranżowego oraz maleńkiego gmachu szkoły podstawowej centrum czegokolwiek stanowiło zagranie nieco na wyrost.

Swarożyce choć niewielkie przedstawiały sobą widok wcale uroczy i nader schludny. Wioskę z każdej strony otaczał gęsty bór, stanowiący jak gdyby mur odgradzający sióło od reszty świata. Maleńki skwerek w centrum, o którym mieszkańcy pieśczośliwie mówili jako o rynku, usiany był rabatkami bratków, nasturcji, begonii i niecierpków, a w samym środku

pyszniła się spora, poskręcana starością jabłoni. Lokalna legenda głosiła, że na jej miejscu stała niegdyś pogańska kątyna, w której miało dojść do zaślubin śmiertelniczki z Perunem. Według legendy z ich związku zrodzić miał się wielki bohater, Sławosz, który z kolei stanowił mityczny pień rodu, z którego wywodzili się sami Piastowie.

Babka wraz z rozglądającą się ciekawie Anielką weszły do sklepu. Wśród regałów zapchanych towarami wszelakiej maści i przeznaczenia krążył wysoki i szczupły, nie licząc zaokrąglonego brzuszka opinającego przód koszulki, mężczyzna. Dokładał towar z wózka, przekładając starsze produkty do przodu. Słyszac otwierane drzwi, odwrócił się, by przywitać klientki. Kiedy jednak jego wzrok padł na babkę, twarz na moment mu stężała. Odłożył prędko paczkę cukru trzcinowego do koszyka, podbiegł do Jagi.

- Witajcie, matko. - Wziął w dłonie wysuszoną, pomarszczoną dłoń babki, pochylił się z szacunkiem. - Co wam dzisiaj potrzeba?

- Ciasto bym upiekła - odrzekła babka miękko, poklepując sklepiarza po rękach. - Daj mi proszę mąki, jajek i proszku do pieczenia. Zajdź pod wieczór, to dam ci kawałek jabłecznika. A, i dobrego kompotu ostatnio ugotowałam. Został mi słoik, jeśli będziesz miał chęć.

- Na wasz kompot i ciasto, matko, nawet i bez ochoty. - Mężczyzna pospieszył w kierunku odpowiednich regałów, by przynieść produkty, których zażyczyła sobie babka.

Postawił wszystko na ladzie, a następnie rzucił przelotnie wzrokiem na Anielkę. Dziewczynka wpatrywała się w niego orzechowymi oczami, starając się odgadnąć dziwne zachowanie mężczyzny. Nie miała co prawda zbyt wiele doświadczenia z obsługą sklepową, wiedziała jednak, że zachowanie, które przejawiał ten konkretny sklepiarz, nie było do końca normalne w jego fachu. Biła od niego służalczość oraz

uniżoność, z jaką Anielka nigdy dotąd nie spotkała się u dorosłego. Babka z kolei sprawiała wrażenie radosnej i beztrudnej, czego Aniela nie miała okazji do tej pory uświadczyc. Większość czasu bowiem warczała na Jagodę, do której miała jakieś zażyłe urazy.

- Miły z ciebie chłopiec - zaszczebotała stara, uśmiechając się niemal bezzębnym uśmiechem, co robiło zarówno makabryczne, jak i komiczne wrażenie. - Twój ojciec też się grzecznie zachowywał. Oj, lubiłam twój ojca. Zawsze się przywitał, ukłonił, o zdrowie zapytał. Nie to, co twój dziadek, jak mu tam?

- Antoni - odpowiedział momentalnie sklepikarz, krzywiąc się nieznacznie, nie wiadomo czy na wspomnienie o dziadku, czy też przez wzgląd na krytyczny ton babki.

- Antoni, rzeczywiście. Ten to krwi niejednemu napsuł. Ciekawość, że z jego krwi twój ojciec i ty żeście są, a zupełnie różni. Oj, nie wiadomo, co też życie ma w zanadrzu, nie wiadomo.

- Nie wiadomo, matko - zgodził się mężczyzna.

- No, Michałku, zapytaj wreszcie o to, co cię dręczy, odkąd żem do ciebie zaszła. Zapytaj, bo widzę przecież, że ciekawość mało cię nie rozerwie.

Mężczyzna wyprostował się nagle, przyglądał nieco wymięty podkoszulek z grafiką wyobrażającą mackowate monstrum wylaniające się ze spienionych zielono bałwanów morskich. Spojrzeniem rozgorączkowanym nagle oczu omiół Anielkę, następnie przeniósł je na babkę, która najwyraźniej świadoma wszystkiego, co się działo, uśmiechała się kącikiem ust.

- Nie chcę być wścibski, matko, ale ta dziewczynka... - zająknął się nagle, stracił rezon, a spojrzenie mu przygasło. - Ona jest cała Jagoda, jakby skórę, za przeproszeniem, z niej zdjęli.

- No, wyduście wreszcie!

- Jagoda przyjechała do wsi? Po tylu latach?

Babka długo wpatrywała się w Michała, który zdawał się kurczyć pod jej spojrzeniem. Pomimo tego, iż sporo od staruszki wyższy, zdawało się, że aura, która otaczała Jagę, zredukowała go do rozmiarów chłopca niewiele starszego niż Anielka. Ta zaś pomna, że chwilowo nikt się nią nie interesował, wędrowała po sklepie, zaglądając we wszystkie kąty i zdejmując z półek interesujące ją artykuły. Przed wszystkim słodczyce.

- Przyjechała - odparła wreszcie babka, z trudem tłumiąc cisnący się jej na usta uśmiech. - Przyjechała, a jakże. W swoim stylu, bez zapowiedzi, znienacka. I z dzieckiem, jak widzisz. Oj, wiem, co tobie po głowie, Michasiu chodzi. Wiem przecież i pamiętam, jakżeście razem...

- Matko! - wykrzyknął sklepikarz ze zgrozą. - Przepraszam, nie chciałem na was podnosić głosu, ale tamto... Wciąż jest... Nadal nie potrafię - dokończył koślawo.

- Tyle czasu minęło - wymruczała pod nosem staruszka, świdrując Michała. - Coś podobnego.

Nagle, jak gdyby podjęta jakąś decyzję, klasnęła w dłonie tak głośno, że mężczyzna aż podskoczył, a Aniela upuściła na podłogę naręczce czekolad.

- Upiekę dzisiaj ciasto - zawołała radośnie. - Z dzikimi malinami i borówką. Pał licho jabłecznik. Ciasto będzie z kruszonką, więc daj mnie jeszcze, kochany, kostkę masła. Naszykuj też miodu ze dwie butelki. Mnie jakoś nigdy nie chciał fermentować jak należy, więc dawno już przestałam próbować. Ale smak pozostał. Od czasu do czasu napić się lubię. A dzisiaj będzie okazja - dodała z tajemniczym błyskiem w oku.

Michał przyniósł zarówno masło, jak i dwie butelki miodu pitnego, złożył obok wcześniej przyniesionych sprawunków.

Wyraźnie nie bardzo pojmował, skąd u babki nagły entuzjazm i ożywienie, ale nie zająknął się słowem sprzeciwu.

- Tak, upiekę dzisiaj ciasto i zjemy je, popijając dwojniaczkim. A ty, Michałku, przyjdiesz i zjesz z nami ciasto oraz napijesz się miodu.

- Ja? Dzisiaj nie mogę. Matko, mam dzisiaj ważne... sprawy załatwić muszę.

- Przyjdiesz dzisiaj na ciasto i miód - powtórzyła babka z naciskiem. - Ważne sprawy przełożysz. Chyba nie chcesz mi sprawić przykrości, co? A sprawisz, jeśli się dzisiaj wieczorem nie zjawisz.

- Nie, matko. - Mężczyzna spuścił wzrok. - Nie sprawię, ale mnie wstyd jest trochę. Przed Jagodą.

- A cóż ona, nimfa wodna tryskająca urodą, żebyś się musiał przed nią wstydzić? Niczego ci nie brakuje, tylko włóż na siebie coś bardziej stosownego. - Wskazała na koszulkę, która bardziej przystawała nastolatкови niż mężczyźnie po trzydziestce.

Michał zaczerwienił się nieznacznie, po czym spakował zakupy babki do torby. Staruszka wyjęła wysłużony pularys, położyła odliczoną należność na ladę, wpieryw uwzględnwszy w rachunku jedną tabliczkę czekolady z całej masy przyniesionych przez Anielę. Następnie rzuciła sklepikarzowi ostatnie, znaczące spojrzenie i wyszła ze sklepu, prowadząc dziecko za rękę.

* * *

Odkąd tylko babka wróciła z wyprawy do sklepu, tryskała niepokojąco dobrym humorem. W domu wkrótce zaczęło pachnieć ciastem, które babka przygotowała z asystą Anielki. Prawdę mówiąc dziewczynka narobiła więcej szkody niż faktycznie pomogła, niemniej w niczym nie umniejszyło to

radości, którą przeżywała, lepiąc w paluszkach grudki kruszonki z masła, mąki i cukru.

Jagoda w końcu nie wytrzymała atmosfery świąt Bożego Narodzenia rodem z amerykańskiego filmu rodzinnego i skonfrontowała się z Jagą.

- Babko, kto taki przychodzi w odwiedzinie? Jesteś cała w skowronkach, że aż mnie ciarki przechodzą.

- Adorator - odparła staruszka z tajemniczym błyskiem w oku.

- Ado... adorator. Do ciebie?

- Oj, dziewczyno, dziewczyno. - Pokręciła głową Jaga. - Mam tylko jednego adoratora. Zawsze tylko tego jednego.

- W takim razie nie rozumiem.

- Wkrótce zrozumiesz - ucięła dalszą dyskusję babka, następnie całą uwagę poświęciła instruowaniu Anielki, jak najlepiej rozłożyć maliny i borówki, aby kołderka z kruszonki idealnie je pokryła.

Wreszcie nadszedł wieczór, a wraz z nim tajemniczy, zapowiadany adorator, którym okazał się być nieco pokraczny mężczyzna o nerwowych, rozbieganych oczach i wystającym brzuszku, który usiłował maskować luźną, wypuszczoną ze spodni koszulą. Nadszedł od strony wsi, niosąc naręcze polnych kwiatów oraz jutową torbę, którą przewiesił przez ramię. Z torby dolatywał brzęk butelek akompaniujący każdemu krokowi mężczyzny. Wyłonił się zza domu i zbliżył do wystawionego na ogród stołu, przy którym siedziała już dwójka kobiet wraz z dziewczynką. Wszystkie trzy podniosły na niego wzrok, a u każdej dostrzec można było co innego w spojrzeniu, jakim obrzuciły Michała.

- Jesteś, Michałku - ucieszyła się babka, wstając od stołu, by przywitać gościa. - Daj no tę torbę, wypakujemy. Miodu przyniosłeś? Przecież u ciebie rano kupiła dwie butelki. No,

trudno, niech będzie. Jakoś sobie poradzimy. Anielko, chodź no z babcią do kuchni. Przyniesiemy ciasta, które upiekłaś.

Dziewczynka rozpromieniona zeskoczyła z krzesła i pognała za kulającą się w stronę domu babką. Jagoda została sama z przybyszem, który nerwowo poprawiał koszulę i za wszelką cenę starał się nie patrzeć na siedzącą za stołem. Było w nim coś znajomego. Coś, co przywodziło na myśl minione życie, którego fragmenty wciąż nie chciały złożyć się w logiczną całość. Nagle, szybko jak refleks słońca na wodzie, zobaczyła migawkę wspomnienia. Las skąpany w złocieniu, ochrze i brązie. Rzęsisty deszcz tłukący w mętne kałuże, spływający po uginających się od ciężaru liściach. Zapach rozmokniętej ziemi. Dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka, biegnący połą dróżką, rozchlapujący głębokie kałuże burymi kaloszami. Śmieją się radośnie, starając ochlapać nawzajem błotnistą wodą. Chłopiec, choć nie przyznałby tego za żadne skarby, chłapie dziewczynkę znacznie oszczędniej, pozwala natomiast moczyć siebie, ile jego towarzyszka zapragnie.

Zobaczyła tego samego chłopca, nieznacznie starszego, gdy siedział pod Sekretnym Drzewem, jak nazywali rozszczepiony grab rosnący tuż na obrzeżach wsi. Drzewo sprawiało wrażenie drogowskazu leśnego. Chłopiec siedział w kucki, częściowo schowany w pęknięciu, które sięgało od samych korzeni aż do połowy wysokiego pnia. Obejmował podkurczone nogi ramionami, którymi wstrząsał gwałtowny szloch. Tamtego dnia zginęła matka chłopca, wracając z towarem kupionym w Raciborzu. Sunęła niespiesznie żukiem z przyczepą omotaną furkoczącą na wietrze plandeką, gdy na jezdnię prosto z lasu wypadł dzik. Wielka samura o ciemnej szczecinie z wyraźnie zaznaczonym garbem. Matka chłopca musiała wykonać gwałtowny manewr kierownicą, bowiem samochód znaleziono roztrzaskany na przydrożnym drzewie. Obok furgonetki leżało

zmasakrowane truchło lochy, wokół której kręciły się trzy warchlaki, trącające matkę ryjkami.

Jagoda zobaczyła jeszcze jedno wspomnienie. Wstydlive, takie o jakim można było szeptem opowiedzieć przyjaciółce, najpierw wymuszając obietnicę, że nigdy nikomu nie powie. Wspomnienie w równej mierze krępujące, co przyjemne. Takie, od którego mimo upływu lat nadal mogło zrobić się ciepło. Odebrać na moment oddech.

Jagoda przyciągnęła wzrokiem oczy nerwowego gościa, wstała od stołu. Zbliżyła ostrożnie jak do płochliwej sarny. W pierwszym odruchu chciała wyciągnąć ręce i zarzucić je na szyję stojącemu naprzeciwko mężczyźnie. Pohamowała się jednak, zamiast tego wyciągnęła dłoń. W tym samym momencie zdała sobie sprawę z tego, jak niezręcznie to musiało wyglądać. Sytuację uratował Michał, który nie miał oporów przed zamknięciem dawnej przyjaciółki w uścisku. Jagoda z przyjemnością objęła szerokie plecy mężczyzny, wtuliła na moment policzek w jego pierś.

- Dobrze cię widzieć. - Michał odezwał się pierwszy, odsuwając się o krok. - Tyle lat minęło, a ty nadal... Dobrze cię widzieć.

- Ciebie też, Miśku. - Jagoda z przyjemnością zauważyła, że na dźwięk dawnej ksywki mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem. - Nadal tu mieszkasz, widzę.

- Tak. Przejąłem po ojcu sklep.

- O, a tata jak się czuje?

- Nie żyje od pięciu lat - odparł krótko Michał.

Jagoda nagle poczuła, jak ogarnia ją smutek. Żal za lata straconej przyjaźni. Przyjaźni i w pewnej chwili czegoś więcej. Uciekwszy przed babką, przed tym, czego nie potrafiła sobie przypomnieć, opuściła także niewinną miłość dwojga młodych ludzi. Zostawiła ją, by zwiędła. Bez słowa pożegnania czy wyjaśnienia. Zrobiło się jej wstyd przed tym wysokim, dość

przystojnym, choć nieco zaniedbanym mężczyzną, którego kiedyś, dawno temu znała. Z którym kilka wcieleń temu była bardzo blisko. A o którym obecnie wiedziała tak niewiele.

- Przykro mi, nie wiedziałam.

- Nie szkodzi. Skąd mogłaś wiedzieć?

Jagoda nie była pewna, ale zdało jej się, że w głosie Michała wyczuła wyrzut. Przez moment stali naprzeciw siebie w milczeniu i ponownie to on ocalił krępującą sytuację.

- Powiedz lepiej, co u ciebie? Co cię sprowadza na stare śmieci?

- To długa historia - odparła dziewczyna wymijająco.

Z jakiegoś powodu nie chciała zwierzać się Michałowi z ostatnich wydarzeń, które odmieniły jej życie. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale czuła, że nie jest gotowa zwierzać się zapomnianemu przyjacielowi z czegoś równie traumatycznego i osobistego jak śmierć męża. Na dobrą sprawę nie przepracowała tego sama ze sobą. Podobnie jak nagłej, przerażającej fali złych wydarzeń postępujących po sobie w zastraszającym tempie. Po tym, gdy Andrzej zmarł, Jagoda straciła pracę, znajomych, następnie mieszkanie i wreszcie sporą część oszczędności.

Teraz, gdy znalazła schronienie oraz wsparcie cokolwiek opryskliwej babki, mogła poświęcić nieco więcej uwagi wydarzeniom ostatnich miesięcy. Stopniowo pozwolić sobie na żalobę po mężu. Przerazało ją jak łatwo można stracić wszystko. Jak niewiele brakowało, by została bezdomną. Martwiło ją także, że jedyna osoba, do której mogła zgłosić się po pomoc i jedyna, która tej pomocy udzieliła, najwyraźniej nie darzyła jej sympatią. Taka niezdrowa zależność, pełna niewypowiedzianych wyrzutów oraz wypartych wspomnień sprawiała, że Jagoda miała ochotę ukryć się pod kocem i nie wyglądać już na zewnątrz. Jak dziecko, które wierzy w

magiczne właściwości okrycia, chroniącego przed koszmarami i strachami czającymi się w ciemnych zakamarkach.

Z krępującej ciszy, która nastąpiła, wybawiła ich Anielka, która przepełniona dumą, wyniosła na stół talerz wypełniony kawałkami ciasta. Oznajmiła wszem i wobec, że upiekła je niemal całkiem sama z drobną tylko pomocą babki. Jaga, która wyszła z chaty tuż za dziewczynką, ściskając w ramionach butelkę miodu, kilka glinianych czarek oraz słoik kompotu wiśniowo-agrestowego uśmiechała się pod nosem.

Ciasto, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami oraz oczekiwaniami, jakie względem niego miał Michał, okazało się być rzeczywiście wysmienite. Miód, choć sklepowy, doskonale kontrapunktował, ale i dopełniał słodczy wypieku, dodatkowo wzmagając apetyt. Po kilku czarkach towarzystwo rozluźniło się wyraźnie, nabrało rumianych kolorów i rubasności. Anielka, popijając przyjemnie kwaśny kompot, obserwowała z zainteresowaniem coraz śmielej żartujących dorosłych.

Pierwsze skrzypce w dworowaniu ku niezmiernemu zdziwieniu Jagody grała babka. Nie można było jednak zrzucić całej tej tajemniczej wesołości na karb miodu, bowiem staruszka otwarła wieczór, znajdując się w pysznym humorze. Jagoda nie poznawała babki, której nigdy nie widziała w roli dobrodusznej, wiejskiej gospodyni. Tymczasem Jaga sypała żarcikami, opowiadała anegdotki, których dowcipności nie powstydziliby się niejeden komik estradowy, a nade wszystko zachowywała się swobodnie. Wyparowało gdzieś napięcie, które towarzyszyło jej relacji z Jagodą od chwili, gdy dziewczyna wróciła do Swarżyc.

Wieczór przeminął zatem równie szybko, co przyjemnie. Zwiastunem jego końca stała się przysypiająca za stołem Anielka. Jagoda wstała, by przenieść córeczkę do domu, jednak ubiegła ją Jaga.

- Ja ją ułożę spać, a ty odprowadź Michała do drogi.

- Dziękuję wam, matko - pożegnał się Michał, nieco przeciągając słowa. - Było mi bardzo przyjemnie.

- Zachodź, kochany, częściej - rzuciła babka, biorąc z zadziwiającą lekkością dziecko na ręce.

Kiedy Jagoda z Michałem zostali sami, beztroska atmosfera gdzieś przepadła. Uśmiechy zastygłe na ustach przygasły, a oczy uciekały w bok. Ruszyli bez słowa w kierunku żwirowanej drogi, wiodącej z chaty babki do centrum wsi. Gdy dotarli do umownej furtki w rozklekotanym płocie pokrytym luszczącą się farbą, nadal nie zamienili ze sobą ani słowa. Czuli napięcie, którego źródła nie do końca rozumieli. Obojgu doskwierało uczucie *déjà vu*. Zupełnie jakby znów byli nieśmiało nastolatkami, zbyt przerażonymi tym, co czuli i co chcieli zrobić, by zdecydować się na wykonanie pierwszego kroku.

- Cieszę się, że przyszedłeś - wydusiła w końcu Jagoda, zaciskając bezwiednie pięści. Czy to z wysiłku, jaki włożyła w wypowiedzenie tych słów, czy złości, że tak trudno było je powiedzieć. - Miło, że mogliśmy się zobaczyć. I mam nadzieję, że to nie ostatni raz.

- Ja też - bąknął Michał, tytanicznym wysiłkiem zmuszając się do spojrzenia Jagodzie w oczy.

I wtedy coś jakby między nimi pękło. Poczuli, jak oplatające ich pęta nieco zelżały. Nie puściły całkiem, ale nieco mniej gniotły, przeszkadzały. Zupełnie naturalne wydało im się przytulenie na pożegnanie. Nieco zbyt mocno i zbyt długo, by ten gest miał powiedzieć zwykłe do zobaczenia. A kiedy w końcu oderwali się od siebie, ich policzki otarły się z elektryzującą mocą. Niemal odskoczyli, wystraszeni nagłym, niezrozumiałym przepływem emocjonalnego prądu. Jagoda poczuła, jak na ramiona wystąpiła jej gęsia skórka. Spłoszona zachichotała nerwowo, a następnie wspięła się na palce, by sięgnąć ustami porośniętego twardą szczeciną kilkuniedniowego zarostu policzka Michała.

- Do zobaczenia - wyszeptała mu do ucha, a w szeptcie tym zawarta została jakaś obietnica, której sama nie rozumiała.

Następnie odwróciła się na pięcie i niemal czmychnęła z powrotem do chaty. Michał stał przez chwilę, śledząc jej ruchy, nim odwrócił się i powoli, zataczając się odrobinę, ruszył do domu.

* * *

Będąc o kilka kroków od chaty, przystanęła nagle, wyteżyła wzrok usiłując przebić rozlewającą się po okolicy ciemność. Na skraju lasu, wśród gęstych cieni rzucanych przez drzewa, widziała dwie postaci pogrążone w rozmowie. Jedna niska i przysadzista, druga z kolei nienaturalnie wręcz wysoka i szczupła o niebywale szerokich ramionach. Nie rozmiary jednak drugiej sylwetki robiły wrażenie, a coś, co zdobiło jej głowę. W nikłym świetle, a także ze względu na dość znaczną odległość, ciężko było stwierdzić, jednak Jagoda nie mogła pozbyć się wrażenia, że patrzyła na kogoś, kto nosił na głowie futrzaną czapkę ozdobioną porożem.

Nie mogła oderwać oczu od tajemniczej pary. Nie robili niczego nadzwyczajnego, ot stali naprzeciwko siebie, a mimo to było w ich postawie, a także ukradkowych, subtelnym gestach, coś nienazwanego.

W momencie, gdy wysoka postać, będąca niewątpliwie mężczyzną, pochyliła się nad przysadzistą kobietą, by objąć ją i pocałować, Jagoda odwróciła wzrok. Nagle zawstydziła się własnej ciekawości. Mimo to rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę ciemnej ściany Radkowej Kępy i zobaczyła jeszcze jak kochankowie, nadal spleceni w uścisku, weszli między drzewa.

* * *

Następnego dnia Jagoda wyszła z łóżka, czując w głowie nieprzyjemne pulsowanie, a w ustach kwaśne wspomnienie

miodu. Przekradła się przez skrzypiącą podłogę, uważając, by nie obudzić śpiącej Anielki. Weszła do kuchni i ze zdziwieniem zauważyła, że babki najwyraźniej nie było w domu. Z reguły staruszka niezależnie od tego, jak wcześniej Jagoda by nie wstała, siedziała już w kuchni, zajęta różnego rodzaju robótkami czy innymi drobnostkami. Tymczasem drzwi do jej pokoju były lekko uchylone, ze środka nie dolatywały żadne odgłosy. Czajnik stał zimny na piecu, na blacie leżały talerzyki, sztućce i butelki po wczorajszym przyjęciu.

Jagoda, czując mocniejsze uderzenia serca, przyskoczyła do sypialni babki, spodziewając się zastać ją leżącą z rozwartymi w zastygłej grozie ustami. W pokoju nie zastała jednak nikogo. Ani żywego, ani tym bardziej martwego. Nieco uspokojona, choć nadal zaniepokojona nieobecnością Jagi, wstawiła wodę, nasypała kawy do kubka. Czekając, aż czajnik zagwiżdże, wpatrywała się w las rozciągający się pozornie w nieskończoność za oknem. Wspominała przytulających się na jego skraju ludzi, których widziała wczorajszego wieczora. Wysokiego mężczyznę o dziwnym nakryciu głowy oraz niską, krępą kobietę.

Czajnik zawył przeciągle, Jagoda machinalnie zdjęła go z pieca, wlała wrzątek prosto na zmielone ziarna. Nie odrywała przez cały ten czas oczu do Radkowej Kępy. Niska, przysadzista kobieta. Czy to możliwe, aby widziała babkę na potajemnej schadzce?

* * *

Nadszedł wieczór, gdy Jaga wróciła do domu. Włosy, które spływały jej na plecy swobodnie srebrzystą grzywą, przyozdabiał skromny, dość prymitywnie wykonany wianek z młodych, zielonych gałązek. Weszła do chaty, nucąc pod nosem i bez słowa wyjaśnienia przeszła obok oniemiałej Jagody. Dziewczyna spędziła większość dnia, niepokojąc się o babkę,

toteż jej nagłe pojawienie się sprawiło, że poczuła zarówno ulgę, jak i irytację.

- Babko, gdzie znikłaś na tak długi czas? - spytała surowym tonem, który miała zarezerwowany dla Anielki, gdy ta przeskrobała coś wyjątkowo mocno. - Nie było cię w domu na noc.

- Ano, nie - przyznała obojętnie Jaga, nabierając kopiastą łyżeczkę suszu morwy, który następnie wsypała do wyszczerbionego kubka. - Wstaw, proszę, czajnik.

- Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Czy ty się aby, dziecko, nie zapominasz? To ty jesteś u mnie gościem, nie na odwrót. Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć.

Jagoda straciła nieco na animuszu, jednak nie zamierzała równie łatwo odpuścić. Była zła i rozdrażniona i zamierzała dać temu upust.

- Zgadza się, ale gdy moja wiekowa babka szlaja się po lesie w towarzystwie jakiegoś dziwoląga z rogami, mam chyba prawo czuć niepokój, prawda?

Staruszka spojrzała na wnuczkę, a jej wzrok pozostał nieodgadniony.

- I co? - syknęła Jagoda, czując, jak wzbiera w niej złość - Chcesz mi coś powiedzieć? Z kim ta schadzka? I dlaczego w sekrecie? Mam się bać o siebie i Anielę? Widujesz się z kimś niebezpiecznym?

- To z kim się widzuję, w jakich okolicznościach i miejscu nie dotyczy ciebie w żadnym stopniu - odparła lodowato babka. - Jeśli robię to ukradkiem, to znaczy, że mam po temu powody. Nie wstydę się niczego, wiem, że takie coś przemknęło ci przez myśl. Tyle ci powinno wystarczyć.

- Ale nie wystarczy! - Jagoda niema tupnęła ze złości.

Babka obrzuciła ją na poły rozbawionym, na poły poirytowanym spojrzeniem.

- W takim razie nie jestem ci w stanie pomóc. Będziesz jakoś musiała znieść tę niewiedzę.

Jaga wyszła z kuchni do ogrodu, zostawiając wnuczkę samą. Ta z kolei miała ochotę rzucić się za babką, by kontynuować kłótnię. Wściekała się na to, że nie potrafiła ani zmusić babki do wyjawienia sekrecików, ani nawet sprowokować do bardziej emocjonalnej reakcji. Reakcji, której, nawiasem mówiąc, się spodziewała. Czułaby satysfakcję, wiedząc, że wytrąciła starą z równowagi. A tymczasem to ona straciła panowanie nad sobą.

Byłaby wypadła na zewnątrz, gdyby nie to, że do kuchni przyczłapała, masując się teatralnie po brzuchu. Dziewczynka bez słowa przytuliła się do nóg Jagody i zadarłszy głowę tak, by móc spojrzeć na matkę, oznajmiła, że jest potwornie, okropnie, ale to niemożliwie wręcz głodna.

* * *

Następnego ranka, po śniadaniu Jagoda i Anielka dołączyły do wygrzewającej się we wczesnych promieniach słońca babki. Dziewczynka chciała wiedzieć, kiedy znów coś upieką. Babka uśmiechnęła się ciepło, po czym oznajmiła, że niebawem ponownie wybiorą się do sklepu po sprawunki i upieką ciasto. Tym razem czekoladowe ze śliwkami. Na wieść o tym Anielka aż podskoczyła, a następnie wygłosiła tyradę na cześć czekolady samej w sobie. Babka słuchała z sennym zadowoleniem. Tymczasem Jagoda starała się okazywać entuzjazm oraz zaangażowanie w radość córki, jednocześnie nie dając po sobie poznać, że w środku aż ją trzęsło od tłumionej złości, której w dalszym ciągu nie potrafiła stłumić.

Wreszcie Anielka opanowała się na tyle, by skończyć tyradę dotyczącą niewątpliwiej przewagi czekolady mlecznej nad białą i pognąła w głąb ogrodu, gdzie oddała się jednemu ze swych

ulubionych zajęć. Wspinaniu. Nigdy dotąd nie miała okazji, by wdrapywać się na drzewa, a jako że w ogrodzie babki pełno rości jabłoni, wiśni, orzechów, topól, a nawet jeden dąb, dziewczynka miała ogromne bogactwo wyboru. Po kilku zaledwie dniach pobytu w Swaróczkach była już przekonana o tym, że jej ulubionym drzewem jest orzech włoski, którego gałęzie oraz pień porastała gładka kora, która potrafiła stać się śliska, gdy pokrywała ją rosa, jednak nie raniła tak dłoni i kolan jak jabłoń.

Gdy tylko Jagoda z babką zostały same, młodsza z kobiet postanowiła wrócić do rozmowy, której w żadnej mierze nie uważała za zakończoną. Babka nie dała się jednak wnuczce rozpedzić. Nim ta zdążyła zarzucić Jagę na nowo potokiem wyrzutów oraz domysłów, stara odwróciła się z gniewnym wyrazem twarzy.

- Posłuchaj mnie dobrze, bo więcej tego nie powtórzę. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. To ty do mnie przyjechałaś. Jesteś moim gościem i już na samym początku dałam ci wyraźnie do zrozumienia, że niemile widzianym. Więc jeśli zasady panujące w moim domu, czy to co robię, jest ci wstrętne czy też trudne do zaakceptowania, nic cię nie powstrzymuje przed wyjazdem.

Jaga zrobiła krótką pauzę, w czasie której zlustrowała Jagodę uważnie. Dziewczyna milczała, choć nie spuściła wzroku, jakby usiłując rzucić nieme, rozpaczliwe wyzwanie.

- Dla świętego spokoju jednak powiem ci tylko tyle, że nic złego nie spotka tu ani ciebie, ani twojego dziecka. Nie pozwolę na to, a wierz mi, mam w tej okolicy wiele do powiedzenia.

- Babko - odezwała się po dłuższej chwili Jagoda, a głos miała zmieniony, potulny. - Jest coś, co nie daje mi spokoju. Coś, co wydaje mi się, że sprawia, że nie potrafię... Nie wiem, jak to określić. Nie potrafię odpuścić ani zbytnio się odprężyć. I nie chodzi tu nawet o to, że traktujesz mnie wrogo. Ja...

- Niewiele pamiętasz z czasów, kiedy jeszcze tu mieszkałaś - odpowiedziała za Jagodę babka. - Wiem o tym. Wiem też, że wspomnienia wracają. Stopniowo, nie wszystkie naraz, a te, które się pojawiają, nie mają większego sensu. Jeśli chcesz poznać ich sens, musisz im dać czas. W pewnym momencie ułożą się w całość. Pytanie tylko, czy jesteś gotowa, aby przypomnieć sobie to wszystko, co z takim trudem przyszło ci cisnąć w niepamięć.

Jagoda zamyśliła się, zbyt poruszona słowami babki, by jakkolwiek je skomentować.

- Nie wiem, czy zechcesz tu zostać, ale jeśli to zrobisz, musisz liczyć się z tym, że to, co zostawiłaś za sobą, wróci do ciebie.

- Powiedziałaś to strasznie złowróźnie - spróbowała zażartować Jagoda.

- Wiem, dziecko - odparła Jaga, wstając ociężale. - Wiem, bo rzeczy, które zapomniałaś, były złowrózne. Nie wszystkie, ale wiele z nich owszem.

Jaga znajdowała się już w połowie drogi do chaty, gdy Jagoda wyrzuciła z siebie pytanie, które dręczyło ją najbardziej ze wszystkich.

- Babko, co się stało z dziadkiem?

- Umarł - odpowiedziała, nie odwracając się, Jaga. - A potem poczuł się lepiej. Już tak kiedyś zrobił.

* * *

Wieś wyglądała niemal dokładnie tak, jak ją pamiętała. Wąskie uliczki ze skruszałego asfaltu, każda nieuchronnie prowadząca do jedynej drogi wyjazdowej, ciągnącej się przez długie kilometry przez gąszcz Radkowej Kępy. Chodniki z popękanych, nierównych płyt, po których jako dziecko skakała na jednej nodze, bacząc, by nie nastąpić na rysy i pęknięcia. Nie pamiętała dlaczego ostrożne stąpanie oraz skakanie po

chodniku było kluczowe, wiedziała jednak, że miało to związek z niezwykle istotną przepowiednią. Jeśli nie przestrzegało się starożytnych nakazów, równowaga na świecie mogła zostać zachwiana.

Uśmiechając się do swych myśli, szła w górę ulicy szumnie nazwanej Główną. Mijając po drodze rozrzucone rzadko domy, kryte w większości starym, odłazącym gdzieniegdzie tynkiem zastanawiała się, czym można się zajmować, mieszkając w tak niewielkiej, ustronnej wsi. Czy większość tubylców miała pracę, którą można wykonywać zdalnie, przez komputer? Czy też zaszyli się tu w większości artyści, czerpiący inspirację z dzikości otoczenia? A może Swarożyce przyciągały życiowych nieudaczników, którzy przemijają wśród pięknych drzew i brzydkich murów, czekając, aż ich życie się skończy.

Ze smutkiem zastanowiła się nad tym, czy i ona była jedną z hipotetycznych nieudaczniczek. Nie wiedziała, jak miało wyglądać jej życie, nie miała planu. Odkąd przyjechała do wsi, czas zdawał się ją po prostu omywać jak woda wystający z płyty kamień.

Wreszcie stanęła przed sklepem Michała. W chwili, gdy tylko zobaczyła fronton, jakby żywcem wyjęty ze zdjęć kroniki filmowej dokumentującej Polskę minionego ustroju, przypomniała sobie, jak przychodziła tutaj po szkole, by wypić słodką, sztucznie owocową oranżadę. Wrócił do niej uśmiechnięty łagodnie pan Tadeusz, ojciec Michała, który niezależnie od temperatury panującej na zewnątrz nosił wełniany sweter z islandzkiej wełny. Nigdy się nie dowiedziała, czy mężczyźnie było po prostu zimno, czy też chciał się pochwalić tym, że posiadał w szafie coś równie cennego jak prawdziwy lopapeysa. Pan Tadeusz, którego ojciec pił na umór, nigdy w życiu nie tknął ani kropli alkoholu. Pan Tadeusz, uosobienie troski, życzliwości i pokornej akceptacji życia takiego, jakim zostało mu dane.

Wspomnienie było tak żywe, że Jagoda niemal spodziewała się zobaczyć nieboszczyka po tym, gdy otworzyła drzwi do sklepu. Michał, który właśnie ważył garść cukierków dla starszej kobiety stojącej przed ladą, uniósł wzrok. Na widok Jagody oblał się rumieńcem, ręka wyraźnie mu zadrżała, przez co kilka cukierków upadło na podłogę.

- Tych z ziemi nie chcę - oświadczyła stanowczo klientka, patrząc na Michała podejrzliwie, jakby spodziewała się nieczystego zagrania i oszustwa ze strony sklepikarza. - Proszę mi dać czystych cukierków, bez bakterii.

Michał bez słowa sięgnął po kolejną garść, którą nabrał przez jednorazową rękawiczkę. Odważył taką ilość, która usatysfakcjonowała kobietę, przyjął zapłatę i się pożegnał. Wychodząc, klientka obrzuciła Jagodę krytycznym spojrzeniem. Jeśli nawet poznała dziewczynę, nie dała tego po sobie poznać.

- Cześć, dobrze cię widzieć - przywitał się Michał, nerwowo poprawiając obciągniętą na wystającym brzuchu koszulkę. - Co cię sprowadza?

- Zakupy - odparła Jagoda, czując dziwną satysfakcję na widok rozczarowania, jakie na moment wykwitło na twarzy mężczyzny. - Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie cieszę się, że to ty prowadzisz jedyny i najlepiej zaopatrzony sklep we wsi.

Michał wyraźnie ucieszył się na te słowa. Pomógł Jagodzie w zakupach, ściągając produkty, które wskazywała z regałów i kładąc je do koszyka. Następnie podliczył należność na kasie, słowem nie wspominając o tym, że nabił spory rabat. Podczas gdy Jagoda pakowała sprawunki do jutowej torby na ramię, przestępował z nogi na nogę, wyraźnie zmagając się z podjęciem jakiejś decyzji.

- Coś się stało? - spytała Jagoda, podnosząc wzrok na mężczyznę.

- Nie. To znaczy... Nie wiem, jak zacząć, tak dawno tego nie robiłem. Chodzi o to, że naprawdę bardzo się ucieszyłem, że tu wróciłaś i... I z tego powodu chciałem, jakby to powiedzieć, uczcić twój powrót. I tak sobie pomyślałem, że może miałabyś ochotę spotkać się. Razem. Sami.

Przez dobrą chwilę Jagoda przyglądała się paplającemu nieskładnie Michałowi z mieszaniną rozbawienia oraz czułości. Nie bardzo mogła uwierzyć, że zapraszał ją na randkę mężczyzna, który dawno temu, w innym życiu, był jej pierwszym kochankiem. Sytuacja wydawała się tak nierzeczywista, że aż niedorzeczna. Nie potrafiła jednak opędzić się od ciekawości. Chciała się przekonać, jak wyglądałaby randka z kimś innym niż jej mąż.

Z drugiej jednak strony wciąż nosiła w sobie żalobę po Andrzeju, który zmarł przed niespełna rokiem. Jagoda nie była pewna, czy wypadało jej umówić się z innym mężczyzną po takim czasie. Mężczyzną, który wszak nie był jej całkowicie obojętny.

Pomimo dręczącej jej niepewności z ochotą przestała na propozycję Michała. Ten z kolei wydawał się tak zaskoczony, że potrzebował kilkukrotnego zapewnienia o tym, że Jagoda nie żartowała z niego ani w żaden sposób nie drwiła.

Umówili się na późne popołudnie. Michał obiecał odebrać Jagodę spod domu babki, jednak nie chciał zdradzić, dokąd zamierzał ją zabrać.

* * *

Wróciła do domu i resztę dnia spędziła w nieco nierzeczywistym stanie lekkiego otępienia połączonego z euforią. Równocześnie odczuwała delikatny lęk na myśl o zbliżającej się randce. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni miała okazję na jakiejś być. Mąż sporadycznie, gdy przypominała mu o potrzebie, zabierał ją do restauracji.

Zawsze tej samej, gdzie zwykle zamawiał to samo. Po skończonym posiłku ostentacyjnie ziewał i spoglądał na zegarek, mówiąc, że lada chwila zapadnie w śpiączkę poobiednią i najchętniej położyłby się na kanapie na krótką drzemkę. Jagoda po kilku takich nieszczęsnych randkach drżała na samą myśl o wyjściu z Andrzejem na miasto. Jednocześnie pragnęła, aby ją adorowano w wystawnej restauracji, gdzie mogłaby zamówić niecodzienną potrawę i wymyślny deser.

Zastanawiała się, co takiego miał w zanadrzu Michał. Wydało się jej niedorzecznym mieć oczekiwania względem mężczyzny, o istnieniu którego do wczoraj jeszcze nie pamiętała. Niemniej wspomnienia, które przywołał, sprawiły, że robiło się jej gorąco, ilekroć o nim pomyślała.

Uśmiechnęła się do siebie, gdy dotarło do niej, że ostatni raz czuła coś podobnego, kiedy była nastolatką.

* * *

Reszta dnia ciągnęła się w nieskończoność. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi, co choć na chwilę pomogłoby oderwać się od żmudnego odliczania godzin. Babka na wieść o tym, że Jagoda szykowała się do wyjścia wieczorem z Michałem, uśmiechnęła się tajemniczo. Nie kwapiła się jednak, by w jakikolwiek inny sposób skomentować sytuację. Jagoda zaś nie mogła pozbyć się wrażenia, że babka sprawiała wrażenie zadowolonej. Nie był to jednak ten rodzaj dopingującej radości, jaką mogłaby odczuwać babcia wspierająca miłosne awanse wnuczki. Jaga wyglądała jak szara eminencja, której udało się przekonać jaśniepaństwo do swej racji, co znacząco wpłynęło na poprawę jej dobrobytu.

Z kolei Anielka nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ani dokąd mama zamierzała wybyć wieczorem. Dziewczynka przyzwyczaiła się bowiem do sytuacji, w której miała mamę do swej dyspozycji, ilekroć tego potrzebowała. Od dnia, w którym

tatusz trafił do Pana Boga bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy Jagodzie w końcu udało się wytłumaczyć córce, że wyjście stanowiło dla niej ważne wydarzenie, dziewczynka w dalszym ciągu nie sprawiała wrażenia przekonanej ani tym bardziej zadowolonej, niemniej wielkodusznie obdarowała matkę błogosławieństwem, życząc jej udanego wieczoru.

* * *

O umówionej godzinie punktualnie co do minuty na ścieżce prowadzącej do chaty Jagi zachrzęściły koła samochodu. Michał podjechał wypolerowanym fiatem pięćset. Samochodzik był o tyle zgrabny i cieszący oko, co bardzo niemęski, a to z kolei sprawiło, że Jagoda zaczęła myśleć o Michale z jeszcze większym uznaniem. Do tej pory miała raczej styczność z mężczyznami, dla których samochód stanowił nie tyle przedłużenie, co manifestację ego. Im większy i szybszy pojazd, im więcej kosztował, tym lepiej dla samooceny właściciela. Zupełnie jakby można było nadrobić braki w osobowości, kupując bentleya.

Tymczasem to, że Michał bez skrępowania poruszał się autem, o jakim pieszczotliwie przyjęło się mówić jako o kobiecym, dawało świadectwo, że mężczyzna nie obawiał się o swoje ego, ani uszczerbek na nim spowodowany potencjalnymi szyderstwami.

Gdy tylko Jagoda zbiegła po kilku stopniach wiodących z chaty na podwórko, Michał wysiadł z samochodu i, otworzywszy drzwi pasażera, zaczął, aż Jagoda wejdzie do środka. Z głośników sączyły się nieco rozwleczone, oniryczne dźwięki szwedzkiego zespołu jazzowego, Esbjorn Svensson Trio. Jagoda, entuzjastka gatunku, od razu podłapała temat, czym niezmiernie rozradowała Michała.

- Pamiętasz stare czasy, kiedy wałkowaliśmy Brygadę Kryzys i Nirvanę? - zaśmiał się do wspomnień mężczyzna, zręcznie

prowadząc samochód tyłem.

- Jasne, że pamiętam. - Jagoda z radością uświadomiła sobie, że rzeczywiście pamiętała słuchanie pirackich kaset magnetofonowych na starym radzieckim sprzęcie Michała. - Po niektóre, co bardziej awangardowe płyty, jeździliśmy stopem aż do Katowic. Boże, kiedy to było! Wyobrazasz sobie, że istniały czasy, gdy żeby dostać album, którego chciało się posłuchać, naprawdę trzeba było kombinować, aby go jakoś zdobyć?

- Jasne, że sobie wyobrażam. Żyłem w takich czasach. Miało to swój urok. Dzięki temu bardziej się doceniało te perełki, jakie udało się zdobyć od szemranego typu na targu. A jak to się stało, że z rocka i punka przerzuciłaś się na jazz?

- Mogłabym spytać ciebie o to samo. - Uśmiechnęła się Jagoda, której przytulne, kołyszące brzdąkanie kontrabasu Dana Berglunda wprawiało w coraz to lepszy nastrój. - W końcu przechodziliśmy fazę flanelowych fartuchów razem.

Przez moment zaśmiewali się na wspomnienie mody, którą przyniosły do Polski zdjęcia Kurta Cobaina i Eddiego Vedera w powyciąganych, moherowych swetrach, przetartych jeansach i koszulach flanelowych przewiązanych w pasie.

- Cóż - podjęła w końcu Jagoda, podczas gdy oświetlone ledowymi żarówkami drzewa śmigają po jednej i drugiej stronie sunącego miękko fiata. - W pewnej chwili przychodzi taki czas w życiu każdego człowieka, gdy masz ochotę posłuchać czegoś innego niż skrzeczących wynurzeń introwertyka z depresją. Powiedz mi lepiej, dokąd jedziemy? Wcześniej byłeś taki tajemniczy, nic się z ciebie nie dało wyciągnąć.

- Pomyślałem, że sprawię ci miłą niespodziankę, więc jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym nie mówić.

Przez resztę drogi, która nie zajęła zbyt wiele czasu, Jagoda na zmianę droczyła się z Michałem, usiłując odgadnąć miejsce docelowe randki i dyskutowała o ulubionych muzykach. Okazało się, że łączyła ich pasja względem skandynawskiego

trio, ale także kilku innych formacji. Jagodę cieszyło stopniowe odkrywanie dawnego przyjaciela na nowo. Miała wrażenie, że zeskrobywała starą farbę ze ściany, by odkryć pod spodem piękny fresk, o którym wszyscy dawno już zapomnieli.

Przejechali przez wieś, która z wolna układała się do snu, pomimo że do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. Minęli niewielki gmach kościoła, przed którym spacerowały kawki w towarzystwie gruchających gołębi. Przejechali w pobliżu szkoły podstawowej, do której uczęszczali. Na widok starego, odrapanego budynku nowa porcja wspomnień odżyła w Jagodzie. Wróciła stara panna, ucząca matematyki, pani Trauer*, której nazwisko nie mogło lepiej oddawać jej natury. Kobieta, która nienawidziła dzieci, nienawidziła uczyć, nienawidziła beztroski i śmiechu. Jagoda zadrżała na wspomnienie lekcji, podczas których usiłowała chować się za innymi dziećmi w klasie tak, by łypiąca znad szkieł okularów hetera jej nie dostrzegła i nie wywołała do tablicy. Bowiem kiedy coś podobnego następowało, Jagoda pomimo tego, że posiadała umysł raczej ścisły, ze strachu przed nauczycielką nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na najprostsze nawet równania. Stała wobec tego z kawałkiem kredy w palcach, z oczami wbitymi w podłogę i słuchała litanii obelg oraz wyzwisk pod swoim adresem. Dowiedziała się od pani Trauer wielu interesujących rzeczy na swój temat. O przykrościach zapomniała aż do chwili, gdy zobaczyła przelotnie budynek szkoły.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Michała, który oznajmił, że dotarli na miejsce. Zgasił silnik, wyjął kluczyk ze stacyjki. Muzyka ucichła, a do wnętrza samochodu wdarło się przeszywające cykanie świerszczy. Jagoda uniosła wzrok i jej oczom ukazał się kruszejący, straszący wybitymi oknami, choć nadal w pewien niewytłumaczalny sposób piękny gmach dawnego folwarku. Całość zbudowano w stylu domu

przysłupowego na podwyższonych fundamentach z jasnego kamienia, o dachu krytym ciemną dachówką. Z folwarkiem wiązała się jakaś tragiczna historia, której Jagoda nie mogła sobie przypomnieć. Nie była nawet pewna, czy ktokolwiek we wsi wiedział z całą pewnością, co takiego przyczyniło się do upadku prosperującego niegdyś przedsiębiorstwa.

Spojrzała pytająco na Michała, który nieco zbity z pantałyku reakcją towarzyszką, zaczął się nieskładnie tłumaczyć.

- Rzeczywiście, folwark sam w sobie jest nieco straszny i nie zabrałbym cię do środka, chyba że byś tego chciała. Jednak nieopodal, tuż za granicą lasu, jest kilka stawów, które prezentują się naprawdę pięknie. Pomyślałem, że moglibyśmy tam zjeść kolację - dodał, wskazując na tylne siedzenie, na którym stał okazałych rozmiarów kosz z wikliny.

Jagoda nie zauważyła wcześniej prowiantu. W koszu piętrzyły się pojemniki ze smakołykami. Mężczyzna przygotował owoce, humus, pieczywo, sałatki, a nawet coś, co bez wątplenia było kremem z pomidorów. Jagoda zauważyła też niewielką butelkę czerwonego wina oraz dwa owinięte pieczolowicie w papier kieliszki.

- O mój Boże, piknik - wyrwało jej się cicho.

- To źle? Jeśli chcesz zrobić coś innego, cokolwiek, to powiedz.

- Nie, jest wspaniale. - Jagoda nie potrafiła zapanować nad drżącym głosem. - Po prostu nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego. Nigdy nie byłam na pikniku z mężczyzną.

- Najwyższa pora, aby to zmienić. - Uśmiechnął się Michał, a następnie wysiadł z samochodu.

Jagoda poszła w jego ślady, choć najpierw rzuciła ostatnie, nieufne spojrzenie w stronę folwarku. Pomimo tego, że perspektywa randki na świeżym powietrzu bardzo się jej podobała, nie mogła opędzić się od wrażenia, że lada chwila

miała zobaczyć przesuwającą się postać w bieli za jednym z wybitych okien.

Niosąc kosz w zgięciu łokcia, Michał ruszył przez zaniedbany trawnik w stronę lasu, w którego szpalerze wyraźnie odznaczała się luka, wyznaczona przez zarosniętą chwastami ścieżkę. Drobnny żwir i piasek chrzęściły pod podeszwami butów, dmuchawce śnieżyły lotnymi nasionami, czepiającymi się spodni i skarpetek.

- To musiała być kiedyś piękna posiadłość. - Michał odwrócił się przez ramię, by rzucić okiem w stronę folwarku. - Podobno należała do zamożnej rodziny, która w pewnym momencie straciła majątek i musiała się pozbyć dorobku życia kilku pokoleń. Byli, o ile się nie mylę, Polakami śląskimi, potomkami jakiegoś znanego rycerza czy szlachcica. Wyobraź sobie tylko, mieszkać w takim domu, aż któregoś dnia przez spłot nieszczęśliwych wydarzeń musisz się z niego wynieść.

- Co się stało? Nie ma żadnych zapisów czy czegoś takiego?

- Nie jestem pewien, a ludzie już sami nie bardzo pamiętają, co jest prawdą, a co legendą. Wiadomo z całą pewnością, że przez jakiś czas zarządzał tutaj czeski właściciel. Dalsze losy, aż do drugiej wojny, nie są do końca jasne. Naziści zorganizowali w folwarku siedzibę, a po wojnie nikt już więcej majątkiem się nie interesował. I tak sobie niszczeje. Szkoda.

- Szkoda - zgodziła się, cokolwiek bez większego entuzjazmu Jagoda, która nie mogła pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, jakie wzbudzał w niej gmach.

Szli skryci między drzewami ledwie widoczną spod chwastów i kęp dzikiej trawy ścieżką. Naraz zza buków wyłoniło się kilka równie zaniedbanych co okolica niecek, w których kłębiła się ciemna, porośnięta łatami rzęsy woda. Stawy hodowlane otaczały groble na tyle szerokie, że można na nich stanąć samochodem. Zbiorników było łącznie trzy, z czego każdy rozmiarem przypominał boisko do koszykówki. Po

powierzchni wody co jakiś czas rozchodziły się kółka, tworzące z kolei maleńkie fale.

- Malownicze, nie sądzisz? - spytał Michał, rozglądając się wokół z niekłamanym zachwytem.

Jagoda nie podzielała entuzjazmu towarzysza, nie miała jednak serca powiedzieć mu, co naprawdę sądziła o tym miejscu. W rzeczywistości nie miała większej ochoty spędzić kilku godzin w pobliżu cuchnących kałuż, w których prawdopodobnie roiło się od tłustych, opitych mułem karpi. Stawy napawały Jagodę dziwnym lękiem, którego genezy nie potrafiła wyjaśnić. Miała wrażenie, że stało się tu coś złego. Coś, czego wspomnienie nigdy nie opuściło tego miejsca, na zawsze plamiąc okolicę.

Michał z kolei zdawał się być zauroczony lokacją. Rozłożywszy koc na grobli, wykladał prowiant z koszyka, nucąc cicho pod nosem. Kiedy doszedł do butelki wina, odwrócił się do Jagody i wyciągnął sprawnie korek.

- Pozwólmy mu odetchnąć - powiedział z uśmiechem, następnie odłożył wino z powrotem do koszyka. - Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie wolno pić wina tuż po otwarciu. Nie jestem pewien, dlaczego nie wolno tego robić, ale nie zamierzam poddawać w wątpliwość słowa znawcy tematu.

Usiedli na kocu, oddzieleni niewielką stertą pojemników z przekąskami. Przez kilka pierwszych chwil rozmowa się nie kleiła, tematy nie chciały się pojawić, a te, które udało się poruszyć, szybko się wyczerpywały. Zupełnie jakby swoboda, z którą wcześniej rozmawiali, przepadła w momencie, gdy ich randka stała się rzeczywistością. Aż w końcu, kiedy wypili po kieliszku wina, napięcie zelżało. Padł pierwszy żarcik, niewinnie nasączony flirtem i wszystko stało się prostsze, bardziej naturalne. Jagoda przestała się stresować otoczeniem, które nagle wydało się jej przyjaźniejsze, bardziej urokliwe.

- Jak to się stało, że nigdy stąd nie wyjechałeś? - spytała w pewnej chwili, podstawiając kieliszek do napełnienia.

- Skosztuj humusu. - Michał odłożywszy butelkę, wyciągnął w stronę Jagody pojemnik z pastą oraz zawiniętą w lnianą ściereczkę bagietkę. - Sam robiłem, na podstawie sekretnego przepisu ojca.

Jagoda bez dalszych słów zachęty oderwała kawałek pieczywa, którym następnie nabrała sporą porcję humusu.

- Pyszny! Liczę na to, że przepis nie jest aż tak sekretny, byś nie mógł się nim podzielić.

- To zależy od tego, co jesteś w stanie poświęcić za wiedzę sekretną - zaśmiał się Michał.

- Dla czegoś tak smacznego całkiem sporo. Ale nie odpowiedziałeś na moje wcześniejsze pytanie. Nie poczułeś nigdy potrzeby wyrwać się z tych lasów? Uciec gdzieś, gdzie możliwości są większe, a ludzie ciekawsi?

Mężczyzna wsunął do ust posmarowany dipem kawałek bagietki, zapatrzył się na powierzchnię jednego ze stawów. Upłynęła dłuższa chwila, nim odpowiedział.

- Kiedyś chciałem. Mało tego, próbowałem, ale nie wyszło. Tata po śmierci mamy stał się... trudny. Nie potrafiłem z nim mieszkać, pracować, pomagać. Na pytania odpowiadał zbywająco, na pomoc reagował agresywnie. Zmienił się tak bardzo, jak gdyby ta dobra część, którą ludzie w Swaróżykach do końca z nim utożsamiali, umarła wraz z mamą. Być może tak właśnie było. Mam wrażenie, że w jakiś pokrętny sposób starał się dać mi do zrozumienia, że sobie poradzi. Rozumiesz, tak jakby chciał mnie wygonić z życia, abym mógł zacząć własne.

Michał westchnął głęboko, napił się wina, po czym wznowił opowieść.

- Tak też zrobiłem. Spakowałem plecak, kupiłem bilet do Norwegii w jedną stronę i wyjechałem za pieniędzmi, stabilizacją, nowym początkiem. Nie miałem tam punktu

zaczepienia, żadnego planu. Po prostu zawsze chciałem odwiedzić Skandynawię. Sądziłem, że uda mi się coś znaleźć, jakąkolwiek pracę. Byłe gdzieś zacząć. Ale nic z tego nie wyszło. Wkrótce nie było mnie stać na płacenie czynszu, nie miałem za co kupić jedzenia. Spałem w parku miejskim, w namiocie. Łapałem każdą pracę, jaka się nawinęła. Malowałem płoty i szopy, kosilem trawę, wyprowadzałem ludziom psy. Ale nie byłem w stanie znaleźć nic, co pozwoliłoby zarobić tyle, by móc się utrzymać.

- To straszne - wydusiła Jagoda. - Tak mi przykro.

- Nie szkodzi. Było, minęło. W końcu nadszedł dzień, w którym nie mogłem dłużej wytrzymać koczowania. Wróciłem do domu. Miałem akurat tyle pieniędzy, że starczyło na prom do Gdańska i pociąg do Warszawy. Resztę drogi przejechałem stopem, częściowo przeszedłem pieszo. Kiedy stanąłem na progu, chudy jak szkielet i w poniszczonych ciuchach, ojciec tylko na mnie spojrzał. Nic nie powiedział, pomimo że się mnie przecież nie spodziewał. Nie miał telefonu, a ja nie wpadłem na to, by uprzedzić go listownie. Nic nie powiedział, ale w jego oczach było tyle bólu... Pozwolił mi pracować w sklepie, który zapisał mi w spadku, o czym dowiedziałem się dopiero po jego śmierci.

Zapadło milczenie, przerywane od czasu do czasu krzykiem ptaków wodnych i szumem wiatru w koronach drzew. Jagodzie zrobiło się smutno, współczuła Michałowi. Współczuła też jego ojcu, którego mgliście pamiętała jako radosnego mężczyznę. Opowieść przyjaciela sprawiła, że dziewczyna pogrążyła się we wspomnieniach własnej traumy. Myślała o Andrzeju, o dniu, w którym dowiedziała się o tym, jak zginął. Nim zdążyła pomyśleć, opowiedziała Michałowi swoją historię. Mówiła o tym, co się z nią stało, gdy postanowiła uciec ze Swarożyc. O tym, jak tułała się kilka lat po Polsce, zatrzymując się w kilku większych miastach, gdzie zatrudniała się w barach, pracując

za marne grosze. Aż w końcu osiadła na Pomorzu, gdzie któregoś wieczora poznała w knajpie, w której pracowała, Andrzeja.

- Bardzo przystojny, trochę podobny do Manzarka, ale nie miał głupiej fryzury i baczków. Od razu coś między nami zaiskrzyło i tak od słowa do słowa umówiliśmy się na randkę. A potem kolejną i następną i ani się obejrzałam zamieszkaliśmy razem.

Jagoda opowiadała o perypetiach młodej pary zmagającej się z życiem, usiłującej budować coś na chybotliwych fundamentach obciążeń, jakie wynieśli z domów rodzinnych. Andrzej był sierotą, podrzuconym do domu dziecka, gdy miał pięć lat. Nie pamiętał rodziców, nikt nie chciał go adoptować, więc gdy tylko skończył osiemnaście lat ośrodek wydalil go, wypchnął w dorosłość, życząc wszystkiego dobrego. Chłopak miał jednak głowę nie od parady i szybko załatwił sobie pracę na magazynie w hurtowni spożywczej. Kierownik zmiany zauważył potencjał ciężko pracującego i małomównego Andrzeja i pchnął go na kurs operatora wózków widłowych.

- Nie ma się co rozgadywać - mówiła Jagoda, bawiąc się kieliszkiem do połowy wypełnionym winem. - Andrzej awansował w firmie średnio co dwa lata. W końcu też zapisał się na studia wieczorowe, na finanse. To otwarło mu drogę do pracy biurowej. Został jednym z księgowych, aż wreszcie, gdy główna księgowa przeszła na emeryturę, szef ofiarował tę posadę Andrzejowi. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Poznaliśmy w kilka miesięcy po tym właśnie awansie. Był ode mnie starszy o kilka lat zaledwie, ale osiągnął znacznie więcej. I to pomimo tego, jakie los zgotował mu życie.

Dalej Jagoda mówiła o wspólnym życiu, o tym, że pobrali się spontanicznie. Przechodzili obok urzędu stanu cywilnego i po prostu zajrzeli do środka, gdzie wypełnili formalności, ustalili datę ślubu, po czym wrócili umówionego dnia ze srebrnymi

obraczkami. Nie chcieli złotych. Potem Jagoda zaszła w ciążę i zdawało się, że wszystko będzie w porządku. Ale świat miał inne plany. Andrzej stał się gnuśny, niespokojny. Nie buzował w nim dawny ogień, który sprawił, że parł naprzód pomimo wszelkich przeciwności, jakie pojawiały się na jego drodze. Przestał o siebie dbać, roztył się, zaczął też pić. Myślał, że był sprytny, splukując popijaną ukradkiem wódkę słodkimi napojami i sokami, tak by Jagoda nie wyczuła zapachu alkoholu. W pewnej chwili przestał się jednak czaić i pił bez skrępowania. Najpierw w weekendy, w końcu od poniedziałku do niedzieli. Niedużo, wystarczająco jednak, by miało to wpływ na jego relację z żoną i córką.

Jagoda starała się nakłonić męża, by poszukał pomocy. Bywały dni, w które wściekał się na podobne sugestie, twierdząc, że jako główny chlebobawca miał pełne prawo relaksować się w taki sposób, w jaki jemu najwygodniej. Zdarzały się i takie, w których potulnie zgadzał się z Jagodą i obiecywał, że poszuka terapeuty. Jutro, pojutrze, po następnym zamknięciu miesiąca, bo teraz było za dużo pracy i nie miał do tego głowy. Aż któregoś dnia do Jagody zadzwoniono ze szpitala.

- Poszedł do baru z ludźmi z pracy. Świątowali dobre wyniki. - Głos Jagody brzmiał monotennie, tak jakby opowiadała o czymś, co jej nie dotyczyło. - Andrzej wyszedł wcześniej. Mówili, że chciał wrócić do domu. Twierdzili, że tamtego wieczora wypił tylko dwa piwa i jeden kieliszek. Wyszedł z baru i na przejściu dla pieszych potrącił go jakiś chłopiec, jadący samochodem ojca. Andrzej zmarł w szpitalu, nie odzyskał przytomności. Kiedy mi go pokazali, prawie go nie poznałam. Jego twarz...

Jagodą wstrząsnął gwałtowny szloch. Wino chlusnęło z kieliszka, który upadł na trawę. Michał delikatnie wziął płaczącą w ramiona. Kołysząc delikatnie, szeptał słowa

pocieszenia. Głaskał miękkie, pachnące rumiankowym szamponem włosy. Zaskakując samego siebie, ucałował czubek jej głowy. Nagle tuż przy jego twarzy znalazła się gorąca mokra od łez twarz Jagody. Na szyi poczuł ciepły oddech. Przeszły go ciarki, które poczuł aż w lędźwiach.

Ich usta spotkały się wpierw gwałtownie, niemal łapczywie. Kiedy nasycili się pierwszymi pocałunkami, stali się delikatniejsi, acz nadal ciekawscy. Z ochotą brali to, co im poddawiano, sami dając w zamian. Wszystko, co zrobili, przyszło naturalnie, z potrzeby, bez przymusu. A zrobili bardzo dużo. Obojgu doskwierało uczucie, że tak być powinno, że oto nadrabiali zaległość. Równocześnie odpędzali troski, jakimi się podzielili. Na koniec położyli się obok siebie, okrywając wolnym skrawkiem koca, tak by coraz chłodniejszy wiatr nie muskał ich nagości. Nic nie mówili, bo już nie było nic do powiedzenia.

* * *

Pożegnali się z nowo odkrytą czułością. Pocałunkiem muśniętym niebieskawą poświatą księżycą, zaglądnącego ciekawie przez szybę samochodu. Pomimo że wcześniej posunęli się znacznie dalej, ich pocałunek był nieco nieśmiały, poszukujący. Jak gdyby badali limity czy też możliwości przy pomocy ust.

Jagoda cmoknęła porośniętą chrzęszczącą szczecinę policzek Michała, pocałowała ostatni raz w usta i wysunęła się z samochodu. Czuł się szczęśliwa. Miała wrażenie, że lada moment pofrunie. Nie czuła niczego podobnego od dawna. Ciepła w żołądku, kołaczącego serca, ciekawości i skrępowania, które tak cudownie było pokonywać, by odkryć coś nowego.

Otumaniona szczęściem niemal nie zwróciła uwagi na trzy postaci stojące na skąpanym bladym świetłem trawniku na granicy z lasem. W pierwszej chwili sądziła, że to drzewa przybrały dziwaczne kształty, jednak gdy wyteżyła wzrok, nie

mogło być mowy o pomyłce. Na granicy widoczności stała babka, tajemniczy cień z porożem, który widziała wcześniej, oraz maleńka plama czerni i szarości.

Instyngt matki zaskoczył w momencie i zmusił mięśnie do pracy. Jagoda rzuciła się biegiem przez wilgotniejącą od coraz zimniejszego powietrza trawę. Widziała już córeczkę oraz jej towarzyszy na tyle wyraźnie, by dostrzec wyraz niecierpliwości na twarzy babki. Widziała też opalizujące jak u kota oczy istoty z porożem. Ostatnim, co zobaczyła, była Anielka machającą do niej rączką. Następnie ogarnęła ją rozchodząca się po członkach ciepłem niemoc.

* * *

Szła przez gęsty las, nie wiedząc, skąd się w nim wzięła. Parła naprzód przez jałowce, paprocie, między ciasno stłoczonymi drzewami. Nie widziała ścieżki, nie miała nawet pewności, czy jakaś istniała. Nie pamiętała także, kiedy weszła w gęstwinę. Panował jaskrawy mrok, przez poszycie przedzierały się promienie księżyca.

Radkowa Kępa zawsze napawała ją lękiem, nawet kiedy umiała patrzeć i słuchać. Nawet wtedy nie zapuszczała się dalej niż do pierwszej wstążki na Młodej Lipie, będącej umowną granicą. Tymczasem nie miała najmniejszego pojęcia, w jakiej części boru się znalazła. Mało tego, jeszcze przed momentem nie pamiętała o granicy i Młodej Lipie.

Rozejrzała się wokół, usiłując wypatrzeć cokolwiek znajomego. Wszystko wyglądało jednak zwyczajnie, tak samo. Las, drzewa i krzewy, ptaki w koronach i robaki w ściółce.

Usiadła ciężko, suche liście zachrzęściły szyderczo. Przez zasłone zapomnianych przeżyć usiłowało się przedrzeć jedno, bliźniaczo podobne do sytuacji, w której znalazła się obecnie. Słabe, rozedrgane i niepewne. Jagoda obawiała się, że jeśli

skupi na nim zbyt mocno uwagę, całkiem uleci, jak sen, który z wolna zacierał się w pamięci.

Jagoda miała pewność, że już kiedyś babka wyгнаła ją do Kępy za karę. Nie pamiętała, co takiego przeskrobała, wiedziała jednak, że ocknęła się po kostki w liściach. Sunęła wtedy wykrotem, nie mając najmniejszego pojęcia skąd się tam wzięła. Dość oczywistym zatem wydawało się założenie, że i obecnie wydarzyło się coś podobnego. Nie potrafiła jednak zrozumieć, czym sobie na to zasłużyła.

* * *

Księżyc przesunął się coraz mocniej na zachód, kiedy Jagoda dała w końcu za wygraną. Wiedziała, że bez zgody Jagi nie miała co liczyć na odnalezienie drogi powrotnej. A Jaga najwyraźniej nie życzyła sobie, by wnuczka znalazła wyjście z boru.

Usiadła zrezygnowana, oparłszy się plecami o chropawy pień buka. Myślała o córce, o tym, co Jaga planowała z nią zrobić. Wiele wspomnień i lęków nawiedzało ją w tamtej chwili, kiedy siedziała pod drzewem, którego koroną zarzucał wiatr. Przypomniła sobie obawy, strachy i przepowiednie. Zapomniane moce oraz istoty, z którymi dawniej rozmawiała. Już niemal udało się jej uchwycić najważniejszą rzecz, której w dalszym ciągu nie potrafiła skryzalizować. Rosło w niej przekonanie, że nie bez powodu było jej tak ciężko wrócić do tego wspomnienia.

Rozmyślała też nad tym, jak szybko sprawy eskalowały w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Między nią a Jagą trudno doszukiwać się miłości, ale nie spodziewała się, że stara posunie się do podobnych metod.

Spomiędzy otaczających ją dźwięków Jagoda wyłowiła rytmiczny szelest deptanych liści. Podniosła wzrok, omiotła otoczenie. Niczego nie dostrzegła, nie miała jednak

wątpliwości, że ktoś szedł w jej kierunku. Krok za krokiem, ślimaczym tempem. Wstała, stękając przy tym, bowiem bolały ją stopy, a w plecach poczuła piekący ucisk.

Spomiędzy gęstwy drzew wychynał trójkątny łeb wilka. Zwierzę, nie odrywając spojrzenia żółtych ślepi od Jagody, z wolna wynurzyło się całe, sypiąc igłami modrzewia, które przypruszyły szare futro. Wilk stanął na moment, jak gdyby świadomy swego majestatu, po czym z pyskiem opuszczonym ku ziemi podszedł do znieruchomiałej kobiety. Przez cały czas nie przerywał kontaktu wzrokowego.

Jagoda poczuła ciężki zapach zwierzęcia, który wbrew pozorom w niczym nie przypominał psa, który spędził kilka dni na świeżym powietrzu. Wilcza woń sugerowała pierwotność, surowe piękno oraz krew.

Samiec obszedł Jagodę, obwąchując ją dokładnie. Jakby zadowolony z oględzin oddalił się nieznacznie, po czym przysiadł na tylnych łapach. Z postawionymi uszami oraz wywalonym jęzorem wyglądał niemal jak pies.

Wtem rozległo się przeraźliwie głośne krakanie, które brzmiało, jakby setka kruków poderwała się w jednym momencie do lotu. Wilk nawet nie drgnął. Siedział w tym samym miejscu, świdrując Jagodę opalizującymi ślepiami. Dziewczyna zaś z niepokojem rozglądała się za źródłem kakofonii. Z trudem udało się jej dostrzec olbrzymią chmurę czarno opierzonych ptaków, które cięży przestrzeń między drzewami, usiłując wydostać się ponad gęste korony. Między stadem zauważyła coś jeszcze. Sylwetkę, która zdawała się brnąć między kaleczącymi szponami i trzepoczącymi skrzydłami. Zarys wysokiej, szczupłej postaci, w której było coś znajomego.

Spomiędzy ptaków wyłonił się rogaty stwór o włochatym ciele i pokracznie chudych nogach. Stwór zrównał się z warującym wilkiem, który nagle ożywił się i zamiótł ogonem

ściółkę. Rogacz położył dłoń o długich palcach na zmierzwionej głowie wilka, podrapał za uchem.

Jagoda wpatrywała się w monstrum i z zaskakującym spokojem uzmysłowiła sobie, że lada moment zwariuje. Jeśli to miało okazać się prawdą po prostu oszaleje. Istota z lasu z długimi, zielonymi włosami, z których wystawało olbrzymie poroże jelenia, nie miała prawa istnieć. Istota odziana w niedźwiedzie futro, które w pierwszej chwili wzięła za owłosienie. Istota o pogodnych, orzechowych oczach błyskających spod krzaczastych brwi.

- Dziadku? - wyszeptała Jagoda przez ściśnięte gardło.

- Witaj, dziecko. Długośmy się nie widzieli.

- Dziadku, czy ty jesteś... - Nie potrafiła zmusić się, by wypowiedzieć to słowo.

- Zawsze.. Nawet kiedy zapominałem albo kiedy zdarzało się umrzeć.

Zawsze byłem tym, kim powinienem, choć nie zawsze przychodziło mi to z łatwością. Tak jak i twojej babce.

Podszedł do wnuczki ostrożnie, jak zbliża się do zwierzęcia ze schroniska. Z obawą, że lada chwila może czmychnąć. Jakaś część Jagody chciała uciec jak najdalej i ponownie o wszystkim zapomnieć.

- Rzeczy do ciebie wracają, prawda? - Dziadek delikatnie położył dłoń na ramieniu Jagody.

Dziewczyna zauważyła, że zdawał się wyższy niż kiedykolwiek. Pamiętała go jako wysokiego mężczyznę, jednak obecnie mierzył dobrze ponad dwa metry. Wzrost dziadka jednak zupełnie bladł w obliczu niezwykłości poroża. W pierwszej chwili liczyła na to, że być może to czapka, z bliska jednak wyraźnie widziała stwardniałe, popękane miejsca na skórze, z których wyrastały narośle.

- Nie rozumiem tego, co do mnie wraca - wyznała bezsilnie. - Mam wrażenie, że pamiętam równocześnie wszystko i nic. Kiedy coś widzę, jak Ciebie, to wiem i nawet nie jestem wielce zaskoczona. A w tej samej chwili zdaje mi się, że jeśli będę na Ciebie dłużej patrzyła, oszaleję.

Dziadek skinął głową ze zrozumieniem.

- Czy wysłuchasz opowieści? - spytał zmienionym głosem. - Opowieści o czasach przeminionych, z których wszystko wzięło swój początek. Wysłuchaj opowieści, przypomnij sobie.

Jagoda uwięzła w spojrzeniu nagle soczycie zielonych oczu. Zanurzyła się w wilgotnych trawach prastarego boru. Na członki opadł krępujący ruchy ciężar, głowę przeszył bolesny rozbłysk światła. Usta, rozwarłe w niemym krzyku, zdawało się, że lada chwila pękną. Jagoda zwinęła się w rozedrgany kłębek u stóp rogatej istoty z lasu.

* * *

Na początku nic nie stało. Mrok wszechności nie miał nic wspólnego z ciemnością, bo ani światła, ani cienie wtedy nie istniały. Nicości nie sposób sobie wyobrazić, bowiem nawet to, co podsuwa umysł, w jakiś sposób istnieje i jest czymś.

Z tej pierwności wychynął Praociec, nazwany tak, albowiem wszystko inne, co powstało, powstało po nim, tak tedy on wszelkiego stworzenia jest ojcem. Świętowidem go przezwano i nawet on nie pamiętał dlaczego, bowiem nie jego to imię. Wyobrażenia jego są karykaturą pewnej idei. Przedstawiano go z czterema obliczami, oblepiającymi jedną czaszkę z każdej strony na kształt potwornej mutacji. A w jego czworogłowym istnieniu nie chodziło o nic innego jak to, że widział i wiedział o wszystkim.

Świętowid, który sam siebie nazywał Perunem, stał się pierwszym istnieniem w niebycie. Unosił się w nim jak w odmętach bezdennej jeziora, otoczony zewsząd ciemnością,

niezdolny usłyszeć nic prócz uderzeń własnego serca. I w tej nicości samotniczej się zasmucił. Niepomny wtedy jeszcze swej mocy stwarzania, jął wyobrażać sobie kształty, mające umilić chwile smutku i osamotnienia, które ku jego zdziwieniu powołane zostały do istnienia. Tak też pojawiły się kontynenty zalesione puszciami bez jednej ścieżki, gęstymi i nieprzebytymi. W puszczech niby czyraki zachlupotały jeziora o dnach głębokich i wodach zielonkawych, mętnych. Nad drzewami zaś wypiętrzyły się góry, wpierw niosące na grzbietach lasy, aż wreszcie te najwyższe strząsnęły z siebie zarośla i nagie jak i Perun przy okazji swych narodzin, stanęły oto przed jego obliczem.

W stwarzaniu zapomniał o odpoczynku, aż wreszcie zmęczenie dało o sobie znać i opadł z sił, siadłszy pod rozłożystym jesionem. Plecy uwierała twarda kora drzewa, nagą pierś muskał chłodny wiatr. Pogładził się Praociec po zarośniętym policzku, w melancholijnej zadumie zakręcił ciemny wąs. Wykoncypował oto, że mimo wszystkiego, co sobie zamyślił i co okazało się doskonałe, nadal odczuwał samotność.

Tak tedy, siedząc w kucki pod jesionem, zobaczył istotę będącą nim, lecz o naturze nie jego. Istota objawiła mu się piękną w swej niedoskonałości. Miała długie, luźno opadające na plecy włosy, krągłe biodra i niewielki, choć kształtny biust. Perun odczuł w lędźwiach coś, co wykroczyło poza jego wyobraźnię.

Istota niebędąca Praoćcem usiadła naprzeciw niego, a on zobaczył w niej wszystko to, czego sam nie posiadał. Zrozumiał oto, że stwarzanie samotnicze dobiegło końca.

Para oddała się nowym doznaniom, zupełnie zatracając w zgoła innym stwarzaniu. Powili życie na świecie, a wszystko, co żywe, im istnienie zawdzięcza. Z lędźwi Macierzy wyłoniły się twory potężne, które z biegiem wieków nazwano bogami, przerażające, których szpetota i złośliwa natura nigdy nie

zaskarbiła miłości niczyjej prócz ich rodziców, a także słabe i kruche, choć o dumie nieprzeciętnej, jak plemię ludzkie.

Dzieci powite z Praońca i Macierzy jawiły się ich rodzicom jako piękne i harmonijne. Cykl życia, śmierci i ponownych narodzin zadawała boską parę.

Wnet po narodzinach ludzie zaczęli rąbać lasy, drzeć ziemię, wstrzymywać rzeki, wznosić częstokoły i odgradzać się od natury stworzenia. Na modłę swych ludzkich dzieci bogowie zbudowali siedzibę w niedostępnych nikomu partiach świata, aby stamtąd sprawować rządy i niepostrzeżenie praść nici życia.

Wśród boskich dzieci znalazły się dwa byty leśne, ściśle związane z szalejącą w tamtych zapomnianych czasach mocą Prapuszczy. Jedne z najstarszych dzieciąt Przedwiecznych Rodziców. Ogrodnik, strażnik lasu, zielony pan, król boru, leszczynowy dziad i jego oblubienica, wiedząca, szeptucha, najmądrzejsza, Córka Wszechmatki, istniejąca od wieków. Żywiol leśny splótł ich istnienia, tworząc małżeństwo trwalsze i wierniejsze sobie bardziej niżli cokolwiek innego występującego w naturze.

Ona, tajemnicza i niejednoznaczna jak sama Pramatka Ziemia, zarządzała swym królestwem z troską, ale i surową sprawiedliwością, przy boku swoim Jego do ochrony i opieki mając. Rządy sprawowała niepodzielne, tak jak to było w zamyśle Praońca, który szybko poznał się na wprawie, z jaką płeć nie jego potrafiła przejawiać w równej mierze troskę, co sprawiedliwie i mądrze wydawać osądy. Tak tedy za naturalny porządek bóg wszystkich bogów uznał niewieścią zwierzchność nad plemieniem swych dzieci. Wiedział bowiem, że moc, jaką dźrzyły matki, moc kształtowania życia, wykraczała poza wszelkie cuda, jakie ktokolwiek inny mógłby sprawić. A ponieważ nie istniało nic świętszego niż życie, któremu

należała się cześć i celebracja, tak i należało czcić te, które były jego nosicielkami.

Ciało leśnej matki przemijało jednak, tak jak i najstarsze drzewo musi któregoś dnia spróchnieć i obumrzeć. Pomimo to trwała wiecznie, tak bowiem Praociec i Pramatka zamysleli, ażeby ich dziecko nigdy istnieć nie przestało. Tak też cyklicznie zasiedlała nowe ciała, zachowując jednak tysiącletnią pamięć z poprzednich powłok. Jak i gleba, w której wszystko, co ku górze się pięło, pamiętała każde drzewo, każdy pęd i grzyba, jaki w niej wyrósł, tak i leśnej pani istota pamiętała każdą powłokę, z której korzystała. Każdą jednakowo kochając, bowiem z jej własnej krwi pochodziły, tworząc nieprzerwany ciąg córek.

Tak długo, jak świat winien trwać, tak długo leśne małżeństwo złączone ze sobą trwać miało również.

* * *

Jagoda miała wrażenie, jakby wybudzono ją z głębokiego snu. Rozejrzała się otumaniona i spostrzegła, że tuż obok niej siedział wilk. Odsunęła się gwałtownie od drapieżnika, który z obojętnością właściwą wytresowanym psom powiódł za nią wzrokiem. Ziewnął rozdzierająco. Długi jęzor zwinął się ku górze, włochate uszy położyły względem grubego karku.

Las skąpany był w bladej poświacie rzucanej przez księżyc w pełni. Cienie przybierały nadnaturalne, artretyczne kształty. Najstraszniejszy jednak rzucał dziadek stojący nieopodal, zajęty szeptaniem do potężnego kruka. Ptaszysko przycupnięte na wyciągniętym przedramieniu kręciło głową na boki. Paciorkowate ślepie odbijały upiorne, niebieskawe światło. W pewnej chwili kruk zakrakał donośnie, jakby w odpowiedzi na słowa dziadka, po czym zerwał się do lotu. Zgrabnie manewrując między gęstym poszyciem, zniknął z pola widzenia.

- Jak się czujesz, dziecko?

Jagoda mimowolnie zadrżała na dźwięk dobrze znanego głosu. Dziadek Kornel zbliżał się wolno, ostrożnie. Nie wiedzieć czemu sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wstała, świdrując rogatą istotę spojrzeniem pełnym gniewu i niewypowiedzianych domysłów.

- Dziecko moje - wyszeptał czule leszczynowy dziad, stając o krok od wnuczki.- Rozumiem, co ty myślisz. Rozumiem, że jest ci ciężko. Ale postaraj się zrozumieć, że tak musi być. Zawsze tak było. Wiedziałaś o tym, kiedy tu jeszcze mieszkałaś. Musisz pamiętać.

- Nie pamiętam - rzuciła słabo Jagoda, czując, jak wcześniejsza buta uciekła z niej jak powietrze z przebitej piłki. - To moje dziecko. Nie jej.

- Ono od urodzenia należało do babki. Tak jak babka od urodzenia należała do poprzedniej babki. To jest cykl, którego nic nie może zerwać. Nawet matczyna miłość.

- Dlaczego akurat Anielka? - Dziewczyna osunęła się na ściółkę, nie będąc w stanie dłużej ustać.

Wilk podszedł do Jagody, trącił jej rękę wilgotnym nosem. W tamtej chwili w niczym nie przypominał straszliwej bestii z lasu, potwora występującego w każdej niemal bajce.

- Dziecko, ty się musisz dobrowolnie zgodzić na to, by babka przejęła Anielkę - rzekł dziadek, moszcząc się obok Jagody. - Ona nie może nic zrobić bez zgody matki. Ale zrozum, że się musisz zgodzić. Nie masz innego wyjścia. Bez dziecka babka zemrze. Bez babki zaś zemrze o wiele więcej. Ona musi trwać.

Jagoda zapatrzyła się przed siebie, nie wierząc w ani jedno słowo, ale równocześnie będąc świadomą, że wszystko, co usłyszała do tej pory, było prawdą.

- Mam tylko ją jedną. Nie mogę... lekarze mi mówili, że... Tylko ją jedną.

- Wiem, dziecko. - Długie, kościste ramię objęło wstrząsaną suchym łkaniem Jagodę. - Tak miało być. Cała twoja miłość, wszystkie życie, które w sobie nosiłaś, było potrzebne, żebyś urodziła Anielę. Gdybyś tylko została z nami w Swarożycach, tak jak powinnaś, byłoby to dla ciebie łatwiejsze. Babka wysłała cię tu do mnie, bo... Ona jest już bardzo stara, starsza niż powinna i się boi. Nie ma cierpliwości, żeby ci tłumaczyć. Zwłaszcza że nadal rozpamiętuje to, jak uciekłaś.

Wsluchując się w metodycznie współczujący głos dziadka, Jagoda ponownie poczuła wzbierającą wewnątrz wściekłość. Chcieli jej odebrać córkę, zasłaniając się strzępami informacji i nic nie znaczącymi przepowiedniami. Czy naprawdę uważali, że dobrowolnie przekazałaby dziecko w ręce dwójki obłąkańców, przed którymi lata temu uciekła w popłochu?

Wilk, jak gdyby wyczuwając zmianę w nastawieniu Jagody, uniósł się na tylnych łapach. Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Widząc to, dziadek położył dłoń, którą do tej pory obejmował wnuczkę, na głowie zwierzęcia.

- Zostałaś poczęta po to, by następnie powić dziecko, które stanie się nowym ciałem dla babki. Nie możesz odmówić.

- Dlaczego tu wróciłam? - spytała nagle zmienionym głosem. - Dlaczego, po tylu latach, gdy już prawie nic nie pamiętam, nagle tu wróciłam? Czy to także jest... Czy babka i w tym miała udział? Czy to, że Andrzej zginął, to też babka? Tak miało być? Bo babce się czas kończy? Odpowiedz!

Leśny pasterz spojrzał Jagodzie głęboko w oczy, westchnął ciężko. Jagoda cofnęła się o krok, nagle słaba i bezsilna. Całe jej życie było nieprawdą, zasłoną dymną, mającą zamaskować niezrozumiałe rytuały. Nic z tego nie rozumiała, a jednocześnie miała pewność, że dziadek mówił prawdę. Jakaś część, jedna z tych, których jeszcze nie udało się jej wywlec na powierzchnię pamięci, szeptała ustawicznie, że Jagoda zawsze o tym wiedziała. Że Anielka urodziła się po to, by nauczyć się być

nową babką. Nie uciekła ze Swarożyc wyłącznie ze względu na to, że nie mogła się dogadać z opiekunami, będąc zbuntowaną nastolatką. Jej rebelia miała o wiele głębsze podłoże. Oczekiwano, że zrozumie i zaakceptuje coś, co dla przeciętnego człowieka było ponad siły.

- Jak możesz ze spokojem mówić do mnie o tym, że mam oddać moje dziecko? - syknęła Jagoda, na co dziadek spuścił rogatą głowę.

- Nie musisz oddawać. Możesz przy niej być do samego końca. A kiedy babka odejdzie i Anielka stanie się nową panią lasu, będzie cię nadal pamiętał. Twoja więź z tym dzieckiem nie osłabnie.

- Nie do wiary - prychnęła Jagoda. - Babka naprawdę myślała, że jeśli to ty ze mną porozmawiasz, uda ci się mnie przekonać? Kiepsko ci idzie, dziadku. Zniszczyliście mi życie, zamordowaliście męża, a teraz jeszcze chcecie ukraść córkę! Nie do wiary, że choćby przemknęło wam przez myśl, że mogę dobrowolnie zgodzić się na...

- Wstrzymaj się z osądami, dziewczyno.

Jagoda drgnęła, gdy usłyszała za plecami głos babki. Stara pojawiła się znikąd. Na ramieniu siedział jej wielki kruk, a tuż obok stała Anielka. Dziewczynka sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Co gorsza, Jagoda nie mogła opędzić się od wrażenia, że to ona wzbudzała niepokój córki.

- Nie mieliśmy żadnego udziału w tym, co spotkało twojego Andrzeja. Życie samo do tego doprowadziło, bowiem pisane ci jest, abyś wraz z Anielką była właśnie tutaj, w Swarożycach. Z nami. W jakim celu już wiesz. Nic, co zrobisz, tego nie zmieni.

- Po co więc ta cała gadka o tym, że potrzebna moja zgoda?

- To nie żadna gadka - prychnęła niecierpliwie babka. - Tak zostało ustalone i tak musi być. Matka córki, której nadszedł czas, musi się zgodzić, aby córka wypełniła przeznaczenie. Bez zgody matki się nie uda, ale jak dotąd każda matka się

zgadzała. Niektóre, podobnie jak i ty, próbowały zmienić przebieg losu. Chciały uciekać, opóźniać nieuniknione. Żadna nie zmieniła tego, czego zmienić nie sposób. Ale i te w końcu się zgadzały.

- Chcesz mi zatem powiedzieć, że moja wolna wola jest niczym innym jak kłamstwem? Że jeśli odmówię i tak oddam wam Anielkę?

Babka nie uznała za celowe odpowiedzieć. Wyciągnęła rękę w bok i objęła dziewczynkę. Anielka przytuliła się do boku starej z ufnością, jaka niemal złamała Jagodzie serce.

- Nie odebraliśmy ci niczego, dziecko - włączył się do rozmowy dziadek Kornel. - Od maleńkości oswajaliśmy cię z tym, do czego twoje życie miało doprowadzić.

- A teraz, pomimo tego, że nas zraniłaś ucieczką, nadal pozostajemy ci życzliwi. Pchnęliśmy w twoje ramiona kogoś, kto dawniej był ci bliski. Nie chcemy, żebyś czuła się z nami źle.

- Cudownie - sarknęła Jagoda, siląc się na butę, choć wiedziała, że była coraz bliżej przegranej. - Czy Michał za moment też wychynie z ciemności, żeby oznajmić, że zawsze mnie kochał, że byłam mu przeznaczona i cokolwiek bym nie zrobiła, skończę jako jego żona?

- Nie bądź niemądra - zezłościła się Jaga. - Nie da się kogoś zmusić do miłości. Michał kochał cię już wtedy, gdy dreptaliście razem do szkoły. Jeśli mnie nos nie myli, a zdarza się to rzadko, nie przestał cię kochać ani na chwilę. Przypatrywałam mu się od czasu do czasu i odkąd wyjechałaś, nosił w sobie smutek, którego nie mógł się pozbyć aż do chwili, gdy weszłam do jego sklepu i nie powiedziałam, że wróciłaś.

Nagle Jagoda poczuła, jak opuszczają ją resztki sił oraz wola walki. Miała wrażenie, że zapada się w sobie. Podniosła zmęczony wzrok na babkę, którą bodaj po raz pierwszy zobaczyła tym, czym była naprawdę. Pradawną istotą, która przez niewyobrażalnie długie życie, które wiodła, rozumiała

ludzi lepiej niż ktokolwiek, równocześnie straciwszy łączność z wieloma emocjami, jakie nimi targały.

Spojrzała na córkę, która nadal przytulała się do babki. Dziewczynka odwzajemniła spojrzenie matki, a w jej oczach można było dostrzec widmo przyszłości. Jagoda zadrżała, gdy na moment ciepłe, orzechowe oczy córeczki zalśniły zimnym, nefrytowym blaskiem. Na ułamek sekundy dziecięce oczy miały w sobie bezmiar, bezkres mądrości spojrzenia, które cierpliwie patrzyło, jak przemijały kolejne eony.

- Mamusiu, nie bój się, proszę. - Jagoda omal nie udławiła się szlochem, gdy usłyszała miękki głos córeczki. - Zobacz, ja się nie boję.

* * *

Życie w Swarozycach płynęło własnym, leniwym rytmem. Patrząc z boku na mieszkańców tej ukrytej w lesie wsi, można było odnieść wrażenie, że czas się w pewnym sensie zatrzymał. Nikt tutaj się nie spieszył, nie biegał za nieuchwytnymi mrzonkami. Ludziom żyło się prosto, dobrze. Nie umieli tego wyjaśnić, jednak nie mieli wątpliwości, że coś sprawowało nad nimi pieczę. Coś, co chroniło mieszkańców, jednocześnie broniąc wstępu obcym. Niewielu bowiem przyjezdnych trafiało w te strony, a ci, którzy kiedyś wyjechali za chlebem, rzadko trafiali z powrotem. Zupełnie jakby tajemnicza siła zazdrośnie strzegła sekretu wsi pośród Radkowej Kępy.

Przez długi czas Michał żałował, że nie powiodło mu się za granicą. Że ucieczka zakończyła się fiaskiem i zmuszony był wracać. Długo nosił w sobie poczucie porażki, aż w końcu los się do niego uśmiechnął. Do wsi wróciła Jagoda. Dziewczyna, której nigdy nie zapomniał. O której nie potrafiłby zapomnieć, nawet gdyby bardzo się postarał. Nie liczył na wiele, gdy jechał spotkać się z nią po raz pierwszy, ale życie sprawiło mu nielichą i jakże przyjemną niespodziankę.

Mieszkali ze sobą już niemal rok, a Michał nadal miewał kłopot, aby uwierzyć, że Jagoda wróciła do jego życia. Zdarzało mu się budzić w środku nocy i patrzeć na śpiącą obok kobietę, o której od nastoletwa myślał jako o miłości swego życia. Wpatrywał się w jej spokojną twarz, w miarowo unoszące się piersi i czuł się szczęśliwy, niemal bliski łez. Wysuwał wtedy nogi spod kołdry i ostrożnie, bacząc, by podłoga nie zaskrzypiała, szedł do małego pokoju, który dawno temu należał do niego. Uchylił drzwi, by spojrzeć na śpiącą w sosnowym łóżku dziewczynkę. Córeczka Jagody była radosnym, otwartym dzieckiem, które posiadało niesamowity dar dogadywania się z dorosłymi. Radziła sobie świetnie zarówno z matką, jak i babką Jagą, która potrafiła wzbudzić lęk nawet w najtwardszym mieszkańcu Swarozyc. Kiedy jednak stara znajdowała się w pobliżu Anielki, jej zwykle surowa fasada miękła.

Michał nie rozumiał, dlaczego dziewczynka spędzała w domu babki tak wiele czasu. Zawozili tam małą niemal codziennie rano i zwykle odbierali późnym wieczorem. Zdarzało się, że Anielka nocowała u babki. Michał widział, że Jagodzie nie w smak była częstotliwość, z jaką jej córka widywała się z Jagą, jednak nic nie robiła, by ukrócić czas, który spędzały razem. Tylko raz spróbował podnieść ten temat, jednak szybko dano mu do zrozumienia, żeby nie robił tego ponownie.

- Doceniam to, co robisz dla mnie i Anielki - mówiła wtedy roztrzęsiona Jagoda. - Ale nie mieszaj się do tego, co jest między nami a babką.

Michał dość szybko rozumiał, że nie była to normalna rodzina, która miała trudności z porozumiewaniem się i komunikowaniem swoich potrzeb. To, co się działo, to coś więcej. Coś, czego on jako obcy nie potrafił pojąć. Co więcej, nie pozwolono mu nawet spróbować. Wiedział jednak, że to

cena związku z Jagodą i oswoił się z tą myślą. Jeśli wszystko inne działało jak należy, mógł pogodzić się z tym, jak się sprawy miały.

W dniu, w którym umarła babka, Michał pracował na drugą zmianę w sklepie. Jagoda pomagała mu prowadzić interes, dzięki czemu mogli otworzyć wcześniej i zamknąć później, zwiększając utarg. Po zamknięciu miał podjechać do domu Jagi, skąd miał odebrać Anielkę oraz Jagodę, która tuż po pracy poszła do babki.

Zamknął drzwi do sklepu, opuścił rolety antywłamaniowe. Następnie potruchtał do samochodu, chcąc jak najszybciej schronić się przed siekącym wiatrem. Każdy podmuch niósł zapowiedź burzy, której ciche pomruki było słychać coraz lepiej. Pachniało deszczem.

Fiat pięćset ruszył spod sklepu popękaną, asfaltową drogą. Wiatr coraz gwałtowniej poruszał drzewami, co sprawiało wrażenie, jakby las płasał w rytm dzikiej muzyki.

W końcu Michał dotarł na miejsce. W chwili, gdy wyszedł z samochodu, powietrze rozdarła błyskawica, a tuż po niej przetoczył się ogłuszający huk gromu. Mężczyzna zgarbił się instynktownie, przez moment czując nabożny lęk przed żywiołem. Pospieszył w kierunku domu, po kilku krokach przystanął jednak. Na stopniach przed chatą siedział nieznany mu starszy mężczyzna. Zdawał się zupełnie pogrążony w myślach, bowiem nie zwrócił najmniejszej uwagi na Michała.

- Dzień dobry - zawołał sklepikarz, podchodząc bliżej.

Staruszek uniósł spojrzanie orzechowych oczu, uśmiechnął się blade.

- Czekają w środku. - Machnął ręką w odpowiednim kierunku. - Mnie to za każdym razem przychodzi z trudem. Jakby nie było, to wielka zmiana i nie jest łatwo. Nawet jeśli się to przeżyło już tyle razy. Idź do środka, czekają na ciebie. Ja tu trochę posiedzę.

Michał, nie znajdując odpowiednich słów, przeszedł obok mężczyzny i wszedł do chaty. W kuchni zastał scenę, której nie spodziewał się zobaczyć. Na postawionej pod ścianą leżance spoczywało ciało babki okryte czystym prześcieradłem. Tuż obok na krzesłach siedziały Jagoda oraz Anielka. Trzecie krzesło, na którym wcześniej siedział nieznany Michałowi mężczyzna, było puste. Jagoda szlochała rozdzierająco, a dziewczynka gładziła ją po plecach, szepcząc coś równie uspokajająco, co niezrozumiale. Najwyraźniej usłyszała Michała, bowiem odwróciła się na moment i zmierzyła go spojrzeniem, pod wpływem którego mężczyzna poczuł, jak po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Wypłacz się, kochana. - Michał usłyszał głos Anieli. - Wypłacz za nas obie.

* Trauer (niem.)- smutek, żałoba, żałość

Co w stawach posnęło

Czasy nastały takie, że szlachta straciła na znaczeniu politycznym i już mało kto pamiętał, że onegdaj wolno jej było wetować głos samego króla. Większość rodów, które dawniej znaczyły wcale niemało, dziś już tylko tytuł, herb i pamięć dawnych dni posiadały. Ciężko, a nawet niegodziwie oceniać wszystkich jedną miarą, niemniej jednak wielu szlachciców zapracowało na upadek oraz nędzę, nie chcąc podjąć się żadnego zajęcia, gardząc wnet tymi, którym zmysł przedsiębiorczy nie pozwalał beczynnim gnuśnić, popijając węgryzna i zakąszając rosyjskim kawiozem.

Jednym z owych pracowitych rodów, który od pokoleń zajmował się pomnażaniem majątku byli Zawisze ze Swarżyc. Wieść głosiła, że pochodzili po kądzieli od samego Zawiszy Czarnego, najwspanialszego rycerza, jakiego ziemia europejska nosiła. Na plotce jednak roszczenia do chwalebne go pochodzenia się nie kończyły, bowiem w żelaznym skarbcu, zamknięty na dwa klucze otwierające potężne sztaby, spoczywał dokument, który potwierdzał zarówno pokrewieństwo z kwiatem rycerstwa polskiego, jak i prawo do posługiwania się herbem Sulima.

Zawisze majątku dorobili się w XVII wieku, podczas wielkiej wojny Polski z Rosją, kiedy to wybitny przodek, Ksawery Iwo

Zawisza rzekomo wojował i łupił wraz z lisowczykami. Wszelkie dokumenty na temat przeszłości praszczura rodu, który zabezpieczył finansowo swoje dzieci, w tajemniczych okolicznościach przepadły. Formacja lisowczyków jednak nie cieszyła się dobrą sławą. Odwagi i buty nie sposób im było odmówić, ale o łupieżczych zapędach jazdy oraz papieskiej klątwie, jaka nad nimi ciążyła, krążyły takie legendy, że skóra na człowieku cierpiała, gdy ich późnym wieczorem słuchał. Tak też wiadomo o Ksawerego przeszłości jedynie, że wojował z Rosjanami, a z wyprawy przywiózł dóbr tyle, że niejednego władcy mógłby pozazdrościć i już nigdy potem na żadną ruchawkę się nie udał.

Wzbogacił ziemię, która z nadania jego była, dokupił okolicznych pól, a także połączył lasy i założył folwark, na którym zatrudnił okolicznych chłopów. Różnił się tym folwark Zawiszy od innych, że jaśniepan płacił za pracę, nie traktując robotników jak inwentarza, którego obowiązkiem było zginać kark na nie swojej ziemi. Nieszablonowe podejście do pańszczyzny zaskarbiło sobie sympatię chłopstwa, które wnet puściło w niepamięć dyskusyjną przeszłość możnowładcy. Panowie szlachta jednak, którzy od czasu do czasu pojawiali się w dworcu, szydzili zarówno z nowego zajęcia Ksawerego, jak i jego dobrodusznego podejścia do wieśniaków. Powszechnie wiadomym było, że wsie kupowało się wraz z mieszkańcami i można z nimi robić, co się żywnie podobało. Ksawery jednak nie dał się zniechęcić szyderstwami, odczuwał bowiem dumę z powodu pracy, jaką wykonywał. Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że budował coś własnymi rękami, że nie zostało mu to po prostu dane, jak wszystko inne.

Nieortodoksyjne podejście do tytułu sprawiło, że z biegiem lat przyjaźnie z ludźmi z elit stopniowo kruszały, aż nie pozostał nikt z dawnych lat. Wizyty panów i pań stawały się coraz rzadsze, rozmowy coraz chłodniejsze, aż w końcu ustały

całkowicie. Folwark natomiast kwitł, aż miło było popatrzeć. Wpierw samo zboże po polach siano i do młynów sprzedawano, wkrótce jednak Ksawery nakazał wydzielić osobne poletko i obsiać konopią, którą następnie handlował z manufakturą na płótna i tkaniny. Zainwestował w żywiec, wybudował obory i stajnie. Po obejściu odtąd kręciły się krowy, owce i ptactwo hodowlane. Odgrodziwszy część lasu silnym płotem, wpuścił tam dzikie świnie, pokryte ciemną szczeciną, za mięso których mógł liczyć dwakroć więcej niż za normalne z hodowli.

Ostatnim przedsięwzięciem, jakie udało się Ksaweremu ukończyć, nim zmarł, była budowa wspaniałej, wzorowanej na angielskich stajni dla koni. Kochał te zwierzęta najbardziej ze wszystkich, twierdząc, że to dzięki nim wszystkiego się dorobił. Wszak na wojnie służył w pułku lekkiej jazdy. Umarł zatem w słusznym wieku, szczęśliwy i spełniony, zostawiwszy wszystko jednemu synowi, Mikołajowi, którego od młodości przysposabiał do ciężkiej pracy zarządcy. Chłopak okazał się pojętym uczniem, skorym do nauki i chętnym do pracy. Prawdziwie, niedaleko padło jabłko od jabłoni w tym przypadku.

Mikołaj, który nigdy nie zasypiał gruszek w popiele, po śmierci ojca zabrał się do wytężonej pracy, chcąc jeszcze bardziej rozbudować folwark, unowocześnić, co się dało. Nie zapomniał też nauk ojcowskich, by robotników dobrze traktować, o wypłatach nie zapomnieć i co drugą wolną sobotę zapewnić. Ksawery wierzył bowiem i wiarę tę udało się w synu zaszczepić, że ze szczęśliwego pracownika, który szanował pracodawcę i za dobrodzieja go uważał, znacznie więcej pożytku było niż z zastraszonego chłopca pracującego z obowiązku i ze strachu przed batogiem.

Życie w folwarku było dobre, ludziom się wiodło, jednak w kraju zaczynało dziać się niedobrze. Szeptano po kątach, że królów takich jak dawniej to ze świecą szukać. Mówiono

półgębkiem, że potęga Rzeczypospolitej już raczej w pamięci powszechnej jeno panowała, a i tam nawet pomału zaczynała się zacierać. Niepokoje w państwie odcisnęły swe piętno na zawiszowym folwarku, nie niszcząc go jednak, a w pewien sposób nawet umacniając. Mikołaj bowiem, wyuczony przez ojca, umiał planować i dostosowywać do sytuacji, wyciągając z niej to, co najlepsze. Podobnie jak Ksawery i on przysposabiał swoich dwóch synów do objęcia w posiadanie wszelkich dóbr. Uczył ich wszystkiego od zwykłej ciesiołki, przez hodowlę i uprawę, aż po rachunkowość oraz sztukę negocjowania. Chłopcy byli pojętni i skorzy do nauki, co zdawało się płynąć we krwi Zawiszów.

Wreszcie i Mikołaja pochowano w rodzinnej krypcie, a folwark przeszedł pod współwłasność Filipa i Jakuba. Braci dzieliły ledwie dwa lata, a podobni byli do siebie niby w jednej chwili na świat przyszli. Obaj czarni i kędzierzawi, po ojcu i dziadku silnie zbudowani, choć wzrostu lichego. Nosili długie, opadające aż do brody wąsy na dawną modę i ubierali się raczej skromnie i praktycznie, niżli po szlachecku. Obaj też wieszczyli rozbiory Polski na kilka lat przed tym, nim owo straszliwe i haniebne wydarzenie miało miejsce. Zabezpieczyli dziedzictwo tak dobrze jak mogli, by uchronić, co się dało przed chciwymi łapami obcych mocarstw. Szlachta, do której ze wstydem przynależeli, wbiła ostatni gwóźdź do trumny, nie chcąc zrzec się przestarzałych przywilejów, następnie po spisku w targowicy ostatecznie wydając Polskę w łapy rosyjskiej carycy.

Wnet po rozbiorach król Prus Fryderyk zaanektował sporą część Śląska, w tym i włości braci Zawiszów. Ziemianie przygotowani na taki rozwój wypadków, odnaleźli się w nowej rzeczywistości i dzięki zgrabnej dyplomacji nie dopuścili do utraty ojcowizny. Wiele w tamtych latach dóbr należących do Polaków czy Ślązaków przeszło na własność korony zaborczej.

Fakt, że Zawisze nadal panowali w Swaróżycach, sprawił, że niejeden, mniej fortunny umyślił, że bracia knowaniem się zajmowali i szpiegostwem. Jakże to bowiem być mogło, że ich dziedzina nieruszona pozostała, podczas gdy tylu innych straciło majątki?

Wrogie nastroje, wzajemne obwinianie się o niepowodzenia i donosicielstwo zapanowały na ziemiach rozebranych. Nastąpiły długie lata niezgody pośród ludu będącego niegdyś braćmi. Zawierucha nie obeszała się łaskawie i z rodem Zawiszów. Starszy z braci, Filip, zginął, pchnięty nożem na pokazie koni zorganizowanym we folwarku. Sprawcą okazał się być Juliusz Kuźniacki, szlachcic, któremu Prusacy odebrali wszystko, dawny partner w interesach Zawiszów. Zabił z zazdrości, która doprowadziła go na skraj pomieszczenia zmysłów.

Jakub nie podźwignął się z rozpacz po stracie brata, jednocześnie zaniedbując wychowanie dziedzica. Wiedza i umiejętności Zawiszów z pokolenia na pokolenie ulegały rozcieńczeniu, co w efekcie doprowadziło do stopniowego podupadania folwarku.

W połowie XIX wieku Swaróżycami władał Jan Apoloniusz Zawisza, człowiek słusznego wzrostu, o wysokim marsowym czole i żelaznej woli. Po wybitnych przodkach odziedziczył zapał do interesów i chęć rozwoju, jednak gdzieś po drodze utracił dobroduszość, którą wyparła oziębłość i bezwzględność. Czasem zdarzało się Janowi zadumać nad swoją naturą, zrzucał ją jednak na karb wymagających czasów, w jakich przyszło mu żyć.

Wielką, być może największą porażką życiową Jana, był syn, Dionizy. Chłopak pełnymi garściami czerpał z dorobku rodzica, samemu marnując czas po karczmach, gdzie grywał na bałałajce i deklamował autorską poezję. Za nic miał ojcowskie nauki i próby przysposobienia zawodowego. Jan chwycił się najróżniejszych sposobów, by wyprowadzić pierworodnego na

ludzi, jednak nic nieskutkowało. Aż wreszcie wpadł na genialny pomysł, dzięki któremu nie tylko miał utrzyć nosa rozpuszczonemu jak dziadowski bicz dziedzicowi, ale także poszerzyć majątek.

* * *

- Nieba błękit niczem sycylijskie odmęty spokojny, tajemniczy antycznym majestatem. Skrywać zdaje w sobie monstra Odysa - deklamował z uczuciem młodzieniec o ufryzowanych włosach, falami opadającymi na ramiona. - Kłęby chmurzaste na podobieństwo... na obraz... psiakrew!

Cisnął z frustracją pióro o przenośny pulpit do pisania, rozłożony pod ukwieconą jabłonią. Wena nie nadchodziła, chociaż przepiękna pogoda oraz okoliczności przyrody wybitnie sprzyjały tworzeniu. Drzewa w sadzie wydzielają zniwalający zapach, pszczoły uwijały się pracowicie przy zbieraniu nektaru, słońce przyjemnie grzało. Z pobliskich pól dolatywały odgłosy pracy i gwar rozmów chłopów. Dionizy zupełnie nie znał się na rolnictwie, toteż nie potrafił określić czy robotnicy zajmowali się siewem, zbiorem czy żęciem.

Ojciec tyran wymagał przyswojenia nic nie znaczącej wiedzy w sprawach równie trywialnych jak księgowość. Tymczasem Dionizy aspirował do miana wieszcz naradowego, poety i trubadura, który sztuką wypracuje sobie nieśmiertelność w pamięci maluczkich. Cierpiał męki straszliwe w więzieniu, w jakim przyszło mu żyć. Wszędzie wokół wsie i lasy, do Krakowa należało tłuc się konno niemal trzy dni, a i tak było to najbliższe miasto na poziomie w okolicy. Jakim cudem równie obiecujący, młody artysta miał rozwijać talent, kiedy nie sposób było obracać się w inspirującym, światłym towarzystwie?

Zniechęcony blokadą twórczą postanowił pospacerować po groblach leśnych stawów. Zbiorniki owe utworzył jeden z przodków Dionizego, by móc hodować karpie, na które popyt,

zwłaszcza w okresie świątecznym, nie malał. Stawy znajdowały się o kilka minut piechotą od folwarku. Należało wejść do lasu, zwanego Radkową Kępą, i specjalnie poszerzoną dla wozów dostawczych ścieżką przejść niespełna kilometr.

Pośród prastarych buków poprzetykanych świerkami i okazjonalną brzozą mieściły się trzy, okolone szerokimi groblami sadzawki. Tafle każdej pokrywały nenufary, przy brzegach szumiały kępy trzciny i tataraku. Niezmałowane lustro wody pręży majestatyczne łabędzie do spółki z uciesznymi kaczkami.

Dionizy przycupnął na brzegu najbliższego stawu, chłonąc sielankową atmosferę okolicy. Jakkolwiek nie przepadał za Swarożycami, przyroda i jej pierwotne piękno otaczające włości napawały chłopaka uniesieniem, dostarczając inspiracji. Wolałby co prawda na codzień przesiadywać w artystycznej kawiarni, popijając turecką kawę i palić angielskie papierosy, od czasu do czasu zażywając wakacji na wsi.

Siedząc nad wodą, usiłował wymyślić dalszy ciąg epickiego poematu o perle na Morzu Śródziemnym, który zaczął przed kilkoma dniami pisać. Wróciwszy z Sycylii, nie potrafił przestać myśleć o tej niebywałej wyspie. Wszystko tam było inne niż na Śląsku. Wspaniała pogoda, piękne krajobrazy, jakkolwiek nieco wyblakłe na słońcu, i wyśmienite potrawy. Do tego wino smakowało cudownie orzeźwiająco, a kobiety zdawały się nie mieć za grosz wstydu i pruderyjności. Zaiste, rozmyślał Dionizy, wspominając szerokie uda smagłych Sycylijek, kiedy folwark przejdzie na moją własność, sprzedam go i wyjadę do ciepłych krajów.

Wtem zdało mu się, że kątem oka złowił ruch na wodzie. Kiedy jednak spojrział w tamtym kierunku, zobaczył jedynie rozchodzące się kręgi na powierzchni oraz kilka kaczek zanurzających dzioby w ciemnych odmętach w poszukiwaniu pożywienia. Nie poświęcił przywidzeniu więcej uwagi, ktoś

bowiem zawołał jego imię. Uniósłszy oczy, dostrzegł idącego żwawym krokiem osobistego asystenta ojca, Jindricha Tyla. Propagator czeskiego odrodzenia narodowego przebierał krótkimi, koślawymi nogami, opięty wykrochmaloną koszulą brzuch podrygiwał w rytm kroków, a znad kołnierzyka wylewało się kilka podbródków.

- Chłopcze, twój ojciec prosi na słowo - wydyszał Jindrich, ocierając spocone czoło haftowaną chustką. - Proszę za mną.

- Jestem obecnie preokupowany głęboką kontemplacją - odparł bezczelnie Dionizy, który nie znosił ojcowskiego pomagiera, uważając go za nadętego półgłówka, tłustą świnię i karierowicza najgorszego sortu.

- Niewątpliwie, jednak pan Jan nalegał, abyś stawił się u niego w gabinecie niezwłocznie. Zalecił, bym dopilnował, byś udał się...

- Tak, tak. - Machnął ręką zniecierpliwiony chłopak.

Wstał, otrzepując spodnie z trawy, rzucił ostatni raz okiem na staw i ruszył wraz z kołyszącym się na boki Czechem z powrotem w kierunku folwarku.

- Pozwolę sobie na śmiałość - podjął po chwili milczenia Jindrich. - Zaprawdę, nie rozumiem, dlaczego tak oschle traktujesz ojca. Pan Jan to wybitny człowiek, któremu należy się cześć i chwała. Dzięki niemu nie głodujesz, żyjesz w dostatku i możesz oddawać się pasjom, które, jeśli o mnie chodzi, uważam za dziecinadę. W zamian twój wspaniały rodzic oczekuje jedynie krzty zaangażowania w rodzinny interes. Czy to naprawdę tak wiele?

- Sprawy tej rodziny nie dotyczą twojej osoby w najmniejszym nawet stopniu - odparł lodowatym tonem Dionizy. - Jesteś sekretarzem ojca, nie moją matką. Bacz zatem, byś zajmował się tym za co rodzina Zawiszów ci płaci.

- Naturalnie. Wybacz niedyskretne pytanie - pokajał się cokolwiek nieszczercze Jindrich.

Resztę drogi mężczyźni przebyli w milczeniu. Dionizy liczył na to, że pan Tyl jedynie odprowadzi go do folwarku, by upewnić się, że chłopak nie zbłąka się, chcąc uniknąć spotkania z ojcem. Zanosiło się jednak na to, że sekretarz zamierzał zaprowadzić młodzieńca pod same drzwi gabinetu Jana Apoloniusza.

Ojciec siedział za orzechowym biurkiem i przeglądał spory folder z dokumentami. Gabinet wyłożono sosnową boazerią, większość ścian zajmowały regały z książkami. Za biurkiem, oświetlając miejsce pracy, wprawiono spore okno wychodzące na las. Jan podniósł wzrok znad papierów, wskazał przybyłym, by usiedli. Nie czekając na reakcję, wrócił do pracy. Podobne, drobne manifestacje władzy doprowadzały Dionizego do szału.

- Wasza ekscelencja wzywał na audiencję, zatem sługa uniżony przybył - sarknął chłopak, czując, jak sekretarz napina się na krześle obok.

- Nie błaznuj - uciął ojciec, przewracając stronę dokumentu, którym był pochłonięty. - Nie spodziewałem się, że zaszczycisz mnie równie szybko. Potrzebuję chwili na przestudiowanie tej umowy.

Wreszcie Zawisza senior złożył plik kartek, wsunął do folderu, który następnie schował do górnej szuflady biurka. Rozparł się wygodnie w obitym skórą fotelu, wlepił w syna spojrzenie bladych, niemal szarych oczu.

- Nie jest to dla ciebie ani tajemnicą, ani zaskoczeniem, że nie darzę cię zbytym poważaniem. Uważam, że marnujesz potencjał zarówno swój, jak i nazwiska, które nosisz, próżniacząc po wątpliwej renomy przybytkach. Marzenia, jakie snujesz, wyobrażając sobie, że będziesz drugim Mickiewiczem, zdają mi się mrzonkami bez pokrycia. Znam bowiem wybiórczo to, co uważasz za swą twórczość artystyczną, i nie widzę w tym za grosz wartości ani talentu.

Dionizy, dotknięty do żywego słowami krytyki, sposobił się do kontrataku, poniechał jednak, gdy ojciec dał do zrozumienia, że jeszcze nie skończył.

- Wystarczająco długo tolerowałem twoje zachowanie. Pasożytujesz na tej rodzinie, zbijasz bąki, nic nie dając w zamian poza wzgardą. To moja wina, nie boję się do tego przyznać. Rozpuściłem cię, dając przyzwolenie, byś zajmował się krotochwilami miast tym, co jest ci przeznaczone jako memu spadkobiercy. To jednak zmieni się od dziś. Dość spijania śmietanki bez wkładu własnego. Dość żerowania na krwawicy. Nałożę na ciebie obowiązki, z których będziesz musiał się wywiązać, inaczej wydziedziczę cię i odbiorę wszelkie prawa do majątku.

- Ojczy!

- Rzekłem! - Jan po raz pierwszy wyraźnie uniósł się emocjami. - Jeśli chcesz zajmować się poezją, śmiało, ale rób to w chwilach wolnych od pracy. Dostyc mam utrzymywania darmozjada i zamartwiania się o przyszłość dorobku tylu pokoleń tej zacnej rodziny. Pan Tyl wprowadzi cię w szczegóły dotyczące twoich nowych obowiązków. Ja z kolei oczekuję, że do końca lipca rozpoczniesz pracę. Uważam, że miesiąc nauki to uczciwa propozycja. Jesteś wolny - zakończył, wskazując synowi drzwi.

Chłopak zerwał się z miejsca, mając zamiar trzasnąć nimi i pognać do karczmy, gdy Jan teatralnym gestem dał znać, że była jeszcze jedna sprawa, którą chciałby poruszyć.

- Niemal zapomniałem. W środę przyjeżdża w odwiedziny mój serdeczny przyjaciel, Johan von Gorlitz. Wraz z nim przybędzie jego najstarsza córka, urocza Eva. Żywię nadzieję, że przypadniecie sobie do gustu, bowiem wraz z jej ojcem zaplanowaliśmy już wasze zaręczyny.

- Jak śmiesz? - Dionizy nieomal zachłysnął się z oburzenia. - To moje życie! Moje życie, nie twój interes. Nie masz prawa

mną kupczyk.

- I tu się mylisz. Mam prawo zrobić z tobą, co mi się żywnie spodoba. Twoje życie, nie rozśmieszaj mnie. Co takiego uczyniłeś z tym życiem, prócz marnotrawienia moich pieniędzy?

- Nie masz prawa zmuszać mnie do pokochania obcej osoby.

- Już powiedziałem, co myślę na temat moich praw. A co do miłości, to twoja matka z nieznanych mi powodów w nią wierzyła. Ja wierzę w interesy i wzajemne zależności. Jeśliś przeciwny moim postanowieniom, nie będę cię zatrzymywał. Jedź do ukochanego Krakowa i twórz eposy, mieszkając w bramach kamienic i zażywając kąpieli w rysztołkach. Droga wolna.

* * *

Nadszedł wieczór, a wraz z nim zdecydowane ochłodzenie. Rzadka mgła wysączyła się z lasu na folwarczne pola, porośnięte wzrastającym zbożem i konopią. Robotnicy wrócili do chat, gdzie spożywali wieczerzę złożoną z omaszczonej kaszy i ciemnego chleba.

Dionizy, który po konfrontacji z ojcem splądrował piwnicę z alkoholem, człapał chwiejnie w kierunku stawów w lesie. W ręce ścisnął ledwie napoczętą butelkę tokaja. Nie była to jednak pierwsza tego wieczoru.

Opadł ciężko na brzegu stawu, zębami wyjął korek z szyjki, splunął nim w trawę. Wznosząc niemy toast do nikogo i niczego szczególnego, wypił niemal połowę wina za jednym zamachem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec był dla niego tak surowy. Czy dawało mu perwersyjną satysfakcję tłamszenie marzeń? Co za rodzic czerpie przyjemność z wpędzania dziecka w kompleksy i poczucie nijakości?

- Przeklinam cię, zgorzkniały starcze! - wyrzucił z siebie, nieco sepleniąc słowa. - Bodajbyś zgnił wraz ze swym

majątkiem, tłamsicielu. Odbierasz mi marzenia, boś sam nigdy własnych usnuć się nie poważył. Żałuję, żem w tej rodzinie bogatego chłopstwa i biedoty umysłowej na świat przyszedł. Po najgorszej córce Zawiszy chyba odziedziczyli szlachećne nazwisko.

Pociągnął kolejny, choć zdecydowanie mniejszy łyk węgierskiego wina. Patrzył, jak ostatnie promienie słońca igrają na niezmaćonej powierzchni trzech stawów. Wodne ptactwo zaszyło się w legowiskach uwitych w szuwarach, toteż nic nie psuło doskonale lustrzanej tafli. Wtem chłopakowi przywidziało się, że w centrum środkowego stawu wynurzyła się na moment głowa. Tak szybko jak się pojawiła, tak szybko znikła w mrocznej toni.

Dionizy, pomimo ogromu wypitego wina, zerwał się na równe nogi. Będąc artystą, a więc człowiekiem o bujnej wyobraźni, od razu jął imaginować topielce i inne rusałki wodne, zamieszkujące mulisty staw, miał przypisać omam wzrokowy wydrze czy też innemu stworzeniu wodnemu, który przy nikłym świetle i wśród oparów węgryzna łatwo było pomylić z mityczną istotą.

Pełen niepokoju okręcił się na pięcie i równie prędko, co chwiejnie pospieszył ku oświetlonemu latarniami oliwnymi folwarkowi. Na ganku, przed głównym wejściem natknął się na Jindrycha Tyla, który palił końcówkę cygara i sącył rum z pękatej lampki.

- Widzę, że miał panicz udany wieczór - zakpił Czech, wskazując na butelkę wina, dyndającą w zwiotczalej ręce Dionizego. - Przejęły cię słowa ojca? Lękasz się o dostatek?

Chłopak, zbyt pijany, by wdawać się w błyskotliwe utarczki słowne z majordomusem o wybujałych ambicjach, przepchnął się do wejścia i ruszył po wyłożonych dywanem schodach na piętro. Marzył jedynie, by napić się zimnej wody i położyć spać. Jutro miał podumać nad ciętą ripostą względem Jindrycha,

pomysłem ojca, by uzależnić od siebie syna, a także czy głowa, którą widział w stawie, rzeczywiście należała do dziewczyny, tak jak mu się zdawało.

* * *

O poranku rozległo się donośne pukanie do drzwi sypialni Dionizego. Chłopak w akompaniamencie dudnienia w czaszce zwłóknął się z łóżka i powiódnął po zabałaganionym wnętrzu wzrokiem w poszukiwaniu czegoś do picia. Nie dostrzegł jednak niczego, prócz resztki wina z wczoraj. Przez moment rozważał, czy nie ugasić pragnienia węgrzynem, zrejterował jednak, gdy przeszedł go dreszcz odrazy.

Otworzył drzwi, za którymi stał Jindrich Tyl, jak zwykle nienagannie ubrany w czyste spodnie, odprasowaną koszulę i piękną kamizelkę ze srebrnymi guzikami. Sekretarz z radością skonstatował, że panicz przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz, a z pokoju dolatywał bynajmniej subtelny odór libacji.

- Dzień dobry, wasza świeżość. Słonko zaraz wstanie, a więc czas nam zaczynać nauki.

- Nauki? - Dionizy, pomimo iż trzymał się kurczowo framugi, ledwie stał w pionie.

- Przyuczenie zawodowe, o jakim wczoraj rozmawiałeś z ojcem, zaczyna się dziś, mój kochany. Wszak nie wybyłeś z domu, unosząc się gniewem i ambicją, o co cię z resztą nie podejrzewałem. Tak tedy pomyślałem, że skoro raczyłeś zostać, niechybnie oznacza to, żeś na ojcowskie dyktando przystał. A za tym z kolei idzie nauka, którą rozpoczynamy dzisiaj. Och, nie mogę się już doczekać, by pokazać ci, co takiego pan Jan dla ciebie zgotował.

Dionizy wpatrywał się w szczebioczącego radośnie sekretarza, zastanawiając się, czy jeśliby zwymiotował mu na stopy, poczułby się lepiej zarówno na ciele, jak i umyśle. Czy rzeczywiście miał zamiar nagiąć się do ojcowskiej woli i zostać

ziemianinem? Mógł przynajmniej spróbować, chociażby ze względu na chwilowy mir, jaki tym zagranem pewnie by zaskarbił. Niemniej jednak uważał, że zmuszanie go do pracy w obecnym stanie stanowiło nad wyraz jawny akt agresji i okrucieństwa.

- Przełożmy nauki na jutro - wychrypiał, zezując na stojącego w progu Jindricha.

- Och, z żalem muszę poinformować, że ojciec twój przykazał, bym rzekł tymi słowami, gdybyś postanowił się migać od obowiązków. Masz się natychmiast spakować i opuścić folwark. Przysługuje ci prawo do jednego konia ze stajni, abyś nie zdechł za pierwszym zakrętem. Bądź co bądź synem moim jesteś i krzywda twoja w żaden sposób miłą mi nie będzie. - Po chwili Czech podjął przemowę: - Twój ojciec musi cię naprawdę kochać, skoro przez tyle lat tolerował twoje próżniactwo, a teraz w obliczu rychłego poniechania obowiązków jest w stanie zaoferować ci konia. Nie oszukujmy się bowiem, że naprawdę obejmiesz w posiadanie folwark.

- Mam nadzieję, że skończyłeś, obmierzły husyto. Na rzyganie mnie zbiera od słuchania i patrzenia na ciebie. Że też mój ojciec się na tobie nie poznał. Tacy jak ty mordują zdradziecko cesarów. Oszczędź mi, proszę, dalszych wykładów z etyki. Ubiorę się i dołączę do ciebie w kuchni.

Zamknął drzwi przed nosem uśmiechniętego jak bazyliśzek Jindricha i poczłapał do kufra z bielizną.

* * *

Po śniadaniu, na które składały się kromki jasnego chleba posmarowane gęstą śmietaną i miodem oraz jajka na miękko, nauczyciel wraz z opornym studentem wyszli przed folwark. Ruszyli w stronę zagospodarowanej części Radkowej Kępy, jednak Jindrich nie chciał zdradzić, co takiego przygotował dla

Dionizego ojciec. Obiecywał jednak, że niespodzianka warta była kilku chwil niecierpliwości.

Dionizy z kolei domyślił się celu wędrówki znacznie wcześniej. Wszak wychował się na terenie folwarku, żaden zakątek nie miał przed nim tajemnic. Zrozumiał wobec tego, że Czech prowadził go ku zagrodzie leśnej, w jakiej hodowano świnie.

- A zatem ojciec wydumał dla mnie los świniopasa - wymamrotał pod nosem.

- W zasadzie to razem z twoim ojcem uznaliśmy za stosowne przekazać ci pieczę nad prosiętami. Jesteśmy pewni, że znakomicie odnajdziesz się w ich towarzystwie.

Sekretarz, nie tracąc złośliwego rezonu, przystąpił do szkolenia. Objasniał podstawy zarządzania farmą dzikich świń na wolnym wybiegu i choć Dionizy nie chciał tego przyznać, tłumaczył przedsiębiorczość w sposób niezwykle przejrzysty. Mało tego, w pewnej chwili chłopak przyłapał się na tym, że słuchał z zainteresowaniem, choć w żaden sposób nie wpłynęło to na jego sympatię względem Czecha.

* * *

Dzień nauki wreszcie dobiegł końca i Dionizy mógł uwolnić się od niechcianego towarzystwa. Jindrich pogratulował chłopakowi nadspodziewanej pojętności, po czym udał się zdać Janowi relację z przebiegu pierwszej lekcji. Tymczasem Dionizy, który pomimo zbliżającej się pory kolacji nie czuł głodu, ruszył na spacer brzegiem świńskiej zagrody.

Zarówno dzień, jak i same świnie, które miały wszakże stanowić obelgę, okazały się znośne. Zwierzęta, dziki bodaj już tylko z nazwy, łąsiły się jak psy, chrupkały uciesznie na widok byle obierka z buraka. Prosiątka, pokryte ciemnym meszkiem, stanowiącym zapowiedź przyszłej szczeciny dokazywały jak kocięta. Zaś doniosłe i potężnie zbudowane dorosłe sprawowały

pieczę nad dziatwą niby stateczne, choć nieco nieforemne piastunki. Przy czym wszystkie, niezależnie od wieku i rozmiaru, nieustannie ryły ziemię w poszukiwaniu korzonków, grzybów i innych smakołyków.

Maszerując przez las rozmyślał o przyszłości, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że ta rzeczywiście spoczywała w jego rękach. Mógł postawić wszystko na jedną kartę, wyrzec się potężnego spadku i wyruszyć w świat. Podobała mu się wizja samego siebie jako ubogiego, wędrownego skalda, który ledwie wiążąc koniec z końcem, tworzył niesamowitą poezję. Wyobrażał sobie, że wieczorami przesiadywał w zadymionych kawiarniach czy palarniach opium, gdzie w otoczeniu podobnych wyrzutków dysputował o sztuce, znaczeniu życia i antycznych filozofiach. W pewnym jednak momencie do jego marzeń wkradło się ziarno bolesnej rzeczywistości posiane przez ojca. Bodaj pierwszy raz dopuścił do siebie możliwość, że nigdy nie zaistnieje jako poeta. Zmarnuje życie w pogoni za mrzonką, by umrzeć na kiłę. Młody i opuszczony, konając w łóżku, które przysłoby mu dzielić ze stadem wszy.

Z drugiej zaś strony propozycja ojca gwarantowała stabilne, dostatnie życie, do jakiego przywykł. Życie, w którym prawdopodobnie nie byłoby miejsca ani czasu na tworzenie. Z pewnością nie na poziomie, jaki mógłby umożliwić wybicie się w świecie artystów. Niemniej, nic nie stało na przeszkodzie, by nadal pisać poezję, grać na instrumentach. Bowiem czy proces nie stanowił już sztuki samej w sobie? Iluż znakomitych pisarzy przebrnęło przez życie nie zaznawszy sławy, by po śmierci zaistnieć w świadomości ogółu? Czy ludzie ci nie byli artystami tylko dlatego, że nie dostąpili glorii za życia? Być może taki właśnie los był Dionizemu przeznaczony.

Zatopiwszy się w rozmyślaniach, nie zwracał większej uwagi na to, dokąd zmierzał do momentu, gdy znalazł się nad stawami hodowlanymi. Przystanął, pomny wczorajszego przywidzenia,

zlustrował taflę środkowego zbiornika. Dostrzegł tu i ówdzie kółka rozchodzące się po wodzie, były to jednak tylko karpie, który wynurzały pyszczki, by zaczerpnąć powietrza. Chłopak uśmiechnął się pod nosem, rozbawiony możliwością, że wśród tłustych ryb mieszkała rusałka. Wydała mu się niedorzecznie wręcz przezabawną myśl o tym, że stworzenie należące do zapomnianego świata pogańskiego zabobonu, zamieszkuje oczko wodne wykopane przed niespełna dwustu laty.

Przycupnął w wysokiej trawie porastającej groblę, śledząc pomarańczowe promienie zachodzącego słońca tańczące pomiędzy drzewami. Zdziwił się dojrzałości swych rozważań, kiedy to doszedł do wniosku, że los włościanina mającego w posiadaniu równie piękną dziedzinę mógł okazać się wcale satysfakcjonujący. Mógł przecież organizować w folwarku wystawy sztuki, wieczorki poezji, obiady czwartkowe. Nawet jeśli samemu miał nigdy nie zostać artystą utrzymującym się ze sztuki, mógł być mecenasem, opiekującym się młodymi, obiecującymi talentami.

Niestety, nowo nabyty spokój ducha oraz entuzjizm względem przyszłości mąciła świadomość, że już za kilka dni miał poznać przyszłą żonę. Tak bowiem, jak potrafił oswoić się z myślą o objęciu w posiadanie folwarku, tak za nic nie umiał przejść obojętnie wobec faktu, że ojciec postanowił dobić targu przez aranżowane małżeństwo. W dodatku ze śląskimi Niemcami. Dionizy nie był skory do dawania wiary stereotypom, jednak z doświadczenia wiedział, że te dotyczące pruskich niewiast nie wzięły się znikąd.

Z zamyślenia wyrwał go jazgot, który podniosły pływające po stawie kaczki. Zwierzęta, niezgrabnie młócąc skrzydłami, poderwały się do lotu, krzycząc zawzięcie. Dionizy, mrużąc oczy przed słońcem, wpatrywał się w miejsce, z którego ptaki uciekły w popłochu. Zdało mu się, że tuż pod powierzchnią wody dostrzegł sporych rozmiarów kształt. Zbyt duży jak na

karpia, a o ile wiedział, nie hodowali sumów. Nachylił się nieco ku tafli, by móc lepiej przyjrzeć temu, co sunęło tuż pod powierzchnią. Dostrzegł obrys nagich pośladków, sprawnie poruszających się ramion, a także wachlarz włosów, które w pierwszej chwili wziął za wodorosty.

Wydawszy zduszony okrzyk, rzucił się w tył, chcąc uciekać, było jednak za późno. Z płycizny przy brzegu, tryskając wodą na wszystkie strony, wynurzyła się gwałtownie kobieta. Drobna, choć nad podziw silną ręką schwyciła Dionizego za kostkę, pociągnęła ku sobie, tak że chłopak upadł na plecy, poszorował po wilgotnej trawie.

- Nie zabijaj mnie! - wydusił przez ściśnięte gardło, patrząc w rozciągnięte w przerażającym uśmiechu usta topielicy. - Jestem zbyt młody, by tonąć. Błagam!

Rusałka zamarła na moment, uśmiech nieco przygasł. Przekrzywiła głowę na lewe ramię, nie zwalniając jednak uchwytu. Pomimo przestachu Dionizy nie mógł nie zauważyć, że stworzenie było urodziwe i solidnie zbudowane. W baśniach zawsze opisywano je jako zwiewne, szczupłe dziewczyny, ta jednak budową przypominała zgrabne chłopki, jakie widywał pracujące w polach. Nie mógł również opędzić się od niejasnego wrażenia, że gdzieś już widział tę twarz o wielkich, zielonych oczach i piegowatym nosie.

- Za kogo ty mnie masz? - prychnęła, patrząc na chłopaka z ukosa. - Za utopca jakiego?

Puściła Dionizego i zanurzyła się po pas w wodzie. Miała przyjemny, nieco dziecinny głos.

- A czym w takim razie jesteś? - wydukał młody Zawisza, odsuwając się na bezpieczną odległość.

Z baśni i legend pamiętał, że byty wodne nie mogły opuszczać środowiska, które zasiedlały. Wydawało się, że było w tym ziarno prawdy, bowiem zielonooka nie kwapiła się, by wyjść na brzeg.

- Nie czym, a kim, ty chacharze nieokrzesany - obruszyła się, po czym założyła ręce na piersiach, blokując wcale uciесzny widok. - Jestem Hania, wodnica okoliczna od... całkiem niedawna. A ty kim jesteś?

- Nazywam się Dionizy Kamil Zawisza i jestem synem tutejszego pana na folwarku, Jana Apoloniusza. - Ukłonił się chłopak, któremu od dziecka wpajano dobre maniery względem kobiet, niezależnie od ich statusu społecznego. - I jeśli wolno mi zauważyć, nie wiedziałem, że te stawy zamieszkują byty nadnaturalne.

- Jak powiedziałam, bytem nadnaturalnym jestem od niedawna - ucięła Hania, której na dźwięk nazwiska Dionizego wzrok na moment rozjarzył się dziwnym blaskiem. - Miło mi cię poznać, Dionizy Kamilu. Widziałam cię, jak tu przychodzisz.

- Doprawdy? - rzucił chłopak, nie mogąc przestać myśleć o tym, co się miało stać z wodnicą, gdy na zimę będą odławiać karpie z osuszonego stawu.

- Tak. Siedziałeś na brzegu i wydałeś mi się zasmucony. Zwłaszcza wczoraj. Już prawie do ciebie wypłynęłam, ale coś mnie powstrzymało.

- Co takiego?

- Myślę, że to wino, któreś tak doił. Która dziewczyna, myślisz, ma ochotę na pogaduszki z bełkotliwcem? Następnym razem weź miód pitny i zawołaj. Za winem nie przepadam, bo dostaję od niego niestrawności, ale miód to co innego. Zawsze lubiłam miód.

Dionizy podrapał się w potylicę w zakłopotaniu. Zaczęło do niego z wolna docierać, w jak bardzo niebywałej sytuacji się znalazł. Gawędził o wspólnym popijaniu miodu z istotą, która nie powinna w ogóle istnieć. Tymczasem patrzył prosto w roześmiane oczy pluskającej się w stawie wodnicy.

- Myślę, że to nie powinien być problem - powiedziała Hania, opacznie rozumiejąc milczenie Dionizego. - Wiem, że

macie w folwarku miodosytnię. Jedna butelka w tę czy we w tę nie powinna zrobić nikomu różnicy.

- Skąd wiesz o miodosytni? Byłaś tam kiedyś?

- Może - odparła rusałka tajemniczo. - Kiedyś bywałam w wielu miejscach.

- A teraz?

- Teraz bywam tutaj - rzekła cierpko, po czym bez słowa zanurzyła się pod wodę.

Dionizy poczekał jeszcze chwilę, licząc na to, że Hania ponownie się wynurzy, jednak wyglądało na to, że uznała pogawędkę za skończoną.

* * *

Długo nie potrafił zasnąć, przewracając się w skotłowanej pościeli. Myśli zaprzętało mu niesamowite spotkanie oraz to, jak zwyczajna zdawała się być wodnica. Dumał, czy wyjawić komuś sekret. Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze wiedział o istnieniu Hani. I dlaczego nie potrafił pozbyć się wrażenia, że znał tę dziewczynę?

Księżyc stał już wysoko na niebie, kiedy Dionizy dał za wygraną i wygramolił się z łóżka. Zarzuciwszy na ramiona wełniany koc, zszedł do kuchni. Przyświecając sobie lampką oliwną, rozniecił nieduży ogień w piecu, następnie do okopconego saganka wlał wino z korzennymi przyprawami. Czekając, aż mikstura zawrzeje, wsłuchiwał się w ciszę panującą w domu. Serce w nim zamarło, gdy w pobliżu zaskrzypiała podłoga. Czyżby jednak rusałki mogły opuszczać wodną domenę?

- Widzę, że i tobie pełnia spać nie daje - odezwał się od progu ojciec. - Starczy tego wina i dla mnie?

- Starczy - skinął głową Dionizy, który przezornie przygotował większą porcję niż potrzebował.

Ojciec usiadł przy stole, potarł zmęczoną twarz.

- Jindrich mówił, że szybko pojmujesz jego nauki. Rad jestem, choć w pierwszej chwili ciężko mi było dać wiarę, że potrafisz przyłożyć się do prawdziwej pracy.

- Cóż, okazało się, że mam wiele wspólnego ze świniami - odparł Dionizy, mieszając drewnianą łyżką w kociołku.

Przez moment ojciec z synem patrzyli na siebie bez słowa, po czym równocześnie wybuchnęli śmiechem. Ta krótka chwila spontaniczności zbliżyła ich na moment jak nic dotychczas. Dionizy rozlał wino do glinianych kubków i usiadła naprzeciwko rodzica, który wciąż uśmiechał się pod wąsem. Upili ostrożnie gorącego napoju.

Chłopak poczuł przemożną chęć podzielenia się z Janem tajemnicą, jednak coś go powstrzymało. W ostatniej chwili uznał, że Hania była sekretem, którego należało zazdrośnie strzec. Miał tego opowiedział o przemyśleniach dotyczących przyszłości w folwarku i tego, jak planował pogodzić pracę ze sztuką. Ojciec słuchał, nie przerywając, jedynie kiwał głową i popijał grzańca.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ogromną radość sprawiły mi twoje słowa - odezwał się wreszcie Jan z ciężkim westchnieniem.

Dionizy zeszytniał na krześle, poruszony zmianą, jaka zaszła w ojcu. Po raz pierwszy dostrzegł w nim starego, zmęczonego człowieka.

- Chcę wierzyć... nie, wierzę w to, że mówisz prawdę. Wiem, że od śmierci twojej matki nie byłem dobrym ojcem. Było... jest mi ciężko bez niej. Ale chcę, żebyś wiedział, że zawsze chciałem dla ciebie jak najlepiej.

Nagle Jan jak gdyby wynurzył się z głębokiego snu. Potarł kąciki oczu, pociągnął nosem. Zerknąwszy do opróżnionego kubka, uśmiechnął się krzywo w kierunku syna.

- No, chłopcze. Twojemu grzańcowi nie sposób odmówić mocy. Teraz z pewnością zasną i tobie życzę tego samego.

Dobranoc, synu - rzucił już przez ramię, odchodząc w kierunku sypialni.

- Dobranoc, tato - wyszeptał Dionizy zmienionym głosem.

* * *

Poranek, jak można się było spodziewać po słabo przespanej nocy, nadszedł zbyt szybko. Ponownie bladym świtem Jindrich walił do drzwi, nawołując do kolejnego dnia nauki.

Dionizy zwlekł się z łóżka, czując pulsowanie w skroniach, ubrał się i zszedł z nauczycielem na śniadanie.

- Znów wyglądasz olśniewająco - zakpił Jindrich, ścinając łyżeczką czubek jajka ugotowanego na miękko. - Mam nadzieję, że nie będziesz przysypiał przy naukach.

- To już od ciebie zależy - odciął się Dionizy.

Nie czuł się zbyt dobrze i sądził, że niewyspanie nie było jedynym powodem. Grzane wino wypite późną nocą zdecydowanie ciążyło, zarówno w żołądku, jak i głowie. Ledwie napoczął kaszę, zjadł tylko jedno jajko. Jindrich zaś, jakby czerpiąc energię z niezdolności innych, pałaszował z apetytem, popijając kawę zbożową. Było to kolejne dziwactwo w bodaj niemającym końca repertuarze Czecha. Uwielbiał bowiem napój biedoty przygotowywany z plewów i obierków, gardząc równocześnie prawdziwą, aromatyczną arabiką. Twierdził, że palona kawa szkodzi zdrowiu, pobudzając organizm do aktywności w nienaturalny sposób. Dionizy nie rozumiał, w jaki sposób zaparzona świńska pasza miała wieść prym nad kawą, niemniej wolał nie wnikać. Obawiał się, że Jindrich zechce go poczęstować.

- Dziś, mój najzdolniejszy uczniu, nie pójdziemy w teren, gdzie tak bardzo ci się podobało. Zajmiemy się teoretyczną stroną przedsiębiorczości. Skupem i sprzedażą. Podażą i popytem. Anatomią świńską oraz teorią obróbki mięsa. Omówimy masę przydatnych pojęć.

Nie sposób nie zauważyć, że perspektywa zanudzenia kogoś na śmierć sprawiała Jindrichowi wyraźną przyjemność. Dzień zaś okazał się równie nudny, jak można było przypuszczać. Z trudem przychodziło dać wiarę, że ten sam człowiek, który ledwie wczoraj rozprawiał o świniach z pasją, klepał formułkę za formułką z ożywieniem ślimaka w deszczu.

Dionizy doszedł do wniosku, że Jindrichowi wcale nie zależało na przekazaniu wiedzy, a raczej na torturach. Nie dało się bowiem inaczej wyjaśnić skrajności dwóch zaledwie dni nauki. Jedyną tego zaletą było to, że sam Jindrich w pewnym momencie miał dość i zakończył lekcję tuż po obiedzie. Czech nie jadł razem z uczniem, jednak wrócił pod koniec posiłku, by oznajmić, że wrócą do nauk po niedzieli. Dionizy ruszył do wyjścia, ciesząc się na resztę dnia, gdy Jindrich udał, że nagle sobie o czymś przypomniał.

- Jaśnie oświecony, jeszcze jedno. Wasz ojciec prosi, byście do niego pozwolili.

Chłopak bez słowa udał się do gabinetu ojca. Idąc korytarzem wyłożonym skandynawską boazerią, rozmyślał o wczorajszej rozmowie z ojcem. Miał wrażenie, że te raptem kilka chwil spędzonych razem mocno ich zbliżyły. Widział też dzięki temu ojca mniej jako tyrana, gotowego dopuścić się wszystkiego, by unieszczęśliwić syna, a zatroskanego choć szorstkiego człowieka, nie umiejącego rozmawiać z własnym dzieckiem. Człowieka sukcesu i niemałych pieniędzy, który przez większość życia obawiał się, że jego majątek zostanie przepuszczony w zamtuzach i domach aukcyjnych. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, ojciec nie miał zbyt wielu powodów do dumy jako rodzic. Wszak jego dziewiętnastoletni już syn osiągnął w życiu tyle, że udało mu się nie spółdzić bękarta z żadną z dziewczek służebnych i napisał kilka w miarę przyzwoitych wierszy, które odczytał entuzjastycznie pijanemu towarzystwu w Swarożycach.

Dionizy przystanął przed drzwiami gabinetu ojca, poruszony przemyśleniami, jakie go naszły. Nie rozumiał źródła autorefleksji. Jak dotąd brnął przez życie, nie mając sobie nic do zarzucenia. Nie miał jednak czasu na dalsze dywagacje, bowiem drzwi na wprost niego się otwały, ukazując niskiego, łysiejącego przedwcześnie mężczyznę ubranego w szary frak.

- Jaśnie panowie, jaśnie pani. - Sługa cofnął się w głąb gabinetu. - Jak mniemam, pan Dionizy Zawisza niniejszym nas zaszczycił.

- Wejdz, synu. - Dał się słyszeć głos ojca z głębi pomieszczenia.

Dionizy przestąpił przez próg, powiódł wzrokiem po nieznanym zgromadzonych w środku i pojął, w jakiej sytuacji się znalazł. Żałował, że rankiem nie przyłożył większej uwagi do odzieży, którą na siebie włożył. Widząc nietęgą minę ojca taksującego wymiętą koszulę oraz przybrudzone spodnie, domyślił się, że rodzic podziela jego myśli.

Na obitych szkarłatnym filcem fotelach siedziała para nieznanym, w których nietrudno było domyślić się zapowiedzianych wcześniej tego tygodnia von Gorlitzów. Johan, Śląski Niemiec, okazał się krępy męczyzną o wydatnym brzuchu, którego ani dopasowany frak, ani ukryty pod koszulą gorset nie były w stanie w pełni ukryć. Rumiane lico i popękane naczynka na bulwiastym nosie zdradzały aż nadto wymownie zamiłowanie do trunków. Córka zaś, Eva, musiała do matki być podobną, bowiem przedstawiała się wcale urodziwie. Postury nikłej, choć o figurze zgrabnej i bufiastej, gdzie należało. Nosek perkaty, zadarty lekko, nadawał twarzy o delikatnych rysach wesołości i uroku. Włosy zaś jasno blond wymykały się falą spod modnie upiętego kapelusika ozdobionego kilkoma stokrotkami. Z pewnością nie była klasyczną piękną, jaką malarze uwiecznialiby na płótnach, jednak zdecydowanie zaprzeczająca panującym powszechnie opiniom o Niemkach.

Dionizy bezwiednie obciągnął na sobie koszulę, przygładził włosy.

- Ach, o wilku mowa - rzucił na pozór beztrosko Jan, choć doskonale widocznym było, że usilnie starał się ukryć zmieszanie. - Mój drogi Johanie, urocza Evo, oto mój syn, Dionizy Kamil.

- Rad jestem - rzekł Johan, choć jego mina świadczyła o czymś zgoła innym.

- Panie Dionizy, zaszczyt to pana poznać po tylu pochwałach, jakie na pański temat słyszałam - wyrecytowała bezbarwnie Eva.

- Wybaczcie, proszę, mój wygląd Nie uprzedzono mnie o waszym wcześniejszym przybyciu. Wszak za cztery dni dopiero się was spodziewaliśmy. Niechlujność mego stroju zaś zawdzięczam ciężkiej pracy w obejściu, jakiej od świtu się poświęcałem - rzucił przelotne spojrzenie w kierunku ojca, a widząc aprobatę, kontynuował farsę: - Jedynym dziedzicem jestem, tak tedy obowiązków nade mną moc, ale nie użalam się, bowiem powinnością syna jest wyręczać ojca i napawać go dumą.

- Prawda to, że Dionizy odciąża mój umysł, albowiem gdy bierze się do pracy, wiem, że o rezultat mogę być spokojny. Nadto i w innych aspektach niczego mu nie brakuje. Syn mój, musicie wiedzieć, oprócz smykałki do przedsiębiorczości posiada również i talent artystyczny, o czym w skromności swej nie raczył wspomnieć.

Dionizy zerknął na ojca, z trudem zachowując obojętny wyraz twarzy. Zrozumiał, że oto rozgrywała się między dwoma starszymi jegomościami potyczka, gdzie obaj zarówno starali się pochwalić swymi dziećmi, jak i potajemnie wykpić latorośl drugiego. Nie podobało mu się to jednak ani odrobinę, bowiem czuł się jak wałach, którego hodowca za wszelką cenę usiłował sprzedać jako rozplodowego ogiera.

- Ciekawym tedy - podjął Johan, podnosząc do ust kieliszek niemal po brzegi wypełniony brandy - zaznajomić się ze sztuką pana Dionizego. Miarkując po panu, mniemam, że chodzi o malarstwo, czyż nie?

- Otóż, z przykrością rzec muszę, że w tej dziedzinie Bóg poskąpił mi talentu. Nie szczędził go jednak, ośmielę się rzec, w poezji i muzyce.

- Och, a na jakim instrumencie pan gra? - ożywiła się nieco Eva, która do tej pory sprawiała wrażenie mało zainteresowanej zarówno rozmową, jak i samym Dionizym.

- Z biegłością na bałające - odparł chłopak z nieskrywanym zadowoleniem, lecz widząc, że nie zrobiło to należytego wrażenia, kontynuował wyliczanie: - Podjąłem również czas jakiś temu lekcje gry na hiszpańskiej gitarze. Potrafię także co nieco zagrać na gęślach i lirze korbowej, choć tu już praktykuję we własnym zakresie, bez nadzoru mistrza.

- Hm. - Eva wyduła usta w dzióbek. - Liczyłam raczej na fortepian lub chociaż klawesyn. U nas, w cywilizowanych Niemczech, panowie na salonach zabawiają towarzystwo Mozartem, nie ludowymi rymowanekami pasterzy.

W pokoju rozbrzmiało parsknięcie. Sługa w szarym fraku, który przybył z von Gorlitzami, nieudolnie usiłował zamaskować kpiący uśmieszek. Nieco lepiej panował nad sobą ojciec wyszczekanej dziewczyny, choć wesołe ogniki błyskające w oczach nie pozostawiały złudzeń wobec tego, co myślał o nietakcie, jaki popełniła córka. Dionizy zaś jeszcze nigdy nie czuł się równie prowincjonalnie. Potraktowano go jak byle chłopka - roztropka, biegającego boso po pastwisku w zgrzebnej koszulinie i przygrywającego kozom na piszczałce. Nim zdążył przemówić i pogorszyć sytuację, głos zabrał Jan Apoloniusz.

- To naturalnie zrozumiałe, że w kwestii sztuki oraz kultury obywatela cesarscy mają nad Polakami niesłychaną przewagę.

Niemniej, wszyscy w tym pokoju jesteście Ślązakami, toteż nie wadźmy się, moi mili. Dionizy, synu mój najdroższy, proponuję, byś udał się do łaźni w celu odświeżenia, a następnie zszedł do stajni, gdzie będziemy cię oczekiwać. Zaplanowałem przejażdżkę konną po włościach. Ubierz się w coś wygodnego i eleganckiego – dodał na koniec z naciskiem.

Wychodząc, Dionizy złowił kątem oka krzywy uśmiezek na ustach Ewy, gdy wymieniała z ojcem znaczące spojrzenia.

* * *

Przebrany w jasne bryczesy, buty z wysokimi cholewkami oraz pięknie wyszywany surdut sprowadzony z Mediolanu, Dionizy maszerował ku stajni. Nie mógł przeboleć upokorzenia, jakie spotkało go ze strony Niemców, toteż postanowił ubrać się tyleż dostojnie, co przesadnie do okazji.

Ojciec wraz z gośćmi zgodnie z zapowiedzią czekali przy boksach. Stajnia Zawiszów cieszyła się sporym uznaniem wśród znawców i miłośników koni, zarówno na terenie Śląska, jak i sąsiednich mocarstw. Znaleźć tu można było zarówno potężnie zbudowane gelderländery niemające sobie równych w ciągnięciu wszelkich zaprzęgów, małe i zwrotne pinto, które dziadek Zawisza importował z ich rodzimej Ameryki, a nawet czystej krwi araby, stanowiące największą chlubę swarożyckiej stajni.

Boksy zdawały się ciągnąć w nieskończoność, a konie w nich rezydujące podzielono ze względu na rolę, jaką miały spełniać. I tak zwierzęta pociągowe miały swój zakątek, czempiony przeznaczone na pokazy i konkursy swój, zaś te, które Jan określał mianem środków transportu, swój.

Pomysł ojca, by przyprowadzić w to miejsce niechętne towarzystwo, był genialny i już zbierał żniwo. Eva bowiem rozglądała się wokół z wyrazem zachwyту na twarzy i zdawało się, że lada chwila zacznie pisać z ekscytacji na perspektywę

przejażdżki na jednym z wypielegnowanych wierzchowców. Johan z kolei panował nad sobą lepiej niż córka, choć intensywniejsza purpura na twarzy dobitnie zdradzała, że i jemu stajnia nie była obojętną.

- Wybaczcie, że musieliście czekać, wolałem jednak upewnić się, że po raz wtóry was odzieniem nie urażę.

Dionizy złowił niemą aprobatę w oczach Niemców, u ojca zaś dostrzegł lekką irytację. Rodzic widać przejrzał chłopaka, wiedząc, że ten dworował sobie z gości. Z pewnością Jan lękał się, że syn mógł pokusić się o dalsze, mniej nieszkodliwe wybryki, by zrewanżować się za upokorzenie, jakie spotkało go wcześniej.

- Ależ nie ma żadnej szkody. - Machnął ręką Johan, po czym zwrócił się do Jana: - Piękne okazy, dlatego żalem, ale zmuszony jestem poniechać przejażdżki. Tusza nie pozwala mi wygodnie w siodle usiąść, a i bez brzucha kiepski ze mnie jeździec.

- Jesteś pewien? W razie potrzeby każę naszykować dorożkę - ofiarował się Zawisza.

- Pewien, pewien. Każ lepiej, żeby mi przynieśli zydel jaki i butelkę miodu czy wina.

Jan wysłał jednego ze stajennych do winnicy, a pozostałym przykazał osiodłać konie do wycieczki po włościach. Dla siebie i syna wybrał standardowo Matyldę i Gustawa, rodzeństwo koni małopolskich o gniadym umaszczeniu. Eva zaś nie chciała przystać na innego wierzchowca niż karego araba o dumnym usposobieniu i dźwięcznym imieniu Osama.

W pierwszej chwili Jan usiłował odwieść dziewczynę od zamiaru, jednak ta nie chciała słyszeć o żadnym innym koniu.

- Daj dziewczynie się przejechać - rzucił znad przyniesionego puchara pełnego wina Johan. - Przecież ci nie zepsuje tej kobyłki.

- To nie żadna kobyła, a czystej krwi koń arabski - zadchnął się Jan. - A niechętny jestem po temu, by Eva jechała na Osamie, bo on ma nieprzewidywalny charakter. Jak wyczuje na sobie niedoświadczonego jeźdźca lubi wierzgać. Już niejednego zrzucił z siodła i nie zawsze kończyło się to błahymi stłuczeniami.

- Moja córka potrafi utrzymać się w siodle - uciął temat Niemiec.

Z wyraźną niechęcią Jan zgodził się, by osiodłano Osamę. Koń, jak gdyby świadom zamieszania, jakie wywołał, prychnął i robił łbem, gdy stajenny wyprowadzał go za uzdę z boksu.

- Widzisz, dziecko, że ten diabeł nerwowy jest tak samo jak piękny. - Zawisza wskazał głową w stronę wierzchowca. - Jesteś pewna, że chcesz go dosiąść?

- Jestem pewna - odrzekła Eva hardo. - I męskie siodło mi dajcie, a nie to szkaradztwo, co ten chłystek niesie.

* * *

Eva von Gorlitz rzeczywiście potrafiła jeździć konno. W siodle trzymała się prosto, wodziła Osamę pewną ręką. Jan wraz z Dionizym popatrywali na dziewczynę z mieszaniną zachwytu i szacunku, ale i zaskoczenia. Najbardziej jednak zdziwiony wydawał się być sam Osama. Ogier dreptał posłusznie, choć nieco sztywno, jakby zakłopotany. Zawiszowie jeszcze nigdy nie widzieli, by ktokolwiek go zdominował równie szybko i sprawnie.

Trójka jeźdźców niespiesznie objechała rozległe pola, na których wśród wzrastającego zboża uwijali się robotnicy. Widząc jaśniepaństwo, mężczyźni uchylali czapki, kobiety dygały niezdarne.

- Jakże sielsko jest na wsi, czyż nie? - zagaił Jan, chcąc przerwać panujące od dłuższej chwili milczenie.

- Jeśli komuś nie wstrętny wszechobecny odór łąjna to owszem - odparła Eva, szarpnięciem wodzy powstrzymując Osamę, chcącego wejść w wysoką trawę.

- A czy jaśniepani sama nie pochodzi aby z podobnego folwarku? - spytał, nie kryjąc się z kpina w głosie Dionizy.

- Owszem, co nie oznacza, że kocham miejsce, w którym się urodziłam, ani że pokocham Swarożyce. Winnam mieszkać w mieście, gdzie faktycznie człowiek może się rozwijać, a nie egzystować z dnia na dzień. Rzecz jasna, jako kobieta nie mnie decydować o swym losie, co nie oznacza jednak, że zamierzam siedzieć cicho. Otóż, wystaw sobie, kawalerze, że bardzo cenię sobie przywilej głośnego utyskiwania na rzeczy, które mnie mierzą.

- Z pewnością na folwarku można znaleźć coś dla siebie - rzekł, usiłując załagodzić szykujący się niechybnie konflikt Jan. - Dla przykładu, mój syn również nie przepada za życiem na prowincji, imaginując sobie, że jest członkiem towarzystwa artystycznego panoszącego się po Krakowie. Nie przeszkadza mu to jednak w rozwijaniu pasji ku zarządzaniu ziemią. Prawda, Dionizy? - Zerknął na syna, desperacko szukając poparcia.

Dionizy nie zdążył udzielić nieco nieszczerze entuzjastycznej odpowiedzi, bowiem wydarzyło się coś, co definitywnie ucięło temat. Towarzystwo przejechało przez najrozleglejszy obszar folwarku, jakim były pola, i wjechało na łąki kwietne. Wysypana żwirem ścieżka przecinała dwie połacie mikro stepów, jakie posiano specjalnie z myślą o pszczołach. W dalszej bowiem części traw, z dala od folwarku, widać było kilkanaście uli, które zaopatrywały Zawiszów w miód, którzy ci następnie przerabiali na lubiany na Śląsku napój alkoholowy.

W otoczeniu soczystej trawy konie naturalnie ulegały pokusie, by skubnąć kilka źdźbeł z pobocza. Nie inaczej było z Osamą, który z jakiegoś powodu postanowił przestać słuchać

Evy. Niby byle muł zszedł z wytyczonej ścieżki, zanurzył się po pęciny w trawie i jął paść się w najlepsze. Wyraźnie sfrustrowana Eva wszelkimi możliwymi sposobami usiłowała nakłonić uparte zwierzę do powrotu na szlak, jednak bez większego powodzenia. Wtem koń poderwał gwałtownie łeb, zarżał żałośnie, po czym rzucił się w szaleńczy pęd na przełaj przez łąkę.

- Ojczy, co się właśnie stało?

- Myślę, mój synu, że naszego łagodnego lwa ukąsiła pszczoła - odparł ze stoickim spokojem Jan.

Zawiszowie przypatrywali się malejącej w oddali postaci amazonki na arabie. Dziewczyna kurczowo ścisnęła konia za szyję, by nie spaść, wierzchowiec zaś z całych sił starał się zrzucić drażniący go nagle ciężar z grzbietu. Zmierzali w kierunku Radkowej Kępy, niedaleko miejsca, w którym mieściły się stawy zamieszkałe przez rusałkę Hanię. Dionizy uzmysłowił sobie, że pomyślał o niej po raz pierwszy od wczorajszego wieczora.

- Powinniśmy ją odnaleźć.

- Jak to? - Dionizy rzucił ojcu przelęknione spojrzenie, źle rozumiejąc jego słowa.

- Jak to „jak to”? Zniknęła właśnie w lesie, ty safandulo. Nie chcę myśleć o tym, co robi Johan, jeśli jego córce stałaby się krzywda.

Ruszyli kłusem przez łąkę, bacząc, by konie nie nastąpiły na nierówności terenu czy kretowiska.

- Ojczy, mam wrażenie, że to spotkanie z von Gorlitzami nie przebiega najlepiej.

- Tak myślisz? Ja uważam, że jest wspaniale. Nawet więcej, powinienem wysłać kogoś do proboszcza w Swarozycach, żeby zamówić mszę ślubną.

- To był sarkazm, prawda?

Dojechawszy na skraj lasu, panowie postanowili rozdzielić się, a następnie spotkać w stajni. Ojciec ruszył ku zagrodzie świń, Dionizy z kolei skierował Matyldę w stronę stawów hodowlanych. Przez pewien czas przedzierał się przez gęste poszycie, uważając na nisko rosnące gałęzie oraz wystające korzenie. Wreszcie dotarł na ścieżkę i momentalnie zauważył świeże, głęboko odcisnięte w podmokłym gruncie ślady podków. Podążył tropem Osamy pochylając się w siodle.

Wreszcie drzewa ustąpiły przecince, w której umiejscowiono stawy. Dionizy bez trudu dostrzegł karego wierzchowca, który ze spokojem skubał trawę porastającą groblę. Nigdzie jednak nie widział Ewy. Tknięty złym przeczuciem, spiął konia do szybszego kroku. Już po chwili niepokój przerodził się w panikę, gdy chłopak zlustrował powierzchnię stawu. W środkowym zbiorniku wśród tataraku i wodnej trawy unosiło się ciało dziewczyny. Suknia falowała i wzdymała się w rytm kołysanej delikatnym wiatrem wody.

Dionizy usiłował zeskoczyć z siodła, jednak stopa uwięzła mu w strzemieniu. Poleciał na twarz, w ostatniej chwili ratując się wyciągniętymi przed siebie rękami. Syknął, gdy wykręcona noga odezwała się ostrym, przeszywającym bólem. Na nieszczęście Matylda ruszyła w kierunku Osamy, wlokąc za sobą jeźdźca.

- Prrr! Stój, habeto! - krzyknął Dionizy, przebierając rękami, by nadążyć za chodem konia.

Wreszcie udało mu się oswobodzić stopę. Upadł na ziemię i mimo bólu pospieszył ku Ewie. Wpadł do wody z pluskiem. Miękki i oślizgły muł wdarł się do pięknych jeździeckich butów. Dionizy porwał dziewczynę w ramiona, ta jednak nie oddychała, a jej twarz przybrała siny kolor. Ze strachu i obrzydzenia młody Zawisza wypuścił ciało, które na powrót zanurzyło się w wodzie. Zrazu jednak oprzytomniał i wyciągnął je na brzeg.

- Och, nie! - Usłyszał znajomy głos, dobiegający spomiędzy szuwarów. - Cóż za nieszczęście. Taka młoda dziewczyna.

- Hania? Co tu się stało?

- Wygląda na to, że biedaczka utonęła - rzekła rusałka, wykręcając z wody długie włosy.

- Ty ją utopiłeś!

- Znów mnie niesprawiedliwie oskarżasz o coś, co jest sprzeczne z moją naturą - oburzyła się Hania. - Dziewczyna przygnała tu na tym szalonym koniu i spadła z siodła prosto do stawu.

- Dlaczego jej nie pomogłeś? Boże, co teraz zrobię? Dlaczego jej nie pomogłeś, skoro wszystko widziałaś?

- Chciałam, ale było za późno. Nim dopłynęłam, nieszczęsna dziewczka już nie dychała. Przykro mi.

Dionizy ukrył twarz w dłoniach. Nie wiedział, co robi. Nie wiedział, czy wierzyć rusałce. Miał przeczucie, że nie była zupełnie bez winy. To byłby niesamowity zbieg okoliczności, gdyby Eva utonęła w stawie zamieszkałym przez istotę, która w podaniach ludowych odpowiadała właśnie za tajemnicze utonięcia. Z drugiej jednak strony wczorajszego dnia Hania miała doskonałą okazję, by utopić Dionizego i tego nie zrobiła.

- Czy była dla ciebie kimś bliskim? - spytała rusałka z troską, podpływając bliżej brzegu, na którym siedział Dionizy.

- Mieliśmy się pobrać. Poznałem ją dopiero dziś. Nasi ojcowie zaaranżowali małżeństwo. Co powiem ojcom? - Ponownie wpadł w panikę.

- Rzeczywiście, ciężki orzech do zgryzienia. Ale spójrz na pozytywną stronę tej sytuacji. Aranżowane małżeństwa rzadko są szczęśliwe.

Dionizy uniósł na Hanię niedowierzający wzrok. Być może rusałki inaczej odbierały istotę życia, w związku z czym śmierć nie stanowiła dla nich tragedii. Niemniej jednak nie potrafił

znaleźć odpowiednich słów, by skomentować to, co powiedziała Hania.

Nagle w pobliżu rozległo się rzenie konia, na które zgodnie odpowiedziały Osama z Matyldą. Dionizy na moment odwrócił wzrok, a gdy przeniósł go z powrotem na staw po rusałce nie było ani śladu. Zostawił zwłoki na brzegu, po czym wygramolił się na szczyt grobli. Widząc nadjeżdżającego ojca, poczuł, jak do żołądka wpadła mu gorąca gula.

- Słyszałem głosy, więc postanowiłem sprawdzić kto to - zakrzyknął z daleka jeszcze Jan. - Czy znalazłeś Evę?

- W pewnym sensie - wymruczał pod nosem Dionizy.

* * *

Dwóch stajennych okryło ciało kocem, a następnie ostrożnie ułożyło na wozie, którym przyjechali nad staw na wezwanie Jana Zawiszy. Ojciec zmarłej przeniósł się do salonu w folwarku, gdzie pozostał pod opieką Jindricha Tyla i kilku butelek mocnych alkoholi, które przyniósł sługa Niemca. Von Gorlitz zareagował na tragiczną nowinę z niepokojącą obojętnością, która zwiastowała rychły wybuch rozpacz. Usłyszawszy, że jego córka utonęła, pokiwał głową, dopił wino, a następnie bez słowa wstał z zydelka, na którym siedział i oddalił się w stronę zabudowań.

Zawiszowie tymczasem nadzorowali przeniesienie Ewy nad stawów do folwarku. Nie rozmawiali zbyt wiele. Nie wiedzieli, co począć, ani co miało dalej nastąpić. Czy Johan zechce dochodzić sprawiedliwości za poniesioną stratę? Dodatkowo Dionizy zastanawiał się, czy wyjawić ojcu, że stawy okupowała rusałka, która mogła poświadczyć, że śmierć córki von Gorlitz była nieszczęśliwym wypadkiem.

- Ruszajmy - zarządził Jan, gdy stajenni ułożyli zwłoki na wozie i siedzieli już na koźle.- Luzaka przytroczone do wozu.

Jechali w ciężkim, żalobnym milczeniu. Słysząc było tylko okazjonalny krzyk cyranek oraz poskrzypywanie wozu na wyboistej drodze.

- Ojcze, co zrobimy? - przerwał ciszę Dionizy.

Jan zdawał się nie słyszeć zadanego pytania. Wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Odkąd przybył nad stawy i zobaczył Evę, niemal nie odezwał się słowem. Zbladł śmiertelnie i wodził rozbieranymi oczyma po wodzie, jakby spodziewał się tam coś wypatrzeć.

Zrazu jakby przebudził się z odrętwienia, wstrząsnął nim dreszcz, wstrzymał konia.

- Jedź do stajni - polecił Dionizemu, zawracając z powrotem do lasu. - Zajmij się Johanem i czekaj, aż wrócę.

- Dokąd jedziesz? Co się stało?

- Rób, co mówię!

Jan spał wierzchowca, poszedł w cwał. Podkute kopyta zryły ziemię, kępki trawy wystrzeliły w powietrze.

* * *

Zostawiwszy konie pod opieką stajennych, Dionizy wyszedł na zewnątrz, gdzie przycupnął na pieńku do rąbania drewna. Zdjął przemoczone buty i wystawił na słońce, by przeschły. Nie miał najmniejszej ochoty iść do folwarku, spotkać się z Johanem. Obawiał się tego, co mogło wyniknąć z konfrontacji z pogrążonym w żałobie gościem. Siedział zatem przed stajnią i dumiał nad tajemniczym zachowaniem rodzica. Dionizy zastanawiał się, czy ojciec wiedział o rusałce i dlatego przygnał z powrotem nad stawy.

Rozmyślenia przerwał rozpaczliwy krzyk dolatujący od strony folwarku, po którym rozległ się ostry huk wystrzału. Dionizy zerwał się na nogi i boso pognał do domu.

* * *

Stojąc przed zamkniętymi drzwiami salonu, czuł, że serce wali mu w piersi jak młotem. Rozkazał zebranej trwożliwie w korytarzu służbie, by przyniesiono mu sztucer. Nie zamierzał wchodzić nieuzbrojony do pokoju, w którym dopiero co odbyła się strzelanina. Sprawiał wrażenie opanowanego, choć w rzeczywistości kręciło mu się w głowie i z trudem oddychał. Nie wiedział, co robić.

Służący przygnał ze strzelbą, wcisnął ją w zmartwiałe rękę chłopaka. Dionizy z wdzięcznością zarejestrował, że starszy mężczyzna dzierżył drugi sztucer.

- Idę z waszmością - powiedział, jakby dla pewności. - W środku był z Niemcem nasz pan Tyl. Trzeba się upewnić, że jest cały.

- Dziękuję. - Dionizy o mały włos nie zemdlął z wdzięczności. - Jak ci na imię?

- Tomasz, proszę pana. Służę w rodzinie od dwudziestu lat - dodał z ledwie skrywanym wyrzutem.

- Panowie, bądźcie ostrożni - zawołał służący von Gorlitzów, który znalazł się w tłumie gapiów.

- Tomaszu, jesteś gotowy? - spytał Dionizy, łapiąc za klamkę i dziwiąc się, że ręka niemal mu nie drżała.

Sługa skinął głową, na co Zawisza pchnął drzwi. Tomasz wpadł do środka, Dionizy tuż za nim, wodząc wokół strzelbą. Złowił ruch pod oknem i bez namysłu wypalił w tamtym kierunku. Huknęło jak z armaty, szyba z witrażowego okna rozpadła się na kawałki. Widział, jak kolorowe odłamki posypały się na dywan. Nagle czyjaś ręka chwyciła nagrzaną od strzału lufę, szarpnęła do góry. Spojrzał w bok, gdzie Tomasz coś do niego krzyczał. Pod oknem widział czołgającego się po dywanie Jindricha.

- Waszmość, nie strzelaj! - dosłyszał w końcu Dionizy, bowiem w uszach piszczalo mu nieznośnie.

- Pomóżcie! Sam nie dam rady. Panowie, on jeszcze dycha.

Dionizy z Tomaszem rzucili się w kierunku okna. Za sofą, obsypany szkłem, w aureoli krwi leżał Johan von Gorlitz. Obok niego spoczywał pistolet kieszonkowy. Niemiec krwawił obficie z rany na szyi, pomimo prowizorycznych opatrunków z porwanej koszuli. Zdawało się, że był bez przytomności, jednak gdy Dionizy ukląkł, otworzył oczy.

- Zabiliście mnie...

- Nic nie mówcie - uciął Jindrich, uciskając ranę. - Dajcie bandaż!

Tomasz zerwał się, popędził do kuchni po czyste szmaty. Dionizy zaś oklapł bezsilnie na podłogę.

- Jezus Maria, zabiłem - wymamrotał, patrząc na przesiąknięty krwią opatrunek.

- Co też bredzisz? - syknął Czech, drąc kolejne szmaty. - Jaśniepan sam siebie postrzelił. Pomóż mi ucisnąć. Sakra, gdzie te bandaży?!

- Trzeba wyjąć pocisk i zaszyć ranę - wysapał Tomasz, który wbiegł właśnie do salonu z naręczem szmat.

- W kieszeni mam klucze - rzucił Jindrich, czerwony i spocony z wysiłku. - W moim pokoju jest skórzana torba. W szafie na dole. Tam są przybory. Biegiem! Dionizy, bandaż!

Chłopak zabrał się do pracy, a ręce latały mu jak w chorobie. Podawał okrawki Jindrichowi, który wymieniał brudne opatrunki na świeże. Te niemal momentalnie nasiąkały krwią.

Nagle Johan wrzasnął wniebogłose. Było to tak nagłe i niespodziewane, że udzielający pomocy odskoczyli z przestraszeniem. Niemiec zaś z zadziwiającą siłą u kogoś, kto stracił mnóstwo krwi, chwycił Dionizego za przód koszuli. Przyciągnął chłopaka do siebie. Zdawało się, że bardzo chciał coś powiedzieć, jednak nie był w stanie. Otwierał jedynie usta i stękał z wysiłku, nie wyrzekł jednak ani słowa.

Wreszcie jak gdyby się poddał. W ostatnim odruchu odwrócił twarz w stronę Jindricha, który wpatrywał się w konającego Niemca z napięciem. Ten przez moment walczył o oddech, aż wreszcie zmarł. Ręka, którą trzymał Dionizego, stuknęła głucho o podłogę.

- No i koniec - skwitował Jindrich, siadając ciężko na otomanie.

Czech dosłownie przesiąkł krwią z rozpaczliwie i bohatersko tamowanej rany. Ubrudzonymi dłońmi przecesał włosy, zostawiając na czole karmazynową smugę. Westchnął ciężko. Następnie zrobił coś, co zszokowało Dionizego niemal równie mocno, co akcja ratunkowa. Nabrał tchu, po czym rozplakał się rzewnie.

Dionizy uniósł się ociężale, wsparł o oparcie leżanki, za którą spoczywał Johan. Na roztrzęsionych nogach wyszedł z pokoju, bez słowa minawszy Tomasza, który właśnie wrócił z torbą. Przeszedł obok służby, zbyt przejętej, by zadawać pytania. Ktoś w tłumie szlochał, ktoś inny gorączkowo szeptał. Jakaś kobieta klęczała pod ścianą z krzyżykiem w dłoni i zmwiała cicho wieczne odpoczywanie.

Chłopak pragnął oddalić się od miejsca tragedii. Nim jednak zdążył podjąć konkretną decyzję, w drzwiach wejściowych stanął Jan. Ociekał wodą, twarz wykrzywiał mu przerażający grymas. Skinął na syna, by ten poszedł za nim. Weszli do gabinetu, ojciec zamknął drzwi na klucz. Wskazał na krzesło.

- Siadaj i słuchaj, bo to co ci teraz powiem, jest niezwykle ważne - przykazał, zajmując miejsce za biurkiem. - To, co usłyszysz, nie może nigdy wyjść poza ten pokój, rozumiesz? Dobrze.

Dionizy czekał, aż ojciec podejmie temat, jednak przez długą chwilę Jan po prostu siedział w fotelu i wpatrywał w swoje dłonie. Woda ściekała mu z włosów na twarz, kapała z nosa i uszu, zdawał się jednak nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

Wreszcie sięgnął do jednej z szuflad biurka, wyjął stamtąd kamionkową buteleczkę i wyjąwszy korek, pociągnął z niej solidnie. Po pomieszczeniu rozszedł się mocny zapach ziół i alkoholu. Jan, nadal bez słowa, podał synowi trunek.

- Ojczy, byłeś nad stawem?

Stary Zawisza podniósł na syna zaskoczone spojrzenie. Zaraz jednak się opanował, uśmiechnął nieszczercze.

- Co mnie zdradziło? - Wskazał znacząco na niewielką kałużę na blacie biurka, po czym podjął zmienionym głosem. - Słuchaj uważnie, chłopczy. Pewnie w pierwszej chwili pomyślisz, że oszalałem albo bajdurzę. Wysłuchaj jednak do końca i, w miarę możliwości, wstrzymaj prosię z osądem.

Dionizy nabrał nagle przeczucia, że doskonale wiedział, co takiego ojciec miał mu do powiedzenia.

- Otóż. - Jan odkaslnął, wziął od syna butelkę. - W naszym stawie przebywa... nie da się tego powiedzieć, nie brzmiąc jak kompletny idiota. W stawie mieszka...

- Rusalka - dokończył za ojca Dionizy.

Stary Zawisza obrzucił syna badawczym spojrzeniem, jakby usiłował doszukać się w jego słowach kpiny. Niczego takiego nie złowił. Potarł zmęczoną twarz.

- Widziałeś ją?

- Tak. Rozmawiałem z nią nawet. Kilukrotnie.

- Rozmawiałeś? I co?

- I nic. Wydaje się, bo ja wiem, miła?

- Miła...

- Tak. Normalna dziewczyna, tyle że mieszka pod wodą.

- Synu, ona zabiła Evę. Mogła zabić i ciebie. Kiedy rozmawiałeś z nią po raz ostatni?

- Dzisiaj, tuż po tym, gdy Eva... utonęła.

- I nie dostrzegasz w tym niczego nadzwyczajnego? Przecież to jasne jak słońce, że Hanka ją zamordowała z zemsty na

mnie.

Dionizy wybałuszył na ojca oczy.

- Dlaczego miałyby się mścić na tobie?

- Synu. - Jan westchnął głęboko. - Ja i Hanka... Skoro ją widziałeś to jak możesz nie wiedzieć, kim była za życia?

Dionizy przypomniał sobie Tomasza, służącego w domu dłużej niż on sam żył, a którego jakby widział dzisiaj po raz pierwszy. Chłopak nie zwracał na służbę najmniejszej uwagi. Ludzie tła, tak o nich myślał. Kiedy są to ich nie widać. Dopiero gdy ich zabraknie, człowiek dostrzegał nieobecność.

- Hanka była moją pokojówką - wyjaśnił Jan. - A zdarzało się, że prosiłem, by została w pokoju. Któregoś dnia przyszła i oznajmiła, że jest w ciąży. Zaczęła mnie straszyć, że wszystkim rozpowie. Groziła, że zszarga me dobre imię. Wielki pan na włościach, który ukrzywdził małąletnią służkę, mówiła.

- Ojczy, co ty zrobiłeś? - Dionizy poczuł, jak strach ściska go lodowatą ręką za szyję.

- Nie mogłem dopuścić do tego, aby wieść o bękarcie się rozeszła. Nie mogłem też pozwolić Hance urodzić. Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Aż wreszcie, zupełnie zniemacka, pomyślałem, że łatwo mogę rozwiązać problem.

- Nie chcę tego słuchać.

- Zaprowadziłem ją nad staw, uderzyłem w głowę. Przywiązałem kamień i wrzuciłem do wody. Nawet nie wiesz, jak się bałem, że moja zbrodnia wyjdzie na jaw. Codziennie oczekiwałem, że się wyda. Oczekiwałem kolejnego szantażysty, grożącego, że wyjawi mój sekret. Ale minął niemal rok i nikt nie przyszedł. Tylko po jakimś czasie w folwarku mówili o młodej topielicy, którą można czasem zobaczyć nad stawami. Ale, myślałem sobie, kto by dawał wiarę takim bajaniom? Nie ma się czym przejmować. Aż któregoś dnia poszedłem nad wodę i zobaczyłem na własne oczy.

Jan umilkł na moment. Wyglądał bardzo staro. Zupełnie jakby ciężar sekretu, jaki w sobie nosił, odbierał mu siłę.

- Powiedziała mi wtedy, że któregoś dnia się zemści, odplaci za to, co jej zrobiłem. Nie mogłem uwierzyć, że rzeczywiście istnieje. Stałem na brzegu i patrzyłem na dziewczynę, którą zabiłem. Wreszcie po prostu stamtąd uciekłem. Nie widziałem jej aż do dzisiaj, kiedy zawróciłem nad staw. Chciałem... Pokazała się tylko na moment i powiedziała, że to dziś. Powiedziała, że zemsta się dopełni. Wskoczyłem do wody i chciałem... Sam nie wiem, chyba na chwilę mnie zamroczyło. W każdy razie Hanka rozplynęła się jak mgła. Brodziłem w stawie, wołałem jej imię, ale więcej się nie pokazała.

- Ojczce, Johan się zastrzelił - rzekł po chwili ciszy Dionizy. - Jindrich i ja próbowaliśmy go ratować.

- Zemsta - wydusił przez zaciśnięte zęby Jan. - Ona myśli, że tylko jej wolno się zemścić? Przekonamy się. Każę spuścić wodę ze stawów, zasypać wapnem i krowim łajnem. Sprawię, że ta jędzca zdechnie jak śnięta ryba. Zabiję ją po raz drugi.

- A co, jeśli się mylisz? Przecież mogła mnie skrzywdzić, a tego nie zrobiła. Czy zabicie twojego dziedzica nie byłoby wystarczająco satysfakcjonującą zemstą? Po co miałyby mordować przypadkową osobę, której nawet nie znała? Dopiero ode mnie dowiedziała się, kim była Eva. Ojczce, uważam, że wyciągasz pochopne wnioski.

- Nie, mój synu. Powinienem był zniszczyć stawy już wtedy, gdy widziałem w nich Hanke po raz pierwszy. Zaniedbałem sprawę i to moja wina. Nie pozwolę, by w mej przytomności ucierpiał ktokolwiek inny. A teraz zostaw mnie samego.

- Tato, zastanów się...

- Rzekłem! - Jan uderzył otwartą dłońią w biurko.

Dionizy uniósł się ciężko i wyszedł z gabinetu. W folwarku panowała martwa cisza. Chłopak spuścił głowę i westchnął ciężko. Powziął decyzję, choć obawiał się jej konsekwencji.

* * *

Stojąc w przybrzeżnym mule, Dionizy rozważał to, co zamierzał zrobić. Nie chciał pozwolić, by ojciec skrzywdził niewinną dziewczynę po raz drugi. Postanowił ostrzec Hanię, a następnie wynieść się z folwarku. Miał zamiar ruszyć do Krakowa i zająć się sztuką, tak jak marzył od dawna. Zrozumiał, że nie dla niego było ziemiaństwo.

- Haniu? - wyszeptał konfidencyjnie, obawiając się, by nikt postronny nie dosłyszał wołania. - Haniu, to ja, Dionizy. Przyszedłem, żeby cię uratować.

- Uratować mnie?

Głos, który usłyszał, brzmiał inaczej niż ten, który zapamiętał. Zawarta w nim prastara złość zmroziła chłopaka. Spojrzał w dół, skąd dobiegały słowa i ujrzał straszłą, rozkładającą się twarz. Błede, opalizujące oczy, ogryziony przez raki i ryby nos i policzki, poplątane z glonami włosy wzywały spod tafli wody.

Dionizy rzucił się w tył, zbyt przestraszony, by krzyżeć. Było jednak za późno. Poczul dotyk zimnych, oślizgłych palców zaciskających się na kostce. Gwałtowne szarpnięcie zważyło go z nóg. Upadł z pluskiem i choć stał w płyčźnie zanurzył się cały, czując, jak gęsty muł wdziera się do otwartych w niemym krzyku ust.

Topielica, chwytając Dionizego za koszulę, przysunęła się bliżej, zawisła tuż nad nim. Straszna, zła. Uśmiechnięta złośliwie.

- Na co czekasz, kochany? - Pomimo że znajdowali się pod wodą, Dionizy słyszał każde słowo wyraźnie. - Dlaczego mnie nie uratujesz?

Z ust krzyczącego chłopaka wydobyła się kiść pęcherzyków powietrza. Hania zaniósła się upiornym chichotem. Szarpnięciem postawiła go na nogi, nie zwolniła jednak

mocnego uchwytu. Po wynurzeniu wyglądała znów jak zwykła dziewczyna. Przekrzywiła głowę zalotnie, włosy zafalowały, jak gdyby nadal znajdowały się w wodzie.

- A więc przed czym chcesz mnie ratować, bohaterze?

- Mój ojciec - wychrypiął podtopiony Dionizy. - Chce cię zabić.

- Czy wiesz, że już to zrobił? I czy wydaje ci się, że to, co mam teraz jest warte nazywania życiem, które warto ratować? Będę mu wdzięczna, jeśli uda mu się wyrwać mnie z tego przeklętego stawu.

- Haniu - jęknął chłopak, czując, jak długie, falujące niespokojnie włosy oplatają mu ciasno uda, pośladki, następnie plecy. - Co ci zrobiłem? Puść mnie wolno. Chciałem ci pomóc.

- Ty nawet nie wiesz, kim byłam za życia. Pięć lat służby, a tyś mnie nie poznał. Czy wiesz, jak cierpię każdego dnia? Czy wiesz, jak tęsknię do dziecka, które nosiłam, a nigdy nie poznałam? Twój ojciec mógł mnie wygnać, przekląć i posłać precz, wybrał inaczej. Skazał mnie na wieczną kąpiel z karpiami. Wiesz, jak bardzo jestem upokorzona? Jak wściekła? Ale nie bezsilna. Bo nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, to odbiorę mu jego dziecko. Za dodatkową korzyść poczytuję sobie, że udało mi się zabić twoją narzeczoną. Może wprowadzę dzięki temu więcej zamętu do życia tego knura Jana.

- Haniu, proszę puść - wyszlochał Dionizy, a usta drżały mu niekontrolowanie. - Nie chcę tak umierać.

- Uwierz, że rozumiem. Też nie chciałam - powiedziała topielica niemal współczująco.

W następnej chwili pęta z włosów zacisnęły się jak imadło, Hania porwała chłopaka w objęcia i zanurzyła pod wodę. Dionizy szamotał się wściekle, patrząc wprost w upiorną, napuchniętą twarz żyjącego trupa. Nic to jednak nie dało, uścisk nie zelżał ani odrobinę. Chłopak słabł, brakowało mu

tchu. Wiedział, że lada chwila będzie musiał nabrać oddechu, a wraz z nim woda wedrze się do płuc. Im bliżej końca, tym słabszy opór stawiał. Jak gdyby godził się z losem.

Ostatnim, co zobaczył, był rozmyty obraz wskazującego do stawu ojca. Jan coś krzyczał, brnąc przez mulisty odmęt. Potem była już tylko lodowata, mokra ciemność.

* * *

Gdy ponownie otwarł oczy, znajdował się we własnym pokoju. Przy jego łóżku siedział nie kto inny, a Jindrich Tyl. Przebrał się w czystą koszulę i spodnie, zmył też krew z rąk i twarzy. Przyglądał się Dionizemu ze smutkiem. Za plecami, w pewnym oddaleniu stał wyraźnie zakłopotany, znany chłopcu z widzenia prawnik. Ojciec korzystał z jego usług, ilekroć jakaś sprawa tudzież biznes wymagały powołania się na co bardziej zawile prawa handlu czy własności.

- Tak oto - przemówił, gdy dostrzegł, że chłopak się obudził. - Upadł dom Zawiszów.

- Jak...? O czym ty mówisz? - wychrypiał przez palące gardło Dionizy. - Gdzie ojciec?

- Jaśniepan, niechaj światłość wiekuista mu świeci, utonął był. Cudem jeno odratowawszy wpierw pierworodnego z kipieli pełnej karpia - dodał, nie siląc się nawet, by zamaskować kpinę w głosie. - Zadbam o to, by godnie go pochowano jako ostatniego Zawiszę ze Swarozyc.

Dionizy uniósł się na łokciach, wpatrując pytającym wzrokiem w Czecha, który szczerzył się jak kocur, który zagnał w kąć męczoną od dawna mysz.

- Och, racja. Ojciec twój zmienił w ostatniej chwili testament. Co prawda treść znam jedynie na wrywki, jestem jednak niemal pewien, że nie przypadnie ci do gustu to, co tam napisano.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Widzisz, ojciec twój zrozumiał, że jeśli zostawi dziedzinę w twoich rękach, ta popadnie w ruinę. Prawdopodobnie przepijesz, przehulasz, przegrasz w karty lub pozwolisz koleżkom poetom zniszczyć wszystko to, na co wiele pokoleń zacnego rodu pracowało w pocie czoła. Dlatego też w swej przepastnej mądrości zdecydował się pozostawić folwark mnie, jednocześnie wydziedziczając syna nicponia.

Dionizy spojrział w oczy uśmiechającego się chytrze Czecha, a wewnątrz zakiełkowało wstrętne przeczucie. Przeczucie, że oto niebawem nieszczęścia, jakie nawiedziły Zawiszów oraz von Gorlitzów, zostaną wyjaśnione. Prawnik tymczasem uciekał wzrokiem, nie śmiejąc spojrzeć na młodego Zawiszę.

Dionizy wstał z łóżka i byłby upadł, gdyby Jindrich go nie podtrzymał.

- Ostrożnie, chłopcze. Wszak nie chcę, by stała ci się krzywda. Niemniej, preferowałbym, abyś opuścił moje włości jeszcze dzisiaj.

- Gdzie ojciec?

- Biedaczek - rzucił Czech w stronę mecenasa. - Żałoba niechybnie odebrała mu zdolność trzeźwego myślenia. Proszę nas zostawić na moment samych, panie Bauman. Proszę zaczekać w gabinecie, tymczasem pomogę się chłopcu odziać i dojsć do jako takiego ładu. Musi wszak nastąpić odczyt ostatniej woli, nim ta oficjalnie wejdzie w życie. Nie myślę się w tej kwestii, prawda?

Urzędnik skinął jedynie głową i czym prędzej wyszedł na korytarz. Wyraźnym było, że obecność Jindricha Tyla mierzyła go wielce. Gdy tylko drzwi zamknęły się za urzędnikiem, Tyl porzucił wszelkie pozory przyjacielskości.

- Spakujesz rzeczy i wyniesiesz z tego domu natychmiast po odczycie. Dostaniesz konia, ale nic ponad to, więc przemyśl dobrze swój bagaż. Na pieniądze jednak nie licz. Zarób na nie brzdąkaniem na bałałajce, jeśli wola.

Dionizy, na którego nagle zwała się przygniatająca swym ciężarem rzeczywistość, odnalazł w sobie pokład siły napędzonej gniewem. Złapał Jindricha za przód koszuli i przyciągnął.

- Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, żebraku lużycki, ale mój ojciec nigdy nie pozwoliłby, żeby jego folwark...

- Żeby jego folwark co? - przerwał Jindrich, odpychając chłopaka. - Żeby jego folwark prosperował i kwitł pod moim nadzorem? Przypomnieć ci jego niedawne ultimatum? Jan od dawna żył pogodzony z myślą, że folwark przejdzie w ręce innej rodziny niż Zawisze.

- Nie wierzę w to - zaproponował słabo Dionizy, czując, jak opuszcza go pewność.

- Nie interesuje mnie, w co wierzysz, chłopcze. Wszystko jest na papierze, który z przyjemnością ci zademonstruję.

Już w drzwiach sypialni Jindrich odwrócił się do młodego Zawiszy i dodał:

- Ubierz się godnie, nie chcesz chyba pójść w nędzę, wyglądając jak nędzarz.

Dionizy kompletnie nie wiedział, co począć. Czyżby ojciec wyciął mu podobny numer? Czy byłoby go stać na to, aby równie okrutnie zabawić się z własnym synem? Z drugiej zaś strony Dionizy nie podejrzewał ojca o skłonności do zbrodni. A tymczasem i na tym polu rodzic srogo go zaskoczył.

Czując potworny zamęt w głowie, ubrał się w czystą koszulę oraz spodnie, narzucił na grzbiet aksamitną kamizelkę, której dopinaniem się już nie kłopotał. Wzuwając buty, dumął nad tym, co takiego zaszło nad stawem, gdy ojciec ruszył mu sukurs. Ostatnim co pamiętał, była zamazana sylwetka Jana brnąca przez płyciznę w stronę szamoczącej się z podtapianym Dionizym rusałki. Skoro ojciec utonął, mogło to oznaczać, że zdołał uratować syna, sam jednak przypłacił to życiem.

Dionizy zacisnął ze złości pięści tak mocno, że aż pobielały mu knykcie. Postanowił, że nie podda się bez walki. Stawi czoło pyszałkowatemu Tyłowi i podda w wątpliwość testament. Nie mógł bowiem pozwolić, aby ofiara, jaką poniósł ojciec, poszła na marne. A w to, że Jan dobrowolnie oddałby obcemu folwark i bogactwa, zwyczajnie nie wierzył.

* * *

W gabinecie ojca nadal pachniało cygaretkami, które ten namiętnie palił. Za biurkiem siedział rozparty wygodnie w zdobionym fotelu Jindrych Tyl, naprzeciwko zaś na znacznie mniej reprezentacyjnym krześle przycupnął prawnik. Pan Bauman w dalszym ciągu sprawiał wrażenie wielce zakłopotanego, a gdy tylko Dionizy wszedł do pokoju, jego wzrok nieustannie skakał w stronę chłopca.

Czech bez słowa wskazał młodemu Zawiszy krzesło, po czym dał znak urzędnikowi, by przystąpił do odczytu ostatniej woli tragicznie zmarłego. Zawisza nie skorzystał z zaproszenia, zamiast tego przystąpił do ataku.

- Cała ta farsa jest ukartowana. Ty zdrajco, ojciec traktował cię jak rodzinę, a ty odpłacasz mu w taki sposób?

- Panie Zawiszo - odezwał się niespodziewanie mecenas. - Rozumiem pana uniesienie oraz rozemocjonowanie, jednak zapewniam pana, że dokument, który trzymam w ręku, jest zupełnie w porządku. Podpis należy do pana tragicznie zmarłego ojca, a fakt zmiany testamentu nie jest w środowisku elit niczym niezwykłym. Jakkolwiek krzywdzące by to dla pana nie było. Także przez wzgląd na pamięć pana Jana, proszę, aby zajął pan miejsce i wysłuchał ostatniej woli pańskiego rodzica.

- Jesteście w zмовie. - Dionizy nagle doznał olśnienia. - To jest ukartowany spisek.

- Czy jeśli zobaczy pan podpis ojca uspokoi to pana i przekona o tym, że żaden spisek nie istnieje? - spytał pan

Bauman.

Dionizy zmrużył podejrzliwie oczy, skinął jednak głową. Prawnik przeciął sprawnym ruchem kopertę, w jakiej znajdował się testament, a następnie wyjął ze środka cienki plik kartek. Podał chłopakowi ostatnią.

- To niemożliwe. Ten szczur podrobił podpis ojca. Ojciec nigdy by się nie zgodził...

- Dość tego! - Zerwał się z miejsca Jindrich. - Wystarczająco długo pozwalam na tę farsę. Jeśli w tej chwili nie zamilknie i nie usiądziesz, wezwę służbę i każę wygnać cię precz, a wcześniej wybatożyć.

- Ty knurze przebiegły...

Dionizy, widząc jednak, że Jindrich sposobił się do wyjścia z gabinetu, opadł na krzesło. Nadal jednak kipiał z wściekłości. Na dany przez Czecha znak urzędnik odchrząknął i zabrał się za oficjalny odczyt ostatniej woli i testamentu Jana Apoloniusza Zawiszy. Niedowierzenie Dionizego rosło z każdym akapitem. Wyglądało bowiem na to, że ojciec pozostawił mu w spadku kompletne nic.

- Memu jedynemu zaś potomkowi, Dionizemu Janowi Zawiszy, pozostawiam jednego konia ze stajni, którego wybrać sam będzie mógł wraz z rzędem, ale nic ponadto. Niechaj wiadomym będzie, że dokument ów spisałem, będąc zdrowym zarówno na umyśle, jak i ciele w obecności mego zaufanego sekretarza, Jindricha Jakuba Tyla, którego, jak rzekło się we wcześniejszych ustępach, mianuję jedynym spadkobiercą. Podpisano Jan Apoloniusz Zawisza, podpis świadka zaś widnieje tuż obok, a jest nim obecny tutaj pan Tyl.

- Tak zatem sprawę mamy z głowy. - Klasnął w dłonie wyraźnie zadowolony spadkobierca majątku Zawiszów. - Dziękuję bardzo, panie mecenasie, za poświęcony czas, a także przepraszam niezmiernie za przykrość, jaka pana spotkała ze

strony młodego panicza. Sam pan rozumie, że sytuacja, w jakiej się znalazł, nie należy do prostych ani przyjemnych.

- Rozumiem, jak najbardziej. - Bauman rzucił przelotnie okiem na siedzącego bez ruchu Dionizego. - Żegnam panów. A panu, panie Dionizy, życzę jak najlepiej. Przykro mi z powodu śmierci pańskiego ojca, którego niezmiernie szanowałem. Współczuję również tego, jaki sprawy przybrały dla pana obrót.

W chwili, gdy stuknęły zamykane drzwi, Jindrich odchylił się na oparcie fotela, wyłożył stopy na biurko. Przypatrywał się z mściwą satysfakcją Dionizemu, który sprawiał wrażenie, jak gdyby dotknęła go katatonia.

- Widzisz, mój drogi, mógłbym zostawić cię w stanie nieświadomości i po prostu wygnać precz z mego dworku jak niechcianego gościa. Którym, nawiasem mówiąc, jesteś. Ale o wiele większą przyjemność sprawi mi wyjaśnienie sytuacji teraz, gdy prawnicze ucho pana Baumana Aleksandra nas opuściło.

Przez moment Jindrich wpatrywał się w młodego Zawiszę, jakby czekając na reakcję. Chłopiec jednak nie poruszył się ani odrobinę na krześle, a wzrok nadal miał utkwiony nieruchomo w bliżej nieokreślonym punkcie.

- Otóż, nie odmówię sobie perwersyjnej przyjemności, jaką dostarczy mi świadomość tego, iż przeżyjesz resztę życia, wiedząc, dlaczego popadłeś w nędzę. Oraz komu zawdzięczasz taki stan rzeczy. Wyobraź sobie, o ile potrafisz, że kochasz kogoś tak mocno, że nie możesz spać, jedzenie nie smakuje, a za każdym razem, gdy ją widzisz, w środku ściska tak mocno, że aż boli. Wyobraź sobie też, że nic nie możesz poradzić, nie możesz jej wyjawic uczuć, nie możesz poprosić o to, byście byli razem, bowiem byłby to potworny mezalians. Plama na honorze, potworne faux pas. Kobieta twoich snów jest służką, prostą dziewczką z okolicznej wsi, która nie potrafi czytać,

wychowała się w chacie, którą dzieliła nie tylko z kilkoma pokoleniami rodziny równocześnie, ale także z trzodą chlewną.

Jindrich zmienił ułożenie nóg na biurku, odkaszlnął. Następnie wrócił do opowieści, sycąc się tonem własnego głosu.

- Ale pomimo tego, że przyszła na świat w oplakanych warunkach, a jej rodzice to prostaczkowie, jest inna. Ma w sobie cząstkę magii, która sprawia, że świat wokół jaśnieje, deszcz pada jakby rzadziej, gnój tak nie cuchnie, a jedzenie smakuje lepiej. I taką właśnie istotkę zatrudnia miłościwy Jan Apoloniusz, którego dobroć i złote serce znane jest w całej okolicy. Wszak większość miejscowych pracuje właśnie u niego na folwarku, jemu zawdzięczają jedzenie, które znajduje się na ich talerzach. Wpierw moja pani pracowała w polu, ponieważ nic innego nie potrafiła robić. Wkrótce jednak miało się okazać, że była to dziewczyna niejednego talentu. Tak też wypracowała sobie ścieżkę do służby domowej. A tam niechybnie wpadła w oko starzającemu się, choć nadal przystojnemu wdowcowi. Mnie, jak uważasz, wpadła ona w oko znacznie wcześniej. Ale ja, w odróżnieniu od wdowca, mam integralność, której nie sposób nadwątlić. Nie pohańbiłbym Bogu ducha winnej dziewczyny w imię zaspokojenia moich potrzeb.

- Tak - podjął po chwili milczenia Jindrich. - Twój ojciec jednak hańbą młodziutkiej chłopki nie przejął się ani odrobinę i wyczyniał z nią wszelakie zdrożności. Rzeczy, o jakich nie śmiem, ani nie mam ochoty rozmyślać. Przyznam, że już wtedy zacząłem dumać nad tym, w jaki sposób odegrać się na Janie. Obrzydliwym wydało mi się jego postępowanie. Nadużywał władzy i pozycji, by nastawać na cnotę niewinnej dziewczyny, a ja po prostu nie mogłem na to spokojnie patrzeć. Ale, wstyd przyznać, patrzyłem. I to dość długo. Za długo, jak się wkrótce miało okazać, bowiem Hania znikła. W prawdziwie tajemniczych okolicznościach.

Na dźwięk imienia dziewczyny Dionizy drgnął nieznacznie i przeniósł spojrzenie niewidzących oczu na Jindricha. Czech uśmiechnął się dość smutno.

- Kilka dni po jej zaginięciu podczas jednego z obchodów włości spotkałem ją. W jakiej postaci i okolicznościach, sam wiesz. Też ją taką widziałeś. Wstyd powiedzieć, ale w pierwszej chwili uciekłem w popłochu. Myślałem nawet nad tym, by wezwać kogoś, by pozbył się... upiora. Tak wtedy o niej myślałem. Ale im więcej czasu mijało, im więcej o tym myślałem, tym bardziej wstydziłem się swej pierwszej reakcji. Aż w końcu wróciłem nad staw, porozmawiałem z nią. Wszystko jej powiedziałem. To, co należało wyjawić, gdy jeszcze żyła. Wtedy też uknuliśmy wspólnie plan, który, z dumą to mówię, dzisiaj zaowocował w pełni.

Dionizy poczuł, jak opuszczają go resztki sił. Zrozumiał już wszystko i nie miał dalszej ochoty wysłuchiwać przechwałek zdrajcy. Wstał z krzesła i ruszył ku drzwiom.

- Nie interesuje cię kwestia testamentu? - zagaił beztróskim głosem Jindrich.

- W najmniejszym nawet stopniu. Wystarczy mi świadomość, że go podrobiłeś. W jaki sposób i jak przekonałeś prawnika, by przymknął oko na jawnie fałszywy dokument, tego wiedzieć nie muszę.

- Otóż, mój kochany chłopcze, mylisz się. Testament jest jak najbardziej prawdziwy. Twój ojciec spisał go własnoręcznie. To pierwotna wersja, która zakładała, że nie ulegniesz poprawie i przepuścisz ojcowski majątek. Tak, Dionizy, mój złoty chłopcze. Twój ojciec przez to, jak wielkim wałkoniem przez większość życia byłeś, gotów był oddać swą spuściznę w ręce obcego niemal człowieka. Byle tylko wiedzieć, że dorobek życia kilku pokoleń jego rodu nie poszedł na marne. Druga wersja zaś, ta, która przewidywała ciebie jako dziedzica, cóż, wystarczy rzec, że mnie ona na rękę nie jest i nigdy nie była. Dlatego przestała

istnieć. Mam nadzieję, że dało ci to do myślenia. A teraz, jeśli pozwolisz, odprowadzę cię do stajni, gdzie zgodnie z ostatnią wolą ojca wybierzesz konia oraz, co niezwykle istotne, rząd.

Chłopiec, nie czekając na Jindricha, wyszedł na korytarz. Szedł wyłożoną miękkim dywanem galerią jak w malignie. Nie docierało do niego, że oto widział dom, w jakim przyszedł na świat po raz ostatni. Nie mógł objąć rozumem tego, że nie tylko wykiwano go i odebrano dziedzictwo, ale także zamordowano ojca. W chwili, gdy zdawało się, że wraz z ojcem zaczynali znajdować wspólny język.

Wreszcie dotarł do stajni, gdzie niemal bezwiednie podszedł do boksu Osamy. Arab, jak gdyby pomny nieszczęścia, do jakiego się przyczynił, dał się osiodłać, a także dosiąść bez zwyczajowego boczenia. Wreszcie Dionizy wyprowadził wierzchowca na zewnątrz, bez słowa minął wyraźnie promieniającego Jindricha.

- Żegnam i obyśmy się już nigdy więcej nie widzieli. - Pomachał kpiąco Czech na pożegnanie.

Młody Zawisza pociągnął Osamę za wodze, skierował w stronę stawów. Nie wiedział jeszcze w pełni, co takiego zamierzał. Wiedział jedynie, a w zasadzie czuł, że tak należało postąpić. Że należało tam właśnie dokończyć sprawę. Dotarłszy nad mulistą wodę, zsunął się z siodła i stanął na porośniętym pałką i tatarakiem brzegu. Omiótł spojrzeniem niezmaconą ani jedną zmarszczką powierzchnię, po czym zsunął się ostrożnie w odmęt. Zakłębiły się tumany unoszącego z dna piachu. Na środo stawu zaś głośno plusnęło o wodę coś, co mogło równie dobrze być sporym karpem, jak i czymś zgoła innym. Dionizy zacisnął mocno powieki i ruszył przed siebie. Wolał nie patrzeć. Drugi raz nie chciał tego widzieć.

Kupałnoka

Wleśnych ostępach, które oblepiały nitki mgły, rozniósł się echem nieludzki krzyk cierpiącej kobiety. Spłoszone jaroszki czmychnęły do błotnistych jam. Gdzieś opodal zaszczekał lis. Jazgot powtórzył się, tym razem jeszcze głośniejszy, zakończony nagle jak gdyby tej, która cierpiała, brakło tchu.

Podążając za wrzaskami, możnaby dotrzeć do małej, wciśniętej niejako między napierające na siebie ściany lasu wsi. Sioło liczyło sobie raptem kilka chałup, pośród których jednak pyszniła się opatrzona wieżą kątyna poświęcona czci Peruna, boga wszystkiego. Mieszkańcy wsi wiedzieli, kto krzyczał i z jakiego powodu. Pomimo późnej pory niemal nikt nie spał. Ludzie stali przed domami, okryci wełnianymi płaszczami, chroniąc się przed siekącymi podmuchami zimowego wiatru, który, zdawało się, za nic nie odpuści. Wsłuchiwali się w krzyki kobiety, rozmyślając nad powodem jej cierpienia. Niejeden dumał, czy mógł zrobić cokolwiek, by zapobiec nieszczęściu.

Dla wrzeszczącej podobne rozmyślenia nie miały najmniejszego znaczenia. Musiała zmierzyć się z rzeczywistością, która atakowała ją równie zaciekle co osaczony ryś. Dlatego też zacisnęła zęby, wbiła pięści mocniej w siennik i wrzasnęła po raz kolejny.

* * *

Gosława urodziła się w niewoli, a jako że niewolnice nie mogły mieć dzieci, odebrano ją matce i sprzedano. Trafiła do dobrego pana, a że nie знаła innego życia, niewiele w dzieciństwie

uwagi poświęcała swemu statusowi. Kiedy jednak zbliżyła się wieku kobiecego i po raz pierwszy się zakochała, wtedy wszystko uległo zmianie.

W dosadnie brutalny sposób wyjaśniono zarówno jej, jak i niedoszłemu kochankowi, że niewolnikom nie wolno dobierać się pary. Chłopaka wychłostano kańczugiem, Gosławie zaś obcięto włosy przy samej skórze. Od tamtej pory dziewczyna zapalała nienawiścią do wszystkich, którzy posiadali niewolników i obiecała sobie, że odzyska wolność. Gosława nie zwykła rzucać słów na wiatr, tak zatem już w kilka tygodni była gotowa do ucieczki. Gromadziła prowiant, który mogła bez trudu unieść, udało jej się nawet wynieść z kuchni saks, którym kucharze porcjowali mięso.

Zaczekawszy do późnej nocy, zawinęła dobytek w wełniany koc, który następnie przywiązała kawałkiem sznurka do pleców tak, że tworzył ciasny tobołek. Bacząc, by nie narobić hałasu i nie zbudzić nikogo w chacie, w której spała z innymi niewolnicami, wymknęła się na zewnątrz. Księżyc wciąż znajdował się w nowiu, a w dodatku niebo zasłaniała gęsta warstwa chmur, toteż noc była wyjątkowo ciemna. Szczęście dopisywało Gosławie. Skradała się opustoszałymi alejkami grodu, jednak zdawało się, że nikt z wojów gospodarza nie pełnił warty. Nie napotkała nikogo do chwili, gdy dotarła do bramy z ciosanych sosnowych pni.

Dwóch wartowników w hełmach z osłonami na nos stało wspartych o włócznie z tarczami przewieszonymi przez plecy i gawędziło od niechcenia. Sprawiali takie wrażenie, jak gdyby na nogach trzymali się tylko dzięki drzewcom broni zatkniętym w miękką ziemię.

Gosława ukryta za węglem chaty, stojącej najbliżej palisady, myślała gorączkowo. Liczyła na to, że strażnicy będą spać, a jej po prostu udałoby się prześlizgnąć. Dawno drużyna gospodarza nie wyruszała na wyprawę za wezwaniem kniazia, ani też nikt

nie napadał na gród, toteż wojowie poruszali się bardziej ociężale, więcej jedli i pili miodu. Dlatego też dziewczyna była zaskoczona, widząc wartowników pogrążonych w lekkim odętwieniu, jednak nadal przytomnych.

Zawahała się, a to z kolei sprawiło, że straciła pewność siebie oraz zapął do ucieczki. Zdało jej się, że marzenie o wolności oraz wściekłość na gospodarza to mrzonki, którym nie należało ulec. Urodziła się wszak niewolnicą, zatem bogowie najwyraźniej taką Dole dla niej przewidzieli, a żaden człowiek nie powinien występować przeciw boskim zamysłom. Być może Gosława porzuciłaby myśl o ucieczce i wróciła do chaty, gdyby jeden ze strażników nie oddalił się za potrzebą.

Uznawszy to za znak, przygotowała się do działania. Sprawdziła, czy przy pasku nadal wisiał długi nordycki nóż i ruszyła w stronę bramy. Nagle ktoś pochwycił ją w mocnym uścisku od tyłu, zatkał usta dłonią. Szarpnęła się w równej mierze ze strachu, co złości, jednak ktokolwiek porwał ją w ramiona, trzymał mocno.

- Nie krzycz, to ja. - Poczowała na lewym uchu ciepły oddech, rozluźniła się, słysząc znajomy głos. - Co ty wyrabiasz?

- Uciekam stąd precz - syknęła Gosława, gorączkowo wpatrując się w strażnika, który ziewał w najlepsze, czekając na powrót kompana. - A ty co? Na miłowanie gospodarza, który ci skórę kazał przetrzebić ci się zebrało? Zawlec mnie do niego teraz chcesz?

- Głupia - prychnął młodzieniec, który stał się przyczynkiem buntu Gosławy. - Uciekam z tobą. Widziałem, jak się szykujesz i od razu się domyśliłem, co zamierzasz.

Dziewczyna spojrzała na chłopaka niezdecydowana.

- Coś taka nagle oporna, co? Miesiąc nie minął, odkąd miłość sobie wyznaliśmy, a ty nagle traktujesz mnie, jakbym co knuł wobec ciebie.

- Przemku, przepraszam. Sama nie wiem...

Od strony bramy doleciało solidne kichnięcie, obwieszczające powrót drugiego wartownika. Mężczyźni wznowili niemrawą konwersację.

- No i masz, okazja właśnie przepadła. Dzięki tobie. Jak mam niby przemknąć obok dwóch chłopów, co?

- I obok jednego byś nie dała rady - skwitował Przemek dobitnie. - Ja też nie, dlatego ciesz się, żem cię naszedł. Znam sposób, dzięki któremu możemy stąd wyjść niezauważeni.

- Ciekawe jaki? Palisada otacza cały gród, a brama tylko jedna.

- A o drabinach słyszałaś? - rzekł chłopak z przekąsem. - Za barakami stoi jedna, wystarczająco wysoka, by się po niej wdrapać i zemknąć na drugą stronę.

Gosława rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku bramy oraz sennych strażników, po czym skinęła głową. Wraz z Przemkiem ruszyli ostrożnie wzdłuż zabudowań w kierunku chaty wojów. Bardzo ostrożnie, bacząc, by nie narobić hałasu, Przemek przeniósł drabinę o kilkanaście kroków dzielących ścianę długiego domu od palisady, następnie oparł ją o ciosane pnie zaostrzone na końcach.

- Proszę, jakie to łatwe uciec, gdy się ma nieco pomysłu - szepnął, nie śmiejąc podnieść głosu.

Gosława pierwsza wspięła się na drabinę i z jej wysokości rzuciła ostatnie spojrzenie na miejsce, które przez czternaście lat było zarówno jej domem, jak i więzieniem. Poczowała nagłe ukłucie strachu w okolicy żołądka. W chwili, w której znalazłaby się po drugiej stronie częstokołu, wkroczyłaby w nieznanne życie. Nie wiedziała, czego się należało po świecie spodziewać. Nigdy nie odeszła dalej niż pół dnia pieszo od grodu, a wszędzie, gdzie by nie pójść, znajdowały się gęste lasy i bagna. Równie dobrze tak właśnie mógł wyglądać i cały świat.

- No skaczące! - syknął Przemek, rozglądając się trwożliwie na boki.

Zdawało się, że chłopaka z wolna opuszczała buta i odwaga. Gosława rzuciła mu ostatnie spojrzenie, po czym przerzuciła nagi nad palisadą i niezgrabnie opuściła w dół. Pomimo iż ostokół nie był specjalnie wysoki, upadek zaskoczył dziewczynę. Tuż po tym, gdy jej stopy uderzyły w ziemię, straciła równowagę i zjechała z wału, który usypano wokół grodu. O mały włos nie odgryzła sobie języka, z trudem powstrzymując się od krzyku. Kiedy podniosła się na nogi, dostrzegła Przemka siedzącego okrakiem na palisadzie. Patrzył w kierunku grodu. Nagle dziewczyna usłyszała krzyk. W chwilę później jej niedoszły kochanek stęknął głucho, a z boku tuż pod żebrami wychynął mu w krwawym rozbryzgu grot włóczni. Gosława wbiła boleśnie paznokcie w twarz. Tymczasem w grodzie podniosła się wrzawa. Zmiana warty, która wyszła z baraków, dostrzegła Przemka na palisadzie i teraz biła na alarm.

Gosława nie miała chwili do stracenia. Ostatni raz spojrzała na chłopca przebitego włócznią, w dalszym ciągu siedzącego na palisadzie. Zdawało się jej, że Przemek żył, ale nie miała pewności. Zakasawszy długą spódnicę, popędziła w stronę czarnej ściany lasu. Wiedziała, że nie miała chwili do stracenia. Wojownicy mogli uznać, że Przemek był jedynym uciekinierem i poniechać pościgu. Mogli jednak ruszyć w pogoń. Nie miała najmniejszego zamiaru się o tym przekonać.

* * *

Ze strachu przed drużyną gospodarza maszerowała całą noc. Dopiero o świcie, gdy trawę pokryła ciężka rosa, Gosława odważyła się przystanąć. Kiedy rozpałała niewielkie ognisko z brzozowych gałęzi, które paliły się nawet mokre i rozścieliła derkę, pozwoliła sobie na żalobę po Przemku. Okryta grubym kocem, zwinięta w kłębek, płakała cicho za pierwszym chłopakiem, którego obdarzyła uczuciem. Myślała o tym, że

gdyby nie on pewnie nie udałoby się jej wymknąć z grodu. Dumiała też i o tym, że gdyby nie jej szaleńczy plan ucieczki, pewnie Przemek nadal by żył.

W pewnej chwili musiała zasnąć, bowiem gdy ponownie otworzyła oczy, ognisko całkiem wygasło, żar ledwie migotał, a słońce stało wysoko, przeświecając przez gałęzie drzew. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wraz z tym, jak trąc oczy wypędzała sen z głowy, docierały do niej wydarzenia poprzedniej nocy. Usiadła, okrywając się szczelnie kocem.

Po raz pierwszy w życiu była wolna, mogła robić, co się jej podobało. I uzmysłowiła sobie, że w planach ucieczki nie uwzględniła tego, co pocznie, gdy już wymsknie się z grodu. Nie знаła okolicy, nie miała pojęcia, w jakim kierunku znajdowało się jakiegokolwiek miasto czy też osada. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziała nawet, jak ani któredy należało wyjść z lasu.

Coraz bardziej zniechęcona sięgnęła do tłumoczek i wyjęła kawałek sera oraz suszone mięso. Posiliła się, napiła nieco wody, po czym zwinęła derkę i zarzuciwszy dobytek na plecy, ruszyła przed siebie. Doszła do wniosku, że jeśli będzie szła wystarczająco długo w jednym kierunku, w którymś momencie musi trafić na ludzi.

Maszerowała przez trzy dni. Wieczorami rozpałała ogień i jadła coraz skromniejsze kolacje. Prowiant, który wykradła z grodu, kończył się zastraszająco szybko, a w lesie było trudniej o zdobycie pożywienia niż Gosława przypuszczała. Nie potrafiła polować, poza tym nie miała przy sobie żadnej broni oprócz saksa, a ten nie nadawał się do tego celu. Dziewczyna zaczęła myśleć, że być może knieja nigdy się nie skończy i będzie w niej błędziła tak długo, aż umrze z wycieńczenia. Odganiała od siebie podobne myśli, wiedząc, że nie prowadziły do niczego dobrego. Niemniej jednak rósł w niej coraz trudniejszy do poskromienia niepokój. Wkrótce jedzenie mogło się skończyć

zupełnie, a jako niewolnica pracująca w obejściu nie nauczyła się sztuki przetrwania w głuszy. Nie umiała nawet rozpoznać roślin jadalnych od trujących. Jediną szansą było dotrzeć do zabudowań ludzkich.

Trzeciego wieczora, gdy siedziała przy ognisku, wpatrując się smętnie w kawałek sera, który jej został, usłyszała trzask gałęzi. Zerwała się na nogi, a ser wypadł jej wprost w płomień. Nie zwróciła na to niemal uwagi. Stała z saksem w dłoni i usiłowała wzrokiem przeniknąć zalegające okolicę ciemności.

- Nie obawiaj się. - Usłyszała za plecami miękki głos. - Nie zwykłem krzywdzić dziewczek.

Odwróciła się na pięcie tak gwałtownie, że niemal upadła. Po drugiej stronie ogniska stał wysoki mężczyzna ubrany w jasną tunikę, której koloru w rozmigotanym świetle trudno było się domyślić. Ramiona okrywał mu krótki płaszcz, spięty na piersi bogato zdobioną fibułą. Miał długie włosy zaplecione w warkocz, a w wyczesanej starannie brodzie lśniły srebrne koraliki. Mężczyzna nie wyglądał na uzbrojonego, lecz mimo to wzbudził w Gosławie niepokój.

- Czy zaprosisz mnie do swego ogniska, jak nakazuje zwyczaj?

- Nie znam zwyczajów i nigdy nie miałam ogniska, do którego mogłabym kogoś zaprosić - odparła, zaskakując śmiałością samą siebie.

Mężczyzna roześmiał się serdecznie, klasnął w dłonie.

- Wybacz, domagam się przestrzegania obyczaju, a sam się nie przedstawiłem. Zwą mnie Gromowitem.

- A cóż to za imię?

- Moje własne - odparł przybysz, a w jego jasnych oczach zamigotał tajemniczy błysk. - Nadal jednak nie poznałem twego imienia oraz nie otrzymałem pozwolenia, by usiąść przy

plamieniach. Noce, co prawda nadal są ciepłe, jednak przyjemniej siedzieć przy ogniu, aniżeli bez niego.

- Jestem Gosława - wyrzekła po chwili dziewczyna, nadal nie chowając noża do pochwy zawieszanej na pasku. - I zapraszam cię do mego ogniska. Ale wiedz, że jeśli spróbujesz czegokolwiek, co wzbudzi moje podejrzenia, nie zawaham się bronić.

Gromowił uklonił się nisko, po czym bez dalszych słów zachęty zwałił na ziemię, nie bacząc na to, że mógł przybrudzić swe wyraźnie bogate odzienie. Wsparty na łokciu obserwował z uśmiechem Gosławę, która zaniepokojona obecnością nieznanego nie wiedziała, co począć. Mężczyzna roześmiał się, po czym wysunął w kierunku dziewczyny zdobiony bukłak z jasnej skóry. Gosława gotowa była przysiąc, że jej niespodziewany gość w chwili przybycia nie miał przy sobie niczego.

- Nie obawiaj się - rzekł po raz drugi tego wieczora Gromowił. - To najlepszy miód, jaki w życiu wypijesz, mogę cię o tym zapewnić.

- Skąd taka pewność?

- Bo nie wydaje mi się, by dane ci było kiedykolwiek dotąd skosztować magicznego napoju - zaśmiał się mężczyzna, po czym widząc, że dziewczyna nadal była niezdecydowana, przytknął bukłak do ust.

Nieufnie podeszła do ogniska, usiadła w pewnym oddaleniu od Gromowiła, saks kładąc na skrzyżowanych nogach. Przyjęła jednak miód i upiła ostrożny łyk. Zaraz jednak przechyliła naczynie z powrotem, pociągnęła śmieiej. Przybysz nie kłamał. Miód był pyszny. Rozlewał się na języku oszałamiającą słodyczą, która pozostawiała po sobie lekko korzenny posmak. Gosława oddała mężczyźnie bukłak, czując, że pomimo iż wypiła jedynie odrobinę, zaczyna jej szumieć w głowie.

- Powiedz - odezwał się po chwili Gromowił, kładąc miód obok siebie, tak by znajdował się w zasięgu ręki. - Skąd uciekłaś?

Gosława się spięła. Chwyciwszy za nóż, zerwała się na nogi i wymierzyła broń w siedzącego w bezruchu mężczyznę. Ten zaś uśmiechnął się łagodnie, potarł opuszką palca swędzącą powiekę.

- Pozwolisz, że cię uspokoję. Nie wytropiłem cię na zlecenie twego pana, nie zamierzam oddawać cię nikomu i nie musisz się obawiać, że zechcę cię pojmać i sprzedać w kolejną niewolę. Jeśli nóż w garści dodaje ci otuchy, proszę bardzo, możesz go zatrzymać. Ale z doświadczenia wiem, że na troski i wszelakie lęki najlepiej działa miód.

To powiedziawszy, odkorkował ponownie bukłak, napił się, a następnie wyciągnął go w stronę Gosławy. Dziewczyna tym razem odmówiła trunku.

- Skąd wiesz?

- Że jesteś niewolnicą?

- Że byłam niewolnicą - wycedziła z naciskiem.

- Mam od groma darów, a jednym z nich jest spostrzegawczość. Wystarczy mi spojrzeć na człowieka, a wiem o nim bardzo wiele.

- I wypatrzyłeś we mnie niewolnicę?

- Zgadza się. Ale już nią nie jesteś, o ile dobrze rozumiem. Raduję mnie to. Nie pochwalam zwyczaju brania na własność bliźniego. Coś podobnego nie powinno mieć miejsca. Nigdy nie zrozumieję okrucieństwa, które w was drzemie. Napij się jeszcze, usiądź. Naprawdę nie zrobię ci nic złego.

- Kim jesteś? I jak to się stało, że natrafiłeś na mnie w tej głuszy?

- W tej chwili jestem wędrowcem, podobnie jak i ty. A to, że się spotkaliśmy, uwierz lub nie, to zupełny przypadek.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - orzekła z zaskakującym spokojem dziewczyna, po czym usiadła na powrót przy ogniu.

Wbrew oczekiwaniom jej słowa zdawały się nie robić na Gromowiju większego wrażenia. Uśmiechał się swoim zwyczajem, w dalszym ciągu półleżąc wsparty na łokciu.

* * *

Szli przez wiele dni, a knieja zdawała się nie mieć końca. W trakcie podróży Gromowił często schylał się, rozgarniał krzewy, sięgał w dziuple i zaglądał między gałęzie, wynajdując jagody, orzechy i inne smakołyki, w które obfitował las, a którymi częstował Gosławę. Dziewczyna nabierała coraz większego zaufania do tajemniczego towarzysza, a nawet zaczęła spoglądać na jego postawną sylwetkę oraz przystojną twarz z zaciekawieniem, którego do tej pory nie знаła. Wieczorami siadali przy ognisku i popijali z bukłaka miód, który zdawał się nie kończyć. Napój dodawał wigoru, poprawiał nastrój, a także rozjaśniał umysł.

Któregoś wieczora Gromowił zapragnął dowiedzieć się od Gosławy, jak się jej żyło jako niewolnicy. Dziewczyna wzruszyła ramionami, po czym cisnęła w ogień patyk, którym grzebała w popiele. Po chwili, kiedy zrozumiała, że mężczyzna nie odpuści, westchnęła i zaczęła mówić.

- Nie znałam innego życia, bo urodziłam się w niewoli. Moja matka była niewolnicą, ale nigdy jej nie poznałam, bo tuż po urodzeniu zabrali mnie od niej i sprzedali. Niewolnicom nie wolno mieć dzieci, bo przestają być dobrymi pracownikami - wyjaśniła rzeczowym tonem, widząc nierozumiejący wyraz twarzy Gromowiła. - Pytasz mnie, jak wyglądało moje życie? Nie wiem, nie znam innego, więc nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Mój gospodarz traktował mnie całkiem dobrze. Miał trzy żony, więc rzadko brał którąś z niewolnic do siebie. Nie bił

nas, ani nie pozwalał drużynie nas krzywdzić. Mężczyźni mieli gorzej, im częściej się obrywało i karano ich surowiej za nieposłuszeństwo. Nauczyłam się też wiele pożytecznych rzeczy. Umiem gotować, prac, robić mydło z popiołu, warzyć piwo.

- Będzie z ciebie dobra żona - przytaknął Gromowił, patrząc na dziewczynę uważnym wzrokiem. - A dlaczego uciekałaś? Coś się stało, prawda?

- Prawda. - Skinęła głową Gosława, a oczy jej zabłyśły. - Stało się coś, o czym nie chcę mówić.

Mężczyzna milczał przez dłuższy czas, wpatrując się w płomienie. Kiedy się odezwał, głos miał zmieniony.

- Ludzie są wspaniałymi istotami. Nie mógłbym sobie ich lepiej wymarzyć, a jednak zawodzą na każdym kroku, ciągle popełniają błędy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto sprawi drugiemu ból, cierpienie. Nigdy nie zrozumie, skąd bierze się słabość zmuszająca do ciemienia bliźnich. Wiedz bowiem, że ci, którzy lubują się w zadawaniu cierpienia innym, są w istocie słabi i tylko w taki sposób są w stanie fałszywie dowieść swej siły. Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Mam nadzieję, że odtąd twoje życie będzie lepsze.

- Ja również - odrzekła Gosława przez ściśnięte gardło.

- Śpijmy. Jutro dotrzemy na miejsce.

- Jakie miejsce? Dlaczego nie mówiłeś nic wcześniej?

- Mówię teraz. Jutro dojdziemy do Swarżyc. To niewielka osada, w której mieszka porządna kobieta, która z pewnością zechce cię przygarnąć. Nie obawiaj się, znam ją od lat i wiem, że można na niej polegać.

Gosława chciała zasypać mężczyznę pytaniami dotyczącymi zarówno wsi, jak i mieszkańców, jednak Gromowił odmówił odpowiedzi na którekolwiek z nich. Ułożył się plecami do ognia, okrył derką i zdawało się, że zasnął w mgnieniu oka. Gosława

zaś przez większą część nocy siedziała, dokładając od czasu do czasu opału do ogniska i dumiała nad przyszłością.

* * *

Nie wiedziała, kiedy zasnęła, musiała jednak to zrobić. Otworzyła oczy, a wokół nadal panowała noc. Ogień przygasł znacznie. W niewielkim oddaleniu słyszała głosy. Rozmawiało dwóch mężczyzn. Głos jednego był nieznacznie podniesiony i wyraźnie agresywny. Drugi zaś bez wątplenia należał do Gromowiła. Gosława przekręciła się na posłaniu, aby móc zobaczyć, z kim rozmawiał jej towarzysz. Właśnie wtedy uznała, że musiała w dalszym ciągu śnić. Gromowił bowiem emanował bladobłękitnym światłem, które widywała na niebie w rozbłyskach piorunów. Naprzeciw niego zaś stał wysoki i chudy jak tyczka starzec o długiej brodzie koloru mchu i krzaczastych brwiach osłaniających niemal całkiem oczy. Starzec ubrany był w powłóczystą szatę, ściągniętą w pasie krajką. Na głowie zaś pyszniło się rozłożyste poroże podobne do jeleniego.

Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w niezwykłą parę. Starzec o zielonych włosach wymierzył palec oskarżycielsko w Gromowiła, który, pomimo że sporo niższy, nie wyglądał na zaniepokojonego.

- Było jej przeznaczone zginąć w mojej kniei, a ty mnie tego pozbawiłeś. Odebrałeś mi ofiarę.

- Doprawdy? Tak ci powiedziały siostry, z którymi niechybnie rozmawiałeś, skoro takiś pewien. Nie? A zatem ja twierdzę, że przeznaczony tej dziewczce byłem ja i moja pomoc.

- Wystawiasz moją cierpliwość na ciężką próbę. To nie pierwsza dziewczka, którą ratujesz z opresji i prowadzisz do Radki. Moja żona...

- I z pewnością nie ostatnia, którą uratowałem - przerwał Gromowił, a oczy rozbłysły mu na moment błękitnym światłem.

- Nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy na tym, by ludzkie kobiety...

- I nie zrozumiesz! Dlatego zakończmy tę czczą rozmowę.

Rogaty starzec przez chwilę mierzył nienawistnie Gromowiła, po czym z wolna się odwrócił. Nim odszedł, jego wzrok na moment spotkał się ze spojrzeniem Gosławy. Dziewczyna zamarła, jakby przygwożdżona ciemnym spojrzeniem do posłania.

* * *

Usłyszeli Swarożyce, zanim te wychynęły spomiędzy drzew. Przez las echem niósł się odgłos piłowania oraz stukot młotków, do których wkrótce dołączyły pokrzykiwania ludzi.

Gosława nie powiedziała Gromowiłowi, że była świadkiem jego rozmowy z dziwnym gościem. Prawdę powiedziawszy, niewiele się odzywała, a i Gromowił sprawiał wrażenie zaszępionego. Kiedy zwijali obóz o poranku, mamrotał coś pod nosem, spoglądając raz za razem w stronę gęstwiny, jak gdyby oczekiwał, że kogoś tam zobaczy.

- Zaprowadzę cię do babki Radki - odezwał się nagle mężczyzna, czym wyrwał Gosławę z zamyślenia. - Zapewni ci dach nad głową, a także pomoże się urządzić.

- Jesteś pewien?

- Znam babkę od bardzo dawna i ręczę za nią. Pomogła mi już wiele razy.

Wreszcie wyszli spomiędzy drzew na udeptaną ścieżkę. W oddali, między szpalerem z pni, widać było kilka zabudowań wciśniętych między chybotające się ściany boru. Kiedy weszli między chaty, Gosława dostrzegła, że na obrzeżach wycinki, w której wzniesiono osadę, kilku mężczyzn uwijało się wokół wysokiego, topornie ciosanego słupa. Część heblowała długie deski, reszta sypała niski wał z ziemi, którym otoczono słup.

Widząc nierozumiejący wyraz twarzy Gosławy, Gromowił pospieszył z wyjaśnieniem.

- Budują kątynę ku czci Peruna.

- Co to takiego ta kątyna?

Mężczyzna uśmiechnął się pod wąsem, następnie przystanął i gestem nakazał Gosławie to samo. Stali zatem zwrócenii w kierunku budowy, patrząc na pracujących mieszkańców.

- Miejsce, w którym można składać ofiary i modlić się do bogów.

- Przecież od tego są święte zagajniki i prastare drzewa - zdziwiła się Gosława.

- Naturalnie, że tak. Ale kiedy w pobliżu nie ma świętych miejsc albo też mieszkańcy chcą okazać bogom nadzwyczajne względy, wtedy wznoszą budynek, który będzie pełnił rolę takiego zakątka. Rozumiesz?

- Tak - odparła dziewczyna, przygryzając dolną wargę w zamyśleniu. - A skąd wiesz, że ta będzie poświęcona Perunowi? Bogów jest wielu i każdemu należy się pamięć.

- Zgadza się. Perun jednak jest ich władcą, zatem to jemu oddaje się największą cześć. A poza tym, bywam w Swarożycach wcale często i przy ostatniej wizycie mieszkańcy wyjawili mi swój zamiar. Sądziłem jednak, że zabiorą się do roboty nieco wcześniej. Według tego, co mówili poprzednim razem, kątyna winna już stać.

Gosława obserwowała uwijających się przy robocie mężczyzn. Zauważyła, że pomimo iż zerkali w kierunku drogi, na której stała z Gromowiłem, żaden nie podszedł, by zwyczajowo się przywitać.

- Chodźmy, babka czeka. - Gromowił szturchnął dziewczynę w ramię i ruszyli w dalszą drogę.

- A skąd babka wie, że przyjdziemy?

- Babka wie bardzo wiele.

- Ale jakim cudem wie o tym, że przyjdziemy do niej i to właśnie dzisiaj? - Nie dawała spokoju Gosława.

- O to będziesz musiała ją spytać sama. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed zwyczajnie wyglądającą chatą. Jak każda inna we wsi zbudowana została z barwionych wapnem beli, na których wymalowano kolorowe koguciki i kwiatki, miała jedno okno z rybią błoną oraz dach kryty grubą na pół łokcia strzechą. Przed domem, wytyczone przez niski płotek z wikliny, mieściły się zachwaszczone rabatki porośnięte ziołami, wśród których, niby tyczki, tkwiły wysokie malwy. Słychać było brzęczenie pszczoł zbierających pracowicie pyłek kwiatowy. Gdzieś niedaleko zaszczekał pies.

Nim Gromowił zdążył choćby unieść rękę, by zastukać do drzwi, te otwały się poskrzypując lekko. W progu stanęła dziewczynka ubrana w białą, sięgającą ziemi koszulinę z podwiniętymi rękawami. Obdarzyła gości badawczym spojrzeniem, po czym spytała tonem, którym dzieci usiłują naśladować dorosłych:

- Ktoście są i w jakiej sprawie przychodzicie?

- Jestem przyjacielem twojej babki... - zaczął Gromowił, z trudem hamując cisnący się na usta uśmiech.

- Babka nie ma żadnych przyjaciół - ucięła temat dziewczynka i byłaby zamknęła drzwi, gdyby z wnętrza chaty nie doleciał skrzekliwy głos napominający dziecko.

Po chwili we framudze pojawiła się niewysoka, przysadzista staruszka o gniewnie nastroszonych brwiach i siwych, rozpuszczonych na ramiona włosach. Mrużąc oczy, by lepiej widzieć, otaksowała krytycznie Gosławę i Gromowiła, na którego widok wyraźnie się rozpromieniła.

- Witajcie, wasza wysokość. - Skłoniła lekko głowę. - Dawnoście nie zachodzili. Już myślałam, żeście o starej babce zapomnieli. Wchodźcie, wchodźcie. Nastąpże się, dziecko -

skarciła dziewczynkę, która w dalszym ciągu blokowała wejście.

Weszli do środka, w którym panował zaduch przepęlniony wonią ziół, gotowanej kaszy i maści na bóle stawów. Gosława знаła podobną kombinację wątpliwych aromatów. W grodzie również stała chata zamieszkała przez starowinkę, która trudniła się stawianiem wróżb i szeptaniem leczniczych zaklęć. W jej chacie pachniało podobnie.

Usiedli przy wąskim stole ustawionym pod oknem, którego błona ledwie wpuszczała światło. W kilku miejscach pełgały słabym ogniem kaganki, a na stole w plamie wosku stała świeca, jednak mimo to trzeba było chwili, by wzrok przyzwyczał się do panującego wewnątrz półmroku. Babka przykazała dziewczynce zagotować wodę na herbatę z morwy.

- Tak, dawnoście nie zachodzili - powtórzyła, zaplatając powykręcane artretyzmem palce na pękatym brzuchu. - A widzę, że dziewczkę nawet przyprowadziliście. Chwali się to, chwali, że o babce pamiętacie, zaufaniem darzycie. Wielcem rada, bo i znaczenie takie zaufanie ma dla mnie wielgie.

- Babko Radko, wiecie przecież, że zawsze jesteście w mej pamięci - rzekł miękko Gromowił, na co staruszka machnęła ręką, ale nie zdołała powstrzymać lekkiego uśmiechu. - Zajęty byłem ostatnio bardziej niż zwykle. Wiele teraz na mojej głowie spraw, więcej zmartwień.

Staruszka pokiwała głową w zamyśleniu, jak gdyby doskonale wiedziała, jakie troski miał na myśli Gromowił. Następnie wzięła z rąk usługującej dziewczynki kubek parujących ziół, podmuchała, by nieco ostudzić napar, siorbnęła i się skrzywiła.

- Gorące, pić nie idzie - mruknęła, odkładając zioła na stół. - Na długo umyśliliście dziewczkę u mnie zostawić?

- Nie na długo. Wrócę za rok. Do tego czasu zaopiekujcie się nią, babko.

Gosława przysłuchiwała się wymianie zdań, nie rozumiejąc niemal niczego. Zaczęła się obawiać, że uciekłszy z jednej niewoli, trafiła w kolejną. Babka musiała zauważyć jej rosący niepokój, bowiem sięgnęła przez stół i poklepała pocieszająco Gosławę po ramieniu.

- Nie lękaj się, dziewczyno. Źle ci ze mną i Bożenką nie będzie. Obie się tobą zajmiemy, nauczymy tego i owego. Nic się nie bój, żadna krzywda ci się nie stanie. Nie będziesz pierwszą, którą babka wzięła pod opiekę.

- Ale dlaczego? - wyjąkała Gosława, zła na siebie i nagłą słabość, jaka ją ogarnęła. - Czy nie wolno mi pójść w swoją stronę? Zrobić tego, co zechcę?

- Oczywiście, że wolno - rzekł Gromowił, szarpiąc w zamyśleniu brodę ozdobioną srebrem. - Nikt cię tu siłą nie zatrzyma. Jednak wiedz, że Swarożyce znajdują się o wiele dni drogi od innych osad, a okoliczne bory nie są bezpieczne. Nie oddaję cię w niewolę ani na służbę. Chcę, abyś była bezpieczna, a babka jest w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo do czasu mego powrotu. Zaznasz tu wszelkich wygod, ale nieróbstwo nie będzie tolerowane. Na dach nad głową i jedzenie w misce będziesz musiała zapracować.

- Ciągłe mówisz o swoim powrocie. Do czego chcesz wracać?

- Do ciebie. - Mężczyzna spojrzał Gosławie głęboko w oczy, a dziewczyna zadrżała, przypomniawszy sobie świetlistą postać, pod jaką w nocy rozmawiał z tajemniczym starcem z porożem na głowie. - Uratowałem ci życie, wobec czego jestem za ciebie odpowiedzialny. Milczysz, a zatem mam rozumieć, że zostaniesz u babki? Dobrze, a teraz zostawcie nas samych.

- Bożenko, weź nową dziewczkę na ogród i pokaż jej krzewy agrestu.

Staruszka odprowadziła Gosławę oraz jej małąletnią przewodniczkę wzrokiem, a gdy tylko drzwi się za nimi

zamknęły, zwróciła się do Gromowiła. Wzrok miała gniewny, brwi nastroszone i zdawało się, że cała jej postać emanuje jakąś tajemniczą, bardzo starą mocą. Mężczyzna zacisnął wargi, szykując się na wybuch złości.

- Która to już dziewczka, którą prowadzisz pod mój dach otumanioną miodem, z głową wypchaną mrzonkami o wielkiej misji zbawienia świata, co? Który to już poród będę musiała przyjąć w twoim imieniu? Ilu twoich bękartów stąpa po tym świecie, którzy nie widzieli swego ojca na oczy, a którym ogłupiałe matki tłuką do pustych łąbów, że powołano ich do wielkości, bowiem są synami wszechmocnego i...

- Dość, babko! - Uniósł się gniewiem Gromowił.

Odetchnął głęboko, rozluźnił bezwiednie zaciśnięte pięści. Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie stołu starą kobietę, a w jego oczach pełgały błękitne iskry.

- Ta nie jest brzemienna. Nie będzie żadnego porodu, którym będziesz musiała się zająć.

- Och, jakże mi ulżyło. A cóż to się stało, żeś tej jednej przepuścił? Wiek ci nie spasował? Za młoda? Pierwszą krew ma już dawno za sobą, a zatem jest kobietą. Mało to dziewczek w jej wieku dwójkę berbeci bawi?

- Po drodze spotkałem twojego męża - odezwał się po dość długim czasie Gromowił. - Nie był rad z naszego spotkania.

- Domyślam się, że nie. - Pokiwała głową staruszka, biorąc do ręki ostrożnie kubek ziół. - Nie od dziś wszak wiadomo, że ma ci za złe twoje leśne wędrówki. Uważa, że nie powinienes ratować zagubionych ludzi, którym bez twojej pomocy przeznaczona byłaby śmierć w lesie. Śmierć, którą on wzięłby na ofiarę, pragnę dodać.

- Gdyby wszystkim tym, których wyprowadziłem z kniei, byłaby pisana tam śmierć, nie udałoby mi się ich wyprowadzić.

- Ot, i masz ci go, najmądrzejszego - parsknęła Radka. - Jaki błyskotliwy, jak to bawi się słowami niby dziecko kasztanem.

Kolejna chwila milczenia trwała jeszcze dłużej niż poprzednia. Słysząc było odgłosy niosące się z placu budowy, gdzie mężczyźni rznęli drewno do budowy świątyni. Pszczoły w dalszym ciągu uwijały się w kwiatkach, świerszcze cykały zapamiętale, z zakamarków dachu dobiegał cienki szczebiot jaskółek, które uwiły w powale gniazdo.

- Przyjmiesz ją, babko, czy mam ją odprawić?

- Wiesz przecież, że przyjmę - zachnęła się Radka. - Nigdy nikomu nie odmówiłam pomocy i nie zamierzam zaczynać teraz. Nie jestem zachwycona, zwłaszcza że mała nie jest brzemienna, więc nie będzie się kim na dobrą sprawę opiekować, ale zrobię to, o co prosisz.

* * *

Pierwszej nocy Gosława obiecała sobie odejść ze Swarozyc najprędzej, jak to będzie możliwe. Nie podobała się jej babka Radka ani chata, w której mieszkała. Nie podobał się zapach, który unosił się w izbie. Nie podobał się nieustanny hałas za oknem, ani mężczyźni, którzy hałasowali. Nie podobało jej się to, że Gromowił, do którego obecności zdążyła się przyzwyczaić, a nawet odrobinę polubić, nagle znikł. Nie pożegnał się nawet. Kiedy Gosława wróciła ze spaceru po ogrodzie, w trakcie którego towarzyszyła jej małomówna i jednocześnie pyskata smarkula, mężczyzny już nie było, a babka nie chciała na temat tego, dokąd się udał, nic powiedzieć.

Kopnęła wściekle koc, którym była okryta, zawierciła się na niewygodnej ławie. W izbie mieściło się tylko jedno łóżko, o ile można tak określić wypchany starą słomą siennik grubości dziecięcej dłoni i zajmowała je babka. Zarówno Gosława, jak i mała Bożena spały na ustawionych pod przeciwległymi ścianami ławach, które zazwyczaj stały przy stole. Siedziska wyłożyły wyliniałymi futrami, by zaznać choć nieco wygody.

Gosława z przykrością stwierdziła, że nie zaznała jej zbyt wiele. Z goryczą rozmyślała o tym, że nie tak wyobrażała sobie wolność. Najpierw błąkała się po lesie, a teraz oddano ją pod wątpliwą opiekę staruszki, która wyglądała, jak gdyby miała się lada moment rozlecieć.

Obudziła się, kiedy światło świtu niemrawo napierało na szarawą błonę z rybiego pęcherza rozpiętą w oknie. Bolały ją plecy, czuła sztywność w karku, a na domiar złego nastął ten okres w miesiącu, gdy zwykle doskwierała jej dodatkowa słabość oraz melancholia. Odrzuciła zatem koc, myśląc o tym, że będąc niewolnicą lepiej się wysypiała i to w dogodniejszych warunkach, po czym wyszła na zewnątrz, by obmyć uda w wodzie ze studni na tyłach domu. Wychodząc, zauważyła, że łóżko babki stało puste, Bożena zaś spała w najlepsze, zwinięta w ciasny kłębek na ławie. Lewa ręka spoczywała na ziemi, wysunąwszy się spod przykrycia. Gosława przez moment chciała delikatnie wsunąć dziewczynce rękę z powrotem pod koc, zaraz jednak rozmyśliła się i pchnęła skrzypiące drzwi.

Poranek przywitał ją promieniami słońca, muskającymi nieśmiało baldachim drzew i letnim rodzajem chłodu, który zwiastował upalny dzień. Dziewczyna z przyjemnością zanurzyła bose stopy w przypruszonej kroplami rosy trawie. Powietrze pachniało kwiatami i ziemią.

Kiedy skończyła poranną toaletę i miała zamiar wrócić do chaty, dostrzegła ruch na skraju lasu. Chata babki Radki leżała na obrzeżach wsi w niewielkiej odległości od masywnej ściany boru. Mrużąc oczy przed wspinającymi się coraz wyżej promieniami słońca, wpatrywała się w niewielką sylwetkę staruszki, brodzącej w wysokich po biodra paprociach, łopianach i pokrzywach. Babka miała na sobie jedynie gieźło, a jej długie, siwe włosy falowały swobodnie w lekkich podmuchach wiatru. Musiała zauważyć Gosławę, bowiem uniosła dłoń w geście powitania i ruszyła w jej kierunku.

- Witajcie, babko - przywitała się Gosława, kiedy staruszka stanęła naprzeciwko.

- Źle spałaś - mruknęła zamiast powitania babka. - Dziś dam ci trochę kozłka i szyszek chmielu na sen, jeśli będziesz potrzebowała. A na krwawienie, jeśli cię boli, też coś wynajdę. Och, dziecko, nie ma co się oblewać rumieńcem. Mnie, co prawda, ta przypadłość opuściła już lata temu, ale w dalszym ciągu pamiętam, jak to było. Każda kobieta wie i żadna z nas nie powinna się tego wstydzić. Powiedz zatem, boli cię?

- Czasami tak - odparła dziewczyna, nie śmiejąc podnieść na babkę wzroku. - Dzisiaj nie.

Staruszka pokiwała głową, następnie skinęła na Gosławę, by ta poszła za nią. Weszły na powrót do chaty, a Radka, przechodząc obok śpiącej dziewczynki, pogłaskała ją delikatnie po głowie. Schyliła się też, by unieść małą rękę i wsunąć pod koc. Gosława z niezrozumiałych dla siebie powodów poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

- Zrobię ci czaju z ziół. Wypijesz na wszelki wypadek - mruzczała pod nosem babka, szperając w sporej komodzie. - Nigdy nie wiadomo z tymi dniami. Różnie może być, a po co się masz męczyć i cierpieć? No, tu są ziółka. Postaw no wodę w saganku, dziecko moje drogie.

Gosława drgnęła i zdjąwszy garnek z haka, na którym wisiał nad wygaszonym paleniskiem, pobiegła do studni, by zaczerpnąć wody. Pomimo tego, że słońce dopiero rozpoczynało wędrówkę przez niebo, wieś zdawała się być już rozbudzona. Mężczyźni, którzy pracowali na budowie, siedzieli na trawie zasypanej trocinami i jedli wspólne śniadanie, kilka kobiet niosących kosze z praniem szło nad rzekę, a towarzyszyła im roześmiana, choć niezbyt liczna gromadka półnagich dzieci. Słychać było gęganie gęsi, ochryple pianie koguta, przeciągłe gdakanie kur. Swarożyce, niewielkie, otulone zewsząd knieją, zdawały się tętnić życiem. Wioski nie otaczała żadna palisada,

nad zabudowaniami nie wznosiła się wieża strażnicza, w której dzień i noc wartę pełnił wojownik uzbrojony w łuk oraz pochodnię do rozniecenia ognia ostrzegawczego, a mimo to ludzie sprawiali wrażenie szczęśliwych i beztrudnych. Czuli się bezpiecznie, choć nic ich nie chroniło przed atakiem tak ludzi, jak i zwierząt. Gosława zadumała się nad tym na moment.

Z zamyślenia wyrwała ją Bożenka, która wzięła się przy studni nie wiadomo kiedy. Tarła zaspane oczy, a głowę miała zadartą, by móc spoglądać na Gosławę.

- Babka mówi, żebyś się pospieszyła z tą wodą - wymruczała głosem wciąż zachrypniętym od snu, po czym nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i wróciła do chaty.

Gosława szarpnęła za kawałek sznura przewleczonego przez uchwyty, szarpnęła wiadro w górę. Zauważyła, że jeden z robotników, młody chłopak o jasnych włosach sięgających ramion, przygląda się jej z zaciekawieniem. Kiedy zauważył, że i Gosława na niego spoglądała, pomachał dziewczynie. Gosława oblała się rumieńcem, poprawiła chwyt i czmychnęła do chaty.

* * *

Wnet okazało się, że babka nie miała względem swych podopiecznych wygórowanych oczekiwań. Dziewczyny większość dnia spędzały na drobnych pracach domowych, pielęły grządki, doglądały ziół, chadzały po obrzeżach lasu w poszukiwaniu jagód i jeżyn, a od czasu do czasu babka sadzała je przed domem, jeśli pogoda sprzyjała, lub w izbie, gdy padało, i opowiadała zapomniane historie. Snuła bajki o czasach tak dawnych, że bogowie byli dziećmi, a opowiadała o nich w tak przejmujący sposób, jak gdyby była ich świadkiem. Gosława słuchała opowieści z równym podnieceniem co Bożena. Staruszka zaś zdawała się pamiętać niezliczoną ilość legend, a każda kolejna wydawała się bardziej ekscytująca od poprzedniej. Najbardziej podobały się Gosławie te, w których

występował wszechmocny Perun. Według słów babki był ojcem wszystkich bogów i to od niego wywodzili się pierwsi ludzie, których spłodził ze swoją żoną, która wzięła się z myśli oraz pragnień. Gosława chłoneła każde słowo, a zachwyt ani na chwilę jej nie opuszczał. Wychowawszy się w niewoli, nie miała wiele do czynienia z religią. Kilku niewolników i niewolnic zmagawało krótkie modlitwy przed snem lub w chwilach wyjątkowej trwogi, jednak nikt nigdy nie wyjaśnił dziewczynie, do kogo się modlił ani dlaczego to robił. Snute przez babkę opowieści wprawiały Gosławę w iście dziecięcy zachwyt, a dodatkowo uczyły czegoś nowego o świecie.

Bywały jednak dni, gdy babka wyganiała Gosławę z domu, pragnąc zostać z małą Bożenką sama. Nie wdawała się w szczegóły, mówiąc jedynie, że uczy dziecko rzeczy, których nie może pokazać Gosławie. Bożena, gdy babka nie patrzyła, stroiła do starszej koleżanki głupie miny, zadowolona, że okazywano jej większe względy. W takie dni Gosława snuła się po wsi, której układ chat, obór i kurników znała już na pamięć. Najczęściej kręciła się przy budowie, gdzie mężczyźni pracowali w pocie czoła z obnażonymi torsami i mokrymi włosami lepiącymi się do ramion. Patrząc na mięśnie drgające pod zarośniętymi piersiami i twardymi ramionami, Gosława odkrywała w sobie coś, czego dotąd nie czuła. Nawet wtedy, gdy Przemek całował ją w drewnitni u gospodarza i niezdarnie wodził dłońmi po jej ciele.

Najmocniej oddziaływał na nią ten postawny blondyn, który machał tego dnia, gdy wracała ze studni. Chłopak wyraźnie zdawał sobie sprawę z zainteresowania, jakie wzbudzał w Gosławie. Zerkał na nią wcale otwarcie, by upewnić się, że patrzyła i napinał mięśnie bardziej, niż wymagała praca. Słał też dziewczynie zalotne uśmiechy, na które reagowała rumieńcami. Mężczyźni naśmiewali się z blondyna, szturchali ramionami, usiłując dodać mu animuszu do działania. Ten

jednak zdawał się nie reagować na nagabywanie towarzyszy. Gosława zaczęła się zastanawiać nawet, czy aby uśmiechy, jakie brała za zalotne, nie były w rzeczywistości kpinami. W chwili, gdy już straciła nadzieję, chłopak zdecydował się wykonać pierwszy krok.

W jeden z tych dni, gdy babka zamknęła się w chacie na tajemne nauki z Bożenką, Gosława jak zwykle ruszyła na spacer po wsi. Szła piaszczystą uliczką, mijając pomalowane na biało domy i lawirując między drobiem, który chadzał samopas po całych Swarożycach. Już z daleka widziała drewniane rusztowania oraz pęczniejące szkielety ścian przyszłej kątyny. Wśród budowniczych nie mogła nigdzie dostrzec jasnej czupryny, za którą tak tęsknie wyglądała. Zwolniła kroku, wpatrując się w pracujących mężczyzn, licząc na to, że gdzieś wśród nich dostrzeże tego jednego. Zdawało się jednak, że nie było go na budowie. Gdy w stronę dziewczyny poleciały rubaszne docinki oraz niewyszukane propozycje, przyspieszyła kroku.

Gosława widziała zmiany, jakie zachodziły w jej ciele. Wiedziała również, że wypukłości były miłe mężczyznom. Nie potrafiła jednak, poradzić sobie z natarczywymi i chamskimi komentarzami. Drażniło ją, kiedy rumieńce mimowolnie oblewały jej lico, a nogi same niosły do ucieczki. Nie miała jednak pomysłu, co innego mogła począć. Zaczęła nawet zastanawiać się nad poradzeniem się babki.

Pochłonięta ucieczką nie zwróciła większej uwagi na to, dokąd zmierzała, aż wpadła na wychodzącą z jednej z chat postać. Krzyknęła ze strachu i zaskoczenia, a na twarz oraz piersi trysnęła jej lepka, słodko pachnąca ciecz. Gosława, parskając miodem, którym ją oblano, cofnęła się o kilka kroków. Za plecami dała się słyszeć salwa śmiechu budowniczych. Dziewczyna uniosła wzrok i spojrzała wprost w urodziwą twarz, o której od kilku dni śniła wstydlive sny.

Pomimo tego, że włosy miał jasne jak dojrzała pszenica, brwi chłopaka były ciemne i gęste, jak gdyby zastygłe w groźnym grymasie. Oczy, o niezwykłym niebieskim odcieniu chabrow, spoglądały znad długiego wachlarza rzęs, a w ich głębi była jakaś tajemnica, która prosiła o to, by ją rozwikłać. Chłopak, równie zaskoczony co i ofiara, odłożył dzban miodu, który niósł dla towarzyszy, po czym podszedł do Gosławy z wyciągniętymi rękami, jak gdyby zamierzał wyczyścić jej koszulę. Zamarł jednak w pół kroku, uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Wybacz, nie widziałem cię. - Głos miał przyjemny dla ucha, nieco ochryply ton. - Będziesz musiała szybko uprać tę koszulę, inaczej plamy zaschną.

- Tak, będę musiała - wykrztusiła Gosława, usiłując odsunąć się jak najdalej, a jednocześnie pragnąc być jak najbliżej chłopaka o pszenicznych włosach.

- Zanim pójdziesz - rzekł młodzieniec, wpatrując się intensywnie w uciekające na bok oczy Gosławy. - Zdradzisz mi swoje imię? Nawiedzasz mnie w nocy, odkąd cię zobaczyłem po raz pierwszy, a nie wiem, do kogo wołać w ciemności.

Dziewczyna czuła, jak serce jej rośnie. Nisko w żołądku poczuła gwałtowny przypływ gorąca. Ośmielona, a nawet nieco rozochociona słowami blondyna, spojrzała prosto w dwa chabrowe odmęty.

- Jestem Gosława.

- Imię równie piękne co ta, która je nosi - rzekł miękko chłopak. - Mnie zwą Biezdarem. Mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem. Tymczasem muszę zaczerpnąć więcej miodu i wracać do pracy.

Biezdar schylił się po dzban, uśmiechnął czarująco do Gosławy i znikł w chacie. Tymczasem dziewczyna, bacząc, by nie oderwać się od ziemi od lekkości, jaka ją zalała, czmychnęła z dala od ciekawskich spojrzeń mężczyzn z budowy. Popędziła

do lasu, gdzie padła między paprocie i pozwoliła, by wstyd na chwilę przepadł, wygnany przez pożądanie oraz rozkosz.

* * *

Następnego ranka, niemal równo miesiąc po ucieczce Gosławy z grodu, do wsi wjechało stępa czterech jeźdźców. Pomimo tego, że dni stawały się coraz cieplejsze, mężczyźni mieli na sobie grube, pikowane tuniki. Każdy przez plecy miał przewieszoną tarczę migdałową, u boku jednoręczny toporek, a do siodła przytrzymane po dwie krótkie włócznie. Zmuszając wierzchowce do paradnego kroku, jeźdźcy prostowali się wyniośle w siodłach i sunęli główną, a zarazem jedyną uliczką wsi. Zatrzymali się przy budowie, na której od świtu uwijali się mężczyźni.

Gosława, która jak co rano wyszła do studni po wodę, stanęła jak wryta na widok zbrojnych. Nie poznała żadnego, jednak nie miała wątpliwości, że należeli do drużyny gospodarza. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, rzuciła wiadra na trawę i wbiegła do chaty babki Radki. Staruszka, marszcząc gniewnie czoło, spojrzała na miotającą się po izbie dziewczynę. Gosława w pośpiechu wdziewała odzież, wyszła bowiem w samym gieźle, w którym spała.

- A tobie dokąd to tak spieszo, a? - zagaiła babka, chwytając się pod boki.

- Gospodarza ludzie tu są - wydyszała Gosława, siłując się ze sznurowaniem koszuli. - Przyjechali po mnie. Zabiorą mnie.

- Gdzie cię niby zabiorą?

- Do niewoli, babko! Nie mam czasu, muszę uciekać.

- Niczego nie musisz robić - odparła z zadziwiającym spokojem staruszka, wracając do mieszania w saganie wiszącym nad ogniem. - I nikt cię stąd nie zabierze. Nie, dopóki mam coś do powiedzenia.

- Ale...

- Ale, ale - rzuciła, przedrzeźniając dziewczynę Radka. - Każdy we wsi wie, że jesteś u mnie, a to znaczy, żeś bezpieczna. Nikt cię nie zdradzi tak długo, jak jesteś pod moich dachem. A poza tym byłaś niewolnicą, jedną z wielu zapewne. Doprawy uważasz, że zapadłaś któremuś z wojów na tyle w pamięć, by cię rozpoznał? Dostali pewnie rozkaz zjechać okoliczne wsie, rozkaz, który wykonują bez większego przekonania, błąkając się po dukcie i pijąc po wsiach. Pojeżdżą tak kilka miesięcy, po czym wrócą do gospodarza z rozłożonymi rękami. Wszak zrobili, co mogli. Jestem pewna, moje dziecko, że mogłabyś teraz do nich podejść, a oni nie rozpoznaliby w tobie niewolnicy, którą byłaś.

Gosława niemal dała się uspokoić słowom babki, gdy do drzwi rozległo się pukanie. Siedząca do tej pory w milczeniu Bożena zerwała się z ławy i gestykując żywo, wskazywała to na drzwi, to na Gosławę, która wyglądała, jak gdyby miała zemdleć ze strachu. Babka obrzuciła obie podopieczne zniecierpliwionym spojrzeniem, wręczyła mniejszej dziewczynce warzechę i przykazała mieszać wywar. Następnie otworzyła z rozmachem drzwi, nie bacząc na to, że Gosława rzucała się dziko po izbie w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby się skryć.

- Witajcie, matko. - Od progu doleciał lekko ochryply, melodyjny głos. - Zdrowie dopisuje, niech bogi dadzą, mam nadzieję?

- Nie narzekam, chłopcze, nie narzekam. Lata mnie co prawda pomarszczyły jak łupinę orzecha, ale krzepy niejeden w twoim wieku mógłby mi pozazdrościć. Co też mogę dla ciebie zrobić?

- Wybaczcie, matko, ale do Gosławy zaszedłem. Przekazać chciałem, że czterech jeźdźców o nią rozpytywało we wsi. Mówili, że od jakiegoś pana z grodu są i że Gosława zbiegła.

- I coście powiedzieli? - spytała babka, a brzmienie jej głosu mogłoby skuć staw lodem.

- Nic im nie powiedzieliśmy, bośmy pomni, że dziewczka u was, matko, pod opieką. Tedy zbyliśmy wojów, mówiąc, że my na uboczu wieś, nikt do nas nie zachodzi, bo i nikt nie wie, że my tu w tych lasach przycupnięci. Znać było, że wojowie strudzeni drogą, miodu bądź piwa zawołali, tośmy dali. Napili się, podziękowali i pojechali dalej w kępę.

Babka rzuciła Gosławie wymowne spojrzenie, podziękowała chłopcu i zamknęła mu drzwi przed nosem, nie czekając nawet, czy tamten miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Widzisz, dziewczyno? Więcej wiary ci potrzeba. Mówiłam, że nie masz się czego obawiać, że u babki w chacie nic złego ci się przytrafić nie może.

- A co, jeśli wrócą? Co, jeśli nie przestaną szukać? Jeśli mnie w końcu najdą? - gorączkowała się Gosława.

- A co, jeśli nic z tych rzeczy się nie wydarzy? Dziecko, ileś ty warta była dla tego gospodarza, żeby miał ciebie do końca twych dni poszukiwać, co? Musiał wysłać kilku za tobą, żeby innym nieszczęśnikom przez myśl nie przemknęło, że równie łatwo mogą mu uciec. Inaczej okazałby słabość, a tego zrobić nie mógł. Gdyby cię poszukiwacze naszli i przywieźli nazad do grodu, tym lepiej dla gospodarza. Ale nie naszli cię i nie najdą już. Tedy nie frasuj się, tylko leć no po tę wodę, coś ją porzuciła w popłochu, bo się nam kasza w saganku całkiem zmarnuje.

* * *

Czas w Swarozycach zdawał się płynąć innym rytmem niż gdziekolwiek indziej. Każdy dzień pozornie wyglądał tak samo, a jednak w tej rutynie i ślamazarności zakłęty był jakiś cel, którego, jak dotąd, nie udało się Gosławie rozgryźć. Wstawała równo ze słońcem, które zgodnie z zamysłem bogów także budziło się coraz wcześniej, wykonywała szereg obowiązków,

pomagała w obejściu, uczyła się od babki różnych rzeczy jak rozróżnianie ziół, warzenie naparów i komponowanie suszy, tak by wyciągnąć z roślin jak najwięcej dobrego. Inni mieszkańcy również zdawali się żyć według ustalonego porządku, którego nic nie mogło zburzyć. Mężczyźni pracujący przy budowie kątyny coraz bardziej zbliżali się do końca.

Budynek przypominał chatę o wysokim dachu o bardzo ostrym kącie, do którego wchodziło się przez wieżę, przywodzącą na myśl strażnicę. Wewnątrz miał się znaleźć ciosany posąg Peruna, do którego mieszkańcy mogliby wznosić modły i składać mu ofiary. Budowniczoowie oraz ich żony pałali dumą za każdym razem, gdy wspominali o kątynie. Natomiast babka prychała pogardliwie na każdą wzmiankę o świątyni, uważając przedsięwzięcie za zbytuczne.

- Bogom nie trzeba domów, wszak mieszkają w swej dziedzinie. Po co im zatem stawiać budowlę na tym padole? Nie wiada, czy ten cały chram to na cześć Peruna, czy z próżności człowieczej wzniesiony ma być.

- Dlaczego tak mówicie, babko? - Chciała wiedzieć Gosława, która uważała postawienie miejsca kultu we wsi za dobry pomysł.

- A bo to ci, co go budują, mówią o czym innym? Nic tylko kątyna i kątyna, jak gdyby innych tematów czy powodów do dumy nie było. Dawniej bogom wystarczyło stare drzewo, pod jakim wylało się miód i pokruszyło chleb. Gdziekolwiek by człowiek nie zmówił modlitwy, został wysłuchany.

- Och, babko. Mieć świątynię we wsi to tak, jakby w jej miejscu rósł święty gaj. Ludzie być może zechcą i z okolicy tu schodzić na przesilenia, aby złożyć ofiary.

- Jeśli każdy może zbudować coś niezwykłego, to gdzie w tym czymś niezwykłość? - spytała babka z chytrym błyskiem w oku.

Biezdara, z którym Gosława widywała się coraz częściej, był zgoła innego zdania od babki. Twierdził, i pogląd taki zaszczepiał mocno w dziewczynie, że świątynia mogła przynieść Swarożyciom jedynie benefity. Perorował, pełen uniesienia, że im wspanialsza kątyna, tym więcej ludzi zechciałoby ją odwiedzić, a spośród tych, którzy przybyliby z wizytą, wielu być może postanowiłoby zostać, aby mieć miejsce kultu pod ręką. Argumentował dalej, że ci, którzy uznaliby za stosowne pozostać, z pewnością przyczyniliby się do rozwoju wsi, która być może doczekałaby się własnej kuźni, gospody, a nawet kramu kupieckiego. Chłopak pełen zapału opowiadał o grodzie, w którym wraz z ojczymem pracowali przy ciesiołce. Gród był bogaty, a towary, które można było w nim zobaczyć, pochodziły z egzotycznych miejsc, gdzie ludzie mieli czarny kolor skóry i ubierali się w jedwabne suknie.

- Jadłem tam owoce, które zasuszone jak grzyby, a słodsze były niż jakikolwiek miód. Piłem napój z wyciskanych kiści owoców o cierpkim, choć orzeźwiającym smaku. Świat jest pełen dziwów, które można zobaczyć. Powiedz - zwrócił się do oczarowanej Gosławy. - Czy chciałabyś zobaczyć niezwykłości tego świata?

- Chciałabym - przyznała dziewczyna, wodząc oczyma po pięknej twarzy Biezdara. - Całe życie spędziłam w jednym miejscu. Wszystko jest dla mnie niespodzianką, ale rzeczy, o jakich mówisz, dzikie i nieznanne zakątki sprawiają, że chciałabym je poznać. Zobaczyć i skosztować.

Biezdara uśmiechnął się łobuzersko, wyciągnął ostrożnie rękę i pogładził kosmyk włosów Gosławy. To był pierwszy raz, kiedy jej dotknął i dziewczyna poczuła nagły dreszcz biegnący w dół pleców. Byłaby jęknęła z rozkoszy, gdyby w porę się nie powstrzymała.

- Mogę ci pokazać - szepnęła chłopak, zbliżając powoli twarz do twarzy Gosławy. - Wszystko i jeszcze trochę.

Ich usta niemal się ze sobą zetknęły, gdy Gosława zupełnie bez udziału woli zrobiła krok w tył. Biezdar zachwiał się nieznacznie, uniósł wzrok, w którym przez moment gorzała wrogość. Zaraz jednak ustąpiła miejsca zwykłemu wyrazowi pięknych, chabrowych oczu.

- Wybacz, nie chciałam. To znaczy, chciałam, ale nie wiem, dlaczego...

- Nic nie mów. Zaczekam, aż będziesz gotowa.

Para przeszła jeszcze kawałek wsią, mijając po drodze mężczyzn popijających kwas chlebowy po ciężkim dniu pracy, kobiety wieszające upraną odzież w ciepłych promieniach wczesnoczerwcowego słońca, a także dzieci radośnie ganiające wszędobyłski drób.

Zbliżali się do kątyny, która miała zostać ukończona lada dzień. Gosławie nie umknęło to, z jaką dumą Biezdar rzucał okiem na budynek, przy którym pracował równie solidnie co reszta mężczyzn. Chłopak niewiele mówił o przeszłości, jednak nie mógł ukryć tego, że był sierotą. Gosława nie знаła jego historii, nie wiedziała, kim byli jego rodzice. Mieszkał w chacie z posępnym Jaromirem, który przygarnął chłopca, gdy ten miał raptem osiem lat i któregoś dnia przywędrował do Swarozyc. Tyle powiedziała Gosławie babka.

Tajemnicza i najpewniej tragiczna przeszłość Biezdara sprawiała, że dziewczyna czuła z nim jeszcze większą bliskość. Uważała, że ich losy splotły się nie bez powodu. A mimo to umknęła przed pocałunkiem. Sama nie mogła zrozumieć, co takiego ją do tego pchnęło.

- Niedługo noc przesilenia - odezwał się po dłuższej chwili Biezdar, wpatrując się w świątynię. - Najkrótsza noc w roku. Noc magii, bogów i... miłości.

Gosława z trudem przełknęła ślinę. Niemal drżała w oczekiwaniu na dalsze słowa chłopaka.

- Czy pójdziesz ze mną do ognisk?

- Tak.

Biezdar rozpromienił się i ścisnął dziewczynie dłoń, a Gosława poczuła nagły przypływ miłości, który na moment ją zamroczył.

* * *

Budowę świątyni zakończono na kilka dni przed kupałnocką, mieszkańcy jednak zgodnie postanowili poczekać z odprawieniem w niej modłów. Uznano, że ognie zapłoną jak co roku na polanie nieopodal wsi. Miejsce to od lat już znaczyły kamienne kręgi, w których czerniały pozostałości oraz popiół z dawnych ognisk. Ludzie szykowali się do obrzędów, zlewali miód do najładniejszych naczyń, wędzili mięso zwierząt specjalnie tuczonych na Kupałę, reperowali, jeśli tego wymagały, odświętne tuniki. W Swarżycach dało się wyczuć atmosferę wyczekiwania i podniecenia. Święta od zawsze stanowiły wspaniałą okazję do oderwania się od monotonnego życia, ale to właśnie letnie przesilenie wyznawcy bogów puszcz ukochali najbardziej jako celebrację życia, miłości i dobrobytu.

Gosława od samego rana snuła się po chacie. Zwykle czynności, które powtarzała codziennie, sprawiały jej trudność, nie potrafiła znaleźć swobodnego rytmu. Płatała się pod nogami tak babce, jak i Bożence, przeszkadzając obu i irytując.

- Dziecko, wiem, że idziesz dzisiaj do ognia. - Radka w końcu uznała, że musi coś powiedzieć. - Wiem też, z kim tam idziesz.

- Babko... - zaczęła Gosława, ale nie dane jej było skończyć.

- To piękny chłopiec, ale nicpoń. Nic z początku nie mówiłam, bom myślała, że się na nim poznasz. On źle wyrósł. Nie miał rodziców, błąkał się od maleńkości, kto wie, co go spotkało. A potem zamieszkał z Jaromirem, o którym chodzą różne pogłoski, w które trudno nie wierzyć. To zły chłopak, Gosławo, ten Biezdar.

- Mówisz tak tylko dlatego, żeby odebrać mi radość - zachnęła się dziewczyna, chociaż słowa staruszki poruszyły w niej coś, o czym podświadomie wiedziała. - Biezdar nie zrobił mi nic złego. Obiecał, że do niczego mnie nie przymusi i nie przymuszał. Jest dobry, troskliwy i...

- I kocha cię? - parsknęła Radka. - On za młody jest, żeby wiedzieć, czym jest miłość. Powiadam ci, moje dziecko, że to chachar. Nie idź z nim na polanę.

- A co ty wiesz o miłości? - wybuchła nagle Gosława, czując, jak złość, która gromadziła się w niej przez lata, szukała ujścia. - Twój mąż błąka się po lesie. Tak, widziałam go, kiedy prowadził mnie tu Gromowił. Widziałam, jak rozmawiali i jak twój mąż wygląda. Wstydzisz się go? To dlatego cię nie odwiedził ani razu, choć mieszkam tu już...

Dziewczyna umilkła przestraszona, bowiem w postaci Radki nastąpiła zmiana. Pozornie stara kobieta wyglądała tak samo, jednocześnie jednak przywodziła na myśl nieokiełznany żywioł. Pierwotny i dziki powidok innej kobiety zdawał się nachodzić na krępą postać Radki. Omam wyobrażający kobietę, której należało się bać. Którą należało czcić i dziękować za jej łaskę.

- Nie śmieję mówić do mnie o sprawach, o jakich nie masz pojęcia - wycodziła babka nieznanym głosem, który musiał należeć do widma, które nakładało się na jej ciało. - Nie śmieję mówić o moim mężczyźnie, jak gdybyś rozumiała, co nas łączy. Znałam setki dziewczuch jak ty. Skrzywdzonych życiem, niekochanych, traktowanych jak własność. Wiele takich jak ty ratowałam, dawałam dom i strawę. Dostawały ode mnie także coś więcej. Coś, czego nie zaznały, dopóki nie trafiły pod moją strzechę.

- Ja nie chciałam. Przepraszam.

- Nie przepraszaj - odrzekła kobieta lodowatym tonem. - Idź do ognisk. Tańcz z pięknym chłopcem, pij miód i zapomnij. Idź i zatrać się. Ja i tak ci pomogę. Taka jest moja dola.

Niesamowite widmo równie niespodziewanie jak się pojawiło, tak znikło, pozostawiając dobrze znaną, pomarszczoną postać babki. Staruszka wyglądała na zmęczoną. Rzuciła Gosławie szybkie spojrzenie, a w jej mętnych oczach widać było smutek. Dziewczyna chciała podejść, objąć wątłe ramiona, jednak nie ruszyła się z miejsca.

* * *

Wraz z nadejściem zmierzchu mieszkańcy paradnie ruszyli w stronę polany, na której palili ogniska ofiarne. Szli gęsiego wąską ścieżką wydeptaną między paprociami a kępami kostrzewy, rozmawiając między sobą w podekscytowaniu. Niemal wszyscy, wliczając w to dzieci, nieśli pakunki bądź naczynia zawierające ofiary. Wśród darów dla bogów znalazł się miód pszczeli, biały chleb, gomółki sera, kostki twarogu, a także kosze orzechów oraz zawinięte w lniane ściereczki podpłomyki, do których kobiety usmażyły powidła. Każdy z ofiarowanych darów miał zostać symbolicznie napoczęty i zostawiony na kamieniu ofiarnym, tak aby bogowie oraz duchy przodków mogli wziąć udział w świętowaniu. Reszta dóbr miała zostać skonsumowana przez wiernych jako znak pojednania.

Wśród maszerujących znajdowała się Gosława, która trzymała w zgięciu łokcia kosz chleba. Tuż przed nią dreptał żwawo Biezdar, niosąc aż dwa dzbany miodu pitnego. Co jakiś czas odwracał się do dziewczyny i uśmiechał z łobuzerskim błyskiem w oku. Gosława odpowiadała uśmiechem, jednak z nieznanym sobie powodów odczuwała ukłucie niepokoju za każdym razem, gdy patrzyła na przystojną twarz Biezdara. Podejrzewała, że to rozmowa z babką oraz jej przestrogi sprawiły, że czuła się w ten sposób. Dlatego też starała się wyprzeć słowa staruszki z pamięci, aby nie zrujnowały jej magicznego wieczoru.

Co do Radki, ta nie wzięła, jak co roku zresztą, udziału w obrzędach. Została w chacie, gdzie wraz z małą Bożenką siedziały do późna przy własnym, niewielkim ognisku. Radka opowiadała dziewczynce historie tak stare, że nikt poza babką o nich nie pamiętał. Dziewczynka zaś słuchała z zapartym tchem, wiedząc, że i ona stanie się kiedyś dla kolejnego dziecka skarbnicą zapomnianych opowieści. Musiała zatem słuchać, aby nie zapomnieć. Nie wolno jej niczego zapomnieć.

* * *

Polana mieściła się na niewielkim wzniesieniu, z którego jednak nie roztaczał się żaden malowniczy widok, ponieważ było zbyt niskie, by móc wyglądać ponad linię drzew. W kilku ułożonych koncentrycznie względem siebie miejscach wzniesiono kamienne kręgi, w których palono pomniejsze ognie. W centrum zaś mieściło się główne, największe ognisko, które przewyższało najrośniejszego z mężczyzn. Tuż za nim piętrzył się płaski głaz pełniący rolę ołtarza ofiarnego.

W Swaróżykach, będących niewielką społecznością, nie mieszkał żaden żerca ani nikt, poza babką Radką, kto znałby się na wiedzy tajemnej. Babka zaś, jak powszechnie wiadomo, nie brała udziału w celebracjach. Nikt nie wiedział dlaczego, ale odkąd najstarszy człowiek we wsi sięgał pamięcią, babka nie przychodziła do ognia. Dlatego też obrzędy oraz sposób ich obchodzenia był autorskim wymysłem, efektem kilku pokoleń prób i błędów. Mieszkańcy opracowali szereg rytuałów, modlitw, gestów i zwyczajów, które stosowali, mając nadzieję, że są miłe bogom. Stawiając kątyne liczyli po cichu, że zachęcą jakiegoś żercę czy wołchwa, aby sprowadził się do nich i wziął pod opiekę nowo wybudowany dom bogów. Dzięki temu sława oraz znaczenie Swaróżyk wzrosłyby, a to z kolei przyciągnęłoby nowych mieszkańców, którzy przynieśliby ze sobą umiejętności, pożądane przez Swaróżyčan.

Gosława rozglądała się z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie brała udziału w żadnych świętach. Jako niewolnica usługiwała czasem na ucztach w wielkim domu gospodarza po celebracji, jednak nigdy nie wzięto jej do lasu, by stała się świadkiem obrzędów. Zastanawiała się, czy bogowie rzeczywiście pofatygują się do ognisk, by skosztować przyniesionych darów i zaszczycić wiernych obecnością. Nagle przypomniała sobie konfrontację Gromowiła z leśnym starcem. Na wspomnienie o tym przeszył ją gwałtowny dreszcz.

Trzymając się blisko Biezdara, ustawiła się wraz z resztą zgromadzonych w szerokim kręgu, który utworzyli wokół centralnego głazu. Chropawą powierzchnię znaczyły liczne kleksy pozostawione po świecach oraz skamieniałe wręcz pozostałości poprzednich ofiar i darów. Jeden z mężczyzn, którego imienia Gosława nie pamiętała, wiedziała jednak, że to główny pomysłodawca zbudowania w Swarżycach świątyni, wyszedł przed szereg. Podszedł do ołtarza, na którym złożył sporych rozmiarów gliniany dzban. Następnie z materiałowej torby, którą miał przewieszoną przez ramię, wyjął parę grubych świec. Sprawnie skrzesał ogień na maleńki rulonik z brzoźowej kory, na którym wcześniej umieścił suche szczapki. Zapalił od płomienia gromnice. Ustawwszy świece po obu stronach kamiennego ołtarza, wznosił ręce i przemówił gromkim głosem.

- Praojcowie i pramatki, składamy wam w żertwie owoce naszej pracy. Przynosimy wam chleb, miód, orzechy i ser. Przynosimy to, abyście z nami wspólnie do świętowania zasiedli.

W trakcie, gdy mężczyzna mówił, ludzie po kolei podchodzili do kamienia i kładli na nim to, z czym przyszli. Gosława także wystąpiła, gdy nadeszła jej kolej, ułożyła kosz z chlebem między kamionkami z serem i omaszczoną kaszą. Wróciła do kręgu, gdzie Biezdar złapał ją za rękę. Spojrzała na chłopca,

czując, jak oblewa ją ciepło. Biezdar uśmiechał się, a oczy błyszczały mu jak od gorączki.

- Pełni nadziei i skruchy prosimy, abyście zechcieli posilić się z nami, a w podzięce za strawę i gościnę obdarowali nas błogosławieństwem. Zechciejcie wstawić się za nami, abyśmy mogli sławić wiarę naszych przodków i żyć ku waszej chwale i zadowoleniu. Prosimy o bogate plony na jesień, abyśmy mogli złożyć wam kolejną bogatą żertwę, a także przetrwać zimę, gdy słońca w dzień brakuje, a nocami długimi próżno go na niebie wypatrywać.

Następnie opuścił ręce i zwrócił się do tłumu, z którego wystąpiło pięciu mężczyzn. Każdy trzymał w dłoni wiązkę suchej trawy, a do pasa miał przytroczoną małą skórzaną torebkę, w której trzymał krzesiwo.

- Rozpalcie ognie, by praojcowie i pramatki mogli nas w gęstwie leśnej odnaleźć. Wznieście płomienie, które będą im drogowskazem, a nam uciechą w mroku i ochroną przed dzikim zwierzem oraz wszelkim lichem, jakie wśród ciemności zaległo.

Po chwili stosy płonęły, trzaskając ogniem, którego jęzory strzelały wysoko w górę. Mężczyzna prowadzący ceremonię zwrócił się na powrót w stronę ołtarza, który zaścielały ofiary. Mamrocząc pod nosem modlitwy nabierał garść z każdego z naczyń i wysypywał jego zawartość na kamienny blat. Następnie wziął jeden z garnców miodu pitnego, ulał odrobinę na ołtarz. Na końcu zaś przełamał płaski, okrągły bochenek chleba i skruszył połowę. Kiedy skończył, reszta zaintonowała gardłową pieśń bez słów, melodia zdawała się być dziełem przypadku. Gosława za wszelką cenę starała się wyłowić z chaotycznego zlepku dźwięków coś na kształt linii melodycznej, by móc przyłączyć się do śpiewu, jednak nie udało się jej. Kątem oka widziała, że Biezdar mruczał wraz z innymi. Chłopak miał przymknięte oczy, kołysał się na piętach.

W pewnym momencie ponad nieskładny chór głosów wydobył się ostry wizg gęśli, do którego wkrótce dołączyły piszczące dudy w akompaniamencie solidnego bębna. Muzyka, z początku równie nieskładna, co wcześniejszy zaśpiew zebranych przy ogniach ludzi, wkrótce nabrała ściśle określonego charakteru oraz rytmu. Gdy muzykanci weszli w skoczny takt, świętujący coraz śmieiej porywali w ramiona kobiety, by wirować nimi w tańcu. Niebawem niemal cała polana rozmigotała się od falujących spódnic i łopoczących tunik, a drzewa echem niosły przytupywanie oraz radosne juchanie. Gosława piszczała wraz z resztą dziewczyn, gdy Biezdar poderwał ją w górę i zakręcił, aż zaszumiało jej w głowie.

Trio, przygrywając żwawo, przesunęło się w pobliże ołtarza, aby uniknąć poturbowania przez pochłoniętych tańcem ludzi. Ci z kolei wirowali, tupali i klaskali, aż zdawało się, że ugaszą ognie swoim pędem. Kiedy Gosławie brakowało tchu i sądziła, że z kolejnym piruetem upadnie ze zmęczenia, muzyka ucichła, zakończona ostrym, nieco fałszywym akordem. Zdyszana, czując, jak pot ścieka jej między piersi i klei materiał do ciała, przylgnęła do Biezdara. Chłopak objął ją jedną ręką.

- Pierwszy taniec uradował bogów - przemówił mężczyzna, który nie ruszył się spod ołtarza, podczas gdy reszta oddawała się szaleństwu. - Jeszcze bardziej uraduje ich, gdy przyłączycie się do uczty. Bierzcie i jedzcie z darów, które przynieśliście. Pijcie miód i piwo, które uwarzyliście. Nasi praojcowie i pramatki będą dzisiaj jeść i pić z nami. Częstujcie się, bawcie tak długo, jak długo płoną ogniska.

Nikogo z zebranych na polanie nie trzeba było specjalnie namawiać. Większość bez zastanowienia ruszyła do ołtarza, by nieco się posilić, a także ugasić pragnienie. Muzykanci ponownie zabrali się do przygrywania. Tym razem nieco spokojniej, jak gdyby chcieli stworzyć miłe tło do posiłku.

Wkrótce bowiem, gdy większość ponownie wylęła między ogniska, muzyka wzniosła się na kakofoniczne wyżyny.

Gosława tańczyła, wsłuchana w jazgot gęśli i dudnienie bębna. Wirowała, ciesząc się dotykiem silnych ramion, które ją przytrzymywały. Obejmowała szerokie plecy Biezdara, a palce ślizgały się po coraz bardziej mokrym lnem koszuli. Czuła się szczęśliwa i odurzona. Nie wiedziała, że jej szczęście miało wkrótce przeminąć.

* * *

Zbliżała się północ, czas rozedrganej ekstazy i omamów wywołanych zmęczeniem. Wielu świętujących znikło już w lesie, aby odnaleźć to, co eufemistycznie nazywano kwiatem paproci. Jedynie garstka nadal tańczyła wokół ognisk. Gdzieniedzie leżał ktoś, komu miód zbyt szybko uderzył do głowy. Ołtarz zaś przypominał stół po wyjątkowo udanej, hucznej biesiadzie. Naczynia i ich odłamki walały się po głazie, a także wokół niego, do spótki z resztkami potraw. Muzykanci z ledwością trzymali się na nogach, za co w równej mierze można było obarczyć winą ilość wypitego miodu, jak i zwyczajne zmęczenie. Grali bowiem nieustannie, z krótkimi przerwami na wychylenie kubka i przekąszenie czymś tłustym.

W efekcie święto, które zaczęło się eksplozją energii oraz szaleńczego pędu, przypominało scenę dogorywania. Wśród ostatnich tancerzy znajdowali się Gosława z Biezdarem. Oboje trzymali się na nogach bodaj jedynie dlatego, że opierali się na sobie nawzajem. Dziewczyna po raz pierwszy w życiu wypila znaczną ilość miodu, czego skutki odczuwała już od jakiegoś czasu. Głowa latała jej na wszystkie strony, nie potrafiła na niczym skupić wzroku. Biezdara z kolei zdawał się poruszać już jedynie dzięki sile rozpędu. Kołysał się na boki z mocno zaciśniętą szczęką, a oczy miał wlepione w nieodgadniony punkt przed sobą. Emanował ciepłem, od którego Gosławę

dotatkowo mdliło. Podjęła niemrawą próbę oddalenia się od chłopaka na długość ramion, która jednak skończyła się fiaskiem.

Tymczasem Biezdar mruknął coś nieskładnego pod nosem, zatoczył w tył, ciągnąc ku sobie Gosławę. Cudem tylko uniknęli upadku. Oparty biodrem o kamienny ołtarz, nieopodal pijanych muzykantów, Biezdar sięgnął ręką po jeden z nielicznych dzbanów miodu, które jeszcze przetrwały. Zarówno ciężar, jak i przyjemny chlupot sprawiły, że chłopak uśmiechnął się do siebie. Przechyliwszy naczynie, pociągnął solidny łyk. Miód spłynął mu w dół gardła przyjemnie chłodną słodyczą, pozostawiając jednocześnie cierpki posmak na języku. Podetknął dzban Gosławie, która jednak odmówiła, oganiając się od niego, jak gdyby próbowała przegnać natrętną muchę.

- Chodź za mną - wydyszał, zionąc ciepłym, kwaśnym oddechem Biezdar.

Dziewczyna bezwolnie pozwoliła prowadzić się między drzewa. Nie zastanawiała się nad tym, dokąd szli, zakładając, że Biezdar prowadził ją tam, gdzie w tamtej chwili najbardziej potrzebowała się znaleźć. Dopiero gdy znaleźli się w gęstwinie wśród ciemności, w której niemal nieustannie rozbrzmiewały niesione echem chichoty, jęki rozkoszy oraz nawoływania, Gosława zaczęła z wolna zastanawiać się nad celem wędrówki.

- Idziemy do domu? - Udało się jej wydusić wcale wyraźnie.

Biezdar nie wysilił się na odpowiedź. Zamiast niej ułożył ostrożnie Gosławę na kłującej od opadłych igieł ściółce, usiadł niezgrabnie obok. Przez moment siedzieli w milczeniu, skupiając uwagę na tym, jak bardzo pijani byli. Gosława czuła coś podobnego po raz pierwszy w życiu i utwierdzała się w coraz solidniejszym przeświadczeniu, że już nigdy tego nie powtórzy.

Właśnie w tym momencie Biezdar wykonał krok, którego skutków już nie można cofnąć. Położył dłoń na udzie Gosławy,

czego w pierwszej chwili dziewczyna nawet nie poczuła. Dopiero gdy druga dłoń Biezdara zanurzyła się pod jej koszulę i ścisnęła pierś, Gosława targnęła się w bok. Chciała oddalić się od nieprzyjemnego, lepkiego od miodu dotyku. Biezdar jednak nie pozwolił na to.

- Nie idź nigdzie - szepnął, a w jego głosie pojawiło się coś złowrogiego. - Jest kupała. Bogowie tego chcą.

Naprzemiennie głaszcząc i ściskając dziewczęcą pierś, Biezdar zabrał się do całowania. Gosława ze wstrętem opadła na plecy, na moment oswobodzając się z niechcianego uścisku. Zaraz jednak poczuła, jak Biezdar przygniótł ją ciężarem i ponownie zatkał usta pocałunkiem. Smakował równocześnie słodko i kwaśno. Oddech miał brzydki, zlepiony alkoholem oraz tłustą strawą z zertwy. Dziewczyna wierzgnęła, czując, że zbiera się jej na mdłości.

- Przestań - mruknął bezbarwnie Biezdar, sięgając ponownie pod koszulę ku miękkim piersiom. - Jest kupała. Ognie wciąż płoną.

Przygwożdżona do ziemi, unieruchomiona ciężarem, którego nie potrafiła zrzucić, Gosława z przerażeniem poczuła, jak jej koszula podjeżdża do góry. Otępienie, wywołane miodem, gdzieś wyparowało zastąpione przez paraliżujący strach wymieszany ze wstydem, bowiem wbrew samej sobie czuła podniecenie. Nie chciała tego, co robił jej Biezdar, nie w tamtym momencie, nie w takich okolicznościach, ale jednocześnie natrętne, nieco brutalne pieszczoty sprawiały jej przyjemność.

- Proszę, nie - jęknęła, gdy Biezdar zdał jej z pośladków spódnicę. - Nie tak, nie tutaj. Proszę.

Chłopak, dysząc ciężko, nie zwracał uwagi na prośby. Kiedy wsunął się w Gosławę, ta krzyknęła w równej mierze z bólu, co rozkoszy. Czuła niemożliwą do opisaną mieszankę emocji, które pomimo tego, że sprzeczne ze sobą, łączyły się w całość,

dając ładunek wrażeń, jakiego się nie spodziewała. Chciała jednocześnie zrzucić Biezdara, jak i przyciągnąć go bliżej. Z każdym ruchem jego bioder w jej lędźwiach odzywała się nagła, przeszywająca fala bolesnej przyjemności. Nie przeszkadzały jej już kłujące igły oraz liście, które wpijały się w nagie pośladki i plecy. Zza rozwiewających się oparów alkoholu docierało do niej, że oto działo się coś wielkiego. Coś, co zmieniało życie już na zawsze. Co prawda zaczęło się wbrew woli Gosławy niemniej jednak, czyż nie czuła do Biezdara pociągu? Chłopak był atrakcyjny, lubiła z nim przebywać, a poza tym wykazał się dużą cierpliwością. Niejeden prawdopodobnie już dawno wykorzystałby sytuację i rzucił Gosławę na klepisko. Biezdara musiał się do tego porządnie opić, co w pewien sposób dawało dowód jego prawości. Na trzeźwo prawdopodobnie nie dobrałby się do dziewczyny siłą.

Niemal tak szybko, jak się zaczęła, sprawa dobiegła końca. Biezdarem wstrząsnął silny dreszcz, chłopak jęknął rozdzierająco i osunął się na bok. Gosława poczuła, jak po wnętrzu ud sływa jej coś ciepłego. Okryła się skromnie, naciągnęła z powrotem spódnice. Nie wiedziała, jak się zachować. Czy przytulić się do partnera, czy też raczej uciec do domu. Miała mętlik w głowie. Wiedziała natomiast z całą pewnością, że stała się kobietą. Nie tak sobie wyobrażała przejście w ten stan, jednak nie było co do tego faktu żadnych wątpliwości. Już nic nie miało być takie samo jak wcześniej.

Gdy wreszcie zdecydowała się wcisnąć w bok Biezdara, ten wstał niezgrabnie, zatoczył się i oparłszy o pobliski jawor, zwymiotował gwałtownie. Gosława wpatrywała się w chłopaka z niedowierzaniem, gdy ten otarłszy usta, jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie. Została sama z kłębiącymi się dziko myślami.

* * *

W dalszym ciągu siedziała w miejscu, w którym Biezdar pozbawił ją dziewictwa, gdy ponad słabnący z wolna gwar świętowania wzbił się mrozący krew w żyłach skowyt wilka. Gosława zerwała się na nogi, gotowa rzucić się do rozpaczliwej ucieczki, gdy jej oczom ukazał się zupełnie niespodziewany widok. Nieopodal, powłócząc długim zielonym płaszczem, po ściółce kroczył w jej stronę starzec, którego głowę niby leśna korona zdobiło rozłożyste poroże jelenia. Tuż obok, jak posłuszny pies, dreptał sporych rozmiarów basior o ciemnym futrze.

- Nie bój się nas - zawołał starzec, unosząc przyjaźnie dłoń. - Nie zrobimy ci krzywdy. Zresztą ciebie już dzisiaj wystarczająco skrzywdzono. Nie trzeba ci dokładki.

Wilk pierwszy podszedł do Gosławy, obwąchał ostrożnie, obchodząc wokół. Następnie skierował trójkątny pysk z powrotem na swego towarzysza, który wolnym krokiem sunął przez liście i igliwie.

- Nawój wyczuwa na tobie krew, dziewczyno. Tak, skrzywdzono cię dzisiaj.

Wreszcie starzec o zielonych włosach i porożu wyrastającym z czaszki stanął na wprost oniemiałej Gosławy. Przyjrzał się dziewczynie uważnie, po czym pokiwał głową w zadumie. W jego oczach widać było smutek.

- Pamiętasz mnie, prawda? Udawałaś, że śpisz, podczas gdy kłóciłem się z twoim leśnym przewodnikiem od siedmiu boleści. Widzę, że pamiętasz. Mnie raczej ciężko zapomnieć, gdy już raz się mnie zobaczy.

- Chciałaś mnie na ofiarę - wymruczała z trudem Gosława, starając się nie ruszać zbyt gwałtownie, by nie prowokować wilka, który przywarował tuż przy jej nogach. - Pamiętam, jak mówiłaś, że jestem twoją ofiarą.

- Tak - przyznał bez cienia zakłopotania starzec. - Spójrz, jak to czas i okoliczności znów cię do mnie zaprowadziły.

Zupełnie jakby pisane ci było zostać złożoną ku mojej czci. Nie obawiaj się jednak. Jesteś teraz pod opieką naszego wspólnego przyjaciela. Byłby wielce niepokieszony, gdyby się dowiedział, że coś ci zrobiłem. Prawdę mówiąc, będzie wielce niepokieszony, gdy dowie się o tym, co zrobił ci tamten przemiły chłopiec. Możesz być pewna, że nie puści tego płazem. Znam naszego wspólnego przyjaciela i wiem, że potrafi okazywać w równej mierze miłosierdzie, co karać tych, którzy wystąpili przeciwko niemu. Jeśli chcesz wiedzieć, sądzę, że czasem przesadza z okrucieństwem. Ale ty, moja droga, zagubiona dziewczyno, nie masz się czego obawiać.

- Kim jesteś? I kim jest Gromowił?

- Jestem starcem z lasu - zaśmiał się mężczyzna o zielonych włosach. - A Gromowił, cóż, to doskonałe imię dla niego.

Gosława wpatrywała się w uśmiechniętą twarz rogatego starca. Mężczyzna był niezwykle wysoki i smukły, co jeszcze bardziej uwypuklała powłóczysta szata, jaką nosił. Włosy koloru mchu miał miejscami sfilcowane, przez co wyglądały jak skołtunione strąki. Na skroniach zaś, w miejscach, gdzie zaczynało się poroże, skóra wybrzuszyła się i popękała jak sucha ziemia. Dziewczyna z trudem powstrzymała mdłości, odwróciła wzrok.

- Wy - zaczęła Gosława słabo. - Nie jesteście ludźmi, prawda?

- Tak myślisz?

- Nie znam człowieka, który miałby rogi.

- Poroże - sprostował z uśmiechem starzec, po czym przysiadł na piętach, wołając wilka. - To częsta pomyłka wśród nieobeznanych. Nieważne jednak. Moja kobieta wymusiła, bym cię pilnował dzisiejszego wieczora i ochronił przed niebezpieczeństwem. Cóż, nie wiem jak ty, ale uważam, że nie do końca wywiązałem się z powierzonego zadania. Na szczęście Radka prosiła również, abym cię odprowadził do chaty, jeśliby

zaistniała taka potrzeba, co, jak miemam, właśnie ma miejsce. Proszę zatem za mną.

Nie czekając na odpowiedź, wstał i ruszył zwawo przed siebie. Wilk zerknął na Gosławę, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że nie powinna się ociągać, po czym pobiegł za panem.

* * *

Szli obok siebie od dłuższego czasu w kompletnym milczeniu. Gosława miała zbyt duży mętlik w głowie, by usiłować podjąć jakąkolwiek rozmowę. W dodatku nadal czuła się pijana, co nie ułatwiało koncentracji. Mimo to zaczęła uświadamiać sobie obrzydliwość tego, co ją spotkało w lesie. Dziwiła się samej sobie, że mogła odczuwać przyjemność, kiedy Biezdar robił jej te wszystkie rzeczy. Dodatkowo miała wrażenie, że jej ciało ją zdradziło, ułatwiając chłopakowi zadanie. Już wcale, ale to wcale nie czuła się kobietą, a jedynie głupią, nieporadną dziewczyną, która nie potrafiła się obronić.

- Myślisz, że ten chłopiec zechce cię jeszcze oglądać? - zapytał znienacka starzec tonem głosu równie niewinnym, co szyderczym. - Że teraz będzie cię kochał i zbuduje wam uroczą chatkę krytą strzechą, która zawsze będzie pachnieć jak łąka po deszczu? Wiesz, co myślę, moja biedna, głupia dziewczyno? Myślę, że nic z tego. Myślę, że twój piękny chłopiec zrobił to, co chłopcy od zawsze chcą robić ładnym, głupim dziewczynom i na tym koniec. W najlepszym wypadku przyjdzie po dokładkę. I kto wie, może tym razem nawet spyta, czy mu wolno.

- Zamilcz, stary capie - odezwał się nagle znajomy głos.

Gosława jeszcze nigdy dotąd nie ucieszyła się tak bardzo z czyjejś obecności jak wtedy, gdy zobaczyła babkę Radkę wyłaniającą się z ciemności naprzeciwno. Staruszka omiotła gniewnym wzrokiem mężczyznę, który nagle zdawał się mały i

zupełnie niegroźny. Nawet Nawój, ogromny basior, przysiadł na zadnich łapach i spuścił łeb, skamłając cicho.

- Posłałam cię po Gosławę nie po to, byś się wysilał na durne komentarze i złośliwość. Wstyd mi za ciebie. Twoja pewność siebie jest równie miałka, że musisz uciekać się do gnębienia dziecka, by poczuć się lepiej? Nie śmieję nawet odpowiadać, albowiem przyrzekam, że jeśli powiesz coś nie na miejscu, nie biorę odpowiedzialności za to, co się stanie.

Starzec przezornie nie odezwał się ani słowem, choć widocznym było, że bura, którą zebrał od żony, napawała go nie tyle zakłopotaniem, co wściekłością. Czuł się upokorzony przed Gosławą. Tymczasem Radka wzięła dziewczynę pod ramię, prychnęła w kierunku męża i, nie odwracając się za siebie, ruszyła w stronę domu. Mężczyzna zmełł w ustach kilka plugawych klątw i podążył za żoną.

* * *

Gosława ułożyła się na ławie i okryła kocem po samą brodę pomimo duchoty, jaka panowała w środku. Zwróciwszy się twarzą do ściany łykała lzy, których bardzo się wstydziła i nie chciała, by ktokolwiek je zobaczył. To, że w chacie nie było nikogo poza śpiącą Bożenką, nie miało większego znaczenia. Babka wraz z mężem zostali na zewnątrz, lecz mimo to Gosława słyszała wyraźnie ich ożywioną wymianę zdań.

- Dziewczyna poszła z nim bez przymusu - mówił starzec, jak gdyby rozmawiał o nagłym załamaniu pogody, a nie gwałcie. - Cóż mogłem zrobić? Młodość rządzi się swoimi prawami. To, że spotkało ją nieszczęście, nie jest moją winą.

- Czy wiesz, co się stanie, gdy on tu wróci i dowie się, co się stało z dziewczką, którą sobie upatrzył? A niechaj Gosława znajdzie w ciężę... Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jeśliby jednak... Wiesz, jakie zioła mogłyby pomóc.

Ciszę nocy rozdarł suchy trzask, gdy Radka wymierzyła mężowi policzek. Nawój, oswojony wilk, odsłonił zęby w niemym grymasie, widząc krzywdę pana, nie śmiał jednak zaatakować. Babka bowiem wyglądała strasznie.

- Jestem matką wszystkiego, co żywe - wycodziła lodowato. - Nie uśmiercę dziecka, które niczemu nie zawiniło.

- Życie to też śmierć - rzekł mężczyzna sentencjonalnie, czym zarobił na pełne pogardy parsknięcie żony. - Zastanawia mnie twoja troska o tę dziewczynę.

- Czyżby, mój drogi Boruto?

- Owszem. Dumam, wyobraż sobie, nad jej powodem. Wybacz, ale znam cię od wieków i wiem, że w twojej przewrotnej naturze coś takiego jak sentyment nie istnieje. Lub też występuje niezwykle rzadko.

- Być może to jeden z tych przypadków, gdy moja przewrotna natura zdecydowała uciec się do sentymentalnej, matczynej troski.

- Być może, ale bardziej skłaniam się ku temu, że to jaśnie nam panujący i jego zainteresowanie dziewczyną sprawiły, że tak się przejmujesz jej losem.

Przez moment panowała cisza. Gosława w napięciu wyteżała słuch, bojąc się przegapić najcichszy nawet szmer. Wreszcie Radka ponownie zabrała głos.

- Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, mężu mój, również weźmiesz pod uwagę to, co może pomyśleć i zrobić Perun, gdy dowie się o tym, że to pod twoją pieczęcią zbrukano jego dziewczynę.

* * *

Boruta został przez kilka dni w chacie Radki, gdzie z reguły przesiadywał na tyłach, w pobliżu ściany lasu. Najwyraźniej posiadał zdolność zmiany wyglądu, bowiem zarówno poroże, jak i zielone włosy gdzieś przepadły. Starzec wyglądał całkiem zwyczajnie, pomijając nieprzeciętny wzrost. Nawój nie

odstępował go ani na krok, a mała Bożenka zaniedbywała obowiązki, aby móc spędzać więcej czasu z Borutą i jego pupilem. Często było słyhać, jak leśny starzec zanosił się śmiechem, gdy uczennica babki dokazywała z wilkiem, który w jej obecności zachowywał się jak rozpasane szczenię.

Gosława nie wiedziała, dlaczego Boruta został w chacie i niewiele ją to obchodziło. Od nocy kupały niemal nie opuszczała ławy, na której sypiała, leżąc zwinięta w kłębek i pograżając się w czarnych myślach. Pierwszego dnia obawiała się, że Biezdar przyjdzie w odwiedziny i będzie musiała spojrzeć mu w twarz, by ponownie przeżyć wstyd i podniecenie. Kiedy jednak chłopiec nie pojawił się ani pierwszego, ani żadnego z następnych dni, Gosława stwierdziła, że chyba wolałaby, gdyby jednak przyszedł. Mogłaby mu przynajmniej wtedy napluć prosto w twarz, wygarnąć to, z czym zmagala się w ciszy i samotności. Nawet bowiem babka, która z reguły mówiła za dużo niż zostawiła coś bez dopowiedzenia, omijała dziewczynę z daleka. Gosława nie rozumiała dlaczego, czyżby karano ją za to, że upiła się podczas święta i popełniła straszną, ale jednak głupotę? Niczego bardziej nie pragnęła, jak porozmawiać z kimś, kto by wysłuchał i zrozumiał. Nie miała jednak nikogo takiego.

Wreszcie, po długim namyśle i zażartej walce z samą sobą, Gosława postanowiła pójść do Biezdara. Nie odzywając się do żadnego z domowników, poszła do studni, obmyła się w zimnej wodzie. Następnie włożywszy czystą koszulę oraz spódnice poszła do centrum wsi. Po drodze zdawało jej się, że z każdej chaty wyglądała para ciekawskich oczu.

Przed domem, w którym mieszkał Biezdar, na skleconej byle jak ławce siedział Jaromir, strugając zakrzywionym kozikiem grubą gałąź wiśni. Sądząc po surowym, ledwie zaczęłym kształcie, mężczyzna zamierzał wyrzezać łyżkę. Widząc zbliżającą się Gosławę, uniósł rękę w geście powitania, po czym

bez słowa wrócił do pracy. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że to do jego chaty zmierzała dziewczyna.

- Przyszłam do Biezdara.

- Do Biezdara? No to go nie zastałaś - odrzekł sucho Jaromir, nie podnosząc nawet wzroku znad drewna, które spayało zwiniętymi w cienkie ruloniki wiórami.

Czegoś podobnego Gosława się nie spodziewała.

- W takim razie, kiedy go zastanę? Albo wiecie może, gdzie jest teraz?

- Nie wiem. I nie wiem.

Widząc, że dziewczyna nie zamierzała dać się łatwo odprawić, Jaromir westchnął zniecierpliwiony, odłożył robotę na trawę.

- Nie wiem, gdzie się podział twój chłopiec. Po kupalnocce chodził nieswój, kręcił się po obejściu ze dwa dni, nic nie jadł i nic nie mówił. Kilka razy go widziałem, jak patrzył ku chacie babki, jakby się tam wybierał, ale w końcu nie poszedł. Trzy dni temu, jakem się o świcie zbudził, jego już nie było. Nic mi nie powiedział, dokąd idzie. Zabrał ubrania, trochę żarcia ze spiżarni. Ukradł mi też, psia jucha, najlepszą siekierkę, więc lepiej by było, jak wróci, żebym ją odzyskał.

Gosława przez moment dumiała nad tym, co właśnie usłyszała, a mężczyzna przyglądał się jej z coraz wyraźniejszym zniecierpliwieniem.

- Myślicie, że wróci? - spytała wreszcie.

- A kto tam wie? Po prawdzie, to i może nawet lepiej, że czmychnął. Pożytku z niego nigdy wielkiego nie było. Płatał się tylko, dąsał i marzył. Wiecznie marzył. O czym to tak rozmyślasz, czy robiąc jak ciele, go nieraz pytałem. A on tylko wzruszał ramionami i dalej swoje. Siekierki szkoda, ale jak jej nie odzyskam, to trudno. A tobie, co, tęskno do niego już?

Pewnieście na kupale potupali tak, że teraz nie możesz o nim przestać myśleć.

Jaromir zarechotał oblesnie, a Gosława aż skuliła się w sobie, po czym bez słowa pożegnania uciekła z powrotem do chaty babki.

* * *

Kilka dni później nadszedł dzień, w którym Boruta ogłosił, że wraca do lasu. Jego wizyta w dalszym ciągu pozostawała tajemnicą, której najwyraźniej nie zamierzał pozwolić rozwikłać. Nie pożegnał się bowiem z Gosławą, jedynie poczochnął włosy małej Bożence, która pociągając smutno nosem wtuliła się w miękkie futro Nawoja. Babka Radka odprowadziła męża aż pod same drzewa, gdzie dziewczyny widziały, jak wspięła się na palce i ucałowała zarośnięty policzek Boruty. Rogacz objął żonę czule, bacząc, by nie zranić jej porożem, po czym wszedł między soczyście zielone baldachimy. Radka długo stała na skraju lasu, nim wróciła do chaty.

- Dziewko, wyjdź, dopóki cię nie zawołam, że możesz wrócić - rzuciła od progu w kierunku Bożenki, a oczy jaśniały jej złowrogo.

Dziewczynka nie śmiała się sprzeciwić. Rzuciła Gosławie przelotne spojrzenie i uciekła na zewnątrz. Tymczasem babka usiadła ciężko przy stole, wskazała Gosławie miejsce naprzeciwko siebie.

- Musimy porozmawiać o tym, co się stało przy ogniskach - rzekła staruszka hardo. - Wiem, że chłopiec cię skrzywdził. Nie będę cię łajac za to, że nie posłuchałaś moich ostrzeżeń. Los już wystarczająco cię ukarał, byś musiała wysłuchiwać tego, co myślę. Mój mężczyzna, Boruta, miał cię pilnować. Poprosiłam go... kogo próbuję oszukać? Kazałam mu, co było błędem, żeby uchronił cię od złego. On w swej dzikiej przewrotności nie

posłuchał. Wpoił sobie, że należałaś mu się, kiedy błąkałaś się po lesie tuż po tym, gdy uciekłaś z niewoli. Zatem, to co miało miejsce, jest również po części moją winą. Za to chcę cię przeprosić.

Gosława słuchała babki w osłupieniu.

- Nie mam zamiaru padać przed tobą na kolana, rwać na sobie koszuli i sypać głowy popiołem, nie myśl sobie. Przyznaję się do błędu, co zdarza mi się niezwykle rzadko, bowiem niezwykle rzadko popełniam błędy. Zraniłam dumę pana lasu i to ty zapłaciłaś cenę za moją pychę. Jeśliby się okazało, że... niezależnie od tego, co się stanie, pomogę ci.

- Słyszałam, jak rozmawialiście tamtej nocy - powiedziała Gosława cicho. - Słyszałam, co mówiłaś, babko. O Gromowile.

Radka obrzuciła dziewczynę byстрыm spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Czują, że Gosława jeszcze nie skończyła mówić i chciała usłyszeć wszystko to, co dziewczyna miała do powiedzenia.

- Ja już wtedy, gdy mnie prowadził przez las, czułam, że nie jest zwyczajny. A potem, gdy widziałam, jak rozmawiał z Borutą... Myślałam, że to sen, że mi się przewidziało. Teraz już wiem, że ani twój mąż mi się nie przewidział, ani Gromowił. Chyba nie mam żalu o to, co mi zrobił Biezdar do nikogo poza nim samym. Nie wiem, nie umiem tego jeszcze dobrze poukładać w głowie. Ale wiem z całą pewnością, że nie podoba mi się to, że Gromowił upatrzył mnie sobie jak jakąś klacz rozplodową.

- Dziecko - wydusiła oniemiała babka. - Czy wiesz, co mówisz? Nie zdajesz sobie chyba sprawy z tego, jak wielkie wyróżnienie na ciebie padło, gdy bóg stwórcą uratował cię przed śmiercią w lesie, a następnie postanowił spłodzić z tobą potomka. Módl się do niego, abys nie zaszła w ciążę z tym nędznym chłopcem.

- Będę się modlić o to, by w ogóle nie zajść w ciążę - rzuciła wściekle Gosława. - Z nikim i nigdy!

* * *

Modły dziewczyny nie zostały jednak wysłuchane, o czym miała się już w niedługim czasie przekonać. W pierwszej chwili wpadła w rozpacz tak przeraźliwą, że rozważała rzucenie się do studni. Następnie przyszła kolej na wściekłość, którą najbardziej pragnęła rozładować, rozłupując Biezdarowi czaszkę zardzewiałą siekierą. Kiedy jednak uświadomiła sobie, że powije dziecko, dla którego stanie się wszystkim tym, czym jej własna matka nigdy nie miała okazji, odnalazła w sobie nieznaną dotąd pokład siły i entuzjazmu.

Babka Radka obserwowała przemiany zachodzące w dziewczynie z zainteresowaniem, z jakim pasjonat przyglądałby się niezwykle okazowi w kolekcji. Postanowiła nie ingerować, nie wtrącać się w decyzję, czy nawet namysły Gosławy, dopóki dziewczyna nie poprosiłaby o pomoc. Zakazała również kategorycznie małej Bożence naprzykrzać się w jakikolwiek sposób. Dla pewności jednak wynajdywała dziewczynce mnóstwo absorbujących zajęć wymagających przebywania na zewnątrz i z dala od domu. Jako że mała złapała doskonały kontakt z Borutą, Radka coraz częściej korzystała z jego usług jako opiekuna. Starzec marudził, że podobna sytuacja nie była mu na rękę, jednak Radka doskonale знаła męża i widziała, że był zadowolony z towarzystwa radosnej Bożenki. Nawet ten jego straszliwy basior przeistaczał się w rozkosznie pociesznego kundla, gdy tylko zwęszył dziewczynkę.

Wreszcie Gosława przemogła się i poprosiła babkę o pomoc, wiedząc, że sama nie podołałaby ciąży i wszystkiemu, co się z nią wiązało. Radka wysłuchiwała dziewczyny, a następnie z właściwą sobie gracją odparła, że Gosława oszalała, jeśli choć

przez chwilę sądziła, że babka pozwoliłaby jej spartaczyć dobre dziecko przez nieudolność oraz kompletny brak doświadczenia w byciu matką. Tak postawiona sprawa uspokoiła Gosławę, która pomimo dość wyboistej relacji zarówno z babką, jak i Bożenką, nie wspominając już o Borucie, czuła że chata na skraju Swarożyc stała się jej domem.

Czas mijał, a dziewczyna piękniała wraz z postępującą ciążą. Od czasu do czasu jeszcze zdarzało się jej wspomnieć Biezdara. Za każdym razem, gdy myśli wracały do niego, Gosława bezwolnie zaciskała pięści i marzyła o tym, by chłopak cudownie objawił się na progu. W zależności od fantazji częstowała go łopatką żaru prosto w zdziwioną twarz, rozgrzanym do białości pogrzebaczem wbitym pod żebra czy zwyczajowym zrywaniem paznokci i posypywaniem ran solą. O dziwo, uświadomiła sobie, że nie miała pretensji o to, że zaszła w ciążę. Nie mogła jednak zapomnieć tego, jak ją wykorzystano. W dalszym ciągu wstydziła się słabości oraz nieporadności, jakie okazała tamtej czerwcowej nocy. Uświadomiła sobie też, jak wielką wartość miała wolność. Całe dotychczasowe życie spędziła w zamknięciu, pozbawiona praw, odarta z człowieczeństwa i obiecała sobie, że już nigdy więcej nie stanie się czyjąś własnością. Dlatego tak bardzo uwierało ją to, co zrobił Biezdar. Odebrał jej bowiem prawo do decydowania o samej sobie. Gosława obiecała sobie, że już nikomu na to nie pozwoli.

* * *

W leśnych ostępach, które oblepiały nitki mgły, rozniósł się echem nieludzki krzyk cierpiącej kobiety. Spłoszone jaroszki czmychnęły do błotnistych jam. Gdzieś opodal zaszczekał lis. Jazgot powtórzył się, tym razem jeszcze głośniejszy, zakończony nagle jak gdyby tej, która cierpiała, brakło tchu.

Podążając za wrzaskami, możnaby dotrzeć do małej, wciśniętej niejako między napierające na siebie ściany lasu wsi. Wieś liczyła raptem kilka chałup, pośród których jednak pyszniła się opatrzona wieżą kątyna poświęcona czci Peruna, boga wszystkiego. Mieszkańcy wsi wiedzieli, kto krzyczał i z jakiego powodu. Pomimo późnej pory niemal nikt nie spał. Ludzie stali przed domami, okryci wełnianymi płaszczami, chroniąc się przed siekącymi wciąż podmuchami zimowego wiatru, który zdawało się, za nic nie odpuści. Wsłuchiwali się w krzyki cierpiącej kobiety, rozmyślając nad powodem jej cierpienia. Niejeden dumał, czy mógł zrobić cokolwiek, by zapobiec nieszczęściu.

Dla wrzeszczącej podobne rozmyślenia nie miały najmniejszego znaczenia. Musiała zmierzyć się z rzeczywistością, która atakowała ją równie zaciekle co osaczony ryś. Dlatego też zacisnęła zęby, wbiła pięści mocniej w siennik i wrzasnęła po raz kolejny. Stara kobieta, która przyjmowała poród, zakłęta cicho, a następnie rzuciła ostro rozkaz w kierunku dziewczynki, która wyglądała, jak gdyby lada moment miała zemdleć. Opanowała się jednak i pobiegła po kolejne wiadro wody do zagotowania.

Ciągnąc linę, na końcu której kołysało się ciężko drewniane wiadro, dziewczynka spojrzała w zachodzące szarymi chmurami niebo. Ciężkie, kłębiące się tumany sunęły znad lasu, zmierzając nad Swarożyce z niespotykaną prędkością. Co chwila rozbłyskały od błękitnego światła piorunów. Wciąż dalekie echo grzmotów mruczało głucho. Wtem spomiędzy drzew wyłoniła się wysoka i chuda postać starca o zielonych, skołtunionych włosach i rozłożystym porożu, u boku którego kroczył ogromny wilk.

- Dziadku, dziadku - krzyknęła dziewczynka i, zapominając zupełnie o wodzie, popędziła na skraj lasu. - Gosława rodzi i babka strasznie zła jest. A spójrz też, jakie niebo okropne.

Mężczyzna pochylił się, by przytulić dziecko. Następnie wziął Bożenkę na ręce i ruszył w kierunku chaty, popatrując co chwila na zbliżające się chmury.

- Tak, niebo jest okropne - przyznał cichym, nieco napiętym głosem. - Chodźmy, pomożemy babce i schowamy się w środku, bo nadciąga burza.

- Nie możemy jeszcze wrócić. Babka wysłała mnie po wodę dla Gosławy.

Boruta zatrzymał się, zerknął ponownie w niebo. Widząc, że dziewczynka przypatruje mu się z rosnącym niepokojem, uśmiechnął się równie szeroko, co nieszczerze. Następnie, postawiwszy Bożenkę na ziemi, poprosił, by sama weszła do środka, on tymczasem przyniesie wodę. Dziecko nie przeszło kilku kroków, gdy ogłuszający huk gromu rozdarł niebo. Hałas był tak głośny, że Bożenka padła plackiem na trawę i krzyżąc wniebogłosy zakryła uszy dłońmi. Nawój, którego słuch był o wiele czulszy niż ludzki, przysiadł na zadnich łapach, popiskując żałośnie. Nawet Boruta wydawał się poruszony.

Czarne chmury zawisły złowrogo nad wsią, której mieszkańcy pospiesznie umknęli do domów.

- Oto jest - mruknął pod nosem leśny starzec, a z obłoków wyłoniła się świetlista, mieniąca się jak błyskawica sylwetka.

* * *

Poród przebiegał tragicznie. Gosława cierpiała niewypowiedziane męki, parła ostatkiem sił. Miała wrażenie, że lada moment pęknie, rozerwie się wzdłuż i wszystko to, co miała w środku, razem z dzieckiem wypadnie na zewnątrz. Nawet babka, która do tej pory na zmianę kłęta i uspokajała dziewczynę, milczała z zaciętą miną. Od kilku chwil zastanawiała się, w jaki sposób powiedzieć Gosławie to, co należało. W końcu zdobyła się na odwagę.

- Córúś - zaczęła miękko. - Maleństwo się źle ułożyło.

Gosława jęknęła rozdzierająco, nie wiedzieć z bólu, czy od słów babki.

- Musisz być teraz dzielna. Przyj z całych sił, a babka pomoże, jak tylko będzie mogła.

Nałożyła dziewczynie dłonie na brzuch i mrużąc pod nosem zaklęcia przeplatane modlitwami, starała się przelać w rodzącą jak najwięcej sił. Wysyłała do brzucha moc korzeni drążących ziemię, pędów oplatających ciasno tyczki, kwiatów wyłaniających się spod zwałów śniegu. Słała prastarą siłę natury, która w statecznym i powolnym uporze stanowiła najpotężniejszą, jaka istniała na świecie.

Gosława poczuła, że ból nieco zelżał, co dodało jej odrobinę energii potrzebnej do parcia. Nabrała tchu i pchnęła, pomagając sobie krzykiem. I jeszcze raz. I jeszcze. Babka z jedną ręką wciąż na brzuchu rodzącej, drugą błędziła po wystających na zewnątrz pośladkach dziecka. Po jej pomarszczonej twarzy spływały grube krople potu.

- Przyj, dziewczyno. Przyj.

Wrzask Gosławy zagłuszył nagły huk grzmotu tak głośny, że z komina posypała się sadza. Babka zastygła w bezruchu, po czym rzuciła okiem w stronę okna. Przez przybrudzoną błonę nie było niemal nic widać poza rozmazaną ciemnością, jednak Radka nie musiała nic widzieć.

- Dziś mija rok, odkąd obiecał, że przyjdzie - szepnęła pod nosem, wiedząc, że lada chwila otworzą się drzwi do chaty.

Wiedziała też, kto stanie w progu.

* * *

Drzwi do chaty otwały się gwałtownie, uderzyły o ścianę z suchym trzaskiem, a do środka wpadł gnany podmuchem wiatru tuman deszczu. Zza kotary drobnych kropeł wyłonił się barczysty, wysoki mężczyzna o mokrych włosach i brodzie ociekającej wodą. Oczy gorzały mu niby najprawdziwsze

błyskawice, a sylwetka zdawała się emanować błękitną poświatą. Wszedł do środka, kłaniając głowę przed nisko osadzoną framugą. Widząc Gosławę leżącą na rozłożonym na podłodze sienniku, przystanął na moment, po czym przeniósł piorunujący wzrok na Radkę. Staruszka nie wstała z kolan, nadal trzymając dłoń na pękатыm brzuchu dziewczyny.

- Przyj, dziewczyno - poleciała po raz kolejny, wysyłając następny impuls mocy. - Już prawie. Już niedużo.

Do chaty wpadli zmoczeni deszczem Boruta wraz z Bożenką. Trójka stojąca w wejściu obrzuciła się nawzajem nieufnymi spojrzeniami, po czym wróciła do obserwacji porodu. Babka miała serdecznie dość. Była zmęczona, zużyła mnóstwo energii na uśmierzanie bólu Gosławy, a na dodatek nie mogła opędzić się od paskudnego przeczucia. Zbyt długo to trwało.

- Pomóżcie mi, nieguły - krzyknęła wściekle. - Bożena, gotuj wodę i szykuj świeże szmaty. Boruto, weź stąd psa, bo mnie mdli od zapachu mokrej sierści. A ty. - Rzuciła szybkie spojrzenie na przybysza. - Chodź no tu bliżej.

Barczysty mężczyzna podszedł na sztywnych nogach, ukląkł przy babce i Gosławie, która zdawała się znajdować w stanie maligny. Niemal już nie krzyczała, jęczała tylko i parla anemicznie. Widok był okropny. Okrwawione posłanie, przód koszuli, a spomiędzy nóg dziewczyny wystawały wiotkie nóżki oraz tułów dziecka. Maleństwo się nie ruszało.

- Moja moc tu na nic - szepnęła babka, co nie było konieczne, bowiem Gosława zdawała się nie słyszeć, co się wokół działo.

- Czyje to dziecko? - spytał sucho mężczyzna, starając się nie patrzeć na makabryczny obraz rozpościerający się przed nim.

- To cię teraz interesuje, stary lubieżniku?

- Miała być moja, babko. Obiecałaś.

- I jak dotąd zawsze dotrzymywałam danego słowa - syknęła Radka tak jadowniczo, że zdawało się, iż i z jej oczu lada chwila sypną blade iskry.

Przybysz wyciągnął rękę i delikatnie pogładził nieruchome, oklapłe ciało chłopca. Następnie jednym sprawnym szarpnięciem wydobył je na zewnątrz. Dziecko było sine na twarzy.

- Pokażcie mi je - wychrypiała słabo Gosława, usiłując unieść się na posłaniu.

Babka szepcząc słowa otuchy, ułożyła dziewczynę na powrót. Nie chciała, by widziała noworodka w takim stanie. Uspokajając Gosławę, nie odrywała wzroku od wysokiego mężczyzny o płonących błękitem oczach, który wpatrywał się uważnie w martwe niemowlę. Mała Bożenka siedziała przy palenisku i cicho popłakiwała. W drzwiach na powrót stanął Boruta, a jego zielone włosy ociekały wodą. Na moment w chacie zapanowała cisza. Nienaturalna cisza, która wytłumiła nawet szum deszczu oraz trzaskanie ognia w palenisku.

Mężczyzna ułożył martwe niemowlę na lewym przedramieniu, a prawą dłoń złożył na małej piersi. Przymknął oczy, a spod powiek wysączyło mu się, niby smużki mgły, opalizujące błękitem światło. Z każdą chwilą cisza stawała się bardziej dojmująca. Ciśnienie, jakie nagle wypełniło chatę, sprawiło, że w uszach zebranych rozległ się wysoki pisk. Tymczasem mężczyzna z niemowłeciem na rękach wyrzekł jedno krótkie słowo, a z jego palców trysnęły cieniutkie zygzaki błyskawic, które oplotły zwiotczałe ciało. Dzieckiem wstrząsnęły dreszcze tak silne, że zdawało się, że lada moment wypadnie z objęć mężczyzny.

Wtem, gdy cisza rozsadzana przez wwiercający się w czaszkę pisk stała się niemal nie do zniesienia, babka spostrzegła, że noworodek nabrał kolorów, a bezzębne usta rozwarte miał w bezgłośnym wrzasku. Dopiero po chwili

ciśnienie wraz z ciszą ustąpiły i w chacie na powrót słychać było zarówno szum deszczu, jak i buzujący ogień. A nade wszystko płacz dziecka.

Gosława ze łzami w oczach wyciągała słabo ręce w stronę pokrytego śluzem oraz krzepnącą krwią syna. Mężczyzna spojrział na niemowlę po raz ostatni, nim wsunął je delikatnie w ramiona matki. Drgnął, gdy sucha dłoń babki Radki spoczęła na jego ramieniu. Wyszli razem na zewnątrz pod okap ze strzechy, gdzie można było się schronić przed deszczem.

- Dziękuję. - Staruszka skinęła głową, a słowa zabrzmiały nienaturalnie, obco, jak gdyby nie była przyzwyczajona do ich wypowiedziania.

- Nie musiałem tego robić - rzekł mężczyzna dziwnym tonem.

Brzmiało to tak, jakby dziwił się samemu sobie. Niemal jakby to, co zrobił, napawało go w równej mierze zdumieniem, co zachwytem.

- Nie musiałeś, ale o ile mnie pamięć nie zawodzi, kilkakrotnie zdarzało ci się uczynić podobny cud. Cieszy mnie, że tym razem zdecydowałeś się podarować temu dziecku nieco swej łaski.

- Czyż nie jestem bogiem bogów? Ojcem dla was wszystkich? Wszystkie dzieci potrzebują ojców. - Wskazał za siebie, wierząc babkę płonącymi oczami. - To także. Dlatego powiesz mi, kto jest ojcem, a ja zadbam, by nim został.

* * *

Chłopiec zadziwił nowo upieczoną matkę. Nie płakał, nawet gdy wyraźnie czegoś chciał. Wpatrywał się za to intensywnie nienaturalnie niebieskimi, wręcz srebrnymi oczami tak długo, aż zwróciło się na niego uwagę. Gosława nie miała zbyt wiele doświadczenia z niemowlętami, jednak rozumiała, że jej syn nie zachowywał się normalnie. Poza tym za tymi oczami czaiła się

inteligencja zbyt żywa jak na kilkutygodniowe dziecko. Patrząc w nie można było odnieść wrażenie, że chłopiec widział i przeżył więcej niż jedno życie. Mówiąc do niego, miało się wrażenie, że rozumie każde słowo i czasem marszczył się, jakby sfrustrowany tym, że nie potrafi jeszcze udzielać odpowiedzi.

Gosława niewiele pamiętała z porodu. Wracając myślami do tego dnia, czuła niepokój, słyszała w pamięci silne podmuchy wiatru, deszcz bijący wściekle o ściany domu oraz grzmoty głośniejsze niż cokolwiek, co słyszała do tej pory. Czasem śniła się jej śmierć, upersonifikowana jako wielki jeleni o odłóżającej płatami sierści i martwych oczodołach, w których roilo się od robactwa. W tych snach Gosława nadal była w ciąży, a śmierć podchodziła na rachitycznych nogach i trącała ją porożem w brzuch. Niezbyt mocno, raczej zaczepnie niż z zamiarem wyrządzenia krzywdy. Niemniej za każdym razem, gdy poroże dotknęło skóry dziewczyny, ta czuła w środku potworny ból, jakby przypalano ją ogniem. Budziła się z krzykiem oplatającym gardło jak powróż, po czym biegła do wiklinowego kosza, w którym spał chłopiec. Nie mogła na powrót zasnąć, jeśli wcześniej nie sprawdziła, czy syn żyje.

Zarówno babka, jak Bożenka nie wspominały ani słowem o porodzie. Mówiły zgodnie, że całe szczęście, że mały zdrowy. O imię nikt nie dopytywał, bowiem nazwać dziecko przed siódmymi urodzinami przynosiło nieszczęście. W końcu jednak Gosława nie mogła już znieść dziury w pamięci i wypytała babkę. Opowiedziała dręczące ją sny, a także strzępy wspomnień, a staruszka z kolei wyznała, co takiego miało miejsce.

- Boruta zaś kręcił się tu w pobliżu na wypadek, gdyby Peruna poniósł gniew i trzeba byłoby go jakoś powstrzymać - dokończyła opowieść Radka. - Nie byłby to pierwszy raz, gdy spaliłby wieś w złości. Nic takiego jednak się nie stało, co więcej, pomógł ci i okazał troskę. On nie jest złym bogiem, ale

litościwym też bym go nie nazwała. Jest starszy niż cokolwiek innego świecie, zatem trudno go pojąć.

- A ty, babko? - spytała Gosława, patrząc gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem. - Kim jesteś i jak długo tu mieszkasz?

Radka uśmiechnęła się krzywo, następnie poklepała dziewczynę po ramieniu przyjacielsko.

- Wystarczająco długo, by wiedzieć co nieco. Zarówno o bogach, jak i ludziach. Ale sama nie jestem ani jednym, ani drugim. Wszystko jednak, co żyje, we mnie bierze swój początek, tak jak ja swój wzięłam od Peruna, gdy przed wszelkim istnieniem samotnie przemierzał bezkres wód prarzeczy.

- Ty jesteś Mokosz? - zachłysnęła się Gosława.

- Jestem życie, natura, wszelkie stworzenie. Moje ciało umiera i odradzam się w nowym. Mam wiele imion, do których wielu się modli.

Gosława rzuciła okiem na Bożenkę, która łaskotała niemowlę po brzuchu. Chłopczyk wpatrywał się w nią z powagą, zupełnie nie przystającą do jego wieku. W jednym przebłysku tak wiele rzeczy nabrało sensu. Dziewczyna usiadła ciężko na ławie, przyjęła z wdzięcznością podany kubek wody. Miała wrażenie, że w ostatnim czasie poznała i przeżyła tyle rzeczy oraz istot, jakie wykraczały poza ludzkie pojęcie, że w zasadzie nie powinna się więcej dziwić. I ze zdziwieniem zrozumiała, że nie jest zdziwiona. Nie umiała dokładnie opisać tego, co czuła.

Nagle też z zaskakującą jasnością pojęła, co powinna zrobić. Uniosła wzrok na babkę, która przyglądała się jej z troską.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała Gosława z niezachwianą pewnością siebie. - Chcę, by mój syn miał normalne dzieciństwo. Moje takie nie było, bo ktoś odebrał mi wolność. Tutaj jesteśmy wolni, ale nie mogę pozwolić, by chłopiec obracał się w towarzystwie przedwiecznych i bogów.

Radka pokiwała głową z wyraźnym smutkiem. Nie powiedziała jednak ani słowa. Nie musiała.

* * *

W kilka dni później Gosława spacerowała po Swarożycach z dzieckiem zawiniętym w lniany rożek. Pomimo doskierającego upału chłopczyk spał w najlepsze. Gosława krążyła po wsi bez konkretnego celu, co chwila napominając samą siebie, że powinna wrócić do chaty babki, aby schronić się przed prażącym słońcem. Coś jednak sprawiało, że nadal nie wracała, aż w końcu zaszła przed kątyńę, rzucającą długi cień na pokrytą suchym pyłem ścieżkę biegnącą przez wieś. Gosława uzmysłowiła sobie, że nigdy, odkąd dokończono budowę, nie była w środku. Świątynia bezwiednie kojarzyła się jej z Biezdarem, dlatego pewnie nie zdecydowała się na odwiedzin. Tamtego jednak dnia postanowiła, że wejdzie. Chciała przed wyjazdem ze Swarożyc choć raz zobaczyć kątyńę Peruna od środka.

Pchnęła łukowato zakończone drzwi, które ustąpiły bezdźwięcznie. W środku panowała niewiele niższa temperatura niż na zewnątrz. Pachniało drewnem i żywicą. Gosława postąpiła kilka kroków naprzód i stanęła przed maleńkim, niedawno zasadzonym dębem. Drzewko umiejscowiono mniej więcej pośrodku kątyny, w miejscu, gdzie sklepienie sięgało najwyżej. Dziewczyna zrozumiała w końcu przeznaczenie wieży, którą widać było od zewnątrz. Patrząc na sadzonkę starała się wyobrazić sobie, jak to miejsce będzie wyglądało za pięćdziesiąt lat, gdy dąb osiągnie dorosłość. Zastanowiła się także nad nietypowym pomysłem, by posadzić święte drzewo pod dachem. Czyżby przez sam ten fakt miejsce kultu miało stać się wyjątkowe? Czy też dlatego, że było wyjątkowe, posadzono w nim dąb?

Gosława drgnęła, gdy odgłos zamykanych drzwi wyrwał ją z zadumy. Biezdar nieśmiało postąpił kilka kroków naprzód, dziewczyna zaś przezornie odgrodziła się wyłożoną szarym kamieniem rabatą, na której zasadzono drzewko.

- Nie bój się, nie przyszedłem tu, by zrobić ci krzywdę. - Chłopak uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Na to już trochę za późno. Czego chcesz?

- Zobaczyć syna. Przeprosić ciebie i jego. Chciałbym...

Biezdarowi nie dane było dokończyć, bowiem przerwał mu tyleż gromki, co teatralny wybuch śmiechu Gosławy. Dziewczyna zdawała się nie przejmować tym, że jej popisy obudziły dziecko. Malec wpatrywał się w matkę z zainteresowaniem i swoim zwyczajem nie wydobył z siebie ani piśnięcia.

- Jakiego syna? Ty nie masz żadnego syna.

- Ale to dziecko... Ono jest moje.

- Nie masz do niego żadnych praw - wycedziła Gosława, akcentując każde słowo tak jadowniczo, jak gdyby chciała nimi wychłostać Biezdara. - Do tego, co mi zrobiłeś, też nie miałeś prawa.

Sunąc wolno w kierunku wyjścia, Gosława bezwolnie myślała o tym, że człowiek, który wyrządził jej potworną krzywdę, przedstawiał sobą żaloszny widok. Pożałowania godny wręcz. Sprawiał wrażenie zaszuszonego. Urosły mu włosy, przetłuszczonymi strąkami spływające na oczy i ramiona. Rzadki zarost pokrywał wciągnięte policzki. Plecy zaokrąglone w niewielki garb sprawiały, że Biezdar zdawał się skurczony. W tamtej chwili Gosława nie mogła pojąć, jak ktoś taki mógł zrobić jej jakąkolwiek krzywdę. Wydawało się jej niewiarygodne, że coś równie żalosznego mogło do niedawna nawiedzać jej koszmary. Miała bowiem wrażenie, że najlżejszym pchnięciem byłaby w stanie nie tyle Biezdara przewrócić, co przebić na wylot.

- On mnie odszukał - wyrzucił z siebie nagle chłopak.

Brzmiało to tak, jakby musiał stoczyć walkę z samym sobą, aby słowa wydostały się na zewnątrz. Niemal wypluł je, krtusząc się treścią. Patrzył na Gosławę rozszerzonymi strachem oczami, a wystająca w chudej szyi grdyka skakała, gdy nerwowo przetykała.

- Kto taki?

- Wiesz kto. Mówił, że przyszedł w twoim imieniu i że jeśli nie zostanę ojcem dla naszego dziecka, spotka mnie coś strasznego.

- A więc to tak - parsknęła Gosława. - Szykuj się zatem na najgorsze. Nie zbliżysz się bowiem do mojego syna. Nie jesteś i nigdy nie byłeś jego ojcem. Zawdzięcza życie Perunowi, nie tobie.

Nie czekając na odpowiedź, pchnęła biodrem drzwi i wymknęła się na zewnątrz. Gdy tylko drzwi się zamknęły, ruszyła najszybciej jak to możliwe z dzieckiem na rękach w stronę chaty Radki. Dopiero gdy tam dotarła, poczuła się bezpiecznie. Drżącymi rękami odłożyła dziecko do kosza.

- Wyglądasz na poruszoną - zauważyła staruszka. - Coś się stało?

- Zobaczyłam żywego trupa - odparła Gosława, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówiła.

Z wiklinowego kosza doleciało radosne gaworzenie, które brzmiało jak chichot. To był pierwszy raz, gdy syn Gosławy wydał z siebie jakikolwiek dźwięk.

* * *

W lesie zmrok zapadł szybko. Niebo przesłoniła gęsta masa ciemnych chmur, w których migotały od czasu do czasu błyskawice. Nie było jednak słyhać grzmotów. Biezdar nie mógł sobie przypomnieć, jak ani kiedy znalazł się wśród drzew. Pamiętał nieudaną romowę z Gosławą w świątyni. Kiedy jednak

tylko drzwi zamknęły się za dziewczyną i ruszył, by ją dogonić, spróbować uprosić, ogarnęła go niemoc. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był pogrążający się w mroku las.

Przystanął na moment, by rozejrzeć się w poszukiwaniu czegokolwiek znajomego. Niczego jednak nie wypatrzył. Nie mógł również oszacować kierunków świata za pomocą ułożenia słońca, ponieważ chmury stały się tak gęste, że niemal zupełnie nie przepuszczały światła. Zrezygnowany ruszył w przypadkowym kierunku, licząc na to, że uda mu się trafić na dukt lub do osady smolarzy czy drwali.

Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszał przeciągłe wycie wilka. Dźwięk zjeżył Biezdarowi włosy na głowie, jednak pocieszał go fakt, że zdawał się dolatywać ze sporej odległości. Wznowił marsz, jednak już po chwili ponownie przystanął, gdy drugi wilk odpowiedział na wezwanie pierwszego, tym razem znacznie bliżej. Chłopak usiłował przebić zalewające go ciemności wzrokiem, jednak nie widział niemal niczego. Słońce zaszło kompletnie, a powąła chmur nie ustępowała pod naporem wiejącego wiatru. Wraz z kolejnym podmuchem do uszu Biezdara doleciało wycie trzeciego wilka. Tym razem zza pleców. Bardzo blisko.

Chłopak puścił się pędem, nie bacząc na to, dokąd biegnie. Nisko wiszące gałęzie siekły go po twarzy, korzenie wybrzuszone porośniętą mchem ziemię sprawiały, że każdy krok groził skręceniem kostki. Biezdar jednak, ogarnięty paniką, nie zważał na nic. Gnał przed siebie byle dalej. Biegając i nie myśląc, czuł się odrobinę lepiej. Miał wrażenie, że dzięki temu nie stanie mu się żadna krzywda. Bogowie jednak mieli względem niego inne plany.

Gdy nie mógł ze zmęczenia biec dalej, włókł się noga za nogą. Nie słyszał już wilków, jednak strach sprawił, że czuł na sobie czyjś wzrok. Zdawało mu się, że gdzie by nie spojrzął, tam rozmywały się w mroku kształty, gasły ślepia. Wreszcie nie

miał sił, by iść. Usiadł zatem pod bukiem, oparty plecami o jasny pień. Panika napierała nań z każdej strony jak woda wdzierająca się do pomieszczenia. Chciał wstać, by znów biec, nie mógł się jednak poruszyć. Czuł się tak, jakby nie odpoczywał od kilku dni, by wreszcie przystanąć na moment. Gdy za plecami usłyszał delikatny szelest, tak cichy, że gdyby nie nasłuchiwał intensywnie, prawdopodobnie w ogóle by go nie usłyszał, drgnął panicznie. Ciało spięło się do ucieczki, każdy mięsień drżał z wysiłku. A mimo to Biezdar się nie poruszył.

W miejscu zatrzymała go postać stojąca przed nim tuż na granicy powidoku. Wysoka, chuda istota o rozłożystym porożu otoczonym widmową aureolą skołtunionej sierści.

- Składam cię oto w ofierze samemu sobie - powiedziała postać miękko.

Biezdar zamknął oczy w obawie, że to, co mógłby zobaczyć, byłoby straszniejsze od podszeptów wyobraźni. Ostatnie, co zarejestrował, nim ogarnęła go nicość, to niski gardłowy warkot tuż przy lewym uchu. Poczul na skórze ciepły, cuchnący gnijącym mięsem oddech, a potem nie było już niczego, co można by czuć.

Pole chwały

LISTOPAD

Kasia naparła na drzwi wyjściowe barkiem, by uchylić je choć odrobinę. Przez noc napadało mnóstwo śniegu, którego zwał blokował wyjście z chaty. Położyła płaski, szeroki kosz z ziarnem dla kur na podłodze, ponownie pchnęła drzwi. Otworzyły się nieco szerzej. Do środka wniknął podmuch lodowatego wiatru. W powietrzu zamigotało kilka płatków śniegu.

Odgoniła Nawoja, który, jak zwykle ciekawski, obwąchiwał ziarno, rozdmuchując jego sporą część. Wreszcie zdołała uchylić drzwi na tyle szeroko, by wydostać się z chaty. Pierwszy na zewnątrz wyrwał Nawój, niemal całkiem ginąc w zaspach. Wystawił kudłaty łeb ponad śnieg i dyszał komicznie. Dziewczyna zachichotała, patrząc na bawiącego się beztrósko psa.

Wtem śmiech utknął jej w gardle. Zmrużywszy oczy przed rozbłyskami słońca w skrzącym śniegu, wpatrywała się w ślady stóp odcisnięte płytko w świeżej warstwie puchu. Sądząc po rozmiarze, ktokolwiek je pozostawił, mierzył niewiele ponad łokieć wzrostu.

Kasia poprawiła ułożenie kosza, zawołała Nawoja i ruszyła po śladach, ciekawa dokąd prowadziły. Brnęła przez skrzypiący śnieg, unosila kolana tak wysoko, jak była w stanie. Pies dreptał przez zagłębienia, sunąc za Kasią.

Trop prowadził do drewni, gdzie z zaskoczeniem skonstatowała, że zapas równo poukładanych polan znacznie wzrósł przez noc. Jasiek, zanim poszedł, naszykował tyle opału, ile zdołał, ale zima uderzyła znienacka i należało wcześniej sięgnąć po rezerwy. Tymczasem komuś wystarczyła jedna noc i drewno sięgnęło aż pod daszek drewni. Nawój obwąchiwał klocki, zamiatając ogonem jak szalony. Spojrzał na Kasię i zaskomlał.

Dziewczyna powiodła wzrokiem dookoła, nie dostrzegła jednak nigdzie więcej odcisków maleńkich stóp. Zdawało się, że ktokolwiek je pozostawił, odbył jedynie krótki spacer od wejścia do chaty do drewni. Cokolwiek stało się z tajemniczym pomocnikiem po tym, gdy narąbał drewna na opał, pozostawało tajemnicą.

SIERPIEŃ tego samego roku

Żniwa miały się ku końcowi, a słońce piekło jak w połowie lipca. Co wieczór niemal szalały suche burze z piorunami, duchota dawała się we znaki. Bano się także pożarów, które mogły wybuchnąć, gdyby jedna z błyskawic ugodziła w wysuszone strzechy chat czy drzewa w lesie.

Chłopi po skończonej robocie w polu składali kosy na wóz ze zbożem i ocierając chustkami spocone twarze, spieszyli do chałup, by duszkiem pić chłodny kompot. Wśród pracujących w polu był Jasiek Rozmus, młody chłopak żyjący z żoną na łysej górze. Łysa góra wystawała ponad Radkową Kępę, gęsty i prastary bór otaczający niewielką wieś zwaną Swarożycami. Przez to, gdzie mieszkał, Jasiek był zarówno swój, jak i obcy. Znali go i jego Kasię wszyscy we wsi, ale wiadomym też było, że małżeństwo przedkładało swe towarzystwo nad sąsiedzkie komitywy. Co jakiś czas jedno bądź drugie schodziło ze wzgórza

przez las, by coś kupić lub sprzedać, przeważnie jednak siedzieli u siebie. Nie można było jednak odmówić im tego, że stanowili część społeczności, bowiem Jasiek zawsze pod koniec lata przychodził na żniwa z własną kosą, a Kasia dała się poznać niejednej ciężarnej jako położna i zielarka.

Tajemnicze było również pochodzenie pary ze wzgórza. Pewnego dnia kilka lat temu pojawili się, wyjeżdżając z Radkowej Kępy rozklekotanym wozem zaprzężonym do muła o oklapniętym uchu. Porozmawiali z sołtysem i tego samego dnia osiedli w rozpadającej się ruderze na wzgórzu. Jasiek od razu zabrał się do remontu, w którym pomogli mu okoliczni chłopci, powodowani w równej mierze chęcią niesienia pomocy, jak i ciekawością, kim byli nowo przybyli. Nie zaspokoił jednak ciekawości, bowiem młody Rozmus okazał się być małomówny i skryty. Niedobory w sferze towarzyskiej nadrabiał jednak pracowitością. Chałupę odnowiono w rekordowo szybkim czasie, co stanowiło główny temat rozmów we wsi przez dobry miesiąc.

Dzień po zakończeniu prac Rozmusowie zeszli do Swarożyc ze sporym garncem miodu, którym w ramach podziękii poczęstowali chętnych.

* * *

Jasiek ściągnął lnianą koszulę, wytarł nią spoconą twarz i tors. Jako ostatni zszedł ze ścierniska, po czym skierował kroki do domu. Maszerował z kosą zarzuconą na ramię, z której niby flaga zwieszała się koszula. Lubił pracę w polu. Dawała satysfakcję, jak każda inna fizyczna robota, której efekty były namacalne i widoczne od razu. Mimo to nie miał ambicji, by obsiać własne pole. Wolał pomagać innym, samemu nie będąc przykutym do roli. Zbyt bowiem cenił sobie swobodę, jaką gwarantowało leśne zbieractwo, niewielki splachetek ziemi, jaką uprawiał z żoną, a także okazjonalne polowanie na zwierza

w lesie. Odkąd sięgał pamięcią, marzył o tym, by żyć i utrzymywać siebie oraz rodzinę z pracy rąk.

Z przyjemnością zanurzył się w zacieniony bór, gdzie upał nie doskwierał tak bardzo. Szedł wąską ścieżką obrośniętą z obu stron skarłatymi czeremchami i krzakami jeżyn. Gdzieś niedaleko słychać było stukanie dzięcioła, wesóły śpiew czeczotki oraz donośny gwizd jarząbka. Radkowa Kępa była najpiękniejszym lasem, jaki dane było Jaśkowi oglądać. Dzika, pierwotna, niemal nietknięta przez człowieka. Na ile chłopak wiedział, przez bór biegł jeden tylko gościniec, wiedział o kilku ścieżkach wykarczowanych przez miejscowych. Reszta jednak lasu nie uległa jeszcze człowiekowi.

Stary bór miał jednak i mroczną stronę. Czasami, przeważnie nocą, niesły się dziwne odgłosy, tajemnicze echa i paralizujące strachem wizgi. Jasiek jeśli tylko mógł nie zapuszczał się do lasu po zmierzchu. Nie ciekawiło go, co takiego grasowało między drzewami w ciemnościach. Kasia z kolei, będąca w większej niż on symbiozie z naturą, nie raz dociekała, jakie to istoty zawodziły nocami. Pomimo to także i ona nie zapuszczała się po zmroku do lasu.

* * *

Siedzieli przed domem na drewnianej ławeczce. Kasia wyrabiała masło z koziego mleka, Jasiek czyścił sztuciec. Była to wspaniała, niezawodna, choć wiekowa broń. Należała do dziadka Antoniego, powstańca i zapalonego myśliwego. Strzelba przeszła następnie w posiadanie ojca Jaśka, aż on sam otrzymał ją od rodzica w dniu, w którym opuścił rodzinne strony. Dbał o sztuciec najlepiej, jak potrafił, rozbierając go, czyszcząc, natłuszczając i składając na powrót po każdym polowaniu. Nie widział się z ojcem od trzech lat, także cenił sobie chwile spędzone z pamiątkową strzelbą. Bądź co bądź, była to jakaś namiastka bliskości z rodzicem.

- Żniwa skończone - mruknął pod nosem Jasiek, wcierając szmatką smar w broń.

- Dobrze. Więcej w domu będziesz.

- Ano. Ale myślałem, że na polowanie pójde. Mięsa na zimę ustrzele.

- Zasuszymy?

- Zasuszymy.

- Dobrze. - Kasia spojrzała w zachodzące pomarańczem niebo. - Grzyby się niedługo pojawić powinny.

- Oj, do grzybów to daleko. Za ciepło, wilgoci nie ma.

- A ja ci powiadam, że niedługo będą - rzekła stanowczo dziewczyna.

Jasiek zrezygnował z dalszej dyskusji. Wiedział, że jego żona posiadała niepodważalny dar przepowiadania pogody. Jeśli twierdziła, że skwar niebawem zmieni się w słotę to najwyraźniej tak właśnie miało być.

- Chłopy na żniwach dobrze cię traktowały? - spytała po chwili.

- Tak, jak zwykle. Nie ma między nami ani miłości, ani nienawiści. Lubię do nich zajść od czasu do czasu i pomóc. Oni o tym wiedzą i okazują wdzięczność najlepiej, jak potrafią.

Kasia spojrzała na męża z ukosa. Wiedziała, że Jasiek powinien zażądać zapłaty za pracę. Wiedziała również, że jak dotąd nigdy tego nie zrobił. Uważał bowiem, że miał dług u Swarożyczan, którzy pomogli w odbudowie chaty. Kasia nie chciała wdawać się z mężem w kłótnie, sądziła jednak, że Jasiek już dawno spłacił zaciągnięty dług wdzięczności.

* * *

Słońce leniwie wspinało się po nieboskłonie, wyzierając niemrawo zza gęstej ściany drzew. Ptaki w akompaniamencie świerszczy rozpoczynały koncert. Od strony wsi,

zwielokrotnione przez Radkową Kępe, niosło się ujadanie psa. Nawój strzygł uszami, łowiąc komunikat pobratymca, sam jednak nie wydał najcichszego nawet pisku. Nie odstępował Kasi, która wyszła doić kozę. Z kurnika dolatywało senne gdakanie budzących się kur.

Koza Dziewanna stała ze spokojem właściwym krowom, żując zawzięcie coś bliżej nieokreślonego. Ciepłe mleko tryskało strugami do podstawionego drewnianego wiadra. Dziewanna wsłuchiwała się w dobrze znany, kojący głos Kasi.

- Ty nam mleczko, kochana, a my tobie dach nad głową i miłość. Tak, tak sobie żyjemy w harmonii, prawda? No prawda. Kto jest taką piękną, mądrą kózką?

Jak gdyby rozumiejąc sens słów, Dziewanna beknęła urywanie, spojrzała prostokątną źrenicą na Kasię, zarzuciła głową. Gdy Nawój szczeknął, Kasia uniosła wzrok w kierunku wejścia do lasu. Ścieżką piał się w górę Emil, waligóra z płowym wąsem rozrośniętym na policzki. Mężczyzna, sapiąc donośnie, dotoczył się do miejsca, w którym Kasia doiła. Pogłaskał w przelocie łaszącego się psa.

- Pani Katarzyno, pomóżcie - wydyszał, mnąc w sękatych dłoniach czapkę. - Moja Jadźka rodzić zaczęła.

- To za wcześnie! - Dziewczyna zerwała się z taboretu, Dziewanna niespokojnie przebrała kopytami. - Weźcie kozę do zagrody. Zaraz wrócę.

- Dzięki wam. Dzięki.

- Nie dziękujcie. Za wcześnie na dziękowanie - dodała pod nosem, pędząc do chaty.

* * *

Już od progu wiedziała, że sytuacja była beznadziejna. Ciężarna wiła się w konwulsjach na łóżku w pościeli lśniącej karmazynem od krwi. Kasia przegoniła precz gapiów, rzuciła na podłogę torbę z ingrediencjami.

- Jestem, Jadziu. - Poglądziła cierpiącą kobietę po rozpalonym, spoconym czole. - Nie bój się, jestem przy tobie.

Kasia rychło zabrała się za ucieranie ziół, przykazała Emilowi, by zagotował nieco wody. Wiedziała, że jej leki na niewiele się zdadzą. Jadwiga ronila półroczne dziecko. Żadne zioła nie mogły temu zaradzić. Chciała jednak uśmierzyć ból i uratować matkę. Dziecku, niestety, nie mogła już pomóc. Nie potrafiła się jednak zdobyć na to, by powiedzieć o tym na głos.

- Macie wodę. - Emil postawił parujący saganek obok łóżka. - Pomożecie Jadzi?

- Pomogę - odrzekła Kasia sucho, wrzucając zioła do wody.

Czekając, aż napar będzie gotowy, wyjęła z torby maść, którą wtarła w podbrzusze ciężarnej. Następnie, przelawszy płyn do drewnianej czarki, podała go Jadzi.

- Posłuchaj mnie, kochana. Musisz być dzielna. Musisz urodzić.

- Nie dam rady - jęknęła kobieta, kręcąc głową na mokrej od potu poduszce. - Tak bardzo boli. Niech to się skończy.

- Już niedługo. Ale musisz przeć. Poradzisz sobie.

- Rób, jak mówi - łagodnie przerwał usiłującej protestować Emil. - To nie pierwsze nasze dziecko przecież.

Nie pierwsze, ale niemal na pewno ostatnie, pomyślała Kasia ponuro. Zioła wywołujące akcję porodową zadziałały szybko. Za szybko. Maść znieczulająca nie zaczęła jeszcze całkiem działać. Jadwiga krzyczała rozdzierająco, ale nie przestawała przeć. Kasia była z niej dumna.

Po czasie, jaki wydawał się wiecznością, było po wszystkim. Jadwiga opadła na poduszkę, zbyt wycieńczona, by nawet jęknąć. Z kolei położna, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, zawinęła poronione maleństwo w przygotowane wcześniej prześcieradło. Materiał szybko nasiąkł krwią i śluzem. Podeszła

z zawiniątkiem w ramionach do Emila, którego twarz zdradzała to, co bał się powiedzieć na głos.

- Dlaczego... - odchrząknął głośno, gdy głos mu się załamał. - Dlaczego nie płacze?

- To byłby chłopiec - rzekła Kasia cicho. - Musicie mu nadać imię i pochować pod progiem.

Wielkolud wziął od położnej martwe dziecko. Broda trzęsa mu się tak mocno, że nie był w stanie nic powiedzieć. Niewypowiedziane słowa zawierały się w jego oczach. Pięknych, smutnych oczach, pomyślała Kasia.

- Zrobiłam, co mogłam. Nie można było uratować ich oboje. Jadzia... ona już pewnie nigdy... Przez jakiś czas nie naciskaj na nią. Będzie jej ciężko. A ty, pamiętaj, by dać dziecku imię i pogrzebać.

- Pod progiem? - wychrypiął Emil. - Jak koguta ofiarnego? Jak zwierzę?

- Tak trzeba - odparła Kasia hardo. - Inaczej wróci. Nie wolno do tego dopuścić.

- Wróci - powtórzył mężczyzna głucho. - To źle?

- Bardzo źle.

Sięgnęła do torby po wiązkę ziół, którą wręczyła Emilowi.

- Powieś to nad progiem. A to. - Wyjęła jeszcze kilka czerwonych wstążek. - Daj rodzinie i niech każde z was nosi na lewym przegubie.

Emil skinął głową. Kasia czym prędzej opuściła chatę, nie mogąc spojrzeć ani jemu, ani Jadwidze w twarz.

* * *

- Nie płacz, Kasiuniu. Nie twoja wina. Zrobiłaś, co mogłaś.

- Gdybyś ty widział, Jaśku, jak on na mnie patrzył. Gdybyś widział, jak tulił tego biednego potworka.

- Zrobiłaś, co mogłaś - powtórzył miękko młody Rozmus, kołysząc żonę w ramionach.

- Wiem. - Dziewczyna otarła łzy, oparła głowę o pierś męża. - Wiem, ale dawno już... Myślałam, że już nigdy nie będę miała takiego porodu.

WRZESIEŃ

Lato trwało w najlepsze. Od niemal miesiąca nie spadła ani kropla deszczu. Upał dawał się we znaki. Trawa i liście drzew przybrały bury kolor, rzeka przeistoczyła się w wąski strumyk, który można było niemal przeskoczyć, a ryby łapać do ręki. Ścierniska i pola straszły uschniętymi kikutami zboża. We wsi zaczęto trwożliwie spoglądać w kierunku studni, gdzie poziom wody niebezpiecznie się obniżył. Ludzie z niecierpliwością wyczekiwali deszczu.

Na łysej górze sytuacja wyglądała nieco lepiej. W wyłożonej kamieniami studni woda chlupotała w najlepsze, zapasy paszy dla zwierząt przewidziane na długą zimę nie szczupłały, systematycznie pielęgnowane grządki rodziły plony.

Jasiek co rano przy śniadaniu wyglądał za okno, mrużąc niezadowolony pod nosem. Chciał pójść na polowanie, jednak w suchym lesie, gdzie każdy krok trzeszczał ostrzegawczo, nie miało to większego sensu ani szansy na powodzenie. Dodatkowo martwiła go potencjalna łatwość, z jaką mogło dojść do pożaru.

Aż wreszcie jednego dnia niebo przysłoniły ciężkie, ołowiane chmury, zagrzmiało potężnie. Okolicę spowił mrok, który od czasu do czasu rozjaśniały błyskawice. Z obłoków runęła ściana deszczu tak gęsta, że nie było widać dalej niż na sążeń.

Deszcz padał niemal nieprzerwanie przez tydzień. Rzeka wystąpiła z koryta, zalała łąki. Zmarniało kilka upraw, siano w

oborach zateęchło. Ludzie, którzy jeszcze kilka dni temu modlili się o opady, zaczęli wyglądać końca ulewy.

* * *

Deszcz bębnił o drewniane ściany, stukał miarowo w mętne szyby, ściekał w kilku miejscach przez nieszczelną strzechę do wnętrza chaty. Kasia i Jasek siedzieli naprzeciw siebie przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Nawój drzemał pod stołem, od czasu do czasu strzygąc uszami.

- No i masz - westchnął z rezygnacją Jasek. - Chciałem deszczu, to mam. Jak tak dalej pójdzie to mchem obrośniemy.

- Zachowujesz się, jakby to była pierwsza ulewa, jaką widzisz - odparła Kasia nieco bardziej opryskliwie niż zamierzała.

Jasek spojrział na żonę zaskoczony. Bez słowa odwrócił się na powrót do okna, wsparł brodę na dłoni, zasłaniając usta, nie chciał, by Kasia dostrzegła, że się zirytował.

- Przepraszam, nie chciałam.

- Wiem - odburknął nadal nabzdyczony Jasek. - Wiem, że jest ci ciężko przez... tamto.

Kasia spochmurniała wyraźnie. Starła się wyprzeć z pamięci nieudany poród Jadwigi, ale nie potrafiła. Zwłaszcza że Swarożyczenie też nie pozwalało jej tego zapomnieć. Czuła dystans, chłód którego nie potrafiła pojąć, równocześnie rozumiejąc aż zbyt dobrze. Wszak ludzie musieli znaleźć winnego, kogoś, kogo można było wskazać palcem i powiedzieć, tak to ona zawiniła, to przez nią. Taki stan rzeczy sprawił również, że o wiele rzadziej udawało się jej sprzedać zioła we wsi. Zupełnie jakby ludzie stracili zaufanie do specyfików, które wszakże przyjmowali od lat.

- Ponoć wojna idzie - przerwał przedłużające się milczenie Jasek, patrząc na żonę badawczo.

- Ani mi się waź! - Kasia wymierzyła oskarżycielsko palec w męża. - Dość chłopów z twojej rodziny poginęło w powstaniach i wszelakich ruchawkach. Ja ciebie oplakiwać nie zamierzam.

- Jakże to, Kasiuniu? Ubiliby mnie w polu, a ty ani łzy byś nie uroniła?

- Nie o to mi chodziło. Nie puszcę cię, bo nie chcę po tobie płakać. Jasiu, nie chcę, żebyś ginął bez sensu w konflikcie, który nas nic nie obchodzi.

- Kasiu, ani wojny jeszcze nie ma, ani nigdzie nie idę. - Uśmiechnął się cokolwiek wymuszenie i nie do końca szczerze Jasiak. - Tak tylko we wsi gadali, że cesarscy coś ponoć szykują, a Moskale zaś dłużni im nie pozostają. I że w całym tym kotle szansa jest, że Polska się odrodzi. Kasiu, rozumiesz? - Młody Rozmus podniecił się nagle. - Polska odrodzona. Wyobraź sobie, że nasze dzieci wychowają się we własnym kraju. Będą bez lęku mówiły po polsku. Sama powiedz.

Dziewczyna długo świdrowała męża wzrokiem, aż wreszcie rzekła:

- Ty mi tu nie bajaj i oczu nie mydluj. A my niby co, po łacinie rozmawiamy w konspiracji? Przecież widzę, że już zdecydowany jesteś. Teraz wiem, czemuś tak pogody wypatrywał. Zapasy mi łaskawie zrobisz i sobie pójdiesz ginąć na polu chwały.

Kasia odwróciła się plecami do Jaśka, by ukryć łzy. Płakała w równej mierze ze złości, co strachu. Jasiak zerwał się od stołu, przysiadł do żony, objął mocno.

- Kasiuniu, nigdzie nie pójdę, jeśli mnie nie puścisz. Zapasy... dobrześ zrozumiała, ale pomyślałem trochę więcej jedzenia zebrać na wypadek, gdyby mnie wcielili.

- Co wcielili?

- Do armii. Przecież mogę sobie nie chcieć nigdzie iść, ale jak przyjdą lejtnanty to mus mi będzie. I co? Samą, bez

środków do życia cię mam zostawić? Temu tak mnie do lasu pędzi sarnę ustrzelić.

- Jaśku. - Dziewczyna wtuliła się w męża. - Może nas tu na tej górcie nie znajdą? Na tej łysej górze w zaczarowanym lesie.

- Oj, Kasia. - Uśmiechnął się chłopak smutno. - Obawiam się, że nawet i w stumilowym lesie, jak kogoś chcą znaleźć, to i znajdą.

* * *

Dwa dni później z prowiantem i derką zapakowaną do ruksaka pamiętającego wojny napoleońskie, Jasiek wszedł między drzewa. Sztuciec przewiesił przez ramię, u boku miał długi nóż w pochwie, który od biedy mógł uchodzić za kord.

Znał Radkową Kępę, a w zasadzie okolicę w promieniu niespełna dnia marszu od chaty. Wiedział, gdzie wczesną jesienią można natknąć się na sarny i tam też skierował kroki. Maszerował ścieżką, która dla niewprawnego oka niczym nie różniła się od reszty boru. Jasiek znał tę ścieżkę, sam ją wytyczył i dbał o to, by pozostawała niezauważalna.

Przygrywał mu wesoły ptasi trel i szum wciąż przyjemnie ciepłego wiatru w koronach drzew. Szedł, dziarsko wymachując ręką, drugą podtrzymując pas, do którego miał umocowaną broń. Myślał o niedawnej, dość burzliwej rozmowie z Kasią. Myślał o tym, że nie był z żoną całkiem szczery. Nie przyznał się bowiem do tego, że wypytywał o sytuację między mocarstwami. Zagajał, gdzie i do kogo na wypadek poboru należało się zgłosić. Większość chłopów pukała się w głowę, mówiąc, że Jasiek oczadział, szaleju poćpał i raczyła go innymi, podobnymi mądrościami. Jeden czy dwóch zaprezentowało okaleczone dłonie, mające ustrzec przed wcieleniem do armii.

- Łapę na pień, gorzałka w gardło, trochę krzyku i po krzyku - tak mówił jeden, wymachując Jaśkowi przed nosem dłonią bez dwóch palców.

Chłopak z obrzydzeniem wysłuchiwał podobnych rad, udzielanych przez ludzi, których uważał za tchórzy. Sam pochodził z rodziny o długiej tradycji ponoszenia śmierci w zrywach narodowowyzwoleńczych i nie rozumiał niechęci do wojaczki. Nawet nie starał się rozumieć. Rzecz jasna nie planował rzucać życia na szalę i zginąć na przysłowiowych barykadach, niemniej poczuwał się do obowiązku chwycenia za broń, gdyby nadeszła potrzeba. Gdyby doszło do wojny.

* * *

Wreszcie dotarł na miejsce, o którym wiedział, że obfitowało w zwierzynę. Uroczysko Buczyna, nazwane tak ze względu na dominację buków w drzewostanie, stanowiło jedno z ulubionych miejsc noclegowych saren. Jasiiek, który polował w Radkowej Kępie kilkukrotnie, odkąd zamieszkał w Swarożycach, za każdym razem ubijał zwierzynę w tym właśnie miejscu. Sposób był łatwy i sprawdzony, nie wymagał wysiłku, a przynosił wymierne korzyści. Wystarczyło podejść odpowiednio blisko do moszczącego się w trawie stada, wymierzyć i gotowe.

Zdarzało się jednak, że na sarny należało się wpierv zasadzić. I zanosilo się na to, że tym razem tak właśnie trzeba postąpić. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widział zwierzka. Blade, gładkie pnie niezliczonych buków sprawiały niesamowite wrażenie. Nieregularne narośle i miski huby przeobrażały się w wykrzywione złośliwie gęby. Dodatkowego wrażenia niesamowitości dostarczały kolory, jakimi mieniły się liście, zarówno te nadal uczone gałęzi, jak i zaścielające podłoże barwnym kobiercem.

- Tak - rzekł cicho Jasiiek, wodząc dookoła wzrokiem. - Uroczysko jak się patrzy. Ani dumać człowiek nie musi, dlaczego tak je nazwali. Kaśka magię to by tu wyczuła lepiej niż pies schab.

Przycupnął na zwałonym pniu, którego spora część leżała w płytkim wykrocie zasypanym liśćmi. Drzewo zakołysało się pod ciężarem człowieka. Miejsce, w którym Jasiek postanowił odetchnąć, było dobrze ukryte, osłonięte z kilku stron krzakami kaliny i dereniem. Wiatr się uspokoił, zatem ryzyko, że zwierzęta wyczułyby myśliwego stanowczo zmaleło.

Jasiek ułożył pamiątkowy plecak między nogami, wyjął kilka kromek ciemnego chleba, pęto kiełbasy i zabrał się ochoczo do jedzenia. Po posiłku sięgnął ponownie do ruksaka. Niósł ze sobą kamionkową flaszkę pełną chłodnego piwa, które warzyli z Kasią sami na palonym jęczmieniu. Dzięki temu piwo miało ciemny kolor i smakowało goryczką, jaką oboje z żoną lubili. Odkorkowując flaszkę, Jasiek uśmiechnął się do wspomnień. Ciemne piwo powstało bowiem przez przypadek, kiedy to zagapili się i przypalili ziarno. Nie chcieli jednak marnować cennego słodu i postanowili uwarzyć na nim piwo tak czy inaczej. Jakie było ich zdziwienie, gdy okazało się, że ciemny i goryczkowy napój był o wiele smaczniejszy niż normalne, jasne piwo.

Siedząc wśród krzewów, delektując się napitkiem i wsłuchując w odgłosy lasu, Jasiek stracił poczucie czasu. Zdało mu się, że mógł nawet na chwilę przysnąć, bowiem cienie zdecydowanie się wydłużyły, a i natężenie ptasich głosów znacznie wzrosło. Potarł twarz, spakował do plecaka resztki prowiantu oraz niemal całkiem osuszoną flaszkę.

- Sarenek jak nie było, tak nie ma - mruknął pod nosem, wyglądając zza kaliny. -

Przyjdzie mi tu nocować.

Zostawił plecak w krzakach i poszedł pozbierać patyków na ognisko. Liczył się z tym, że stado, którego oczekiwał, mogło się spłoszyć na widok płomieni, niemniej jednak nie zamierzał spać w zimnie i obudzić się pokryty rosą. Postanowił, że jeśli będzie trzeba, wytropi zwierzynę. Nie byłyby to pierwszy raz,

gdy miał strzelać do saren jak na jarmarcznej strzelnicy. Musiałby ruszyć po śladach, przedzierać przez matecznik mozolnie, by po trudach i wielu godzinach, a kto wie, może i dniach, ustrzelić zdobycz. Schylając się po kolejne polano, uznał, że taka forma polowania dawała znacznie więcej satysfakcji. Kosztowała co prawda mnóstwo wysiłku, niemniej zadowolenie z osiągniętych efektów było nieporównanie większe.

Moszcząc bukową gałąź na okazałym już naręczu innych, które niósł w zgięciu łokcia, uniósł wzrok i napotkał widok, jaki zmroził go grozą. Otóż nieopodal na stoku niewielkiego wzniesienia stał niedźwiedź. Drapieżnik patrzył wprost na Jaśka. Chłopak zamarł w bezruchu, nie wiedząc, co robić. Sztuciec, jaki miał przewieszony przez plecy, nie nadawał się na grubego zwierza. Amunicja pozwalała co prawda powalić sporego jelenia, jednak w starciu z niedźwiedziem mogła jedynie zaszkodzić strzelcowi. Jasiek liczył na to, że drapieżca przejdzie wobec niego obojętnie. Całe szczęście, że nie naszała go niedźwiedzica z młodymi.

Ostrożnie, nie spuszczając z niedźwiedzia wzroku, upuścił wiązkę chrustu, zdjął sztuciec z ramienia. Wiedział, że gdyby doszło do walki, znalazłby się w niekorzystnym położeniu, jednak wolał mieć broń pod ręką. Niedźwiedź tymczasem stanął na tylnych łapach, wyciągnął łeb w kierunku człowieka, wężąc zawzięcie. Młody Rozmus odwiódł kurek sztućca, sprawdził, czy kord wychodzi łatwo z pochwy i przygotował się na najgorsze.

* * *

Wnętrze chaty na łysej górze zalało czerwonawe światło zachodzącego słońca. Kury mościły się wygodnie na grzędach, Dziewanna pobekiwała cichutko w obórcę, sposobila się do snu, nakarmiona i wyczesana. Nawój siedział przed drewnianą

ławeczką na wejściu do chaty i zdawał się wpatrywać intensywnie w ścianę Radkowej Kępy. Uszy miał postawione, oczy lekko zmrużone, ogon ciasno owijający przednie łapy. Kasia niosła do chaty kilka szczap na opał, gdy przystanęła, tknięta dziwnym zachowaniem psa.

- Czego tam wypatrujesz, co? - zagaiła tym zmiękczonego tonem, zarezerwowanym dla małych dzieci i zwierząt.

Nawój nawet nie drgnął, mrugnął jedynie okiem.

- Pieseczku, co widzisz w lesie? - Dziewczyna położyła drewno na ziemi, usiadła na ławce.

Kudłaty pies zaskowyczał niespokojnie, urywanie. Odwrócił łeb ku Kasi, zaszczekał bezgłośnie, otwierając i zamykając pysk, na koniec ziewnął rozdzierająco. Kasia z niepokojem śledziła psa, nagle tknięta złymi przeczuciami.

- Jaśku, bądź ty ostrożny - wyszeptała w kierunku zacieniającego się coraz mocniej boru.

* * *

Przez las echem przetoczył się ochryply, mrozący krew w żyłach ryk. Tuż po nim nagłą ciszę rozorał wrzask człowieka. Człowiek wrzeszczał ze strachu, nie było w jego głosie znamion bólu. Po prostu się bał.

Niedźwiedź opadł z powrotem na cztery łapy, zarzucił kosmatym i wielkim łbem, ryknął ponownie. Jasiek na rozedrganych nogach usiłował przyjąć jak najlepszą pozycję do oddania strzału. Wiedział, że miał tylko jeden.

Gdy niedźwiedź ruszył z pozoru ociężale, wolno, porykując złowrogo, Jasiek o mały włos by zemdłał. Nagle pociemniało mu w oczach, powietrze uszło z płuc ze świstem. Strzelił na oślep. Palec, nieposłuszny reszcie ciała, zmartwiał na cynglu. Broń boleśnie wpiła drewnianą kolbę w ramię, targnęła barkiem, posiniaczyła skórę.

Kula niespodziewanie ugodziła celu. Z obrzydliwym odgłosem zatopiła się w oczodole niedźwiedzia. Zwierzę wytraciło impet, zaryło pyskiem o ściółkę. Zaraz jednak poderwało się ponownie, wierzgnęło wściekle głową, usiłując pozbyć się ogniska bólu. Porykiwanie coraz bardziej przypominało wizgi bólu.

Jasiek nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, wyszarpnął zza paska długi nóż, wiedząc, że niedźwiedź był jedynie zraniony. Dotkliwie, niemniej nadal stanowił śmiertelne zagrożenie.

Jakby na komendę zwierz stanął w miejscu i łypiąc na człowieka, który zadał mu cierpienie, uniósł się na tylne łapy. Zaryczał tak donośnie, że miało się wrażenie, że listowie powinno opaść z gałęzi. Niedźwiedź opadł na przednie łapy i niemal z miejsca, zaskakująco szybko rzucił się naprzód. Jasiek nie był gotowy.

Potęźnie zbudowane cielsko uderzyło w niego z siłą taranu. Upadł na wilgotne liście, cudem tylko nie gubiąc korda. Nie było czasu dziwić się i rozwodzić nad cudami, bowiem niedźwiedź, rozwarłszy szczęki, usiłował odgryźć Jaškowi głowę. Chłopak wraził ostrze noża w gardło bestii, czując, jak po ręce spływa ciepła, żelazicie pachnąca krew. Na twarz zionął mu ciężki odór gnijącego mięsa wraz z oddechem niedźwiedzia. Stwór zaryczał z bólu, odskoczył w tył.

Jasiek instynktownie wiedział, co zaraz miało nastąpić. Zerwał się na nogi, ścisnął mocniej rękojeść noża. Niedźwiedź nie skoczył jednak do ataku. Stanął bokiem, patrząc zdrowym okiem na człowieka. Futro na podgardlu i piersi przybrało ciemną barwę, zlepiła je lejąca się wciąż posoka. Zwierz wydał odgłos przypominający skomlenie, po czym opadł ciężko na zad. Dysząc, z trudem ułożył się na boku.

Jasiek jak urzeczony patrzył na poddającego się niedźwiedzia. Trzęsąc się od nagromadzonych emocji, strachu i woli walki wpatrywał się w coraz płytsze oddechy zwierza. Bok

niedźwiedzia unosił się coraz mniej regularnie, coraz słabiej. Aż wreszcie przestał. Jasiek postąpił kilka kroków w kierunku zwłok, jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Powłócząc nimi, wsparty na rękach, doczołgał się do znieruchomiałego niedźwiedzia. Wpił dłoń w sztywne futro, pogładził. Upewnił się, że zwierzę rzeczywiście nie żyje. Dopiero wtedy pozwolił sobie na rozluźnienie. Odrzuciwszy głowę w tył zawył jak wilk. Wycie przeszło w śmiech, a ten w dziwny, urywany szloch. Chłopakiem miały emocje, których nie sposób nazwać ani tym bardziej zrozumieć, jeśli samemu nie oszukało się śmierci.

* * *

Na drugi dzień po tym, gdy Jasiek wyruszył na polowanie, Kasia zaczęła odczuwać lekki niepokój. Z reguły gdy wychodził polować, wracał tego samego dnia. Twierdził, że niedaleko chaty było miejsce, w którym z łatwością można ustrzelić sarnę. Wobec tego rzadko kiedy zostawał w lesie na noc. Rzecz jasna, nie byłby to pierwszy raz, kiedy polowanie przedłużyło się o dzień czy dwa. Niemniej Kasia czuła niepokój, podsycany dodatkowo dziwnym zachowaniem Nawoja. Pies cały wieczór spędził wpatrzony w ścianę lasu, popiskując cicho od czasu do czasu.

Po śniadaniu wyszła nakarmić kury i kozę. Na zewnątrz panował lekki chłód, mgła sączyła się delikatnie z lasu, zalewając płaskowyż zwiewnym, lepkiem od wilgoci oparem. Trawa srebrzyła się rosą, która osadzała się na ciźmach i spodzie spódnicy. Kasia dotarła do kurnika, wysypała ziarno, jak zwykle chichocząc pod nosem, gdy zobaczyła zaspane kury. Ptaki mościły się na żerdkach ustawionych pod jedną ze ścian kurnika, pusząc pióra z głowami jak gdyby zanurzonymi w miękkie ciało. Wpatrywały się w Kasię paciorkowatymi oczyma, gdakały przeciągle, jak gdyby upominały dziewczynę, by zamknęła drzwi, żeby nie wpuszczać zimna. Gdy skończyła,

poszła do obórki nakarmić Dziewannę. Koza przywitała ją radosnym beczeniem, pokręciła głową, po czym zamarła z przygryzionym językiem, zwieszającym się z prawego kącika pyska. Kasia nałożyła paszę do korytka, odganiając się od spragnionego pieszczoł zwierza. Koza natarczywie bodła dziewczynę rogami w udo, domagając się uwagi. Kasia wreszcie skapitulowała i podrapała Dziewannę za uchem, co ta skwitowała pełnym uznania prychnięciem.

Nagle dało się słyszeć zaciekle ujadanie Nawoja. Kasia poderwała głowę, jednak z obórki nie była w stanie niczego dostrzec. Porwała wiadro po paszy i wyszła na zewnątrz. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak pies merdając ogonem, zginął w leśnej gęstwinie. Pobiegła w tamtym kierunku, ale nim zdążyła cokolwiek postanowić, spośród drzew wyłonił się Jasiek. Chłopak dyszał ciężko, odzież miał w nieładzie, a na grzbiecie taszczył potężny zwój futra.

- Kasiu - zakrzyknął radośnie, widząc żonę. - Kasiu, kochana.

Rzucił na ziemię toboły, odgonił łaszącego się psa i skoczył ku żonie. Całując zapamiętałe, porwał ją w ramiona i nie przestając całować, uniósł ku chacie. Dziewczyna w pierwszej chwili oszołomiona, zrazu ochoczo poddała się pieszczołom, sięgnęła ku nim. Kiedy Jasiek ułożył ją delikatnie na łóżko wyciągnęła do niego ręce, przyciągnęła. Zapomnieli się na chwilę, zatracili w sobie.

* * *

- Oj, Jaśku - westchnęła zaczerwieniona i nielicho zgrzana Kasia. - Musisz ty chyba częściej na te polowania chadzać.

Chłopak skończył sznurować koszulę, którą teraz wpychał do spodni. Wstał z łóżka, które skrzypnęło z cicha, pogłaskał żonę po zmierzwionych włosach.

- Zaraz ci opowiem. Pójdę tylko po plecak, żeby Nawój się za nasze mięso nie zabrał.

Opowieść i związane z nią emocje zaczęły się, nim Jasiek zdążył cokolwiek powiedzieć. Kiedy wrócił do chaty i zwałił na podłogę wypchany ruksak, do którego jakimś cudem udało mu się przytroczyć skórę ubitego niedźwiedzia, Kasia krzyknęła głucho, zakryła usta dłońmi. Podniosła na męża rozszerzone strachem oczy.

- Czyś ty zdurniał, Jasiu? Na niedźwiedzia poszedłeś z tą twoją pukawką?

- Tak wyszło z przypadku. Specjalnie bym na niedźwiedzia w życiu nie poszedł, chyba że z armatą i wojskiem. - Jasiek chrząknął, spuścił wzrok, gdy jego żart przefrunął wobec Kasi obojętnie. - Dobrze, powiem ci jak było. Poszedłem na sarny, tam gdzie zawsze chodzę. Ale saren ani widu, ani słychu. To uznałem, że poczekam. I wtedy, ni z tego, ni z owego pojawił się niedźwiedź. Rzucił się na mnie, a ja... Sam nie wiem, jakim cudem, ale musiałem go chyba w czułe miejsce ugodzić, bo jeden raz wystarczył i padł.

- Jaśku, tyś go nożem ubił? - Kasia musiała usiąść na zydelku, bowiem czuła, jak nogi odmawiają jej z wolna posłuszeństwa.

- No, po prawdzie to najpierw żem do niego strzelił i wybiłem mu oko. Jak się na mnie rzucił, to wtedy go nożem dziabnąłem.

Chłopak zamilkł, uświadomiwszy sobie nagle, że opowieść o tym, czego dokonał w Radkowej Kępie, nijak się miała do przeżyć związanych z tamtym wydarzeniem. Nie potrafił przekazać żonie tego, jak bardzo się bał w tamtej chwili, ani jak wielka duma rozpierała go na myśl o tym, że wyszedł z potyczki z największym drapieżnikiem boru zwycięsko. Nie byłby w stanie opowiedzieć o tym, jak leżał obok zwłok, tuląc się do wciąż ciepłego futra i płakał rozdzierająco. Nie umiałby

streścić tego, co czuł, gdy sprawiał niedźwiedzia tym samym nożem, którym go zabił. Nie sądził, by ktokolwiek potrafiłby opowiedzieć o czymś podobnym w taki sposób, by druga osoba mogła zrozumieć.

* * *

Aby uciec od wciąż naburmuszonej żony, Jasiek zamknął się w szopie, do której przybudowany był wędzak. Dzielił mięso niedźwiedzia na porcje, rachując która część pójdzie na suszenie, która do sprzedaży, a z której zrobi kiełbasę. Słyszał legendy o kiełbasie z niedźwiedzia, ale nie miał okazji spróbować. Cieszył się niezmiernie zatem na rychłą sposobność.

Futro zaś, które jeszcze w lesie zdjął ze zwierza, przejęła Kasia, by także mieć się czym zająć i nie musieć odzywać do męża. Zaniosiła ciężki kawał skóry za chatę, rozpięła, nie bez trudu, na wieszaku skleconym z kilku solidnych gałęzi. Wziąwszy ostry nóż zabrała się za golenie wewnętrznej strony futra z resztek mięsa i tkanek, których Jasiek nie zdołał bez dostępu do odpowiednich narzędzi usunąć. Robiła nożem zaciekle, jak gdyby chcąc się odegrać na niedźwiedziu za atak na Jaśka.

Spotkali się dopiero przy obiedzie, oboje znużeni pracą. Zmęczeni kłótnią, której wszak nie odbyli. Nie na głos przynajmniej. Jasiek usiadł przy stole, zabrał się za obieranie ziemniaków, unikając wzroku Kasi. Ta z kolei poszła do kurnika, aby odebrać kilka jajek, które zamierzała usmażyć na patelni. Pochłonięci gotowaniem zamienili ze sobą kilka zdawkowych słów. Unikali tego, co ich naprawdę gryzło.

Dopiero, gdy usiedli naprzeciw siebie, przed talerzami parujących ziemniaków ze skwarkami, pod kołderką z jajek sadzonych, nieśmiało zaczęli mówić. Kasia perorowała długo i zawzięcie, akcentowała co ważniejsze aspekty swej wypowiedzi

stukaniem kubka z kwaśnym mlekiem. Troszkę popłakała, gdy jej wywód zszedł na dociekanie, co by było, gdyby miała owdowieć. Następnie krzyczała, rozwścieczona tą wizją.

Jasiek słuchał ze wzrokiem wbitym w talerz. Kiedy Kasia skończyła, odniósł się do jej lęków, złości i oczekiwań. Mówił, że również przemyślał wiele, przewartościował to i owo. Twierdził, że zrozumiał, że najważniejsze jest małżeństwo. Mówił, że to co do wczoraj jeszcze wydawało mu się oczywiste, nagle przestało takim być.

- Kasiuniu, w chwili, gdy mnie ten niedźwiedź mało nie... Wtedy tylko o jednym myślałem. Że już cię nigdy nie zobaczę. Nigdy nie utulę. Nigdy z tobą już... - chrząknął skromnie, po czym kontynuował. - Dotarło do mnie w jednej chwili, że bez ciebie życia sobie nie wyobrażam i nawet nie chcę próbować wyobrazić. Kasiu, postanowiłem, że na żadną wojnę nie pójdę. Na żadną wojnę, powstanie, zryw taki czy siaki. Moje życie jest przy tobie, a czy będziemy żyć w wolnej Polsce, autonomicznym Śląsku czy Rzeszy, co mnie to obchodzi. Pamięć o kraju nigdy nie zginie, bo ją można przekazać dalej w pokolenia. Ale jak człowiek przepadnie w boju, to komu tę pamięć przekazywać, skoro nowych pokoleń nie stanie?

Kasia bez słowa zarzuciła mężowi ręce na szyję, zasypała pocałunkami. I znów poszli w zapomnienie. Zapalczywie i zachłannie. Ale i z miłością. Bo czymże były owe uniesienia bez miłości?

PAŹDZIERNIK

Tak jak wrzesień stanowił wspomnienie lata, tak październik najwyraźniej zapowiadał paskudną, mroźną zimę. Kilka dni po równonocy pogoda uległa znacznemu pogorszeniu. Wpierw nieustannie mżyło, później mżawki przemieniły się gradobicia,

aż wreszcie zaczął sypać śnieg. Nie było go wiele i z reguły topniał do południa, niemniej każdego wieczora spadała świeża porcja mokrego puchu.

Przez ustawiczne opady okolica rozmokła, strumienie leśne wystąpiły z brzegów zalewając połączenie boru. Gdziekolwiek by nie postawić stopy, tam błoto chciało zerwać ciżmy. Nawet Nawój niechętnie opuszczał chatę, robiąc to wyłącznie, kiedy naprawdę musiał, o czym dawał znać, skamłając pod drzwiami.

Małżeństwo Rozmusów zaszyło się w chacie, niemal nie wyściubiając nosa poza obejście. Nadmiar niedźwiedziego mięsa udało się sprzedać we wsi, choć początkowo nie było łatwo, mimo że Jasiek przezornie sam zszedł z góry. Niektórzy z miejscowych nadal nie mogli pogodzić się z nieszczęściem, jakie spotkało Jadwigę i obwiniali o całe zajście Kasię. Rzecz jasna, kiedy Jasiek był we wsi, nikt mu tego nie cisnął prosto w twarz, ale dało się wyczuć atmosferę napięcia, nienaturalności. Chłopak czym prędzej uwinął się w Swarożycach i z radością zanurzył ponownie między drzewa.

Skórę z niedźwiedzia zaś wyprawioną i wyczesaną ułożyli na łóżku, by służyła za kołdrę. Biorąc pod uwagę prognozę pogody, zapowiadała się na doskonałe okrycie. Kasia nie powiedziała tego Jaškowi, jednak uważała, że spanie pod skórą niedźwiedzia, który stał się wpięrką zalążkiem konfliktu, a następnie porozumienia, stanowiło symbol sam w sobie. Wiedziała jednak, że jej mąż postrzegał rzeczywistość nieco inaczej, toteż o niczym mu nie wspominała.

* * *

Nim rozległo się pukanie do ościeżnicy, Nawój już był przy drzwiach. Szczeknął ostrzegawczo, krótko. Odwrócił się ku izbie, patrząc, czy któreś z jego ludzi zareagowało. Jasiek wstał od stołu, przy którym reperował wnyki na drobnicę.

Tupiąc w progę, by otrzepać buty i płaszcz z mokrego śniegu, stał Bogusz, znajomek ze wsi, który pomagał przy remoncie chaty przed laty i od tamtej pory utrzymywał miarę bliskie stosunki z Rozmusami.

- Zimno, psia mać, jakby styczeń - zaklął miast przywitania, po czym schyliwszy się we framudze, przestąpił do wnętrza chaty.

- Siednij przy piecu. - Jasiek wskazał towarzyszowi miejsce na taborecie. - Daj no ten kozuch, powieszę w ciepłym. Co cię sprowadza?

- To ty nic nie wiesz? Dyć w Małochwicach już cesarskie były i chłopów bierom. Kto rozum ma, ten palec na pieńki położył, ale zdarzyło się, że i takich Niemcy brali. Po co komu chłop bez palca w armii, mnie nie wiedzieć, ale widać mus cesarskim siłę ludu zorganizować, skoro bierą byle kogo. Zda mi się, że ta wojenka, o której żeś latem tyle prawił i jej wyczekiwał, w końcu się zaczyna.

- Małochwice - zasepił się Jasiek. - To przecież pół dnia stąd.

- Ano, rychło myślę i do nas, do Swarożyców dotrze armia. Tfu, niech przeklętą będzie. Jaśku, ja do ciebie zachodzę w sprawie tego, żeby cię przestrzec. Bo wszak wiem, że tobie do wojaczki się cknę i że jak tve dziady do boju cię rwie. Ale kiep by ze mnie był, gdybym z taką wiedzą do druha nie zaszedł.

- Dzięki ci zatem za pomysłuńek i troskę.

- A coś ty się tak zasepił nagle, a? Myślałem, że pod powałę skoczysz, jak się wywiedzisz.

- Widzisz, Bogusz, bo mnie od lata chęćka na wojnę cokolwiek przeszła. Teraz trochę inaczej na świat patrzę. Ale dzięki ci, żeś przyszedł, ostrzegł.

- I co teraz poczniesz? W lasy zapadniesz?

Jasiek odwrócił wzrok, wyjrzał przez okno.

- Nie chcesz gadać, twoja to rzecz. A Kasia gdzie? - spytał Bogusz po chwili, niezrażony milczeniem przyjaciela. - We wsi jej nie widziałem od... Echem, no sam przecież wiesz. Ludzie głupie farmazony gadają, bo nic lepszego do roboty nie mają. Przecież wiadome, że Kasia od zawsze babom pomagała. Żeby tylko babom! Nikogo umyślnie by nie ukrzywdziła. Pluń na tamtych, Jaśku.

- Pluнаłem. A Kasia po obejściu się krząta, do zwierząt poszła. Dziw, żeś jej z drogi nie widział.

- Ano, nie widziałem. Ale zbierał się też będę niebawem. Pakujemy się, rozumiesz. Nie staje mi czasu, choć nie będę kłamał, gdy powiem, żeś nieco liczył na poczęstunek jaki. Pamiętam ci jeszcze tę wiśnię, co żeś na owocach od starego Grabińskiego pędził.

- Wybacz, Bogusz. Prawu gościny uchybiłem, boś mnie wieściami zaskoczył. Napijmy się na zdrowie, na szczęście i przeciw wojnie.

Jasiek poczłapał do kredensu, w którym trzymał gąsiorek nalewki i gliniane kieliszki. Za oknem widział Kasię wracającą z kurnika. Niosła niewielki koszyk z wikliny wyścielony sianem, by jajka się nie potłukły. Zrazu Jasiek poczuł, że nie ma ochoty na picie z człowiekiem wołającym się jego przyjacielem, którego widział ostatnio na żniwach, pomimo że mieszkali od siebie mniej niż pół godziny marszu przez las. Odeszła Jaśkowi ochota na wiśniówkę także ze względu na wieści, jakie przyniósł Bogusz. Bał się tych wieści i tego, co mogło się z nimi wiązać.

Postawił kieliszki na kredensie, nalał szcudrze, ale schował gąsiorek. Zdało mu się, że usłyszał, jak Bogusz głośniej wypuścił powietrze nosem, ale nie obeszło go to. Wrócił do stołu w tej samej chwili, gdy do chałupy weszła Kasia.

- Ależ wieje - rzekła od progu, otupując buty i głaszcząc Nawoja, który ciekawie zaglądał do koszyka z jajkami. - O,

widzę, żeś nie sam. Bogusz, to ty?

- A któżby inny? - odparł radośnie mężczyzna, wznosząc kieliszek do Kasi. - Polejże, Jaśku, jeszcze po jednym, a i o żonie nie zapomnij. Dawnośmy się nie widzieli, nie gawędziliśmy tyle czasu. Polejże!

Kasia odmotowała z szyi wełniany szalik, zdjęła kraciatą chustkę, którą osłaniała ramiona od zimna i rozwiesiła nad piecem. Po drodze do siedzących przy stole mężczyzn wzięła gąsiorek nalewki i kieliszek dla siebie.

- Co cię sprowadza? - spytała, rozlewając pachnący wiśniami i spirytusem napój.

- Wojna - odrzekł Bogusz poważnie, przełykając głośno. - Wojna, Kasiu, idzie i coraz bliżej jest. Cesarskie już u sąsiadów, lud gromadzą. Pono z każdego gospodarstwa jednego chłopą bierą.

- Jakże to? Ku spokojności miało podobno iść, a tu jednak wojna?

- A któż tobie o spokojności powiadał? Nie masz na świecie spokoju, wrze jak w kotle ukrop. Już ponoć kilka miesięcy się szczyrbia gdzieś po francuskich lasach.

- Czyli wojna już trwa? - zdziwił się Jasiek.

- Ano trwa, gdzieś tak mniej więcej w połowie lata się bodaj zaczęła. Mówili chłopcy, że o zbrodnię na kimś znacznym poszło. Ale kto to tam wie. Nie na nasze rozumy takie polityczne gadania. Polej, Jaśku!

Jasiek polał, a minę miał nietęgą. Swarożyce nie były skomunikowane ze światem zewnętrznym w żaden sposób. Wieści docierały z opóźnieniem i mocno rozcieńczone plotkami oraz zwykłymi zmyśleniami. Gazet nikt nie prenumerował, bo mało który chłop potrafił przeczytać więcej niż zdrowaś Maryjo w modlitewniku. Radia nikt nie posiadał, bo nie było nikogo stać. Pod wieloma względami wieś w sercu Radkowej Kępy przypominała tę samą osadę, którą założyli przed wieloma

wiekami praojcowie, rżnący puszcę w lnianych gieźłach. Mieszkańcy jednak mogli dumać, że świat o nich nie pamiętał, niemniej świat, a zwłaszcza świat polityki oraz urzędów, nigdy o podmiotach nie zapominał. I zwykł upominać się w najmniej dogodnych chwilach.

Trójka znajomych siedziała przy jednym stole, pijąc mocną nalewkę, dyskutując na tematy, o których nie mieli większego pojęcia. Wojnę bowiem znali jedynie z opowieści. Wszak każdy miał w rodzinie weterana tego czy innego konfliktu. Ile jednak w snutyh legendach o wyczynach dziadka Wincentego było prawdy a ile ubarwień, nikt wiedzieć nie mógł. Ludzie posiadali tendencję do wypierania bądź też nadpisywania traumatycznych wspomnień. Toteż twierdzenie dziadka o tym, że powstanie i bicie wroga to był najlepszy czas w jego życiu, należało wziąć w spory nawias.

- Ta wojna, co teraz gorzej to nowoczesna jest, że strach - podniecał się czerwony już od nalewki Bogusz. - Siła ludzi poginęła od tych... no, ekspremyntowych broniów. Samopały mają, co kulami pluja jak szpak pestkami czereśni. Gazują się czymś jak opar z bagien, ino że śmiertelny. Ech, strach gadać. Polej, Jaśku!

- I co zamierzasz? - Jasiak smętnie zwrócił uwagę na zauważalną lekkość pełnego do niedawna gąsiorka. - Zaciągniesz się na tę nowoczesną, jak mówisz, wojnę?

- Gdzie, w życiu! - zaperzył się Bogusz, ostrożnie wznosząc wypełniony po brzegi kieliszek do ust. - Już mam w chałupie naszykowaną siekierkę, naostrzoną wczoraj. Ino się przed całym procederem napić dla kurażu musiał będę, bo na trzeźwo to chyba nie dam rady.

- A pomyślałeś o tym, że i z raną cię wziąć mogą? Sam o tym mówiłeś, że zdarzały się takie przypadki. Wojna nowoczesna, to i pewnie nie każdy, kogo biorą, na front idzie. Jakieś zajęcia i dla kalek się znajdują.

Bogusz wyraźnie przejęty zezował na przyjaciela. Odstawił głośno kieliszek na stół, czknął i już zamierzał coś powiedzieć, gdy nagle milcząca do tej pory Kasia postanowiła zabrać głos.

- A ja mówię, że nikt nigdzie nie pójdzie - zakrzyknęła równie głośno, co bełkotliwie. - Juźci ja mojego chłopca nie oddam! Mój ci on, zakrzyknę, a chustką cię Jaśku omotam i nikt mi cię nie odbierze. Nie puszczę i koniec! Ja tu sama na zimę nie zostanę z kurami. Kto mnie drwa narąbie, kto w obejściu pomoże?

- Kasiu... - zaczął Jasiek łagodnie, ale dziewczyna nie dała sobie przerwać.

- Powiedziałam! Nie nasza ta wojna. Niech się Niemcy przekłute same biją, a nie naszych chłopców na śmierć posyłają. Dość nam ten naród zatracony krzywd już narobił, jeszcze nam teraz ojców naszych dzieci chcą odbierać?

Jasiek spojrzał zakłopotany na Bogusza, jednak jego towarzysz zupełnie nie speszony obsługiwał się gąsiorkiem i nic sobie nie robił z rozemocjonowanej Kasi.

- Bogusz, weź sobie to, co zostało na dnie i idź do domu - powiedział cicho.

- Dzięki ci, Jasiu, ale nie ma potrzeby, żeby dźwigać ciężar niepotrzebnie.

Z niekłamanym obrzydzeniem Jasiek patrzył, jak Bogusz przechylił flaszkę i osuszył ją kilkoma tęgimi łykami. Odprowadził chwiejnego na nogach kompana do progu, po czym zamknął za nim drzwi. Na zasuwkę. Odwrócił się na powrót do izby, popatrzył na Kasię. Siedziała ze spuszczoną głową, wpatrzona w ręce złożone na podółku.

- Kasiu... - zaczął niepewnie, bojąc się podejść. - Z tymi ojcami... Kasiu?

- A daj ty mi spokój! - warknęła dziewczyna, choć efekt nieco psuł łamiący się głos i potok łez. - Ty i tak pójdiesz, bo

co zrobisz? Nie możesz odmówić, bo cię rozstrzelają jak wściekłego psa. A jak pójdziesz, to... to i tak...

Kasia rozplakała się na dobre, a Jasek przypadł do niej w kilku susach. Padł na kolana i przytulił. Mocno. Chciał zawrzcć w tym objęciu to, czego nie umiał powiedzieć.

* * *

Oficer był Polakiem, ale tak głęboko zniemczonym, że sam już bodaj nie pamiętał o słowiańskich korzeniach. Do rekrutów, na których wołał der Armen, mówił wyłącznie po niemiecku, zupełnie nie bacząc na to, że zdecydowana większość nie rozumiała tego języka w stopniu pozwalającym wykonywać polecenia. To z kolei doprowadzało oficera do szału, ponieważ on za nic nie miał zamiaru mówić po polsku. Wszak poświęcił na wyparcie języka przodków większą część życia. Feldfelbel Kurt Szajnocha był dumny z tego, gdzie zaszedł w życiu jako Niemiec. Polska nie istniała, toteż nie było sensu zaprzętać sobie głowy patriotyzmem względem kraju, który żył już tylko w pamięci zgrzybiałych starców.

Rozkaz, który miał wykonać, zdawał mu się iście syzyfową pracą. Miał przeszkolić bandę nierozgarniętych chłopów pobieranych z bagiennych wsi i w ciągu dwóch tygodni uczynić ich zdatnymi do służby. Przełożeni przekazali feldfelbelowi, że wystarczyło, by rekruci potrafili samodzielnie nabić broń i biec przed siebie. Kurt Szajnocha jednak był nazbyt dokładny i sumienny, by pozwolić nieokrzesanym wieśniakom polec w pierwszym natarciu ku jego hańbie. Za punkt honoru wyznaczył sobie zrobić z nich jak najlepszą kompanię. Nie było to łatwe przedsięwzięcie, bowiem większość z mężczyzn nigdy dotąd nie trzymała w dłoni przedmiotu, który służył do czegoś innego niż orka. Pierwszego dnia cudem uniknęli wypadku śmiertelnego, gdy jeden z

obwiesi ciekawie zajrzał do lufy nabitego karabinu. Twierdził później, że był ciekaw, czy zobaczy kulę w komorze.

Po tygodniu wytężonej pracy, nieustannych szkoleń i nieprzespanych nocy Kurt wyłowił z der Armen kilka obiecujących okazów. Mężczyźni ci potrafili strzelać i to niektórzy dość celnie, znali nieco język, co zdecydowanie ułatwiało komunikację z resztą oddziału. Dzięki owym tłumaczom z bożej łaski przedsięwzięcie miało choćby minimalną szansę na sukces.

Wśród rokujących dobrze biedaków Kurtowi rzucił się od razu w oczy jeden. Jan Rozmus pochodzący z jakiejś osady w sercu puszczy. Młody chłopak o zaciętym wyrazie twarzy, mocnej budowy, choć niezbyt imponującego wzrostu, schludnie ogolony. Dobrze wyglądał w cesarskim uniformie, mówił po niemiecku wcale płynnie, choć z wyraźnym akcentem. A nade wszystko strzelał celnie jak diabli. Zapytany o to, gdzie nabył takiej ogłady z bronią, długo kręcił i konfabulował, a zatem nie było żadnej wątpliwości, że od dzieciństwa kłusował po cesarskich lasach. Kurt jednak nie dociekał, czy Jan miał za sobą przeszłość przestępczą czy inną, cieszył się, że trafiła mu się w gnojowisku choć jedna trufla. I na tej, lichej co prawda i niepewnej podstawie, postanowił zbudować sukces oddziału, który rozkazano mu w ekspresowym tempie utworzyć.

* * *

Przez pierwszych kilka nocy nie potrafiła spać. Leżała w łóżku, w nogach którego czuwał równie niespokojny Nawój. Nie pozwalali z Jaśkiem spać psu w domu, jednak nie chciała być sama. Towarzystwo kudłatego kundla przynosiło niewielkie ukojenie w samotności. W żaden jednak sposób nie pomagało na bezsenność.

Przez te kilka pierwszych nocy leżała pod krępującą ruchy skórą niedźwiedzia i snuła mroczne wizje przyszłości. Nie

chciała myśleć o śmierci, jednak bezwiednie w tym właśnie kierunku zmierzały jej rozważania. Wbrew sobie wyobrażała sobie Jaśka rozrywanego granatami, ginącego pod gradem kul z rosyjskich kulomiotów, oślepionego żrącym gazem bojowym i dobijanego zardzewiałym bagnetem. W niczym jej to nie pomagało, niemniej nie potrafiła opędzić się od podobnych medytacji. Każdej nocy, aż wreszcie postanowiła, że dość tego.

Zerwała się, odrzucając przytłaczające swym ciężarem futro, spłoszyła nieco Nawoja, który zeskoczył na podłogę. Narzuciła następnie na siebie niedźwiedzią kołdrę, wzięła buty i wyszła na zewnątrz. Październik miał się już ku końcowi, drzewa niemal całkiem zrzuciły liście, a powietrze robiło coraz mroźniejsze. Dawało się już wyczuć ten charakterystyczny, żelazisty zapach zwiastujący rychłe nadejście mrozów.

Kasia stanęła przed ścianą lasu, wzniosła oczy ponad linię drzew i nabrawszy tchu, zaczęła wrzeszczeć. W pierwszej chwili wydobywały się z niej dźwięki nie przypominające niczego ludzkiego. Wyła ochryple i rozdzierająco, wyrzucając z siebie równocześnie nadmiar strachu, jak i złości. Kiedy poczuła się nieco lepiej, przeszła do zarzutów oraz utyskiwań. Krzyczała w stronę lasu to, co chciała powiedzieć Jaśkowi, wojskowemu, którzy po niego przyszli, cesarzowi Niemiec i wszystkim zaangażowanym w ten bezsensowny konflikt. Krzyczała długo i donośnie, a odpowiedziała jej martwa cisza prastarego boru, który w zamyśleniu wsłuchiwał się w jej głos. Kiedy skończyła, gardło piekło ją dotkliwie i zachrypla tak bardzo, że przez następne kilka dni nie potrafiła mówić, jednak mimo to czuła się znacznie lepiej.

Wracając do chaty zacamokała na przyczajonego na granicy światła rzucanego przez uchylone drzwi Nawoja. Pies podszedł nieufnie, merdając ogonem wciśniętym między tylne łapy. Uśmiechnięta smutno Kasia podrapała go po szyi.

LISTOPAD

Pomimo początkowej niechęci, Jasiek dość szybko przekonał się do życia w obozie szkoleniowym. Karmili regularnie, choć niewyszukanie, chwalono go wcale często, a i nie mógł oszukać sam siebie, że nie czuł dziwnego rodzaju dumy na myśl o tym, że wstąpił na służbę. W jakiś sposób zdawał sobie sprawę, że szkolenie nie miało nic wspólnego z prawdziwą wojną, jednak udzieliła mu się powszechna atmosfera wyczekiwania na przerzut na front. Chciał zobaczyć legendarne okopy, o których szeptano z nabożnym wręcz podziwem, ale i lękiem. Mówiono, że wojny w takiej formie nikt na świecie jeszcze nie prowadził. Nowinki techniczne zaadaptowano na potrzeby frontu i testowano w warunkach bojowych.

Jasiek z ciekawością rozglądał się po obozie, wiedząc, że jego czas w tym miejscu był policzony. Słyszał, jak lejtnanci narzekali na stacjonowanie w zapadłej dziurze, jednak dla Jaśka miasteczko, w którym ulokowano obóz, był największą metropolią, jaką w życiu dane mu było oglądać. Jak dotąd nie widział brukowanych ulic, wysokich na kilka pięter kamienic o pięknie zdobionych frontach, przed którymi stały dorożki, a nawet kilka samochodów. Nie mógł się nadziwić temu, jak inaczej wyglądało miasto od wciśniętych między gęste lasy sadyb, w których mieszkał całe dotychczasowe życie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy mogliby z Kasią osiąść w jednym z takich miast. Jak by wyglądało ich mieszczańskie życie. Po dłuższym zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że prawdopodobnie nijak. W mieście nie wolno było ani nawet nie było na co polować. Mieszczanie nie mieli też pożytku z usług zielarki, bowiem korzystali z aptek i dostępnych cyrulików. Poza tym pod powierzchownym pięknem i okiełznanym chaosem miasto skrywało nienaturalne jądro gnuśnej wygody. Wszystko na wyciągnięcie ręki. A taki stan rzeczy nie do końca Jaśkowi

odpowiadał. Do tego dochodziła ciąża Kasi. Nie chciał, aby ich dziecko wychowywało się z dala od lasu, rzeczułek i śpiewu ptaków. Pragnął, by jego syn, czuł bowiem, że Kasia nosiła chłopca, zahartował się w trudach życia, podobnie jak on. By posiadał umiejętności i wiedzę pozwalające przetrwać, nie musieć polegać na innych.

Dwa tygodnie szkoleń mijały szybko, bowiem wiele się działo. W tym czasie Jasiek awansował na gefreitera, czyli starszego szeregowego. Polski oficer, który udawał, że Polakiem nie był, przekazał młodemu Rozmusowi wieści o awansie, dodając, że jeśli tak dalej pójdzie, może po wojnie napiją się piwa jak równy z równym. Jasiek, któremu hierarchia w wojsku nie do końca zgadzała się z systemem wartości, chciał odrzec, że Kurt musiałby wpierw zmyć hańbę wyrzeczenia się polskości, aby móc się równać z kimkolwiek. Ugryził się jednak w język i przyjął honory, salutując bez słowa.

Nazajutrz po awansie przyszedł rozkaz rychłego wymarszu. Obóz miał zostać spakowany, wysprzątany, żołnierze odprasowani i gotowi do odjazdu podstawionym o świcie pociągiem. Ruszali do Francji.

* * *

W Swarózcach pomimo wczesnego listopada zima szalała już na dobre. Śnieg skrzył się w każdym zakamarku lasu, chrząścił pod stopami. Mróz nocami malował piękne wzorki na szybach, a woda w studni robiła się tak lodowata, że by móc ją pić, należało wpierw solidnie ogrzać.

We wsi zostały niemal same kobiety i dzieci. Mężczyzn zagoniono do transportu wojskowego, skąd zabrano ich na przeszkolenie. Wzięto nawet tych, którzy przezornie zabezpieczyli się przed poborem, odrąbując sobie palce.

Ciężko się żyło bez chłopca w domu. Wiele kobiet, które do tej pory narzekały na mężów, że próżniaczyli, chlali tylko i baki

zbijali, nagle doceniło ich obecność. Okazało się, że wśród obijania się i popijania okowity chłopcy rzeczywiście coś robiły, do czegoś się nadawały. Najprostsze zdawało się czynności, jak rąbanie i znoszenie drewna do chałupy, wcale nie było takie proste.

Tak zatem we wsi wytworzyła się pewnego rodzaju symbioza między poszczególnymi gospodarstwami. Kobiety zachodziły do siebie i pomagały w pracach domowych, w zamian oczekując, że sąsiadka w podzięce odwdzięczy się tym samym. I tak też się działo. Kobiety w Swarżycach nieustannie kursowały między chatami, pracowały w pocie czoła, chodziły wokół obejścia. Wszędzie poza łysą górą, którego rezydentkę nadal obejmowała niewyrzeczona klątwa. Kobiety starały się zapomnieć, że ktokolwiek w ogóle mieszkał na tym przeklętym wzgórzu. Nie było to jednak takie proste. Niejedną zżerały wyrzuty sumienia, gdy leżała nocą w łóżku. Niejedna wśród mroku i wycia wiatru przyrzekała sobie, że dość tego, że jutro weźmie koszyk warzyw i pójdzie do Kasi, by zakończyć bezsensowną wróżdę. Ale gdy tylko słońce wychylało się zza drzew, kobiety wnet zapominały o gorących postanowieniach. Wszystko wracało do normy. W ciągu ledwie kilku miesięcy zarówno Kasia, jak i jej dom obrosły niezasłużoną oraz niedorzeczną grozą.

* * *

Kasia miała problemy z podniesieniem się z łóżka. Czowała bóle w mięśniach, gardło ścisnęła nieprzyjemna obręcz utrudniająca przełykanie, w głowie się kręciło. Kilka dni wcześniej wyszła z mokrą głową do zwierząt, nie owinęła się szczelnie płaszczem i teraz przyszło jej zapłacić za nieostrożność. Rozkaszła się tak mocno, że skończyło się na fali mdłości, którą zwalczyła z najwyższym trudem.

Pogłaskała Nawoja, który jak zwykle bezbłędnie wyczuł, że już się obudziła, oraz że potrzebowała jego obecności. Pies

wcisnął mokry nos w dłoń Kasi i z uszami położonymi po sobie poddawał się pieszczocie. Kasia zadumała się na moment nad tym, że głaskanie psa dawało satysfakcję głaskanemu zwierzęciu, ale także i temu, kto go głaskał. Była to jakaś tajemnicza zależność między jednym a drugim, której nie potrafiła zrozumieć.

Wreszcie, pokrzepiona obecnością oraz leczniczym łaszeniem Nawoja, odrzuciła niedźwiedzie futro, opuściła nogi na wychłodzoną przez noc podłogę. W pierwszej kolejności musiała rozpalić w piecu. Ubrała się zatem ciepło i wyszła po kilka klocków drewna, które Jasiek dla niej zmagazynował pod daszkiem drewnutni. Przystanęła na moment w proggu, oślepiona ostrymi promieniami słońca odbijającymi się w śniegu. Na świeżym puchu wypatrzyła szlaczki śladów, jakie zostawiły w nocy zwierzęta przemykające cichaczem przez wzgórze. Dostrzegła kilka odcisniętych racic saren z charakterystycznym obcasem, nieduże, czteropalczaste tropy lisa, a także sporo ptasich, patyczkowatych śladów. Wzięła naręczę polan, myśląc o tym, że powinna niebawem narąbać drzewa, którego zapas dość szybko się kurczył. Musiała zabrać się do tego, dopóki jeszcze brzuch jej zbytnio nie przeszkadzał.

Przez resztę dnia krzątała się wokół domu, wykonując drobne, acz niecierpiące zwłoki robotki. Dokarmiła zwierzęta, wydoiła kozę, a także poświęciła sporo czasu na dumanie nad rąbaniem drewna, które w ostatecznym rozrachunku postanowiła odłożyć na kolejny dzień. Wreszcie, gdy słońce zaszło i okolicę zaczął zalewać gęstniejący mrok, rozsiadła się wygodnie na wyścielonej futrem nutrii ławie kuchennej.

Kasia wyciągnęła nogi, które wsparła o trójnogi zydelek i zabrała się za łupanie orzechów. Co jakiś czas rzucała obrany smakołyk Nawojowi, który chrupał łapczywie, jak gdyby miał to być jego ostatni posiłek w życiu.

Na zewnątrz znów padał śnieg, gęstym tumanem zasłaniając widok za oknem. Wiatr hulał w szczelinach domu, gwizdając upiornie. Więźba, do której została zamocowana strzecha, skrzypiała złowrogo, jak gdyby miała odlecieć z kolejnym, mocniejszym podmuchem.

Pomimo że poranna niemoc znikła, wygnana przez ciężką pracę, Kasia nie czuła się najlepiej. Dokuczały jej mdłości, które coraz częściej objawiały się nie tylko o poranku, ale również wieczorami. Dodatkowo martwiła się o Jaśka, o którym nie miała żadnych wieści. Nie potrafiła czytać ani pisać, zatem nie mogła wymieniać z mężem korespondencji. Czuła do niego żal o to, że nigdy jej nie nauczył, nie pomógł stać się piśmienną. Wiedziała bowiem, że Jasiek potrafił czytać, widziała go nawet kilka razy z książką, a raz napisał przy niej list do rodziny. Gdyby tylko poświęcił żonie nieco więcej czasu i uwagi, sprawy miałyby się o wiele inaczej. Mogliby wymieniać listy. Kasia napisałaby Jaśkowi, że dziecko rosło, a ona tęskniła każdego dnia.

Wtem o szybę uderzyło coś z głośnym trzaskiem. Kasia podskoczyła na ławie, wywracając na podłogę w połowie pełną miskę orzechów. Stanęła pośrodku izby ze zjeżonym bojowo psem u boku. Za oknem, o które coś przed momentem grzmotnęło potężnie, nie było niczego widać w zawierusze.

- O Boże, nie wiem, co robić - jęknęła dziewczyna, wodząc wokół wzrokiem bezradnie.

Nawój szczechnął krótko, jak gdyby zachęcając do działania, wywalił język. Kasia postąpiła niezdecydowanych kilka kroków w kierunku kufra, w którym Jasiek trzymał pamiątkowy sztuciec i resztę ekwipunku, który zabierał na polowania. Pokazał jej kiedyś, jak nabić broń, a także pozwolił strzelić kilkakrotnie. Nie miała z tego większej frajdy, bowiem strzelba posiadała silny odrzut i Kasię bolało ramię, na którym wspierała kolbę. Niemniej w obecnej sytuacji, gdy wyobrażała

sobie na zewnątrz zgrają bandytów, nie miała wyboru. Musiała się upewnić, kto grasował wokół chaty i trząsał w okna. A bezbronna na zewnątrz nie wyszłaby za żadne skarby.

* * *

Okopy wyglądały o wiele gorzej niż je sobie wyobrażał. Nie stanowiły skrzętnie zaplanowanej, umocnionej sieci tuneli, w których można się wygodnie zagnieździć i odpierać ataki wroga. Bardziej przypominały zajęcze nory rozkopane przez lisy, które chciały wydrzeć na zewnątrz młode. Gdzie nie spojrzeć rozciągały się pajęczyny drutu kolczastego, umocnienia wałów okazały się liche i ziemia co chwila osuwała się stłoczonym w dziurach żołnierzom za kołnierze. Krajobraz nie przypominał niczego, co Jasiek miał okazję do tej pory oglądać. Ziemię, która niegdyś, nie tak dawno była łąką, szpeciły liczne leje po pociskach i bombach. Kikuty drzew sterczały nieprzyzwoicie, mierząc w niebo oberwanymi, zwęglonymi gałęziami. W niewielkiej odległości od umocnień okupowanych przez armię cesarską widniały kolejne zasieki, w których siedzieli Brytyjczycy. Żołnierze z wysp znajdowali się tak blisko, że dało się słyszeć strzępy rozmów oraz urywane co jakiś czas dźwięki muzyki dolatujące ze zdezelowanego niechybnie patefonu.

Oddział Jaśka przedstawiono pobieżnie dowódcy, rozkazano się rozpakować i trwać w gotowości bojowej. Szybko okazało się, że większość dni spędzano w gotowości bojowej. W stanie na wpół sennego oczekiwania na rozkaz wymarszu z okopów, by przepuścić atak na zasieki wroga bądź też zajęcia pozycji obronnej przed atakiem Brytyjczyków. Żołnierze z dłuższym stażem twierdzili, że czekanie było czasem gorsze od potyczki. W trakcie walki przynajmniej miało się pewność, co się w danym momencie działo. Czekać, nie miało się pewności co do niczego. W każdej chwili do okopów mogła wpaść bomba

gazowa, pocisk z moździerza lub koszący ostrzał z powietrza. W każdej chwili mógł rozlec się przeklęty gwizdek, na którego sygnał należało złapać za broń i przygotować się do walki. Tak, mówili starsi żołnierze, czekanie jest gorsze.

W pierwszej chwili Jasek nie bardzo chciał dowierzać kolegom. Jednak kiedy przyszło mu siedzieć w dziurze o wilgotnych, rozmokłych ścianach dwa dni, podczas których kilkakrotnie w pobliżu eksplozja rozrywała kogoś na strzępy, zrozumiał, co takiego mieli na myśli. Niemal nie sypiał, czuwał jedynie z głową w hełmie wspartą o lufę karabinu. Kiedy wręczano mu miskę grochówki, jadł, kiedy częstowano papierosami, palił. Myślał o Kasi i nienarodzonym synu. Tęsknił do lasu, do zapachu grzybów i zroszonych deszczem paproci. Czekał na rozkaz wymarszu. Czekał na rozkaz stanięcia w defensywie. Biegł wraz innymi towarzyszami, wrzeszcząc dziko i strzelając na oślep. Krył się za czym mógł, a kule świszczą jak wściekłe osy. Biegł z powrotem, wypatrując linii okopów jak rodzinnego domu, a między łopatkami dokuczało nieznośnie pieczenie, jakby już tkwiła tam kula nieprzyjaciela. Stawał w kolejce do latryny, czując, że nie zrobiłoby to żadnej różnicy, gdyby wypróżnił się tam, gdzie siedział. A potem stawał z pierśią wgniecioną w rozmiękłe błoto, brodę opierał o pachnącą smarem strzelbę i ciągnął za spust raz za razem. Raz za razem, a młodzi chłopcy w jego wieku padali w kałuże. Ci sami chłopcy, którzy kilka godzin wcześniej usiłovali trafić jego, gdy to on szarżował na umocnienia, za którymi się chowali. I znów częstowano go papierosami, których nigdy dotąd nie palił, a które smakowały coraz bardziej. Pił niedobrą kawę zbożową, po której skręcało go w kiszki. Gdy nikt nie patrzył, wymiotował ze strachu, od podłego jedzenia, kto wie dlaczego. Widział, że inni też wymiotowali. I znów ofensywa, szaleńczy pęd, stopy w podkutych butach ślizgające się po błocie. Strzelanie z biodra, zaklinanie pocisków zarówno

swoich, jak i wrogich. Odparty atak i rozpaczliwa gonitwa, ucieczka do okopów pod ostrzałem Brytyjczyków. Gwisdek oficera, wymachiwanie szablą, niezrozumiale wywrzaskiwane rozkazy. Ludzie w błocie wierzgający, ryjący ziemię obcasami, krzyczący do matek i żon. Ślepi od gazu, rozerwani granatami, wybebeszeni bagnetami. Oczekiwanie w okopie, półsen, który nie przynosił wypoczynku, a jedynie halucynacje. Kolejna defensywa, ryk silników przelatujących nisko samolotów, mechaniczny, ogłuszający szczek karabinu maszynowego. Kurt Szajnocha, który chwilę temu komenderował oddziałem, ostrzeliwując się z karabinu, zupełnie jak na oficera nie przystało padł w błoto. Niewiele zostało z jego twarzy. Oddział niemal nie zauważył. Wróg napierał coraz silniej, podchodził bliżej niż dotychczas. Wrzask i warkot silników, terkot karabinu i grzmot granatów. Jasiek zamknął oczy.

* * *

Najciszej, jak tylko potrafiła odryglowała drzwi, które następnie pchnęła lufą strzelby. Przytrzymując ościeżnicę barkiem, wychynęła na zewnątrz, nie opuszczając broni. Syknęła przez zęby, gdy Nawój wyprysnął jej spomiędzy nóg i zniknął za rogiem chaty, szcękając zawzięcie. Gdy wrzawa przeszła w gardłowy warkot, Kasia poczuła, jak resztką odwagi ulatuje z niej, jak powietrze z przeklętego rybiego pęcherza. Mimo to postąpiła kilka kroków naprzód.

Ukazała się jej dziwaczna scena. Nawój stał nad nastroszoną sową, obwarkując ją zawzięcie, jednak wyraźnie bojąc się podejść bliżej. Ptak z kolei sprawiał wrażenie niezdolnego do wzbicia się w powietrze, bowiem skrzydło opadło mu bezwładnie wzdłuż ciała. Nie mogąc zatem odfrunąć, syczał i pohukiwał, kłapiąc dziobem na napastliwego psa.

Dziewczyna z trudem przywołała Nawoja. Pies, nie odrywając wzroku od rannego ptaka, podszedł do Kasi,

przywarował przy jej nogach.

- Musimy jej pomóc, ty rozwrzeszczany kudłacz. - Potarmosiła futro na szyi pupila. - Zabierzemy do domu i wykurujemy. Biedaczka zamarznie w nocy, jeśli ją tak tutaj zostawimy.

Kasia wsunęła się na moment do środka, by odłożyć sztuciec na miejsce. W przelocie złapała koc i wróciła do miejsca, w którym siedziała napuszona sowa. Ptak, widząc zbliżającą się dziewczynę, uniósł się nieco na łapkach, rozpostarł skrzydła tak szeroko jak był w stanie, biorąc pod uwagę obrażenia, i zasyczał ponownie. Kłapiąc dziobem, który trzaskał, jakby uderzano o siebie dwoma kamieniami, nie odrywał spojrzenia czarnych oczu od Kasi. Dziewczyna się zawahała. Płomykówka, choć niewielka, sprawiała wrażenie bojowo nastawionej. Poza tym okrzyki, jakie wydawała, brzmiały doprawdy przerażająco.

Zebrała się jednak w sobie i szybkim ruchem zarzuciła na sowę koc, po czym wzięwszy szamoczące się rozpaczliwie zawiniątko w ramiona, zaniósła do chaty. Drobiąc nogami, trzymała przed sobą najdalej jak mogła szalejącego ptaka, modląc się o to, by nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy. Kiedy tylko znalazła się w środku, zatrzasnęła drzwi, a następnie ułożyła koc na podłodze. Ostrożnie wysuwała ze środka płomykówkę, która gdy tylko spostrzegła ku temu okazję, dziobnęła Kasię w rękę. Dziewczyna nie zdążyła w porę uskoczyć, ostry dziób rozciął boleśnie skórę.

- Ach, ty diablico, ty! - wykrztusiła, patrząc na umykającego pokracznie pod ławę ptaka.

Sowa po raz kolejny napuszyła się i syknęła, choć jakby z nieco mniejszym zapałem i przekonaniem niż wcześniej. Kasia tymczasem ponownie wyszła na zewnątrz, by natrzeć zranioną dłoń śniegiem. Oczyściwszy ranę, omotała lnianym bandażem, wpięrow posmarowawszy szczodrze maścią z nagietka, aby rozcięta skóra lepiej się zagoiła. Następnie wyjęła kawałek

suszonego mięsa z niedźwiedzia i rzuciła pod ławę, gdzie kryła się płomykówka. Usłyszała cichutki chrobot pazurków po drewnianej podłodze oraz szybkie kłapanięcie dzioba. Uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do przerwanej pracy.

Łupała orzechy, podjadając co niektóre i myśląc nad tym, co miała w zanadru przyszłość. Nie potrafiła opędzić się od wrażenia, że ta czyhała jak ukryty w zaroślach zbójca, gotowa wyskoczyć z zasadzki i ucaścić niespodziewającego się wędrowca.

Wreszcie, zmęczona i śpiąca, odłożyła miskę orzechów. Zanim wgramoliła się do łóżka, zerknęła pod ławę. Płomykówka zdawało się nie ruszyła się o krok. Widząc, że Kasia na nią patrzyła, nastroszyła pióra, jednak już nie syczała. Dziewczyna nie wiedziała, czy wziąć to za dobry znak, czy też po prostu sowa była zbyt zmęczona, by przejawiać dalszą agresję.

* * *

Tej nocy śniła niepokojące sny. Takie, których po przebudzeniu nie sposób sobie przypomnieć, jednak widmo, jakie po sobie pozostawiają, towarzyszy człowiekowi przez kilka godzin, czasem dłużej.

Kasia znalazła się w spalonym lesie, w którym nie dało się dostrzec ani odrobiny zieleni. Drzewa miały osmalone pnie i nagie gałęzie. Zamiast ściółki i krzewów ziemię pokrywała glina. Powietrze pachniało dymem i czymś ostrym, krztuszącym. Nie sposób było zaczerpnąć głębszego oddechu. W zgłiszczach lasu panowała upiorna cisza. Kasia nie słyszała nawet własnych kroków, które wzniecały maleńkie obłoczki pyłu za każdym razem, gdy stawiała stopę na ziemi.

Zdawało się jej, że szła od dawna, gdy dostrzegła między kikutami drzew grupkę kobiet. Stłoczone ciasno mieszkanki Swarżyc pochylały się nad czymś. Kasia ruszyła w ich kierunku, czując ciekawość, co tak absorbowało kobiety. Te,

kiedy dostrzegły zbliżającą się dziewczynę, stanęły jeszcze ciałniej, zasłaniając to, co leżało na ziemi.

- Czego tu szukasz, więdźmo zatracona?
- Przyszłaś popatrzeć?
- Mało ci, żeś zabiła?
- Morderczyni. Przeklętnica.
- Trupia mamka.

Ładunek nienawiści bijący od kobiet miał taką moc, że Kasia cofnęła się o kilka kroków. Bała się, przerażały ją słowa, którymi ją raczyły. Wtem dostrzegła, co takiego znajdowało się na ziemi, osłonięte spódnicami. Zakryła usta dłonią, by nie krzyczeć.

Małeńkie, pokryte skrzepami krwi oraz galaretowatym śluzem ciałko leżało na plecach, wyciągając sine rączki o szerniałych paznokciach w górę. Nie widziała twarzy i nie chciała zobaczyć. Wystarczyło, że dosłyszała grobowe kwilenie porońca. Żadne dziecko nie powinno wydawać podobnych odgłosów.

- Patrzcie, boi się - zaszemrały kobiety z mściwą satysfakcją.
- Teraz jej przykro. Teraz, kiedy jest za późno.
- Ona się nie boi, ani nie jest jej przykro. Brzydzi się. Na nic innego jej nie stać.
- Skoro tak, niechaj ponosi dzieciątko, które na ten świat ściągła. Niechaj ponosi i polula.- Lulaj, dzieciątko, wszeteczniczo.

- Lulaj je! Lulaj!

Jedna z kobiet schyliła się po żywego trupka, wzięła na ręce, podtrzymując opadającą ciężko główkę. Poroniec zabalgotał obrzydliwie, wodząc wokół rozlanymi, błyszczącymi rybio oczyma. Szerokie usta, bardziej przywodzące na myśl pękniętą ranę, rozchylił w parodii uśmiechu, odsłaniając imponujący garnitur zębów.

Pomimo iż kobieta trzymająca w ramionach upiora, podchodziła coraz bliżej, Kasia nie mogła ruszyć się z miejsca. Chciała uciekać, ale nie była w stanie postąpić nawet kroku. Groza odebrała jej władzę nad ciałem. Mogła tylko patrzeć, jak niemowlę o kocich zębach i martwych oczach postawione na ziemię pełzło w jej kierunku. Znajdowało się już tak blisko, że trupi odór, który wydzielało, niemal zapierał dech. Kasia zakrztusiła się, targnęła w suchych torsjach i to jakby wyrwało ją z niemocy. Rzuciła się w tył, potknęła o własne nogi, zaplątane w spódnicę. Usiadła ciężko na ziemi z takim rozmachem, że aż ugryzła się w język. Poczowała w ustach smak krwi.

Przez zasłonę łez, które napłynęły jej do oczu, patrzyła na porońca, który niezgrabnie przebierając rączkami, sunął niestrudzenie w jej kierunku. Gaworzył przerażająco głosem przywodzącym na myśl zapomniany cmentarz pełen połamanych krzyży. Kasia zerwała się na równe nogi i pognąła przed siebie. Żegnały ją klątwy kobiet ze Swarożyc.

Biegła, ile sił w nogach, a krajobraz nie zmienił się ani odrobinę. Spalony las zdawał się nie mieć końca. Wreszcie, zdyszana i spocona, przystanęła, by odsapnąć. Była pewna, że upiórek nie byłby w stanie jej doścignąć, jednak dla pewności obejrzała się przez ramię.

- Dziecko moje kochane, tyś omen śmierci do chałupy wpuściła. - Kasia o mały włos a odgryzłaby sobie język po raz wtóry, tym razem ze strachu na dźwięk zgrzytliwego, starczego głosu.

Nie wiadomo skąd przed dziewczyną pojawiła się babcia nieboszczka, Grzymisława. Babka wyglądała tak, jak zapamiętała ją Kasia. Niska, korpulentna kobieta o perkatym nosie i małych wesołych oczach osłoniętych gęstymi brwiami, wyglądającymi spod osuniętej nisko na czoło kwiecistej chusty.

- Babciu Grzymko? - Dziewczyna postąpiła niepewny krok naprzód. - Przecież nie żyjesz.

- Tamto dziecko też nie żyje. - Wzruszyła Grzymisława ramionami. - I wielu spośród mówiących nie żyje, ale mało kto o tym wie. A tyś do domu swego śmierci sługę wpuściła na złą wróżbę. Na bardzo złą wróżbę toś uczyniła, dzieciątko moje.

- O czym wy mówicie, babciu? O sowie?

- Ano, o sowie. To ty nie wiesz, że gdy sowy za oknem pohukują to na śmierć? Bo ptaki to nocne i podłe, konszachty ze starymi bogami mające. Tak, dziecko, nie ma co robić zdziwionych min. Samaś do domu sobie zaprosiła śmierć. Pomóc jej chciałaś, niepomna tego, co robisz. Oj, Kasiu, czy ja cię tak uczyła postępować?

- Babciu, kto... Kto umarł?

Grzymisława spojrzała na wnuczkę, a w jej oczach zagościł smutek. Nie musiała niczego mówić, by Kasia zrozumiała.

- To sen - wyszeptała dziewczyna, wodząc dokoła rozbiegany wzrokiem. - Śnię. Przecież ty nie żyjesz, dziecko Jadźki pochowali pod progiem, a las nie spłonął.

- Masz rację. - Pokiwała głową staruszka. - Ale sen nie oznacza jeszcze, że to nie jest prawdą.

Grzymisława uśmiechnęła się tajemniczo, po czym zupełnie znienacka znikła. Wyglądało to tak, jakby zapadła się w siebie. W jednej chwili stała przed Kasią, w następnej została po niej tylko kupka ubrań. Dziewczyna westchnęła głośno, uskakując przed sową, która wyleciała spomiędzy szmat. Ptak zahukał donośnie, frunąc ponad spalone drzewa.

* * *

Obudziła się zrana potem, choć w chacie panował chłód. Omiotła kąty izby nieufnym spojrzeniem, jakby spodziewała się zobaczyć babcię nieboszczkę, czyhającą w mrocznym zakamarku, gotową po raz kolejny wieszczyć śmierć. Wtem na

łóżko wskoczył rozmazany mrokiem, niewyraźny kształt. Kasia pisnęła cienko i odrzuciwszy kołdrę ze skóry niedźwiedzia, wyskoczyła z pościeli. Nawój zaszczekał krótko, stając u jej boku, gotów bronić przed niebezpieczeństwem.

Na łóżku stała, patrząc na Kasię wielkimi, niepokojącymi oczyma, płomykówka. Nieco upiorna, biała twarz zdawała się jarzyć w ciemności. Lewe skrzydło zwisało nadal smętnie wzdłuż boku. Sowa przekrzywiła głowę, rozwarła niemo dziób. Sprawiała wrażenie znacznie bardziej oswojonej z obecnością człowieka, niż wczorajszego wieczora.

Kasia uznała, że jeśli ptak jej pozwoli, obejrzy skrzydło i spróbuje je nastawić. Nigdy co prawda nie opatrywała sowy, jednak miała niejakie doświadczenie ze złamanymi kulasami u ludzi. Wsadzić coś w łubki nie było wszak wielką sztuką. Tymczasem jednak musiała rozpalić w piecu, bowiem zimno zaczynało już poważnie dokuczać. Narzuciła na grzbiet wełnianą chustę i ruszyła ku drzwiom. Po krótkim namyśle sięgnęła po kosz na ziarno.

- Zimno jak diabli, nie chce się wychodzić - mrucała pod nosem, okręcając stopy dodatkowymi onuckami. - Dwa wróble jednym kamieniem, jak to mawiają.

Gotowa do wyjścia napała na drzwi, które jednak nie drgnęły ani odrobinę. Wyrzała przez okno i przez moment nie mogła uwierzyć własnym oczom. Śnieg, do tej pory padający cokolwiek nieśmiało i dość sporadycznie, najwyraźniej przez noc zdecydował się uderzyć z zaciętością zawieruchy z dalekiej północy. Zasy sięgały parapetu, toteż nie dziwota, że Kasia miała problem otworzyć drzwi. Wreszcie udało jej się odemknąć je na tyle, by można wysunąć się na zewnątrz.

Nawój wskoczył w zasy, ryjąc w śniegu jak kret. Dziewczyna zaniósła się śmiechem, który jednak dość szybko uwiązał w gardle. W świeżym puchu widoczne były ślady, które bez wątpienia należały do człowieka, który wzrostem nie

przekraczał łokcia. Kasia w równej mierze zaintrygowana, co zaniepokojona, ruszyła po płytkim tropie, by sprawdzić, dokąd ją zaprowadzi.

Ślady wiodły ku drewnutni, gdzie nietrudno było zauważyć, że zapas drewna znacznie wzrósł przez noc. Kasia rozejrzała się wokół, usiłując dociec, co takiego się wydarzyło. Pomimo iż wierzyła w istnienie istot zapomnianych, nie mogła przemóc się, by dać wiarę, że oto jedna z nich złożyła jej wizytę. I kimże ów mikry drwal mógł być? Wzrostem niewiele przewyższał kota, jednak sądząc po tym, czego dokonał z zapasem polan, należało sądzić, że krzepą dorównywał człowiekowi.

Niemal krzyknęła, gdy poczuła w dłoni wilgotny i zimny nos Nawoja. Pies wyszalał się w śniegu, po czym postanowił sprawdzić, co też zajmowało jego panią. Kasia machinalnie potarmosiła sierść na grzbiecie psa, nie odrywając wzroku od stosu drewna.

- Wiesz co, piesku? - rzekła po dość długiej chwili. - Wychodzi na to, że w nocy odwiedził nas skrzat i porąbał drewno. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to jedynym możliwym rozwiązaniem.

Nawój przekrzywił głowę, zupełnie jakby chciał powiedzieć, że Kasia nie czuła się zbyt dobrze, skoro doszła do równie niedorzecznego wniosku.

- Wiem, jak to brzmi - kontynuowała dziewczyna. - Ale sam pomyśl, mój ty pieszczochu. Żadne inne wyjaśnienie nie pasuje.

Tego dnia, pomimo ogromu zajęć, Kasia nie potrafiła opędzić się od natrętnych myśli o krasnoludkach, skrzatach i koboldach, kryjących się w szczelinach domu i wychodzących po zmroku, by pomagać gospodarzom. Zajęcia, jakim się poświęciła wraz z rozmyślaniami, pochłonęły ją tak bardzo, że zupełnie zapomniała o płomykówce i jej uszkodzonym skrzydle. Przypomniała sobie dopiero w porze kolacji.

Naszykowała zatem naprędce kilka świec, by lepiej widzieć, podarła na wąskie paski bandaż, naszykowała kilka patyczków. Teraz wystarczyło zmusić ptaka do wytrwania w bezruchu i zaprzestania kłapania straszliwym dziobem na każdy, najmniejszy ruch. Kasia westchnęła zrezygnowana, po czym sięgnęła po grube rękawice z niewyprawionej skóry. Nie miała zamiaru dać się ponownie ukąsić.

LUTY

Śniegi zasypały okolicę, niemal odcinając Swarożyce od reszty świata. Drzewa w Radkowej Kępie uginały się od skrzącego w słońcu białego kobierca. Zima, która kąsała od późnej jesieni, końcem roku nabrała solidnego rozpędu i zdawało się, że zagościła na długie jeszcze miesiące. Co rano mróz zamazywał szyby w oknach, stawy można było swobodnie przejść suchą nogą, zdawało się, że i woda w studniach lada moment zamarznąć powinna. Kto nie musiał nie wyściubiał nosa z chaty, a gdy obowiązki gnały na zewnątrz, każdy uwijał się najszybciej jak mógł, by wnet wrócić do ciepłego wnętrza.

Wielce się zatem Jadwiga zdumiała, gdy przez okno wypatrzyła idącego od strony leśnego duktu człowieka. Z daleka ciężko było stwierdzić z absolutną pewnością, jednak miała wrażenie, że to mężczyzna ubrany w długie, wełniane płaszcze o wojskowym kroju. Szedł niespiesznie, jakby z trudem unosząc nogi w śniegu. Im bliżej podchodził, tym Jadwiga nabierała przekonania, że znała przybysza. Kiedy znalazł się na wysokości okna, nabrała pewności, ale równocześnie obleciał ją strach. Mężczyzna wyglądał, jak gdyby wymknął się z czeluści piekieł. Odzienie wisiało na nim jak na kołku, spodnie miał sztywne od brudu, a buty niemal pozbawione zelówek. Najstraszniejsza jednak była twarz. W bladości oblicza

wyróżniały się dwa podkreślone sinymi pręgami kręgi, będące niegdyś oczami. Jadwiga nigdy dotąd nie widziała kogoś o równie martwym spojrzeniu. I szczerze mówiąc, miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć.

* * *

Chata na łysym wzgórzu lśniła czystością jak nigdy dotąd. Okien nie szpeciła ani jedna smuga, podłoga została zamieciona tak dokładnie, że nawet myszy nie miały czego szukać między szparami w deskach. Z komina znikło antyczne gniazdo kawek. Zapas drewna każdej nocy uzupełniał się, tak że nawet gdyby mrozy miały trwać do sierpnia, Kasia starczyłoby opału. Nadto obórka kozy oraz kurnik wysprzątano, pachniały na tyle, na ile było to możliwe, przyjemnie.

Kasia już dawno pogodziła się z tym, że zamieszkał z nią skrzat, którego choć ani razu nie widziała, dawał znać o swej obecności ciężką pracą. Cieszyła się z pomocy, której dostarczał, bowiem pierwsze miesiące ciąży nie były dla niej łatwe. Z początku nie odczuwała żadnych dolegliwości, poza okazjonalnym rozchwianiem emocjonalnym, jednak im dalej w zimę, tym gorzej znosiła poranne mdłości, osłabienie i przygnębienie. Ciężko przychodziło jej zmotywować się do wykonywania najprostszych nawet obowiązków, jak łupienie orzechów. Bardzo przeżywała rozłąkę z Jaśkiem w tak wymagającym okresie. Bała się o niego i modliła o wstawiennictwo, by bezpiecznie wrócił do domu.

Tak, Kasia ceniła sobie niewidoczną obecność skrzata w domu. Rzecz jasna nie miała pewności, czy rzeczywiście pomagał jej skrzat. Równie dobrze mógł to być domowik, ubożę czy żyrownik. Niezależnie od tego, kim był ów dobry duszek, Kasia co wieczór zostawiała mu przy drzwiach miskę mleka z miodem, kromkę chleba oraz garść orzechów. Każdego ranka strawa znikła, a naczynia leżały na stole, porządnie wymyte.

* * *

Siedziała pod oknem, cerując wełnianą chustę, którą rozdarła o wystający gwóźdź w kurniku, gdy nagle drgnęła zaskoczona i podniecona. Z lasu wyłonił się mężczyzna i zmierzał ku chacie. Rzuciła robótkę na stół i tak jak stała, w koszuli i spódnicy, z ramionami okrytymi jedynie wełnianą kamizelką wybiegła na mróz.

To Jasiek wracał z wojny, myślała, brnąc przez głęboki śnieg, a serce waliło jej jak oszalałe. Jasiu kochany wrócił, nic mu się, dzięki ci Boże, nie stało, przekonywała samą siebie, choć nadchodzący mężczyzna coraz mniej przypominał jej męża. Ale łudziła się, miała samą siebie. I wtedy zobaczyła twarz przybysza. Stała jak wryta, żałując, że nie została w chacie. Że nie udała, że jej nie zastał.

- Bogusz - wyrwało się jej spomiędzy zmartwiałych warg. - Bogusz, co tobie się stało?

Wesoły, skory do pijaństwa i śmiechu znajomek Jaśka, chłop wysoki, krzepki, który odwiedził ich ledwie kilka miesięcy temu, przepadł. Zamiast niego stał przed Kasią strach na wróble o wielkich, martwych oczach.

- Ja tobie, Kasiu, przyszedłem coś powiedzieć - przemówił Bogusz strasznym, obcym głosem.

Dziewczyna nie odrywała wzroku od rybich oczu Bogusza. Co trzeba człowiekowi zrobić, żeby miał takie spojrzenie?, zastanawiała się. Bogusz mówił, drżącą ręką o trzech palcach szarpał skołtunioną brodę. Trząsał się, nie wiedzieć z zimna czy od wspomnień. Opowieść nie zajęła wiele czasu. Nie potrafił znaleźć słów, a w zasadzie należało powiedzieć tylko jedno. Kiedy skończył, Kasia bez słowa odwróciła się, postąpiła kilka kroków ku chacie, po czym nogi się pod nią ugięły. Nim upadła w miękkie, zimne śnieg, ogarnęła ją błoga ciemność.

* * *

Ocknęła się w łóżku, okryta kołdrą z niedźwiedzia. W chacie pachniało smażonymi jajkami i kiełbasą. Spojrzała w lewo, w stronę pieca. Nad patelnią stał Bogusz, mieszając zawzięcie smażone, a u jego stóp warował oblizując się co jakiś czas Nawój. Kasia jęknęła rozdzierająco, gdy nagle wszystko wróciło. Wszystko, co powiedział Bogusz zważyło się na nią, przytłaczając jak kowadło. Mężczyzna, gdy tylko zobaczył, że się ocknęła, błyskawicznie zdjął patelnię z blachy i w dwóch susach znalazł się przy łóżku.

- Kasiu, Kasiuniu, już dobrze. - Przytulił zeszywniałą dziewczynę, kołysał w ramionach. - Już dobrze.

- Nic nie jest dobrze - odezwała się wreszcie stłumionym głosem Kasia, otarłszy łzy z piekących od płaczu policzków.

Podeszła do patelni, krytycznie przyjrzała się przygotowywanemu posiłkowi. By zająć czymś ręce, postanowiła ulepszyć to, czego Bogusz nie zdążył jeszcze całkiem zepsuć. Mężczyzna usiadł przy stole, wodząc za nią wzrokiem.

- O nic nie zapytasz? Nie chcesz wiedzieć, gdzie...

- Nie! - ucięła Kasia ostro. - Nie chcę wiedzieć, ani jak to się stało, ani gdzie... Nie chcę wiedzieć, bo to niczego nie zmieni. Poszedł tam i mnie zostawił, chociaż wiedział... Mówiłam mu przecież.

Bogusz bezwiednie wpatrzył się w brzuch dziewczyny, odznaczający się już dość wyraźnie pod materiałem koszuli. Przypomniawszy sobie te nielicznych kilka razy, gdy rozmawiał z Jaśkiem w obozie szkoleniowym. Potem, w okopach, widzieli się tylko raz.

- Masz, jedz. - Kasia postawiła przed Boguszem talerz parującej jajecznicy z kiełbasą, grzybami i cebulą. - Chleba chcesz?

Mężczyzna przytaknął, ochoczo zabierając się za jedzenie. Przez chwilę w chacie słychać było jedynie trzask płomieni w

palenisku oraz ciamkanie. Wreszcie Bogusz odłożył łyżkę, stłumił beknienie. Wyglądał nieco lepiej, gdy Kasia zobaczyła go tuż po tym, gdy wyszedł z lasu. Mimo to jego oczy nadal budziły w równej mierze współczucie, co grozę.

- No dobrze, opowiadaj.

- Pewna jesteś? Może lepiej zostawić to jak jest. Tak, jak żeś mówiła.

- Pewna jestem. Chyba, że tobie mówić niezręcznie, wtedy poczekam. Ale myślę, że muszę wiedzieć. Nie można tak zostawić. Spokoju bym nie zaznała.

Bogusz opuścił wzrok, wpatrzył się w ręce złożone na blacie stołu. Zdrową dłońią strzepnął okruszki chleba na podłogę, gdzie zainteresował się nimi Nawój. Mężczyzna zaczął opowiadać, wpierw nieskładnie, z trudem znajdując słowa. Plątał się i zacinał. Wracał do zaczętych wcześniej wątków, mieszał wydarzenia, aż w pewnym momencie Kasia chwyciła go za przegub. Delikatnie ścisnęła, a w jej oczach oprócz łez dostrzec można było troskę oraz nieme wsparcie.

* * *

Siedząc w kucki, plecami oparty o wilgotną ścianę okopu, ścisnął w zmarzniętych dłoniach parujący kubek kawy. Jakiś nowy rodzaj kawy, podobno wynaleziony przez Amerykanów. Wystarczało zalać proszek gorącą wodą, zamieszać i można pić płyn o kwaśnym, nieprzyjemnym smaku. Nie siorbało się jednak amerykańskiej kawy dla smaku, a dlatego, że rozgrzewała i pobudzała nieco zmęczone członki.

Kiszki skręcały mu się z głodu, w głowie kręciło od papierosa, którego przed chwilą wypalił. Nie chciał jednak wypuścić z rąk przyjemnie ciepłego naczynia. W okolicy panowała rzadka chwila ciszy, nikt do nikogo nie strzelał, uszu nie świdrował wizg oficerskich gwizdków, ziemią nie wstrząsały wybuchy pocisków. Można było na moment chociaż dać myślom

powędrować ku rzeczom przyjemnym, ku marzeniom, które do niedawna stanowiły codzienność.

Jasiek rozmyślał o Kasi. Przede wszystkim o niej. Myślał o jej ciepłym, miękkim ciele, o jasnych, zadbanych włosach, o tym, gdy pozornie poirytowana ganiła go, jednocześnie śląc krzywe uśmieszki w jego stronę, gdy sądziła, że nie patrzył. Myślał o tym, w jakiej sytuacji ją pozostawił. Nie chciał myśleć o wstydzie, jaki czuł za każdym razem, gdy sobie uświadomił ogrom pomyłki, którą popełnił. Tak, przede wszystkim rozmyślał o żonie. Sporą jednak część wolnego czasu poświęcał na wyobrażanie sobie polowań. Przymykał oczy i snuł się po Radkowej Kępie, tropiąc łosie i piękne, nieuchwytnie rysie. W marzeniach zawsze udawało mu się podejść płochliwego zwierza bez najmniejszego trudu. Zawsze znalazł idealną pozycję do oddania strzału i zawsze trafiał w serce.

- Jaśku. - Usłyszał nagle i aż drgnął, parząc się przy okazji kawą. - To żyjesz ty jeszcze, a?

Uniósł zmęczony wzrok, a zobaczywszy Bogusza, którego niedawno jeszcze, siedząc w chacie okpił w myślach, wątpiąc w istniejącą między nimi przyjaźń, poderwał się gwałtownie i porwał mężczyznę w ramiona. Bogusz zeszytywniał na moment, po chwili jednak odwzajemnił uścisk. Trwali złączeni, niepomni kpiących uśmieszeków i kąśliwych komentarzy innych żołnierzy. Wreszcie odsunęli się od siebie.

- Jaśku, żyjesz - powtórzył Bogusz, ukradkiem ocierając łzę. - Rad jestem, że cię widzę. Rzekłbym w zdrowiu, ale... sam rozumiesz. Nie wiem, czy to aby można o zdrowiu gadać w tych okolicznościach.

Jasiek nie uznał za konieczne odpowiadać ani komentować. Obaj wiedzieli, co Bogusz miał na myśli. Usiedli i przez jakiś czas milczeli, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Źle zrobiłem, Bogusz. Nie powinno mnie tu być.

- A gdzie niby miałbyś być? Spójrz na mnie. - Wielkolud wskazał na okaleczoną dłoń. - Myślałem, że mnie to zratuje od wojenki, ale gdzie tam! Każdy jeden się nada, tak powiedzieli. Serdecznym palcem też spust naciśniesz, powiedzieli. Psia ich mać - dodał szeptem, rozglądając się najpierw, czy nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie. - Nie było wyjścia, Jasiu. Tak miało być, żeśmy się tu znaleźć mieli.

- Zawsze jest wyjście - odrzekł Jasiak sucho. - W lasy mogłem z Kasią zapaść, nowy dom postawić. Gdzieś w głuszy, w mateczniku. Z dala od wszystkiego, gdzie nikt by nas nie naszedł. Dalibyśmy radę. A teraz? Teraz to zginę jak pchła na wojnie, która mnie nic nie obchodzi, walcząc po stronie państwa, które nie jest moim państwem.

- Co też ty? Przecieżeś się w Cesarstwie urodził, jak i ja.

- Ano, urodziłem. Ale w jakim my teraz języku rozmawiamy, co? A w jakim Swarożyce mówią? Bogusz, myśmy są przecież Polakami.

Bogusz zasępił się, odwrócił wzrok. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć ani co począć. Impas, w jakim się znalazł, rozwiązał atak wojsk ententy. Rozdarły się gwizdki, w które dęli oficerowie, huknęły armaty, plunęły deszczem pocisków karabiny automatyczne, ziemię rozdarły eksplozje pocisków artyleryjskich. Jasiak i Bogusz poderwali się, łapiąc za broń, przypadli brzuchami do ściany okopu.

Ktoś krzyczał rozkazy po niemiecku, ktoś inny odpowiedział. Ktoś przebiegł tuż za plecami Swarożyczan, rozchlapując błoto zalegające dno okopu. Z naprzeciwka doleciał wyraźny, kłujący uszy skowyt gwizdka. Ponad rosnącą kakofonię wzniósł się okrzyk bojowy nieprzyjaciela. Wrzask tak potężny, że aż włosy stawały dęba. Ziemia niczyja oddzielająca jeden okop od drugiego zarośla się od pochylonych w biegu sylwetek. Rój naszpikowany wyostrzonymi bagnietami parł naprzód z zaciętością huraganu. Zdawało się, że ostrzał cesarskich nie

robił żadnej krzywdy nacierającym, którzy nieulekłe postępowali naprzód.

Jasiek repetował karabin raz za razem, mierzył i za każdym pociągnięciem spustu kładł wroga. Strach, jaki odczuwał, widząc falę natarcia, sprawił, że jego ruchy stały się mechaniczne, nie myślał o niczym, po prostu wykonywał czynność, jaką należało w danym momencie wykonywać. Automatycznie, bez medytowania strzelał, przeładowywał i znów strzelał. Stał pewnie na nogach, choć gdyby oderwał się od brzegu okopu, najpewniej upadłby w błoto. W głowie miał kompletną pustkę, którą wyobrażał sobie jako oślepiającą biel, taką samą, gdy z ciemnicy wychodziło się na letnie słońce.

Pochłonięty walką nie zauważył nawet, kiedy Bogusz, któremu ręce gonіły jak w febrze i który nie trafił bodaj ani jednego nieprzyjaciela, poderwał się nagle i uciekł. Popędził wzdłuż okopu, w kierunku tuneli, gdzie, jak liczył, znajdzie bezpieczne schronienie. Biegł, nie oglądając się za siebie. Biegł, kuląc się przed latającymi mu nad głową pociskami i odpryskami ziemi oraz gliny, podrywanych co i rusz przez granaty. Nie widział śmierci Kurta Szajnochy, który w obliczu przeważającej siły wroga poderwał leżący bezpiecznie karabin, by wspomóc oddział. Nie widział, jak zniemczony Polak padł w rozmokłą ziemię z oderwaną twarzą, jak rył obcasami pięknych oficerów błoto, wierzgając niekontrolowanie. Bogusz biegł, ile sił w nogach, a w płucach czuł palący ból. Wreszcie zapadł w tunele, kluczył nimi jak kret, szukając ciszy. Nie znalazł nigdzie. W tunelach także trwała walka. Przedzierał się tedy przez swoich i nieswoich, waląc kolbą karabinu kogo popadło. Ryczał jak ranny jelen, gdy zdawało mu się, że już nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię. Że oto znalazł mogiłę, w której go pogrzebią. Parł naprzód, wspomagając się bagnetem torował drogę. Byle dalej, byle z dala od tego wszystkiego.

Jeszcze wtedy nie wiedział, że oto zdezerterował z armii cesarskiej. Dopiero, gdy po długim, wyczerpującym sprincie padł na kolana wśród niesamowitej, czystej bieli zaśnieżonego lasu, zdał sobie sprawę, że uciekł. Opuścił towarzyszy porzucił wojnę. Odwrócił się z przestachem, jak gdyby spodziewając się, że sąd polowy już się oto rozstawiał, szykując się do wydania błyskawicznego wyroku. Nikogo nie widział, jedynie swoje ślady. Drżącymi dłońmi zdjął pikielhaubę, przeczesał zlepięte potem włosy. Może gdyby wrócił, nikt by nie zauważył, że go przez chwilę nie było. Może by wybaczyli. Równie dobrze, pomyślał zaraz, pozycje mogły paść i stancjonowali tam teraz Anglicy i Francuzi. Równie dobrze jedni i drudzy, przyjaciele i wrogowie, mogliby go rozstrzelać. Jedni za wojowanie po złej stronie konfliktu, drudzy za ucieczkę z pola bitwy.

Bogusz nie namyślał się długo. Ubrał na powrót hełm, przewiesił karabin skosem przez plecy, dopiął szczelniej guziki płaszcza i ruszył w daleką drogę. Nie miał prowiantu, kompasu ani nawet nikłego pojęcia, gdzie się znajdował. Postanowił jednak wrócić do domu. Nawet jeśli miałby maszerować cały rok.

* * *

W chacie przez długi czas po skończonej opowieści dezertera panowała cisza. Bogusz unikał palącego wzroku Kasi. Wreszcie dziewczyna zdecydowała się odezwać.

- Czyliś nie widział, jak mój Jasiek... Nie masz pewności. Nic żeś nie widział, boś uciekł!

Mężczyzna zwiesił głowę na pierś, płonąc ze wstydu.

- Nastraszyłeś mnie, durny, w żałobę wpędziłeś. A wszystko, coś mi zrazu powiedział, nieprawdą może być. Bo tyś niczego nie widział. Uciekłeś.

- Kasiu, ja... - zamilkł, nie wiedząc, co mógłby rzec.

Dziewczyna bez słowa wstała od stołu, przy którym siedzieli, i wskazała Boguszowi drzwi. Bez ociągania się sięgnął po płaszcz i wyszedł na zimno. Nie słyszał już cichego szlochu, jaki wstrząsnął Kasią, a którego nie potrafiła opanować.

* * *

Została w chacie sama, nie licząc psa oraz sowy. Zwierzęta przez kilka miesięcy znajomości zżyły się i stanowiły uciechowy duet. Sowa, której Kasia nadała imię Dziwna, niejednokrotnie siadała Nawojowi na grzbiecie i ujeżdżała go niby niezdarnego rumaka. Skrzydło, które złamała tamtego wieczora, gdy grzmotnęła w okno, pomimo wszelkich starań Kasi nie zrosło się porządnie. Płomykówka nie mogła latać. Przynajmniej nie na tyle sprawnie, by wrócić do lasu i sobie poradzić. Potrafiła przelecieć niewielki dystans, machając niezręcznie skrzydłami. Kasi było żal Dziwnej. Kury fruwały nieco tylko gorzej od niej. Niemniej, zdawało się, że sowa zadomowiła się w chacie na łysej górze w Swarożycach.

Nagle, wyrrywając dziewczynę z zadumy, Nawój zapiszczał radośnie, rzucił w stronę pieca z taką gwałtownością, że Dziwna musiała podfrunąć na pobliskie łóżko, by nie zlecieć na podłogę. Powiodła za psem obrażonym wzrokiem. Tymczasem kudłacz szalał, usiłując wcisnąć pysk za zapiecek. Skamlał i poszczekiwał jak opętany, aż wreszcie zwrócił uwagę Kasi. Dziewczyna zsunęła się z ławy, bez ceregieli chwyciła psa za skórę na karku i przestawiła z dala od pieca. Była pewna, że zwierzak wypatrzył w szczelinie szczura lub innego gryzonia. Zajrzała w kąć i momentalnie odskoczyła jak oparzona.

Na zapiecku bowiem siedział, przyczajony maleńki dziadeczek z długą, siwą brodą o łysej, poznaczonej burymi plamami głowie i krzaczastych brwiach. Dziadek miał jakiś łokieć wzrostu, ubrany był we wcale przystojną tunikę z wełny, obszytą kolorową krajką o roślinnym wzorze. W niewielkiej

pięści ścisnął kawałek sera i wpatrywał się w Kasię z równym przerażeniem, co ona w niego. Gdy dziewczyna odskoczyła, nie minęły trzy uderzenia serca, gdy staruszek wyłonił się z ukrycia. Garbił się znacznie, choć poruszał żwawo. Otworzył usta, by coś rzec, jednak nagle skoczył ku niemu Nawój. Kasia zakryła oczy, by nie patrzeć, jak pies rozszarpuje skrzata. Nie usłyszała jednak spodziewanych wrzasków i odgłosów darcia. Zamiast tego doleciał jej dźwięczny chichot oraz świdrujący uszy pisk psa. Nie był to jednak pisk bólu, a niepohamowanej radości.

Nawój leżał na plecach przed dziadkiem, a ten tarł psa za uszy, drapał pod brodą, szczerząc się od ucha do ucha. Miał ładny zestaw równiutkich, białych zębów.

- Ktoś ty? - wydusiła Kasia, trzymając się na wszelki wypadek z dala od maleńkiego człowieczka. - Skrzat?

- Domowik - wyjaśnił rzeczowym tonem stworek. Głos miał przyjemny, miękki i łagodny. - Mieszkam z tobą od listopada.

- Tego się domyślałam. Ktoś mi w obejściu od pierwszych śniegów pomagał. Nietrudno zgadnąć, że skrzat albo domowój właśnie w tym maczał palce. A skądś się wziął?

Mieszkaniec zapiecka spochmurniał nagle, uciekł spojrzeniem w bok. Wyraźnym było, że nie kwapił się, by udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- W porządku, nie chcesz, nie mów. Twoja sprawa. - Wzruszyła ramionami Kasia, dziwiąc się swojemu spokojowi w obliczu mitycznej istoty. - Kręcisz się chyłkiem po moim domu, przestawiasz klamoty, pomagać też pomagasz i za to ci wdzięczna jestem. Ale myślę, że za gościnę i strawę co wieczór też mi się coś należy. Choćby imię jakieś.

Domowik uniósł na dziewczynę błyszczące, orzechowe oczy. Kasia zdało się, że zabłyszczały w nich łzy, jednak nie miała pewności, bowiem dziadek szybko odwrócił wzrok.

- Nazywam się... Dobrogost - zająknął się na moment domowik. - Wybacz, zem się zrazu nie przedstawił, ale mnie Nawój napadł.

- A skąd wiesz, jak mój pies ma na imię? No tak, wszak urzędujesz tu u nas już bez mała cztery miesiące. Pewnie się osłuchałeś. Mnie na imię Kaśka, a mieszkam tu jeszcze z mężem, Jaśkiem, ale... Nie ma go w tej chwili, bo na wojnę poszedł. Bić się bez sensu, bo mu kazali.

- I samą ciebie podle zostawił, w błogosławnym stanie będącą - dokończył staruszek dziwnie głuchym głosem.

Kasia spojrzała na niego z ukosa, zmarszczyła się nieładnie. Nie spodobały się jej słowa domowika, jakkolwiek prawdziwe by nie były.

- Nie taką znowu samą - odrzekła zdziwiona, że uznała za konieczne tłumaczyć Jaśka przed domowojem. - Psa mi zostawił i kozę do towarzystwa. A jakiś czas temu i sowy się nawet dorobiłam. Nigdy bym nie przypuszczała, że dzikiego ptaka przyjdzie mi hodować. No i ty się pojawiłeś. Zupełnie jakbyś wiedział, że mnie wokół chaty pomoc zimą będzie potrzebna. Za to należą ci się dzięki, Dobrogoście.

- Nie ma o czym mówić. - Machnął skromnie ręką domowik. - Taki jest przecież sens mego istnienia. Chodzić kole domu, doglądać spraw, reperować i pomagać. Po to mnie powołano - dodał po chwili.

- A czy teraz, skoro już wiem o twoim istnieniu, nadal się będziesz chował i cichaczem dopomagał?

- Nie, nie ma już po temu potrzeby. Ja już cię nigdy nie opuszczę.

Kasia spojrzała na Dobrogosta przenikliwie. Domowik zaś, jak gdyby nie pomny własnych słów, zajął się głaskaniem rozszalałego na powrót Nawoja. Pies zachowywał się, jak gdyby łąsił się do przyjaciela, którego nie widział od dawna.

Kasia zmarszczyła brwi w zamyśleniu, a serce na moment zabiło jej szybciej.

* * *

Obecność domowika była nieocenioną pomocą. Pomimo niewielkich rozmiarów, dziadek dysponował niebywałą wręcz siłą. Potrafił bez trudu przenieść sąg drewna, jakby to była byle szczapa. Oprócz tego znał się na wielu przydatnych rzeczach. Doglądał zwierząt z wielką czułością i znanstwem. Pomagał w gotowaniu, choć należało się początkowo sporo natrudzić, by mógł dosięgnąć do pieca, nie przypaliwszy sobie uprzednio długiej brody.

Dobrogost starał się nie rzucać zbyt w oczy. Nie odzywał się, dopóki Kasia nie zagała rozmowy, przez większość czasu krzątał się po obejściu pochłonięty pracą. Sprawiał wrażenie, jak gdyby wykonywanie obowiązków stanowiło rację jego istnienia. Kasia w pierwszej chwili cieszyła się z obecności domowika oraz tego, jak sumiennie wywiązywał się z pracy, jednak po pewnym czasie zaczęła odczuwać irytację. Miała bowiem w domu kogoś, z kim mogła porozmawiać, a kto unikał jej jak tylko mógł. Nie łudziła się, że pracowitość Dobrogosta wynikała wyłącznie z jego natury. Przeczynała, że dziadeczek stronił od niej specjalnie.

Długo tłumila złość, aż któregoś dnia postanowiła skonfrontować się z lokatorem. Zastała go w obórce, gdzie zrecznie doił Dziewannę. Koza stała posłuszenie, żując wiechec siana, a mleko z jej wymion tryskało do podstawionego wiadra. W chwili, gdy Kasia ledwie uchylała drzwi obórki, Dobrogost odwrócił się w jej stronę. Już jakiś czas temu zdała sobie sprawę, że nie sposób podejść domowika niezauważenie. Reagował na każdy, najcichszy nawet szelest. Kiedyś zdradził Kasi, że słyszy nawet lecącą sowę.

- Unikasz mnie. - Dziewczyna postanowiła nie patyczkować się i od razu przejść do sedna sprawy.

- Doję - odparł nieco zaczepnym tonem domowik. - Nie wydoję kozy gdzie indziej niż w oborze.

- Wiesz, że nie o tym mówię. Odkąd cię nakryłam, starasz się schodzić mi z oczu. Mam wrażenie, że wolałeś, gdy rzeczy były po staremu. Gdy jedynie dociekałam, kto też uwija się po domu, gdy nie patrzę. Nie kręć, proszę. Wolałabym, gdybyś był szczery. Dlaczego...?

- Nie chcesz wiedzieć. A ja nie chcę o tym rozmawiać. Pozwól mi pracować.

- Dość się już napracowałeś! - krzyknęła Kasia, czując, jak coś ściska ją nagle za gardło.

Nie rozumiała swej reakcji ani jej gwałtowności. Nie mogła się jednak opędzić od przeczuc. Miała wrażenie, że gdyby tylko nieco wysiliła umysł, potrafiłaby nazwać to, co powodowało wybuch złości, niepokój, dystans. Wystarczyło sięgnąć nieco głębiej. Niemal widziała, co stanowiło jądro. Bała się jednak. Obawiała się, co takiego mogła zobaczyć, czego się dowiedzieć. Jednocześnie pragnąc tego bardziej niż czegokolwiek.

Nim zdążyła zrobić coś, czego mogłaby później żałować, odwróciła się na pięcie i wróciła do chaty. Nie widziała już, jak Dobrogost drżącą ręką sięgnął do ust, by zakryć brzydki grymas, który na nie wystąpił. Nie widziała, jak twarz skurczyła mu się nieładnie. Nie widziała, jak opuścił nogi z zydła, na którym stał, by dosięgnąć wymion Dziewanny. Jak ukrył twarz w dłoniach, a wąskimi ramionami wstrząsnął szloch. Kasia nie widziała żadnej z tych rzeczy.

* * *

Nastał późny wieczór, gdy drzwi chaty uchyliły się lekko. Do środka na moment wkradł się podmuch lodowatego wiatru,

kilka skrzących płatków śniegu zawirowało w powietrzu. Zaraz jednak stopniały w przyjemnie nagrzanym wnętrzu.

Kasia bez słowa patrzyła, jak w jej kierunku zmierzał z zaciętym wyrazem twarzy Dobrogost. Domowik wspiął się na ławę, spojrzał dziewczynie hardo w oczy.

- Jeśli nadal chcesz, opowiem ci wszystko. Ale muszę ci ostrzec, że to co usłyszysz... Tego nie da się zapomnieć. Nie wiem, czy wiedza, którą chcesz osiąść, przysłuży ci się do czegokolwiek. Uważam, że wyrządzi ci więcej krzywdy. Ale i mnie męczy tajemnica, którą w sobie noszę. Dlatego, powiadam, jeśli pewna jesteś, że chcesz wiedzieć...

- Jestem pewna - odparła Kasia, czując, jak w okolicach żołądka ciepłą falą rozlewa się strach.

Domowik przez długą chwilę patrzył dziewczynie prosto w oczy, po czym westchnął ciężko. I zaczął opowiadać.

* * *

Znalazł się w prastarym borze o tak gęstym poszyciu, że przez baldachim splątanych, porośniętych mchem gałęzi nie sposób dostrzec nieba. Wokół panowała ogłuszająca cisza i półmrok, które ledwie kąsały nieliczne lampki powieszony na drzewach tu i ówdzie. Kaganki te wydzielaly delikatne, żółte światło, kojarzące się z tym, którym emanowały świetliki chmarzące się latem. Las pachniał wilgotną ziemią i spróchniałym drewnem.

Wtem z półmroku wyłoniła się sylwetka, która przez moment zdawała się być kolejną plamą ciemności, która oderwana od całości poszybowała naprzód. Po chwili jednak dało się dostrzec szczegóły postaci. Był to mężczyzna ubrany w ciemną tunikę o bogatych obszyciach ze złotych i srebrnych nici. Długie, czarne włosy odrzucone luźno na plecy obciągnięte miał na czole opaską z wężowej skóry. Szczegóły rysów zamazywały ciemności, nie sposób jednak było nie zwrócić uwagi na oczy jarzące się blaskiem podobnym do

obwieszających gałęzie lampek. Mężczyzna zbliżył się bezszelestnie. Jeśliby przyjrzeć się uważnie to na głowie tajemniczego przybysza można było dostrzec widmowy zarys rozłożystych rogów tura.

- Masz wiele pytań, to zrozumiałe - przemówił mężczyzna tętniącym głosem, który zdawał się rezonować głęboko w środku słuchacza. - Pozwolisz, że odpowiem na te, które słyszę najczęściej. Nie jestem Śmiercią, ale owszem, nie żyjesz. Twój przodek, gdy jeszcze otwarcie czczono mnie oraz moje siostry i mych braci, nazywali mnie Welesem. Składano mi ofiary, bym godnie przyjmował dusze zmarłych. Dziś mało kto zapali mi choćby ogarek, ale nadal wykonuję swoje obowiązki.

- Nie żyję?

Weles przyjrzał się stojącemu przed nim młodemu człowiekowi wystrojonemu w podniszczony, utyłany mundur. Chłopak zgubił gdzieś hełm, który dopełniał całości umundurowania, ale nawet w taki sposób wyglądał wcale przystojnie. Wielka szkoda, że musiał trafić do armii w równie niespokojnych czasach. Mógł zrobić karierę oficerską, prezentować się godnie i wzbudzać zachwyt żony oraz zazdrość innych kobiet.

- Poległeś w wojnie, którą się teraz prowadzi na świecie. Przykro mi - dodał nieco niepewnie, jakby jedynie dla protokołu.

- Ja nie mogę... Mam żonę.

- Wielu, których przyjmowałem, miało.

- Moja żona... my oczekujemy dziecka.

- To wspaniała nowina. Powinieneś się cieszyć, że zostawiasz po sobie ślad na świecie.

- Wcale się nie cieszę. Nigdy go nie zobaczę. Nie wezmę go na ręce, nie nauczę niczego. I nigdy już nie powiem mojej Kasi...

- Przykro mi - powtórzył Weles sucho, tonem, który sugerował, że zaczyna nieco tracić cierpliwość.

- Czy jest coś, co mógłbym zrobić, aby wrócić do rodziny?

- Nie istnieje nic, co mógłbyś zrobić, aby do nich wrócić. - Bóg zaświatów uciekł spojrzeniem w bok na moment.

- Ale jest coś, co ty mógłbyś zrobić, prawda? - zapytał nieśmiało chłopak.

Weles wyprostował się na całą imponującą wysokość. Rogi na głowie zdawało się nabrały nieco więcej materii, oczy rozbłysnęły jak promienie słońca w niezmaconej wiatrem powierzchni stawu.

- Jest coś, co mógłbym zrobić, ale tylko nieliczni się na to zgodzili. Powrót do życia, gdy te dobiegło końca, wiąże się z zapłatą. Nie możesz dostać tego, co utraciłeś. Mogę jednakże podarować ci inną formę istnienia. Nie będziesz już tym, kogo twoi bliscy znali. Zachowasz jednak część dawnego siebie. Wiedz jednak, że wraz z upływem czasu ta część będzie ulegała coraz większemu wypaczeniu, aż nadejdzie dzień, w którym nie pozostanie nic.

- Zgadzam się - odparł bez wahania młodzieniec.

- Zgadzasz się - powtórzył głucho bóg. - Niech tak będzie, że się zgadzasz. Kiedy znów się spotkamy, o ile to nastąpi, będę cię pamiętał.

* * *

Kasia nie odzywała się od długiego czasu. Wpatrywała się uparcie w dłonie złożone na podołku. Nie mogła zmusić się, by spojrzeć na domowika. Nie chciała dostrzec tego, co obawiała się w nim zobaczyć. Nie chciała uwierzyć, chociaż wiedziała, że to, co usłyszała, było prawdą. Jasiek wrócił z wojny. Nie tak, jak tego oczekiwała, ale wrócił.

- Kasiu, nigdy już cie nie opuszczę - przemówił domowik łagodnie, chociaż nie ruszył się z miejsca, jakby w obawie, że

mógłby spłoszyć dziewczynę. – Wystarczy, że raz poszedłem wbrew twojej woli.

– Ja ciebie już raz opłakałam – wydusiła Kasia. – Potem na kilka chwil nadzieja we mnie odżyła, gdy Bogusz przyszedł opowiedzieć, jak to cię zostawił. A teraz mam za tobą po raz wtóry ronić łzy, Jaśku?

– Po co masz płakać? Jestem tu.

– Nie, kochany. Ciebie tu nie ma. Patrzę na wspomnienie o tobie, ale ciebie nie widzę. Tyś powinien w Nawii zostać, tam, gdzie cię chciał rogaty Weles zatrzymać.

– Co też...?

– Nie powinieneś był wracać, Jaśku. Lepiej byłoby, gdybyś nie wracał. Ja ciebie takiego nie chcę. Nie mogę... To się nie uda.

Przez moment byli małżonkowie wpatrywali się w siebie nawzajem. Oboje na skraju płaczu, dzielnie walczący z emocjami. Wreszcie domowik spuścił wzrok, zsunął się z ławy na podłogę.

– Nie mam wyjścia – bąknął pod nosem, ale tak by Kasia dosłyszała. – Muszę w tym domu zostać. Przypieczętowałem swój los, związałem z tym miejscem na... na bardzo długi czas. Jeśli chcesz, nie będę ci się rzucał w oczy.

– Jeśli chcę – powtórzyła dziewczyna jadowitym tonem. – Trzeba było wcześniej myśleć o tym, czego mogę chcieć. Chciałam, żebyś nie szedł na wojnę, żeby daleko w pamięci nie szukać! A tego, żebyś do mnie wrócił jako skrzat, sobie nie życzyłam. Zejdź mi z oczu, bo patrzeć na ciebie nie mogę.

Jasiek, odrodzony jak Dobrogost, dobrotliwy duszek pomagający w domu rzucił na żonę przelotne spojrzenie, po czym postąpił kilka kroków w stronę zapiecka, a następnie rozpląnął się w powietrzu. Kasia przez moment patrzyła niewidzącym wzrokiem w miejsce, gdzie zniknął. Twarz

skurczyła się jej w grymasie, ale tego Jasiek już nie widział. Nie słyszał też rozpaczliwego szlochu ani krzyków.

WIOSNA, SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ

Dziewuszka odziana w ładną, zieloną sukienkę na szelkach baraszkowała po podwórku, uganiając się za starym, mocno wyliniałym psem. Piszcziała przy tym radośnie i plaskała bosymi stópkami o rozmokłą od wiosennych deszczy ziemię. Ciżemki, które dostała na urodziny, były zbyt drogie, by mama pozwoliła je nosić w taką pogodę.

W równej mierze kosmaty, co łysawy pies czmychnął przed ciemnięzycielką, ukrywając się w obórce, gdzie urzędowały dwa koźlątka. Rogacze spojrzały na przybysza ciekawie, a następnie, wbrew naturze swego gatunku, nie zrobiły niczego złośliwego.

Tymczasem dziewczynka, której szukanie psa dość szybko się znudziło, postanowiła znaleźć sobie inną rozrywkę. Pomimo tego, że przez kilka ostatnich dni padało obficie, większość wody wsiąkła w ziemię, toteż niemal nie utworzyły się błotniste kałuże, w których można było się pluskać. Dziewczynka mimo to próbowała wykorzystać błocko do granic możliwości. Zbierała pachnącą intensywnie ziemię w rączki, ugniatała koślawe baby, a następnie deptała je z impetem. Gdy i ta zabawa się jej znudziła, udała się do drewnutni. Powszechnie wiadomo, że miejsca, w które zachodzili dorośli, a do jakich nie chcieli dopuszczać dzieci z obawy o ich zdrowie, to najciekawszemiejscza.

Nowy składzik na drewno prezentował się o wiele bardziej imponująco niż jedna ściana z daszkiem, którą przez lata użytkowano. Drewnutnia posiadała cztery ściany, drzwi na skórzanych zawiasach, a nawet okno. Co prawda bez szyby,

jednak zawsze to okno. Dziewczynka wspięła się na palce, by sięgnąć do zasuwki. Niezależnie jednak, jak bardzo się gimnastykowała, stawała na palcach i wysuwała język, była zbyt niska. Wreszcie wpadła na pomysł, by podstawić pod drzwi coś, dzięki czemu zyskałaby nieco wzrostu.

Nieopodal udało się jej znaleźć spory klocek drewna, który z trudem dokulała pod drzwi drewnutni. Wspięła się na nieco chwiejny zaimprovizowany taboret i odsunęła blokadę. Drzwi uchyliły się na zewnątrz nieznacznie, wspierając o klocek, na którym stała dziewczynka. Ze środka zapachniało trocinami i żywicą.

Mała odkrywczyni wsunęła się do drewnutni, rozglądając się ciekawie. Po chwili doszła jednak do wniosku, że miejsce owiane przez mamę nimbem tajemnicy oraz całunem grozy było wcale, ale to wcale nieciekawe. Ot, pod jedną ze ścian piętrzyły się równo poukładane klocki drewna na opał, pod drugą równie skrzętnie złożono porąbane szczapy. Centralne miejsce zaś zajmował ogromnych rozmiarów okorowany pień o rozłożystych, choć przyciętych korzeniach, które zdawały się wpijać w klepisko. W pień tkwiła wbita siekiera.

Dziewczynka spojrzała na narzędzie ciekawie. Nie wyglądało niebezpiecznie. Podeszła nieco bliżej, dotknęła wytartego styliska. Oskoczyła z piskiem, jak gdyby spodziewając się, że siekiera ją zaatakuje. Chichocząc pod nosem, rozbawiona własną reakcją, wróciła do pnia. Chwyciła za drzewce ponownie i spróbowała wyciągnąć siekierę, by móc się jej lepiej przyjrzeć.

Musiała kilka razy szarpnąć w górę i w dół, by choć odrobinę poluzować ostrze, które tkwiło mocno wbite w drewno. Czując wzbierającą niecierpliwość, podskoczyła i wspierając się o stylisko brzuchem, obluźowała siekierę na tyle skutecznie, że ta z suchym zgrzytem metalu o drewno wysunęła się z pnia.

Dziewczynka z zadziwiającą wyrazistością widziała, jak wyostrzone na połysk ostrze wychodzi z drewna, obraca ku sufitowi drewnutni. Ona zaś poleciała w dół, padając na klepisko tuż obok pnia do rąbania. Siekiera zaś wolno, jak gdyby brodziła przez głęboką wodę, szybowała w jej kierunku.

Nagle na pniu pojawił się znikąd niewysoki staruszek z długą, siwą brodą zatknietą za pas opinający tunikę. Sprawnie schwycił siekierę opadającą ku dziewczynce, a następnie jednym zamaszystym ruchem wbił na powrót w pień. Odwrócił się ku dziewczynce, omiół ją gniewnym spojrzeniem spod nastroszonych brwi, pięści wspierał na biodrach.

- Co ci mama mówiła o zabawach w miejscach dla dorosłych? - rzucił karcąco, choć spojrzenie już zaczęło mu łagodnieć.

- Że nie wolno - burknęła dziewczynka, dla której bura była bardziej dotkliwa niż niesamowitość spotkania z domowikiem.

- Właśnie. Słuchaj mamy, bo to... bardzo mądra kobieta - dokończył staruszek nieco niezgrabnie.

Wtem zeskoczył z pnia, wylądował obok dziewczynki miękko. Poruszał się znacznie sprawniej niż sugerował jego wygląd.

- Wszystko dobrze? Nie potłukłaś się?

- Nie.

- Wystraszyłaś?

- Nie - odparła dziewczynka, hardo podrzucając głowę. - Ja się niczego nie boję.

- Właśnie widziałem. Wyobraź sobie, że dobrze jest się czegoś bać.

- Niby jak to?

- Niby tak to - odrzekł z przekąsem człowieczek, krzywiąc się śmiesznie. - Dzięki temu, że czujesz strach, wiesz czy to, co

chcesz zrobić, jest niemądre. Jeśli się boisz to pewnie znaczy, że tak właśnie jest.

- Ale się nie bałam.

- W takim razie jesteś niemądra- wypalił z rozbrajającą swobodą domowik, mrugając do dziewczynki łobuzersko. - Musisz się sporo nauczyć. Nie możesz łązić po świecie i oczekiwać, że nic ci się nie stanie. Wszystko, co robisz, może nieść ze sobą nieprzyjemności.

- A ty skąd niby jesteś taki mądry? - rzuciła bezczelnie dziewczynka, mierząc domowika zaczepnie.

- Ja, moje dziecko, jestem taki mądry już po szkodzie - odrzekł staruszek, a w jego głosie zabrzmiała tęskna, daleka nuta, której dziewczynka rzecz jasna nie wyczuła. - Kiedyś byłem kim innym, ale tak jak ty się nie bałem. To, kim jestem teraz, to wynik głupiej decyzji, którą dawno temu podjąłem.

- Ojej, czyli nie urodziłeś się skrzatem?

- Nie jestem skrzatem. Jestem domowikiem i nie, nie urodziłem się taki.

Dziewczynka chciała spytać maleńkiego dziadka o wiele innych rzeczy, jednak na zewnątrz rozległ się zaniepokojony głos mamy. Na moment tylko odwróciła głowę, a kiedy spojrzała na powrót przed siebie, domowika już nie było. Zniknął równie niespodziewanie i bezszelestnie, jak się pojawił.

- Janka, gdzie jesteś, dziewczeczko? - wołała od progu chaty mama.

- Już idę! I wcale nie byłam w dREWUTNI.

Ulfhedinn

Rzeką, której brzegi porastały gęste lasy, spływały dwie długie i smukłe karwy, w ślad których podążał bardziej przysadzisty, ładowny knarr. Wszystkie trzy łodzie cięży wodę o leniwym nurcie. Załogę wiosłarzy stanowili Danowie z bałtyckich archipelagów, którzy zmierzali szlakiem wareskim do Miklagradu na handel. Towarowy knarr miał ładownię wypchaną futrami, wyprawionymi skórami, a także baryłkami miodu oraz wosku pszczelego. Wśród towarów znajdowało się także kilku niewolników, którzy stanowili najcenniejszy ładunek. Większość wziętych w niewolę pochodziła z wybrzeży Estonii. Byli to rośli i silni mężczyźni, za których Arabowie winni zapłacić sporo srebra. Na pokładzie znalazły się także dwie kobiety, które dowódca wyprawy, Ivar Żelazne Zęby, zakazał gwałcić i krzywdzić w jakikolwiek sposób, bowiem nie chciał by ich cena spadła. Ivar, jako jedyny z załogi, płynął już wcześniej tym szlakiem, resztę stanowili nowicjusze, którzy postanowili porzucić wyprawę łupieżcze na zachód i zastąpić je bezpieczniejszym handlem.

Największa rzeka kraju Wendów, jak nazywano w Skandynawii Słowian, nie należała do łatwych w nawigowaniu. Koryto przez większość czasu było wąskie i dosyć płytkie. Należało uważać na mielizny oraz łachy, na których z łatwością można osiąść obciążoną łodzią. Sprawy nie ułatwiała także gęstwina, niejednokrotnie niemal wkradająca się do wody przy brzegu. Nauczony wcześniejszym doświadczeniem z trasy, Ivar zakazał stawiać żagle, a na dziobie przez cały czas musiał stać nawigator. Tak zatem, pomimo sprzyjającego wiatru oraz dość

wartkiego nurtu, załoga siłą rzeczy musiała pracować wiosłami, by utrzymać łódzie na dobrym kursie.

Pomimo trudu nastroje dopisywały Danom, którzy liczyli na dobry handel. Wieźli cenne towary, które zamierzali wymienić częściowo na srebro, częściowo zaś na wyśmienite wino oraz przyprawy. Te z kolei z łatwością mogli sprzedać u siebie w kraju za większe pieniądze. Oprócz wizji bogactwa, mężczyźni cieszyli się także na perspektywę bezkrwawego zarobku. Przyzwyczajeni do wrywania łupów siłą, uważali targowanie się z Arabami za dziecinną igraszkę. Ivar przestrzegał jednak co bardziej pewnych siebie, mówiąc:

- Ci mężczyźni, choć noszą suknie, potrafią czarować słowami w taki sposób, że niejednen oddał im własną córkę w zamian za onuce. Musicie uważać i twardo obstawać przy swoim. A najlepiej handel zostawcie mnie, bowiem znam trochę ich język.

Od czasu do czasu mijali owałowane, otoczone częstokołem z zaostrzonych pali grody, w których rezydowali Wendowie. Naród ten dotąd skłócony i pogrążony w bratobójczej wojnie, od niedawna zaczął się jednoczyć pod wodzą obrastającego coraz większą sławą księcia zwanego Mieszkiem Piastowiczem. Wieść głosiła, że wódz ten nawiązał relację z przedstawicielami potężnej sekty, czczącej zmartwychwstałego boga z pustyni. Księżę zamierzał podobno porzucić wiarę ojców i przyjąć obce wyznanie, co rzekomo miało uczynić jego kraj wielkim.

Danowie traktowali tych, którzy porzucali prawdziwych bogów z nieufnością. Bogowie Słowian zdawali się być podobni do ich własnych, których wszechmoc i wstawiennictwo nieraz przysługiwały się wyznawcom, toteż skandynawowie nie rozumieli, co takiego miał do zaferowania Chryst, czego nie mógł dać Odyn. Wiedzieli o nim jedynie, że dał się złożyć w ofierze samemu sobie, podobnie jak Wszechojciec, który zawisł z przebitym bokiem na konarze Drzewa Życia. W

przeciwieństwie jednak do ofiary Odyna, która zaowocowała mądrością run, śmierć Chrysta zdawała się być bezcelowa. Któż bowiem wierzył w to, że śmierć jednego może ocalić całą resztę od grzechu. Czyż ludzie nadal nie kalali się złymi uczynkami?

* * *

Zgodnie z tym, co mówił Ivar Żelazne Zęby, zbliżali się do osady będącej rzeczonym portem. Można było tam zacumować, uzupełnić zapasy, a także podjeść w oberży serwującej takie przysmaki jak wędzone węgorze, gotowane raki i pieczone ryby. Ivar powiadał, że kiedy zawitał tam ostatnim razem, stawiano nowy barak, którego właściciel obiecywał otworzyć zamtuż. Słyszając to, wielu członków załogi liczyło na to, że dom uciech działał już prężnie, bowiem obecność nietykalnych kobiet na pokładzie działała tyleż stymulująco, co frustrująco.

Wreszcie, za kolejnym zakolem, ukazała się wsparta na osadzonych w wodzie palach przystań. Wzdłuż długiego pomostu kołysał się na wodzie nieduży żaglowiec oraz sporo mniejszych, rybackich łupin. Rzeka niosła gwar uwijających się na brzegu marynarzy.

Wśród waregów zapanowało podekscytowane poruszenie spowodowane rychłą zapowiedzią piwa, kobiet i gry w kości. Ulf Bjalfason, rosły blondyn, który po raz pierwszy opuścił rodzinne strony, wychylił się przez burtę knarry, na którą się zaciągnął, sycąc się widokiem pierwszej osady w obcych stronach, którą miał zwiedzić. Młody mężczyzna wywodził się z rodziny o wieloletniej tradycji wikingu, bowiem zarówno jego bracia, jak i ojciec, a także dziad wraz z wujostwem trudnili się niebezpiecznym procederem, przywożąc z wypraw liczne kosztowności, ale także blizny i koszmary, o jakich niechętnie rozmawiali. Ulf z kolei miał ambicje, by także się wzbogacić, jednak chciał to uczynić jak najmniejszym wysiłkiem. Nie

przyznałby się do tego nikomu, lecz nie uważał siebie za wybitnego wojownika, toteż morskie rozboje napawały go lękiem. Co prawda władał toporem i strzelał z łuku nie najgorzej, ale nie miał okazji przetestować umiejętności w prawdziwej walce. Wiedział, że myśli takie nie przystały wyznawcom Thora, jemu jednak bliższy był Baldr, który żył ze wszystkimi w zgodzie i harmonii. Nie poczytywał sobie za osiągnięcie zginąć od pchnięcia mieczem w nieznanym kraju. Wolał dożyć późnej starości w dobrobycie i otoczony liczną rodziną.

W końcu padła komenda, by hamować. Mężczyźni natarli na wiosła, łódzie zwrócono ku przystani. Pomocnicy w dokach wyciągali ręce ku rzuconym linom, by dociągnąć i uwiązać okręty. Gdy statki chygotały się już bezpiecznie wzdłuż pomostu, załoga wylęła na ląd, rozglądając się ciekawie. Słowianie szeleścili coś niezrozumiale, szczerząc zęby i wskazując w głąb osady. Ivar zaśmiał się gardłowo, odpowiedział jednym zdaniem w tym samym, dziwnie brzmiącym języku.

- Burdel otwarty! - zakrzyknął tak, by wszyscy go usłyszeli. - Nie oszczędzać nikogo, złota nie skąpić, bo tutejsze kobiety robią takie rzeczy, za które nasze baby zrobiłyby z was wałacha.

Waregowie zaszemrali radośnie. Część od razu pognąła w głąb rzecznej osady w poszukiwaniu owianych mityczną wręcz renomą słowianek, reszta udała się za Iwarem do oberży, by wypić kilka kufli mocnego piwa i podejść solidnie przed dalszą drogą. Suchy prowiant szybko się nudził, a innego nie sposób spakować w daleką podróż, toteż mężczyźni cieszyli się na prawdziwe jedzenie.

Ulf wraz z najstarszym kompanem, Bjørnem, oraz nowo poznanym, pochodzącym z Orkadów Erykiem skierowali się do oberży. W czasie podróży słyszeli wiele dobrego o syconym

przez miejscowych miódzie pitnym i mieli wielką nadzieję skosztować sławionego trunku. Krocząc rozmokłą aleją, rozglądali się ciekawie. Budownictwo było zupełnie inne od tego w rodzinnych stronach. Domostwa budowano bardziej topornie, kryto grubą strzechą. Miało się wrażenie, że chaty nagle po prostu wychyły się spod ziemi. Podobnie ich rozmieszczenie sprawiało wrażenie przypadkowego, bez myśli przewodniej i planu. Być może była to cecha tego przyczółku portowego i inne osady Słowian przedstawiały się porządniej.

Oberża, której front ozdabiał szyld wykonany z wyszczerbionej, okrągłej tarczy, na której wyobrażono żółtego ptaka na niebieskim tle, stanowiła największy, a przy tym najporządniej wykonany budynek w miasteczku. Z przybytku dolatywał wesoły gwar i brzęk naczyń oraz skoczna muzyka. Przed oberżą rozsiadła się grupa solidnie zbudowanych, jasnowłosych mężczyzn. Niemal każdy miał ramiona ozdobione bladymi węzłami tatuażu, widocznymi spod podwiniętych rękawów lnianych koszul. Mężczyźni popijali z rogów i gawędzili w szeleszczącym języku, toteż Ulf słusznie sklasyfikował ich jako Słowian. Wchodząc do środka, pozdrowił towarzystwo uniesieniem ręki. Przyjazny gest został całkowicie zlekceważony.

Wnętrze oberży dobitnie świadczyło o tym, że klientelę stanowili w głównej mierze ludzie związani z transportem wodnym. Każdy kąt i zakamarek ozdabiała sieć rybackie, części łodzi, fragmenty masztów z żaglami. Wokół koślawych stołów w charakterze krzeseł ustawiono beczki, a szynkwasy były niczym innym jak kilkoma deskami zespojonymi ze sobą i ustawionymi na dwóch drewnianych kozłach. Za ladą stał chudy jak szczapa staruszek ubrany w przybrudzoną i znoszoną tunikę o burym kolorze, na którą narzucony miał wystrzępiony fartuch. Pomimo sporego ruchu dziadek sprawiał wrażenie jedynej obsługi, jeśli nie liczyć kucharza ukrytego za kotarą na

zapleczu. Chudzielec lał piwo, biegał z dzbanami i talerzami jadła, bez ustanku kursował między salą, a kuchnią.

- Paskudna halla - skwitował Bjørn, rozejrzawszy się krytycznie. - Apetyt mi odszedł.

Pomimo wstępnej deklaracji, trójka mężczyzn zajęła nieliczne wolne miejsca przy jednym ze stołów i zamówiła zupę z omótków, pieczonego okonia z kaszą oraz miód. Dużo miodu. Nie mieli problemu z dogadaniem się z żyłastym oberżystą, ten bowiem mówił całkiem płynnie po duńsku.

- Wasi nie od dziś spływają Wisłą. - Wzruszył ramionami, gdy Ulf wyraził zdziwienie jego znajomością języka.

Garniec miodu, który postawiono na stole, robił wrażenie zarówno objętością, jak i jakością zawartego w nim trunku. Napój smakował jednocześnie odurzająco słodko, pozostawiając w ustach przyjemnie cierpki posmak miodu gryczanego. Okazało się także, że dość szybko uderzał do głowy. Gdy w połowie drugiego kubka dziadek przyniósł jadło, waregom splątało języki, a i wzrok wyraźnie im zmętniał. Wbrew obawom Bjørna potrawy okazały się być wyborne, doskonale doprawione ziołami. Ryby i skorupiaki pachniały świeżo, kasza ociekała omastą. Mężczyźni dopili miód i ochoczo zabrali się do jedzenia. Wreszcie drewniane łyżki zaskrobały o dna misek.

- Dobrze tu karmią - westchnął Ulf, poluzowując pasek, który opinał zieloną tunikę.

- A i owszem - przyznał Eryk, dłubiąc w zębach grubą ością. - U nas na wyspach wszystko jest albo słone, albo zupełnie bez smaku.

- Skoro jecie wodorosty na zmianę z torfem to nic dziwnego - zakpił Bjørn.

Mniej więcej w połowie antałka na zewnątrz rozgorzała zaciekle wymiana zdań. Ulf wraz z towarzyszami wzięli kubki i wyszli przed oberżę wraz z resztą klientów. Okazało się, że

doszło do sprzeczki między warezami wracającymi z zamtuza, a wytatuowanymi Słowianami. Wodą na młyn kłótni okazała się bariera językowa. Danowie pierwsi stracili cierpliwość i doszłoby do niechybnego rozlewu krwi, gdyby nie interwencja Ivara. Żelazne Zęby wyskoczył przed swoich ludzi, zrugął ich srogo, po czym zwrócił się w ich rodzimym języku do wendów. Jako że wódz był doskonałym mówcą, ale i zręcznym dyplomata, udało mu się zażegnać konflikt.

- Nie będzie tu żadnych awantur - wrócił do strofowania załogi. - Chcemy prowadzić handel przez długie, spokojne lata, więc nie możemy robić wrogów w przydrożnych osadach, głupcy. To nie jest wiking! Ci dobrzy ludzie zgodzili się pogodzić, pod warunkiem, że jeden z was będzie się bić na pięści z ich najlepszym wojownikiem.

Nim ktokolwiek inny zdążył zareagować, przed tłum wystąpił Bjørn. Jednym haustem wychylił kubek miodu. Następnie cisnął puste naczynie pod nogi Słowianom i hardo uniósł głowę. Z tłumy warezów doleciały pomruki aprobaty i zachęty. Bjørn zaś odpiął pas z toporem, zdjął przez głowę tunikę, prezentując umięśniony, zarosnięty jak u niedźwiedzia tors. Podał swoje rzeczy Ivarowi.

- Powiedz mu, że przyjmuję wyzwanie.

Ivar podał rzeczy Bjørna dalej i przemówił do grupy wytatuowanych. Tamci wymienili między sobą kilka zdań, a następnie wystąpił szczupły mężczyzna o twarzy oszpeconej blizną, która odjęła mu lewe oko. Słowianin odrzucił z czoła krótką grzywkę, uderzył się w pierś i wyrzucił z siebie długi ciąg niezrozumiałych słów.

- Co mówi? - spytał Bjørn, taksując przeciwnika kpiąco.

- Coś obelżywego o twej matce i niedźwiedziach - wyjaśnił niepewnie Ivar. - Nie znam ich mowy na tyle, by tłumaczyć kłatwy.

- Psi synu - rzucił warez w kierunku jednookiego. - Skarlały bękarcie, śledziu zgnity, plwocino trolla. Nauczę cię rozumu i obyczaju, chamie. Nigdy już nie obrazisz Normana, bowiem strach na sam dźwięk naszej mowy ogarnie cię przemożny. Obyś szczył w gnoju, w którym cię poczęto.

Załoga Ivara podniosła entuzjastyczną wrzawę, słysząc równie pięknie skleconą obelgę. W oczach niektórych Bjørn urósł do rangi skalda plugastwa, a jego sława wzrosła.

Na umówiony sygnał walczący stanęli naprzeciw siebie, unieśli pięści. Pierwszy zaatakował Bjørn, składając się do podbródkowego zdolnego ogłuszyć dzika. Ku jego zaskoczeniu cios chybił celu. Jednooki okazał się niezwykle gibki. Odskoczył w bok, po czym momentalnie wyprowadził uderzenie otwartą dłońią, godząc w ucho. Warez zachwiał się nieco, skołowany dzwonieniem w głowie. Machnął pięściami na oślep, rycząc jak tur. Nie dosięgnął jednak wroga. Tamten zatańczył wokół, kopnął Bjørna w kolano, poprawił uderzeniem w lewy bok. Eksplozja bólu w wątrobie zwała Normana z nóg. Na kolanach jeszcze usiłował zablokować kolejne ciosy. Otrzymał jednak solidne uderzenie w szczękę, a gdy padał na plecy, poczuł jeszcze kopnięcie w pierś, które posłało go z impetem w błoto.

Na chwilę zapadła martwa cisza, którą rozorał ryk Słowian, wiwatujących na cześć czempiona. Warezowie zaś zanieśli się szyderczym śmiechem, wskazując pokonanego palcami. Inni jednak zgrzytali wściekle zębami i wyraźnie sposobili się do odwetu. Sytuację ponownie uratował Ivar.

- Stać! Pojedynek był uczciwy. Mówiłem już, że nie chcę tu żadnych krwawych jatek. Jesteśmy gośćmi na ich ziemi.

Mężczyźni z wyraźną niechęcią odłożyli broń. Napięcie jednak między dwoma grupami nie zelżało. Jasnym stało się, że zarówno jedni, jak i drudzy nie chcieli ustąpić pola w obawie, że uznaliby ich za tchórzy. Kto wie czy nie doszłoby do rzezi, gdyby nie Ulf. Przekonany o uniwersalności alkoholu jako gestu

pojednania, wpadł do niemal zupełnie opustoszałej oberży i zażądał antałka miodu. Karczmar wybałuszył na młodego warega oczy i poprosił o powtórzenie prośby.

- Dawaj antał, bo za chwilę będzie nieszczęście - krzyknął ponagląco Ulf.

Oberżysta wskoczył na zaplecze, skąd po chwili wrócił, tocząc sporych rozmiarów beczkę. Ulf przejął antał, przykazał wynieść tyle kubków, ile było w karczmie i zniknął na zewnątrz. Oberżysta uzmysłowił sobie, że nie zobaczył ani złamanego grosza za miód, który właśnie niechybnie przepadł. Spiesząc z tacą kubków, usłyszał głośne wiwaty i oklaski dolatujące z placu przed karczmą.

Mężczyźni skupieni wokół odszpuntowywanego antałka poklepywali się radośnie po plecach. Towarzystwo wymieszało się zupełnie, gwar rozmów prowadzonych w kilku językach równocześnie brzmiał jak potworna kakofonia. Ludzie, którzy ledwie przed momentem sposobili się do krwawej rozróby, zachowywali się jak najlepsi przyjaciele. Magiczna moc miodu po raz kolejny zadziwiła oberżystę. Nie przestał jednak martwić się o zapłatę, a blondyna, który wytoczył beczkę, nigdzie nie mógł dostrzec. Wszyscy waregowie wyglądali dla niego tak samo. Wysocy, jaśni brodacze ubrani w kolorowe tuniki.

Ulf tymczasem zarządzał antałkiem, rozlewając napój do podawanych naczyń. Nastroje rosły wprost proporcjonalnie do ubytku miodu w beczce. Oberżysta zaś wyłowił z tłumu Ivara, który wyróżniał się błękitną tuniką obszytą w dekolcie i na mankietach złotą krajką.

- Za tę beczkę należy się srebro - rzekł do wodza, który podobnie jak reszta dzierżył kubek miodu.

- Nie obawiaj się - odparł Żelazne Zęby, sięgając do pięknie zdobionej torebki przytroczonej do pasa. - Masz tu złotego dirhana. Zasłużyłeś, albowiem twój napój uratował dziś wielu ludzi.

Oberżysta przyjrzał się monecie, ugryzł, aby oszacować kruszec. Zadowolony z oględzin schował skarb do kieszeni fartucha i wrócił do oberży. Arabski dirhan przekroczył wartością całodzienny dochód.

* * *

Pijatyka nie zakończyła się na jednej baryłce miodu. Towarzystwo integrowało się do późnych godzin nocnych, a polegli zaścielili całą główną ulicę osady aż po sam port. Co bardziej wytrwali dotarli do łodzi, gdzie popadali wzdłuż ław wioślarskich.

Ulf obudził się na rufie knarry, pokryty poranną rosą w towarzystwie nadal rozebranego do pasa Bjørna. Jego przyjaciel miał na prawym przedramieniu nowy tatuaż, wyobrażający symboliczny wizerunek niedźwiedzia. Ulf nie potrafił przypomnieć sobie momentu, w którym tatuowano kogokolwiek. Dlatego jeszcze większym szokiem było dla niego odkrycie, że i jego przedramię ozdabiał rysunek wilka z wyszczerzonymi w złowrogim grymasie kłami. Ulf i Bjørn, wilk i niedźwiedź.

Wareg stęknął z wysiłku, unosząc się na miękkich nogach. W głowie czuł bolesne pulsowanie, usta zalepiało mdląco słodkie widmo wypitego miodu. Stał chwiejnie w rozkroku i oddając mocz przez burtę, zapatrzył się na zasnutą mgłą rzekę. Znad gęstej ściany boru wyłaniało się słońce. Ulf zachwycił się krainą i jej pierwotną dzikością. Wyspa, na której się wychował, to rzadko zalesiony kawałek płaskiej skały, oblanej zewsząd szarymi wodami Bałtyku. Zwierzyna łowna została niemal doszczętnie wytrzebiona przez dawnych myśliwych, toteż ludzie posilali się głównie rybami, skorupiakami i ptactwem wodnym, o łykowatym i niesmacznym mięsie. Z kolei u Słowian, w ich nieprzebranych lasach sarny i daniele można było spotkać na każdym kroku, różnorodność ptaków onieśmielała dzikim

trelem, a rzeki obfitowały w mieniące się tęczo ryby. Ulf zaczął zastanawiać się nad tym, co począć, gdy wyprawa do Miklagradu dobiegnie końca. Myśl o tym, by osiąść na lesistej słowiańszczyźnie poczęła w nim z wolna kiełkować.

Z marzeń wyrwało go głośnie charknięcie, brzmiące jak ryk rannego łosia. Przestraszony rozejrzał się wokół, gdy okazało się, że to Bjørn zwracał obficie treść żołądka. Wisiał przewieszony w pasie przez burtę, wstrząsany gwałtownymi torsjami.

- Nigdy więcej pijaństwa z Wendami, niech im Freja błogosławi - wysapał olbrzym, ocierając usta. - Co to jest?

Bjørn przyjrzał się swemu tatuażowi podejrziwie. Poślinił palec, potarł ramię.

- Ulf, co to jest? Kto mi to zrobił?

- Zdaje się, że ci, z którymi się biłeś. Oni też mieli takie rysunki na ciele. Spójrz, mam podobny.

- Nic nie pamiętam. - Waligóra usiadł na ławie, potarł zmęczoną, opuchniętą twarz. Chyba mam zaniki pamięci po bójce z tym jednookim spryciarzem.

- Wydaje mi się. - Spod sterty futer przeznaczonych na handel, które z jakiegoś powodu przeniosły się z ładowni na pokład, dobiegł stłumiony głos Eryka. - Że to połączenie pijatyki z bijatyką uszkodziło ci pamięć.

Spod włochatego futra szarego wilka wyłoniła się rozczochrana głowa warega z Orkadów. Tuż obok leżała młoda, solidnie zbudowana blondynka. Trójka przyjaciół wbiła w nią zaskoczone spojrzenia. Dziewczyna zaś przekręciła się na bok, westchnęła, prężąc się wdzięcznie. Widząc okazywane jej zainteresowanie, uśmiechnęła się nieśmiało i ucałowawszy zarośnięty policzek Eryka, czmychnęła na brzeg.

- No, no. - Pokiwał głową Ulf. - Dużo jej zapłaciłeś, by się z tobą pokładła czy tak biedną spiłeś, że nie wiedziała, co robi?

- Widziałeś, jak uroczy się ze mną pożegnała. - Eryk założył ręce pod głowę, uśmiechnął łobuzersko. - Ja, w przeciwieństwie do was, nie muszę płacić, by obudzić się u boku dziewczki. Wnioskuje, że to uroczne stworzenie poszło ze mną z własnej, nieprzymuszonej woli. Ale pewności nie mam, bo widziałem ją po raz pierwszy.

- Zostawię was, żebyście mogli dalej uprawiać te swoje krotchwile - rzekł Bjørn, wstając z trudem. - Idę do oberży coś zeżreć, póki jest co. Widział kto moją tunikę?

* * *

Waregowie zabawili w porcie do południa, po czym wyruszyli w dalszą podróż. Hulanka skończyła się tragicznie dla młodego Norwega, który zaciągnął się na wyprawę z polecenia wuja, który również płynął z Ivarem. Chłopak wpadł do rzeki w pijanym widzie i utonął. Znalezione go o świcie, unoszącego się w przybrzeżnych szuwarach. Załoga wyprawiła nieszczęśnikowi pospiesznie pochówek, moszcząc jego ciało wraz z całym dobytkiem, który Norweg zabrał ze sobą, w szalupie. Następnie podpalili łódź, spuścili na rzekę, a Ivar wygłosił przemowę. Większość jednak była nazbyt osłabiona po nocnych rozpustach, by smucić się śmiercią towarzysza.

Słowianie zaś spoglądali na nieznaną rytuał z ciekawością, doceniając fakt, że przybysze z wybrzeża także palili swoich zmarłych zgodnie z tym, co przykazali bogowie.

* * *

Według prognozy Ivara do Miklagradu mieli ponad sto dni żeglugi. Większą część szlaku można było przebyć rozległą siecią rzek i rozlewisk znaczących kraj Wendów. Czekwały ich jednak trudniejsze przeprawy, gdzie należało przemieścić łodzie lądem do kolejnej rzeki. Aby to zrobić, należało wyciągnąć statek na ląd, gdzie wcześniej przygotowane bale

znaczyły trasę do przebycia. Następnie za pomocą grubych lin przymocowanych do stewy ciągnięto łodzie po owych balach aż do miejsca powtórnego wodowania.

Ostatnim etapem podróży miało być Morze Czarne, skąd wiodła już prosta droga do centrum handlu na wschodzie. Załoga nie cieszyła się zbyt na perspektywę roku poza domem spędzonego na łodziach, leśnych biwakach oraz w okazjnych portach. Niemniej wizja bogactw zarobionych uczciwą pracą łagodziła nieco zniechęcenie.

Każda z łodzi posiadała dwie załogi wiosłarzy, by wydłużyć przebyty dystans jak najbardziej. Podczas gdy pierwsza zmiana pracowała wiosłami, druga odpoczywała, grała w kości, naprawiała ekwipunek. Podróż przebiegała spokojnie, wręcz nudno. Wody były trudne w nawigowaniu, ale bezpieczne. Z nadbrzeżnych grodów nikt nie szył z łuków, nie ciskał płonącymi żagwiami. Zdawało się także, że i piraci nie grasowali w tych okolicach lub też widząc charakterystyczne łodzie z północy, zaniechali złowrogich zamiarów, znając historie opowiadane o wiosłarach ze smoczycy okrętów. Po prawdzie jedyne niebezpieczeństwo, na jakie Normanowie natykali się od czasu do czasu, stanowiły płynące z naprzeciwka statki o znacznych rozmiarach, bowiem wyminąć się z czymś większym od rybackiej łupiny to nie lada wyczynem.

* * *

Podczas jednego z noclegów doszło do nieprzyjemnego zdarzenia. Waregowie byli na szlaku przeszło miesiąc i w tym czasie nawiązały się między nimi liczne przyjaźnie, ale również narosły animozje i wrogość. Wyjątkowo uporczywie dawał się Ulfowi we znaki jego kuzyn ze strony matki, Hvittr. Uważał bowiem przyjaźń Ulfa z pochodzącym z Orkadów Erykiem za niegodną Duńczyka.

- Bratasz się ze zdrajcami, przechrztami Trygvassona, a gardzisz więzami krwi. - Pluł w stronę kuzyna przy każdej okazji.

Wbrew namowom bitnego Bjørna, Ulf puszczał zniewagi mimo uszu, choć czuł zarówno gniew, jak i smutek. Eryk, jak się okazało, rzeczywiście ochrzcił się w wierze w Chrystusa, jednak nie był to żaden powód do tego, by paść do niego nienawiścią. Fakt, że wielki przywódca i wybitny wojownik Olaf Trygvasson siłą ochrzcił archipelag wysp Orkadów, był powszechnie znany. Wiedzano także o tym, że wyspiarzy postawiono przed faktem. Jednak nawet gdyby sytuacja wyglądała inaczej i tamtejsi zechcieliby przyjąć chrzest z własnej woli, mieli do tego prawo. Ulf uważał wiarę za rzecz prywatną, gdzie każdy miał prawo wyznawać takich bogów, jacy mu najbardziej odpowiadali. Eryk zaś twierdził, że odkąd przyjął wiarę w Chrystusa, w jego życiu wiele się poprawiło i miał więcej szczęścia niż kiedy składał ofiary Odynowi. Nikogo jednak nie zamierzał namawiać do chrztu. Niemniej historie, jakie opowiadał o ubogim cieśli, który stał się bogiem, pobudzały wyobraźnię Ulfa, któremu podobało się łagodne usposobienie Chrysta.

- Niestety, wszystko co wiadomo o jego życiu, zapisano w księdze - powiedział kiedyś Eryk. - A sztuki czytania chrześcijańskich liter nie posiadałem.

-Może kto kiedy ją przeniesie na runy - mruknął w zadumie Bjørn, co spowodowało salwę śmiechu, bowiem powszechnie wiadomym było, że wielkoludnie potrafił pisać, ani czytać. .

- To nie takie proste. Widziałem tę księgę i rozmawiałem z jednym mnichem, który nauczał u mnie na wyspach. Powiedział wtedy, że ich litery są znacznie trudniejsze do nauczenia, a niewprawna ręka poganina nienawykła do pióra nie jest w stanie ich opanować.

- Nie podoba mi się ten mnich. - Bjørn wykrzywił się w złośliwym grymasie. - Nic o nas nie wie, a oczernia. A czy on umie ryc runy? Zna ich magiczne właściwości? Czy też jego zniewieściałe dłonie są zbyt delikatne dla rylca?

- Nie chcę nic mówić. - Ulf uśmiechnął się pod wąsem. - Ale dla ciebie runy także stanowią tajemnicę.

- Znam jedną runę i to mi w zupełności wystarcza. Urodziłem się w jej mocy i przez całe życie mi pomaga.

- Co to za runa, ciekawym. - Nachylił się bliżej Eryk.

- Berkanan - wyrecytował z namaszczeniem Bjørn.

- Brzoza? - parsknął chrześcijanin z Orkad. - Patrząc po tobie spodziewałem się turisaz albo przynajmniej algiz. Wróżbita, który stawiał przepowiednię, musiał słabo się za tobą wstawiać u bogów.

Bjørn skoczył naprzód wymachując pięściami. Nie doszło na szczęście do bójki, bowiem kilku mężczyzn w porę zareagowało, przytrzymując rozzłoszczonego dryblasa za ręce oraz włosy. Przez moment Bjørn szarpał się, prychając jak dzik, jednak w końcu opanował się na tyle, by można go było bezpiecznie oswobodzić.

- Ten młokos powinien pływać do Mercji, gdzie mógłby szaleć wraz z resztą berserkerów - rzucił Leif, który swego czasu pływał na wiking, lecz na stare lata postanowił zająć się łatwiejszym zarabianiem pieniędzy. - Głowy do handlu to on z pewnością nie ma, ale gdy wpada w szal to lepiej mieć się na baczności.

- E, tam. - Machnął ręką Hvit, który jak zwykle zjawił się nie wiadomo kiedy. - Nie taki znów bitny ani butny. Nie pamiętacie już jak u Wendów w naszym pierwszym porcie uległ chudemu kalece bez oka?

- Uważaj, co mówisz - rzucił ostro Bjørn. - Sam Odyn nie ma oka, a nie sądzę, byś ważył się go wyzywać od kalek z tego powodu.

- Oczywiście, że nie, ale tamten z całą pewnością Odynem nie był. Choć nie wątpię, że kiedy będziesz ubarwiał tę opowieść, nie omieszkaś wspomnieć o tym, że pojedynkowałeś się z bogiem w przebraniu. Dzieci, przed którymi będziesz się tym chwalił, powinny dać wiarę.

Nim Bjørn miał szansę zareagować, Hvittr czmychnął ze śmiechem pod pokład, zatrząskując za sobą właz. Trójka przyjaciół popatrzyła po sobie znacząco.

- Z tym twoim kuzynem - westchnął Eryk. - To gorzej niż z dzieckiem.

- Odkąd pamiętam taki właśnie był. - Wzruszył ramionami Ulf. - Nie wiem dokładnie, o co poszło, ale nasze rodziny się nie dogadują. Jesteśmy blisko spokrewnieni, ale na dobrą sprawę nie mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Myślę - rzekł Bjørn, drapiąc się po brodzie. - Że między waszymi rodzinami poszło o to, że w jednej z nich urodziło się dziecko niespełna rozumu.

* * *

Od dwóch dni nieustannie padał deszcz, którym gromkie podmuchy wiatru ciskały niby niezliczoną ilością kłujących igieł. Waregowie rozpięli nad pokładem łodzi płachty, dzięki którym załoga mogła wiosłować, pozostając w miarę suchą. Niestety deszcz zawsze znajdował sposób, aby dostać się tam, gdzie nie był mile widziany. W dodatku wilgoć oraz duchota panująca w namiotach sprawiały, że ciężko się oddychało, a i zapach, który się gromadził pod materiałem, nie należał do przyjemnych. Jedynie sternicy na każdej z łodzi wytrwale tkwili na rufach, okutani w ciężkie od wody wełniane płaszcze.

Ci, którzy pływali na wiking, śmiali się z narzekających na niewygody młodzików. Rozparci niedbale między ławami popijali cienkie piwo i powiadali, że dawniej podróż w podobnych warunkach byłaby luksusem. Z błyszczącymi od

mocy wspomnień oczyma opowiadali o licznych bitwach ze sztormami tak potężnymi, że nie ulegało wątpliwości, że to sam Aegir musiał zsyłać fale wyższe niż ściany fiordów na ich drakkary.

- Nieraz wśród skowytu morza dały się słyszeć głosy, które i w sercach najodważniejszych wojowników siały trwogę - mówił z przejęciem Leif, odgarniając kosmyk siwych włosów z twarzy. - Głosy, które należały do potopionych w odmętach potępieńców, chcących dostać się na pokład, by ogrzać martwe ciała w towarzystwie żywych. Musieliśmy czuwać dniem i nocą, by ustrzec się przed ich zgubnym urokiem. A raz, tuż pod powierzchnią, widzieliśmy długie, obłe i pokryte łuską cielsko. Dałbym sobie rękę uciąć, że to Jormungand wychynął z odmętów, by napędzić nam stracha. I niechaj będzie wam wiadomym, że nie wstydzę się przyznać, że udało mu się to w zupełności. Wielu z nas, widząc potężnego węża świata, padło na kolana, wznosząc błagania ku Odynowi, by zechciał nas oszczędzić.

- I co? - wyszeptał z przejęciem Bjørn, który wyglądał jak dziecko zasłuchane bez pamięci w opowieść skalda. - Oszczędził?

- A jak ci się zdaje? - Ulf szturchnął przyjaciela w bok, przekrzykując salwę śmiechu wywołaną pocziwością olbrzyma.

- Kto go tam wie? - zachnął się Bjørn, pocierając machinalnie przedramię, na którym łuszczył się tatuaż. - W opowieściach wszystko jest możliwe.

- Poza tym Leif tak przejmująco bąjał - podjął Eryk. - Że gdyby powiedział, że wszyscy potonęli i od tamtej pory wędrują po dnie morza, pewnie w pierwszej chwili dałbym mu wiarę.

- Jakie bąjał? - obruszył się siwowłoso. - Wszystko, com opowiedział, to szczerą prawdą. Za krótko wasza trójka żyje i za małościę jeszcze widzieli. Inaczej nie zadawalibyście mi

kłamu. Człowiek tak doświadczony jak ja niejedno przeżył. Zwłaszcza na otwartych wodach, gdzie głębiny skrywają istoty, o jakich się wam nie śniło. Morze to mroczne, tajemnicze miejsce. Nie to, co ta wstążka, którą nazywają rzeką. Też mi rzeka, gdy z jednego brzegu na drugi napłuć można. Tu co najwyżej w wodorosty się zaplątać można i podtopić. Ale na morzu...

- Tak, tak - przerwał Bjørn, machnąwszy niecierpliwie ręką. - Na morzu to było, na rzece to nie ma. Jak taki stęskniony za bałwanami jesteś, to czemu się na rzeczny spływ zaciągnąłeś? Żeby móc całą drogę aż do Morza Czarnego utyskiwać i wspominać dawne czasy?

Leif zafukał jak rozeźlony jeź, poczerwieniał ze złości.

- Po pierwsze, rady moje są na tej łajbie kapitanowi bezcenne - rzekł wyniośle. - A po drugie, to sztywność mnie w kościach od słonego powietrza i wody w członkach ogarnia. Nie sposób tedy... ech, co tu dużo gadać! Za stary już jestem na morskie tułaczki. Ale nic mnie nie zmusi do porzucenia żeglugi, toteż znalazłem sobie wygodne zastępstwo.

Towarzystwo pokiwało głowami ze zrozumieniem. Ulf podziwiał oddanie starego wikinga i jego podejście do żeglugi. Zastanawiał się, czy i on u kresu dni również będzie miał coś, o czym mógłby rozprawiać z podobnym zaangażowaniem. Coś, co wypchnęłoby go z ciepłego domu na szlak, gdzie niewygodą szła ramię w ramię z przygodą. Dumał, czy tym czymś miał się stać handel ze smagłymi mieszkańcami Miklagradu.

- Spójrzcie! - Dał się słyszeć podniesiony głos z pierwszej łodzi. - Pożar! Pali się!

Załoga rzuciła się ku lewej burcie. W pewnym oddaleniu widać było gęstą smugę czarnego dymu, unoszącą się nad baldachimem drzew. Nadal jednak byli zbyt daleko, by oszacować prawdziwą potęgę żywiołu, niemniej skoro szalał w podobnej ulewie, ogień musiał być spektakularny. Im bliżej źródła pożogi,

tym ogromnisz zniszczeń wyraźniej objawiał swe oblicze. Czarne kikuty spalonych drzew żarzyły się szkarłatnie, znacząc drogę, którą przebył ogień. Wśród pogorzelska widać było w głębi łądu owałowany ziemią i palisadą gród. Zdawało się, że ogień nie dosięgnął zabudowań. Doszedł do wysokości nasypu, na którym wzniesiono gród, pozostawiając jedynie zwęgloną trawę oraz osmalone pale częstokołu.

- Do brzegu! - wydał gromki rozkaz Ivar. - Do brzegu, ratować ludzi!

Na pokładach zapanowało poruszenie. Część załogi nie chciała mieć nic wspólnego z akcją ratunkową, obawiając się o życie. Inni z kolei wskazywali na oddalający się w głąb lasu pożar, twierdząc, że zagrożenie minęło. Zwłaszcza że płomienie widocznie przygasały dzięki ulewie. Zwolennicy pójścia na ratunek argumentowali, że w grodzie mogli znajdować się ranni. Wszelkie spory i wątpliwości rozwiął Ivar, gromiąc z pierwszej karwy.

- Do brzegu, bando tumanów. Tam prócz rannych mogą znajdować się bogactwa, które porzucono.

Tak postawiony argument zupełnie zmienił nastawienie większości do zejścia na spalony łąd. Wioślarze napanarli na wiosła, sternicy wykręcili w lewo, gotując się do manewru.

Ulf z niepokojem lustrował szerniały krajobraz, gdziegdzie upstrzony rozmigotaną czerwienią żaru. Zastanawiał się, co wywołało tak spory pożar. Z pewnością nie zaczął się w grodzie, ten bowiem tkwił pośrodku pogorzelska niemal nietknięty. Zdawało się, że jedynie palisada w kilku miejscach ucierpiała, jednak większość niszczącego żywiołu powstrzymały wały ziemne. Być może obcy, skłócony z tutejszym klan natarł z płonącymi żagwiami i sprawy potoczyły się tragicznie. Młody wareg wyobraził sobie drużynę wojów skradających się w gęstwinie. Każdy ścisnął pod pachą pochodnię, mając zamiar skrzesać ogień już pod samą palisadą

i cisnąć ognisty pocisk za częstokół. Ogień jednak wymknął się spod kontroli, żagwie odbiły od drewnianych pali i pospadały wokół nacierających. Pierwsze zajęły się paprocie, po nich jałowce, aż wreszcie ściana ognia ruszyła na samodzielny marsz zniszczenia.

Łodzie wreszcie osadzono w przybrzeżnej płytcinie, zarzucono kotwice. Padł rozkaz, by z każdej załogi na ląd zeszło po sześć osób, reszta miała czekać w pogotowiu, by w razie niebezpieczeństwa ruszyć z odsieczą. Ulf wraz z Bjørnem, Erykiem oraz trójką innych, wśród których znalazł się Hvit, zostali zgłoszeni na ochotników do zejścia na brzeg przez kapitana statku.

Mężczyźni wciągnęli na tuniki pikowane przeszywanice, na które z kolei wdziali kolczugi. Kto miał na wyposażeniu hełm, założył go. Następnie każdy zdjął z burty okrągłą tarczę, do pasa przytroczył topór. Tak wyekwipowani przesadzili przez burtę i brodząc w mulistej rzece, dotarli do brzegu.

Zwiadem dowodził Ivar Żelazne Zęby odziany we wspaniałą, nitowaną kolczugę i zdobiony złotem hełm z maską osłaniającą oczy oraz nos. Jako jedyny prócz topora nosił u boku miecz o kutej, powleczonej złotem głowni, wyobrażającej rozdziawioną paszczę smoka. Broń tę, jak głosiła wieść, kazał wykonać na specjalne zamówienie mistrzowi kowalstwa w Norwegii po jednej z wypraw do Mercji. Powiadano, że miecz Ivara zwany Rødrage wziął swą nazwę od ilości krwi, jaką spił w czasach walecznej i brutalnej przeszłości swego właściciela.

Na znak dany przez Ivara drużyna waregów ruszyła w ciasnym szyku z uniesionymi tarczami. Dzięki temu z łatwością można było wejść w formację ściany z tarcz, zwanej hirdą, gdzie każdy osłaniał sąsiada po lewej. Sunęli czujni, spięci, gotowi w każdej chwili zacieśnić szyk i dobyć broni.

Popiół pod wpływem mocno padającego deszczu zamieniał się w lepkie, czarne błoto lgnące do butów i tkanych owijek do

nogawek. W spalonym lesie panowała niepokojąca cisza, nie uwzględniając odległego ryku pożaru.

Im bliżej grodu tym napięcie zauważalnie rosło. Eryk mamrotał bezgłośnie modlitwy do swego Boga, reszta czcząca prastary panteon przodków wzywała w myślach imiona Thora, Odyna i Baldra. Zwłaszcza tego ostatniego, który był odporny na wszelkie ciosy, rany i choroby, dzięki interwencji matki, która wymogła na wszystkich żywych istotach, by nigdy nie skrzywdziły jej dziecka.

Do wnętrza grodu wiodła masywna brama wykopana w owałowaniu, zabezpieczająca wejście drewnianymi odrzwiami o dwóch skrzydłach osadzonych na kutyh zawiasach. Ivar wydał polecenie, po którym dwóch waregów sprawnie zabrało się do zdejmowania bramy z zawiasów. Przy użyciu młotka i dłuta jako dźwigni, poluzowali trzpień bramy, którą następnie wystarczyło unieść i odłożyć na bok. Był to pewny i sprawdzony sposób stosowany przez wikingów chcących wdrzeć się do osady, którą pragnęli złupić pod osłoną nocy.

Drużyna przekradła się do grodu, rozglądając się czujnie i trzymając tarcze na wysokości piersi. Osada składała się z kilkunastu podłużnych, krytych grubą warstwą strzechy chałup, które nie posiadały żadnych widocznych okien. Domy wzniesiono po obu stronach palisady, tak że środkiem biegło coś na kształt alei wyłożonej przepiłowanymi na pół balami. W centrum osady wznosił się wysoki, dość wąski budynek, który prawdopodobnie pełnił rolę spichlerza.

Po placu nie ganiały jednak żadne dzieci czy zwierzęta. Gród sprawiał wrażenie opustoszałego.

- Zachowajcie czujność - przestrzegł Ivar, wodząc wokół wzrokiem. - Nie podoba mi się to miejsce.

- Odejdźmy zatem - syknął Ulf, który także nie mógł opędzić się od czarnych myśli.

- Idź, jeśli musisz, tchórze - zakpił Hvit, choć wyraźnie i on odczuwał niepokój. - Trzeba ci było w domu z matką zostać, proso siać.

- Dość! Nikt nigdzie nie idzie - uciał Ivar gniewnie.

Zwartą grupą ruszyli ubłoconymi belkami głównej alejki. Wtem drzwi jednej z chałup uchyliły się do wewnątrz, a ze środka wyszedł szpakowaty mężczyzna z bielmem pokrywającym prawe oko. Widząc uzbrojoną grupę, zamarł w bezruchu, a jego zdrowe oko skakało dziko między warezami. Ci z kolei w pierwszej chwili nastroszyli się bojowo, zaraz jednak ochłonęli, widząc samotnego, w dodatku zaawansowanego wiekiem człowieka.

- Nie bój się - przemówił Ivar w języku Wendów, unosząc dłoń w uspokajającym geście.

- Coście za jedni? - warknął jednooki, marszcząc się gniewnie, niemal zwierzęco.

- Normanowie, ale nie mamy... e, złych zamiarów. - Ivar wysilał się jak mógł, by znaleźć odpowiednie słowa. Wiedział, że jego pobratymcy nie cieszyli się dobrą sławą ze względu na wiking.

- Normanowie - powtórzył Słowianin, jak gdyby smakował to słowo. - Znamy was tutaj. Jedliśmy was - dodał, szczerząc zęby w iście wilczy sposób.

Ivar drgnął niespokojnie, a jego drużyna, choć nie znała języka, intuicyjnie wyczuła, że coś było nie w porządku. Kilku mężczyzn trzymało już topory w garści.

- Chcieliście rzec z nami? Jedliście z nami?

- Wiem, co chciałem powiedzieć. Wasze mięso jest smaczne, krwiste i chude jak sarnina. Lubię was, Normanów.

Waregowie zaszemrali, domagając się tłumaczenia. Kiedy usłyszeli, co takiego wygadywał jednooki, podnieśli głośną wrzawę, domagając się sprawiedliwości za zniewagę.

Tymczasem siwy stanął w niewielkiej odległości od grupy warezów, przeciągnął się leniwie. Nie przestawał się uśmiechać, a był to wielce nieprzyjemny uśmiech. Zdawało się, że mieści się w nim więcej zębów niż powinno.

- Przyszliście dokończyć dzieła? - kontynuował beztrasko jednooki, jakby obecność osiemnastu uzbrojonych piechurów nie robiła na nim wrażenia. - Małościę siebie nie podpalili w swej głupocie. Przyjemnie było patrzeć.

- Co on mówi? - Chciała wiedzieć drużyna, jednak Ivar wzruszył jedynie ramionami, bowiem jego znajomość języka ograniczała się do podstaw.

Nagle Słowianin wyprężył się, odrzucając głowę w tył tak daleko, że powinno to być niemożliwe, po czym zawył jak najprawdziwszy wilk. Odpowiedział mu nieskładny chór dobiegający z różnych odległości. Kilka z bardzo bliska. Z wnętrza grodu. Ulf poczuł, jak ciało pokrywa mu gęsia skórka, drżącą ręką wyszarpnął topór zza pasa.

Warezowie zbili się w ciasną hirde najeżoną bronią. Z pobliskich chat wychylnęło jeszcze dwóch mężczyzn i kobieta. Zachowywali się jak jednooki. Okazywali lekceważenie właściwe drapieżnikowi, który wiedział, że ofiara nie ma dokąd uciec, więc można się zabawić jej kosztem. Stanęli luźnym półkolem naprzeciw Normanów i jedno po drugim padli na kolana, wpijając dłonie w błoto.

Ulf z przerażeniem, ale i fascynacją obserwował, jak ludzkie twarze morfują, wydłużają w trójkątny pysk, porastają sierścią. Grzbiety pęczniały potężnym garbem, ramiona puchły, a dłonie przeistaczały w obwisłe, zakończone długimi pazurami szpony. Cztery istoty podniosły na warezów żółte ślepie, rozwarły zębate pyski w potwornym grymasie. Jeden, którego oko pokrywało bielmo, wywalił obelżywie długi, czerwony jęzor.

- Ulfhedinn! - wrzasnął Eryk, dzwoniąc przeraźliwie zębami.

Bestie uniosły się z klęczek. Wyprostowane przewyższały nawet Bjørna o dobre dwie piędzi.

- Trzymać szyk! - rozkazał Ivar głosem mocnym i pewnym, ściskając w garści rękojeść Czerwonego Smoka. - Nie ustępować pola!

Pomimo to hirda rozluźniła się, kiedy kilkoro waregów, odwróciwszy się na pięcie, rzuciło się do panicznej ucieczki. Kilku innych spojrzało za uciekającymi towarzyszami, niepewni, co począć. Ivar grzmotnął mieczem w stalowe umbo tarczy.

- Thor z nami! Odyn z nami! Ku Valhalli!

Drużyna natchniona niezachwianą odwagą wodza podniosła okrzyk bojowy. Hirda zagrzmiała od uderzeń w tarcze. Wilkołaki obserwowały to z rozbawieniem. Nagle od strony bramy dobiegły przeraźliwe wrzaski. Tych, którzy zdecydowali się ratować ucieczką, dopadły inne stwory, rozwłóczyły pod wałem, szarpiąc kłami bezlitośnie. Kilka innych weszło między palisadę, krocząc miękko ku ścianie z tarcz.

W tym właśnie momencie męstwo opuściło większość waregów, którzy w szaleńczym odruchu, napędzanym niemożliwą wolą przeżycia i nieludzkim strachem, rzucili się naprzód, łamiąc formację. Bestie zdawały się tylko na to czekać.

Z niesłychaną zwinnością rzuciły się na nacierających, uchylając się w zwinnych unikach, blokując ciosy zamaszystymi machnięciami włochatych łap. W ruch poszły zębate paszcze, bez trudu przegryzające kolczugę.

Ci którzy wytrwali przy Ivarze, na daną komendę uderzyli naprzód. Osłaniając się nawzajem tarczami, odpierali ataki zarówno z przodu, jak i tyłu. Stojąc do siebie plecami, walczyli zaciekle, jak zwierzęta schwyte w sidła. Jedna z bestii, wyjął niby zraniony pies, zwała się na ziemię, ugodzona potężnym ciosem w kałdun, jaki zadał Bjørn. Wareg, rycząc wściekle, rozłupał ulfhedinnowi czaszkę. Śmierć jednej z kreatur tchnęła

w broniących się nowe siły. Zdołali nawet naprzec na podchodzących od bramy i przesunąć nieco pozycję.

Żadna jednak ludzka siła, niezależnie od tego jak mocno natchniona, nie mogła równać się pierwotnej mocy przeklętych. Przyjmując na tarczę kolejny cios, Ulf czuł, jak ramię mu drży i coraz bardziej drętwieje. Nienawykłe do potyczek ciało domagało się odpoczynku, jednak strach nieustannie pompował weń nowe siły. Toteż młody wareg robił toporem najlepiej jak umiał, równocześnie będąc bliski łez. Wilkołaki napierały gwałtownie, niespodziewanie, drapieżnie. Szarpały wzniesione tarcze, usiłując dosięgnąć nieosłonięte ciało. Straszne paszcze kłapały gniewnie, z gardzieli dobywały się wściekłe warknięcia.

Waregowie rozpaczliwie usiłowali przepchnąć się do bramy, gdzie mogli liczyć na minimalną przewagę. Ustawiając się bowiem silną formacją w wąskim przejściu istniał cień szansy na zwycięstwo. Starania jednak utrudniała zawziętość potworów atakujących z dwóch stron naraz. Dodatkowo straty po stronie waregów rosły z każdą chwilą. Już tylko dziesięciu stało na placu boju, podczas gdy udało im się usiec tylko jednego stwora i nieznacznie zranić kilka innych.

Nagle jednooki cofnął się, dysząc ciężko. Z futra na grzbiecie unosiła się ledwie widoczna smużka pary. Zwierz kłapnął szczękami, które zawarły się z odgłosem przypominającym zatrzaskiwane wieko kufra. Zawył rozdzierająco, przysiadł na zadnich łapach i skoczył.

Ulf poczuł, zauważyć nie zdołał, jak bestia wpada na niego z impetem, unosi jak dziecko. Przeleciał w powietrzu, gubiąc tarczę. Wpadł plecami na ścianę jednego z domów. Zamroczony widział, jak w wyrwę w hirdzie wdziera się jednooki ulfhedinn, rozdając zamaszyste ciosy pazurami. Widział, jak Ivar napał na bestię tarczą, wypychając z szyku, po czył ciał Rødragiem z rozpaczliwy okrzykiem. Potwór opadł na zad z przeciętymi ścięgnowami u kolan. Wódz waregów wraził ostrze miecza prosto

w rozwarte szczęki wilkołaka, rycząc, jakby sam zamienić się miał w jedną z bestii.

Trudno orzec, kim był usieczony potwór, jednak jego śmierć spiorunowała pobratymców jednookiego, którzy zawyli unisono w rozpacz. Napór też chwilowo zelżał i waregom udało się zarębać toporami jedną w atakującym stadzie wilczyce. Hirda, w której nadzieja odżyła, wraz z nowym zapasem sił natarła, przesuając się znacznie ku bramie i tym samym zostawiając Ulfa daleko w tyle. Młody wareg, wodząc błędnym wzrokiem za towarzyszami, uniósł się chwiejnie, wspierając na toporze. Doczłapał do tarczy, wyciągnął z młaśnięciem z błota.

W tej samej chwili tchnięty instynktem odwrócił się na pięcie, wznosząc tarczę. Cios, który winien przetrącić mu kręgosłup, rozszedł się jedynie pulsującym bólem w lewym ramieniu. Jeden z wilkołaków upatrzył sobie Ulfa jako łatwą ofiarę i odłączył się od pozostałych. Warcząc wściekle i śliniąc obrzydliwie, natarł ze wzniesionymi pazurami.

Ulf skulił się za tarczą, wspierając zasłonę o bark, by złagodzić impet i ustać na nogach. Mimo to zachwiało nim potężnie, poślizgnął się na mokrych deskach. Padając na kolana wznosił tarczę nad głowę, ratując się przed dekapitacją. Jednocześnie rąbnął toporem na płasko, gruchocząc ulfedinnowi kolano. Stwór zakwilił, ustąpił nieco. Zaraz jednak, kuśtykając wyraźnie, uderzył na powrót. Wtem dało się słyszeć potworne chrupnięcie. Zwierz rzygnął krwią i oklapł w błoto. Nad trupem stał zlany krwią Hvittr z obłędem w oczach. Przerzuciwszy topór do lewej ręki, poderwał kuzyna na nogi gwałtownym szarpnięciem.

- Wstawaj! - warknął, a Ulfowi przemknęło przez myśl, że krewny był o krok od gryzienia własnej tarczy, jak rzeźby wyobrażające berserkerów.

Młodzieńcy pognali w stronę bramy. Ivar wraz z garstką waregów zniknęli, więc bezpiecznym założeniem było, że udało

im się wyrwać poza gród. W wejściu leżały dwa trupy Normanów oraz kolejny wilkołak z rozrąbanym pyskiem.

Ulf i Hvittr wypadli na zewnątrz, gdzie ukazał się im straszliwy widok. Wszystkie trzy łodzie oblegała chmara ulfhedinnów, jeszcze więcej walczyło z warezami na brzegu. Normanowie byli przytłoczeni zarówno liczebnością, jak i zaciekłością potworów.

Nieopodal łodzi stał samotnie Ivar Żelazne Zęby, u stóp którego leżała większość drużyny, z którą zszedł na ląd, oraz trzy wilkołacze truchła. Wódz odpierał ataki pary bestii, jednak zmęczenie sprawiło, że mógł się już tylko bronić. Ciosy, które wyprowadzał, były powolne, łatwe do przewidzenia. W pewnej chwili dało się zauważyć, jak ramiona Ivara opadają i wznoszą się w głębokim oddechu, po czym powietrze rozciął przerażający okrzyk.

- Valhalla!!!

Następnie Ivar odrzucił tarczę i schwyciwszy miecz w dłonie wznosił broń do zamaszystego ciosu. Jeden z atakujących ulfhedinnów padł z rozplątanym paskudnie obojczykiem. Drugi, wykorzystując chwilę, która była potrzebna Ivarowi do wyszarpięcia Rødraga z trupa, rzucił się warezowi do gardła. Żelazne Zęby zawył dziko, po czym ostatkiem sił pchnął wilkołaka. Ostrze wystrzeliło z pleców potwora w krwawym rozprysku.

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Ci, którzy jeszcze żyli, przytłoczeni nieprzebraną armią wilkołaków, padali jeden po drugim. Ulf widział, jak Leif, walcząc mężnie jak przystało na starego wikinga, zginął dosłownie rozerwany wpół przez jedną z bestii. Patrzył, jak wilkołaki wywlekły z ładowni niewolników wrzeszczących niezrozumiale. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść widoku tego, co się miało stać z ludźmi zakutymi w żelazne kajdany. Wtem poczuł na ramieniu mocny uścisk. Odwrócił się przestraszony, wznosząc topór.

- Uciekamy - syknął Hvittr, zwracając się w stronę lasu.

- Ale nasi...

- Nikt nie przeżyje. My mamy szansę. Zostań, jeśli wola. Ja uciekam - dodał, widząc niezdecydowanie Ulfa.

Ulf odwrócił się w stronę pogromu, patrząc na zabitych i mordowanych towarzyszy. Widział, jak Eryk padł z rozszarpanym gardłem. Krztusząc się krwią, rozpaczliwie usiłował odpędzić wciąż gryzącego go wilkołaka.

Młody wareg, godząc się z tym, że zarówno ten widok, jak i decyzja, jaką przedsięwziął, będzie go prześladowała do końca życia, rzucił się w ślad za kuzynem do ucieczki.

* * *

Kluczyli lasem aż do zmierzchu, bojąc się zatrzymać choć na chwilę. Przez cały czas spodziewali się, że zza drzew wyłonią się włochate sylwetki ulfhedinnów, jednak wyglądało na to, że zgubili pogoń. O ile jakakolwiek wyruszyła ich śladem. Kiedy wreszcie stanęli na postój, stopy im krwawiły, obdarte mokrą skórą butów.

Nie mieli żadnego prowiantu ani nawet bukłaka z wodą. Schodząc na ląd, nie przewidywali tego, że nie wrócą już na łodzie, na których został cały dobytek. Ognia także w żaden sposób nie potrafili wzniecić. Wszystko wokół bowiem zamokło od niedawnej ulewy, co zakrawało na kpinę, biorąc pod uwagę potężny pożar, który przetoczył się przez las.

Ulf oraz Hvittr siedzieli w kucki naprzeciw siebie, trzęsąc się z zimna. Znajdowali się w dość dużej odległości od rzeki, niemniej cała kraina zdawała się być podmokła. W dodatku mgła i rosa oblepiały odzież nieprzyjemnie wilgotnym chłodem.

Ulf od dłuższego czasu wpatrywał się w kuzyna, bijąc się z myślami. Był wdzięczny za uratowanie życia, ale nie potrafił pojąć motywacji kierującej Hvitrem. Jak dotąd sądził, że panowała między nimi wzajemna niechęć i wzdarda.

- Widzę, że chcesz mnie o coś spytać - rzekł Hvit, szcękając zębami. - Pytaj, mamy czas i nic innego do roboty.

- Tam we wiosce. - Ulf przełknął ślinę, krzywiąc się, gdy odrobina wilgoci podrażniła wysuszone gardło. - Dlaczego po mnie wróciłeś?

Hvit długo wpatrywał się w kuzyna, który przestał mieć nadzieję, że usłyszy odpowiedź. Wreszcie jednak westchnął, wyrwał kępkę trawy i bawiąc się nią, zaczął mówić:

- Nasze rodziny są skłócone od dawna. Tak długo, że nie pamiętam, co spowodowało tę sytuację. Mało tego, wydaje mi się, że nikt nie zna powodów swady. Ale jedni i drudzy uparcie w niej tkwią, wychowują dzieci, przekazując im uprzedzenia. Od małości cię nienawidziłem, ale nie dlatego, żeś mi coś uczynił niegodziwego. Tak mnie po prostu wychowano. Ale w chwili, gdy widziałem, jak sam jeden... - Hvit odchrząknął, skrępowany tym, że głos mu się załamał. - Bezsensowna rodowa wróżda, która nikomu nie służy.

- Cóż, cieszę się, że to powiedziałeś - przerwał przedłużające się milczenie Ulf. - Myślisz, że ktoś z naszych przeżył?

- Nie - uciął krótko Hvit, ciskając precz grudkę ziemi. - A my, jeśli prędko nie znajdziemy jakiejś sadyby, gdzie ktoś nas nakarmi, też długo nie pociągniemy.

- Tamto miejsce... Sądziłem, że wilkołaki to tylko legenda. A tam było całe stado. Gdybyśmy tylko popłynęli dalej, nie zatrzymywali się.

- Ot, przewrotność przekłętego losu. Wielu z załogi nawróciło się z grabieży na uczciwy handel i widzisz, jak się opłaciło nieść pomoc.

- Oni chyba myśleli, że to myśmy ich chcieli puścić z dymem. Dlatego nas tak zażarcie atakowali. Bogowie, cóż to za masakra. Powiedz, bałeś się?

Hvitr uniósł na kuzyna wzrok, w którym zawarte było coś więcej, niż można powiedzieć jakimikolwiek słowami.

* * *

Zapadła ciemna noc, księżyc skryty za gęstymi chmurami nie dawał żadnego światła. Noc pełna strachu i tajemniczych szelestów. Ocalali z masakry skryli się przed mżawką w naprędcie skleconym szałasie z iglastych gałęzi. Nie mogli jednak zasnąć w obawie, że z gęstwiny w każdej chwili wychynie chmara wściekłych ulfhedinnów. Wiatr szarpał lichym poszyciem, wnikając pod przemoczoną odzież, gryząc dotkliwie wyziębione ciało.

Nieopodal dał się słyszeć głośny trzask, następnie łomot, coś ciężkiego upadło. Coś, co zachrząściło metalicznie. Ulf wraz z Hvitrem wypadli z szałasu, sztywni z zimna i strachu dobyli broni. Między drzewami, na tle ciemności zamajaczyła zwałista sylwetka, zataczająca się w ich kierunku.

- Kto tam? - krzyknął Hvitr hardo, choć efekt psuły dreszcze, jakie nim wstrząsały.

- Ulf, Hvitr pomóżcie!

Waregowie spojrzeli po sobie niespokojnie. Głos bez wątpienia należał do Bjørna. Rzucili się naprzód, by pomóc towarzyszowi. Wielkolud był w opłakanym stanie. Kolczugę miał podziurawioną i wysmarowaną plackami zakrzepłej krwi. Zgubił gdzieś hełm z nosalem, a czoło szpecił mu solidny guz oraz liczne szramy. Pod pachą ścisnął kurczowo podłużny przedmiot zawinięty w brudne płótno.

Olbrzym obwisł w ramionach przyjaciół, mamrotając niezrozumiale. Zanieśli go do szałasu, ułożyli na pośłaniu z liści i mchu. Bjørn legł bez ducha, oczy uciekły mu w głąb czaszki.

- Spójrz na to - rzekł Ulf odwijając płótno.

Spod materiału wychynęła złocona rękojeść i głównia w kształcie smoczej głowy.

- Rødrage! Niech bogowie mają tę wielką ofermę w opiece. Ocalił miecz Ivara.

Kuzyni w milczeniu podziwiali legendarny miecz ich poległego bohatersko wodza. W podręcznej torbie Bjørna znaleźli również krzesiwo oraz kępkę zamokłej hubki. Nazbierawszy pospiesznie brzozowych gałęzi, które łatwo można było rozpalić pomimo wilgoci, skrzესali ogień o ostrze topora. Udało się wzniecić niewielkie, dymiące potwornie ognisko. Usiedli, z przyjemnością wystawiając się ku nieśmiało pełgającym po drewnie płomieniom.

Z szafasu co jakiś czas dochodziło pojękiwanie na zmianę z chrapaniem. Bjørn miotał się w gorączce wywołanej odniesionymi ranami. Niestety ani Ulf, ani Hvittr nie posiadali wiedzy czy nawet środków, by pomóc przyjacielowi. Okryli go jedynie szmatą, w którą zawinięty był Rødrage, by choć trochę ochronić przed zimnem.

Doczekali świtu w męczącym stanie półsnu, który nie przynosił wytchnienia. Wręcz przeciwnie, pomimo kilku godzin przerywanej drzemki czuli się znacznie gorzej. Kiedy zajrzeli do Bjørna, okazało się, że jego stan uległ pogorszeniu. Bładą twarz pokrywały grube krople potu, ciało wykrecały konwulsje. Co gorsza, rany na piersi i mniejsze zadrapania nadal się jątrzyły, nie chcąc się zasklepić.

- Musimy zdobyć coś do jedzenia - rzekł Ulf słabo. - Potrzebna nam także woda. Znam się na grzybach, spróbuję jakieś znaleźć. Mamy mój hełm, powinno się udać ugotować w nim polewkę.

- Dobra myśl. Zostanę z Bjørnem. Ale posłuchaj, nie możemy tu mitrzyć. Jesteśmy zbyt blisko osady ulfhedinnów. Jeśli do jutra Bjørnowi się nie poprawi, obawiam się, że będziemy musieli go zostawić.

- To mój najlepszy przyjaciel. Nie mogę go zostawić na pastwę zwierząt.

- Rozumiem. Ale proszę cię, byś to przemyślał, bo prędzej czy później będziesz musiał podjąć tę decyzję.

* * *

Aby nie zabłądzić i móc odnaleźć drogę powrotną do prowizorycznego obozu, Ulf robił niewielkie nacięcia w kształcie runy fehu na drzewach. W razie gdyby stracił orientację, wystarczyło odszukać i podążać śladem symboli. Wyruszył w kierunku, w jakim spodziewał się dotrzeć do rzeki. Kilka razy w oddali zobaczył sarny, żałując, że nie miał łuku. Głód sprawiał, że sama myśl o chudej, rubinowej dziczyźnie powodowała bolesne skręty kiszek.

Wreszcie po czasie, w jakim zdążył zwątpić, czy szedł we właściwym kierunku, usłyszał nikły szum rzeki. Pomimo otępiającego członki zmęczenia przyspieszył kroku. Po pewnym czasie dostrzegł nikły prześwit w poszyciu, gdzie przypuszczał, że meandrowała woda. Po kolejnych kilkunastu krokach przystanął. Mrużąc oczy, wpatrywał się w niewyraźną postać stojącą na brzegu. Nie było mowy o pomyłce. Ktoś łowił ryby, zarzucając raz po raz długie wędzisko.

Ulf nagle poczuł coś, czego w pierwszej chwili się przestraszył. Coś, czego nie mógł zrozumieć. Nienawidził bowiem osoby nad rzeką. Gniewał go jej niespieszny spokój. Z całych sił pożądał tego spokoju, chciał go odebrać za wszelką cenę.

Skradając się, podszedł najbliżej, jak się dało. Ukryty za łożynami obserwował wędkującego. Chłopak, wyrostek o rzadkim, miękkim zaroście, szczupły i wysoki zdawał się nie zwracać uwagi na nic oprócz wędki. Ulf zauważył pleciony koszyk stojący obok chłopca, w którym leżało już kilka złowionych ryb. Ten widok przeważył.

Wareg wyskoczył z ukrycia z dzikim okrzykiem. Małolat wrzasnął cienko, wypuścił z rąk wędkę i wpadł po kolana do

rzeki. Odwrócił się do Ulfa, który wydał mu się dzikim stworem z boru. Krzyknął ponownie, wchodząc głębiej do wody.

- Biorę twoje ryby - warknął Norman, schylając się po kosz. - Co jeszcze masz?

Chłopiec zaczął płakać, wskazując na leżący na brzegu tobołek. Załamywał ręce i jękał coś zawzięcie. Ulf poczuł, jak ogarnia go jeszcze silniejsza wściekłość. Na słabość i strach chłopca, na jego piskliwy głos. Na samego siebie, że sytuacja pchnęła go do kradzieży. Porwał tobołek, wywrócił dnem do góry. Na trawę wypadło pół bochenka chleba, klin żółtego sera, skórzana butelka wody oraz zwinięta ciasno wełniana opończa. Ignorując protesty właściciela, zapakował wszystko z powrotem, zarzucił węzełek na plecy. Odwrócił się plecami do rzeki i zamierzał wrócić do obozu, gdy stała się rzecz niesłychana.

Młody pisnął wściekle, wyskoczył z rzeki i rzucił waregowi na plecy. Był zbyt mikry na to, by powalić o wiele roślejszego przeciwnika, jednak atakował zaciekle, drapiąc Ulfa po twarzy, szukając oczu, w które mógłby wrazić palce. Wareg upuścił kosz i tobołek, usiłował schwycić chłopca wijącego się jak wąż. Nie mogąc dosięgnąć napastnika, spróbował przerzucić go przez bark, jednak spryciarz oplótł go nogami w pasie, dzięki czemu trzymał się mocno. Co gorsza, udało mu się wsadzić kciuk w lewe oko z taką mocą, że powieka Ulfa napuchła i zamknęła się na dobre. W przypiływie wściekłości wareg rzucił się na plecy tak mocno, jak był w stanie, przygniatając młokosa swym ciężarem. Poczuł, jak uścisk słabnie. Chłopak rzeził, starając się złapać oddech.

Ulf z kolei usiadł na chudej piersi i schwyciwszy w garść zgrzebną koszulinę, uderzył dziecko w twarz. Uderzył ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. Z każdym kolejnym ciosem czuł, jak uchodzi z niego złość, zastępowana wstydem. Aż został tylko wstyd. I smutek.

Wstał chwiejnie, patrząc, jak chłopiec, bucząc przez rozbity nos, zwinął się w kłębek. Tłumiąc własny szloch, podniósł skradzione dobra, po czym nie oglądając za siebie pospieszył do obozu.

* * *

Droga powrotna upłynęła w mglistym stanie apatii. Nie miał sił cieszyć się na smażone ryby, bowiem koszt ich zdobycia był zbyt wysoki. Czuł do siebie pogardę za to, co zrobił. Tamten chłopiec mógł być głodny, a jedzenie zdobył ciężko pracą własnych rąk. Tymczasem Ulf, wykorzystując przewagę siły, odebrał dziecku nie tylko posiłek, ale i dużą część szacunku do siebie. Pobił go, upokorzył, przestraszył. Zostawił jak stare onuce.

Był zły na siebie, ponieważ jakaś jego część cieszyła się, że niebawem napcha pusty brzuch. Niewielka część, jednak czuł, że była w środku.

Wreszcie dotarł do obozowiska. Zauważył, że podczas jego nieobecności Hvittr nazbierał spory zapas opału, który ułożył w pobliżu ogniska, by przesechł. Sam zaś Hvittr siedział w szalasię, żując coś zawzięcie. Niewyraźna mina sugerowała, że cokolwiek to było, musiało smakować paskudnie. Z kolei Bjørn zdawał się być w o wiele lepszej kondycji niż rano. Leżał wsparty na łokciu, drugą ręką macając się po pokiereszowanej piersi. Widząc Ulfa obładowanego dobytkiem, obaj podnieśli wygłodniałe oczy.

- Mam ryby - mruknął Ulf, stawiając kosz na trawie. - I chleb i ser też mam.

- Gdzieś to znalazł? - Hvittr poderwał się, zaglądając do sakwy.

- Nad rzeką. - Wareg spojrział w bok, unikając wzroku kuzyna. - Przygotujesz ryby?

Hvitr ochoczo zabrał się do patroszenia i łuskowania pstrągów i okoni, tymczasem Ulf opadł na posłanie obok Bjørna.

- Widzę, że siły ci wracają.

- Ano. - Skrzywił się olbrzym. - Nie tak łatwo zabić Bjørna Bjørnssona z klanu Niedźwiedzia. Dobrze mnie te psie syny urządziły, to im przyznam, ale nie wystarczająco. Powiedz jednak, bracie - podjął po chwili zmienionym głosem. - Myślałeś, kiedyśmy wypływali z Danii, że tak się sprawy potoczą?

- Kto mógł przypuszczać, że nas coś podobnego spotka? Bogowie z nas okrutnie zadrwili.

- Tak miało być. Tak zapisano runami nasz los - rzekł sentencjonalnie Bjørn. - Żal Ivara. Walczył jak Tyr z Fenrirem. Nigdy tego nie zapomnę.

- Wszystkich żal. Jesteś pewien, że nikt prócz ciebie nie przeżył?

- Nie wiem. Widziałem, jak poru wyskoczyło z łodzi i płynęło na drugi brzeg. Nie wiem jednak, czy im się udało. Nie miałem czasu się przypatrywać.

- A ty? Jak tobie udało się przeżyć?

Bjørn poprawił się na posłaniu. Syknął przez zęby, chwytając się za zranione miejsce.

- Jakaśmy się przebili przez bramę tej przeklętej osady i zobaczyli, ile ulfhedinnów tam było, hirda poszła w rozsypkę. Ludzie uciekali, część stanęła z Iwarem, żeby walczyć. Zostałem, choć dobrzem wiedział, że przyjdzie mi zginąć. Padaliśmy jak muchy, nie było siły. W końcu i mnie powalił jeden ze zwierzów. Dostałem pazurami w bok, zamroczyło mnie. Pamiętam, że bestia użarła mnie w pierś, kolczuga nieco pomogła, ale zębiszcza i tak mnie dosięgły. W następnej chwili Ivar zmiotł pokracie łeb z karku jednym ciosem miecza. Dalej to już chaos. Poniechali mnie wilki, pewnie myśleli, że skapiałem.

Ja z kolei, wstyd przyznać, w strachu zebrałem się do ucieczki. Ostatnia rzecz, jaką zrobiłem to uniosłem ze sobą miecz Ivara, żeby nie wpadł w łapy ulfhedinnów.

- Dobrze zrobiłeś. - Ulf pokiwał głową, biorąc do ręki piękną broń. - Ten miecz przejdzie do legendy i nie można pozwolić, by przepadł na obcej ziemi. Ale powiedz mi jeszcze jedno. Jakim cudem nas odnalazłeś?

- Sam nie wiem. - Bjørn podrapał się po rozczochranej głowie. - Mam wrażenie, że wiedziałem którądy szliście. Jakbym was wyczuwał. Nie umiem tego wyjaśnić.

Dalszą rozmowę przerwał radosny okrzyk Hvitra wołającego towarzyszy na posiłek.

* * *

Pokrzepieni stawą na ciele i duchu wargowie postanowili zostać w obozie jeszcze jedną noc. Deszcz przestał padać, chmury rozwiął wiatr. Siedzieli przy ognisku, gawędząc i planując, jak wykaraskać się z kiepskiego położenia. Uradzili, że spróbują odnaleźć port rzeczny i tam wsiąść na pierwszą lepszą łódź, jaka płynęła na północ.

Wreszcie słońce zaszło, mrok rozlał się po lesie. Zza horyzontu nieśmiało wychyliła się tarcza księżyca. Pełnia. Gdzieś daleko zawył wilk. Odpowiedział mu inny. Mężczyźni mimowolnie zadrżeli. Bjørn ponownie czując się słabo, wczłogał się do szałas.

- Wieczorem choroby zawsze się wzmagają - westchnął Hvit, grzebiąc patykiem w ogniu. - Mam nadzieję, że do jutra mu się poprawi, bo naprawdę nie możemy tu dłużej zostać. Słyszałeś wycie. Kto wie, czy to zwykłe wilki. Żałuję, żeśmy nie ruszyli, tak jak mieliśmy w planach.

Ulf w zamyśleniu gładził rękojeść Rødraga. Coś, czego nie potrafił nazwać, nie dawało mu spokoju. Coś, o czym wiedział, że powinno być oczywistym. Nie potrafił jednak dojść do tego,

czym to coś mogło być. Nie potrafił opędzić się od złych przeczuć.

- Trzeba było wyruszyć przed zmrokiem - mówił dalej Hvittr. - Księżyc spory, mocno świeci. Bez trudu byśmy w lesie drogę znaleźli. Po twoich znakach aż do rzeki, a potem w górę nurtu.

Ulf zadarł głowę, wlepił rozszerzone strachem oczy w tarczę księżyca. Nagle zrozumiał, co takiego wywoływało w nim niepokój, który zrazu przerodził się w panikę. Zrozumiał wszystko, także to, że mogło być za późno. Nieopodal zawył kolejny wilk.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś dostał pomieszania...

- Bogowie, przecież on się zmieni.

- O czym ty mówisz? Kto się zmieni?

Z szafasu doleciało przeciągłe, pełne bólu zawrodożenie, które przeszło fałszywą nutą w skowyt. Waregowie zamarli, patrząc, jak na zewnątrz wytoczył się Bjørn, rwąc na sobie w tunikę. Padł na kolana, wodził wokół dzikim wzrokiem. Jego oczy stały się bladoszare. Wyglądały jak dwie maleńkie tarcze księżyca. Wyjąc żałośnie, wbił zakrzywione artretycznie palce w nagi tors i szarpnął wściekle. Dwa płaty skóry odeszły od ciała z obrzydliwym odgłosem przypominającym darcie szmat. Spomiędzy postrzępionej skóry wyłoniło się gładkie, lśniące futro.

Hvittr pierwszy otrząsnął się z niemocy. Porwał płonąca żagiew z ogniska, zamachnął jak maczugą. Broń dosięgła celu, poleciały iskry, zaśmierdziało palonymi włosami. Bjørn, pomimo widocznego bólu, który sprawiała mu przemiana, poderwał się gwałtownie, chwycił Hvittra za uzbrojony nadgarstek, wykręcił mocno. Zaraz jednak targnęły nim kolejne konwulsje. Zawył rozdzierająco, zdarł skórę z twarzy. Rysy zatarły się, ukazując potworną, rozbitą mozaikę ludzkiego i wilczego oblicza.

Björn nie wrzeszczał więcej. W upiornym milczeniu zrzucił skórę, której płyty niby trociny zaległy u jego stóp. Nowo narodzony ulfhedinn zakończył transformację, stojąc skulony z rękami podniesionymi do brody. Długie uszy położył po sobie, ogon schował między nogi jak skarcony pies.

- Björn - wychrypiał przez ściśnięte strachem gardło Ulf. - Björn, przyjacielu, to my. Wiem, że mnie słyszysz. To tylko skóra, nie ty. Wiem, że nas nie skrzywdzisz.

Wilkołak uniósł łeb o długim pysku, a w jego srebrnych oczach majaczył ludzki ból i zagubienie. Skamłając żałośnie, cofnął się o krok. Ulf, wbrew ostrzeżeniom Hvitra, postąpił naprzód.

- Björn, musisz to zwalczyć. Sam mówiłeś, że byle co cię nie pokona. Jesteś Björn, syn Bjørna z klanu...

Potworny ryk rozdarł nocne powietrze. Kilka par świecących na zielono oczu zamigotało w mroku. Nadeszły wilkołaki, warcząc złowrogo. Stały w półkołu, oblizując się lubieżnie. Hvittr mamrotał pod nosem modlitwę do Odyna, by zesłał walkirie i otworzył bramy Valhalla, aby dusza wojownika mogła do niej wstąpić. W dłoni trzymał topór, po tarczę się nie schylił, najwidoczniej pogodzony ze śmiercią.

Ulf daleki był od akceptowania swego losu. Z Rødragiem w dłoni i tarczą u ramienia przyjął pozycję. Wiedział, że umrze, jeśli zacznie uciekać. Szanse, jakkolwiek małe, miał tylko stając do boju. Wilkołaków była czwórka. A także Björn. Björn, który odwrócił się do wilczych pobratymców, a wyraz zagubienia znikł z jego twarzy. Zastąpiła ją wściekłość. Rzucił ostatnie spojrzenie na Ulfa, a w jego oczach był rozkaz. Nie, prośba. Następnie skoczył naprzód z obnażonymi zębami i wyciągniętymi szponami.

Wilkołaki zwały się, kłapiąc wściekle szczękami. Björn przerastał wszystkie. Walczył zaciekle, odciągając uwagę bestii od przyjaciół.

- Ulf, chodź!

Hvitr znów odciągał kuzyna od bitwy, w której miał polec ktoś bliski. Ulf ze spokojem odwrócił głowę, wypowiedział jedno, krótkie słowo. Wyrzucił ramię z Rødragiem w górę i zakrzyknął gromko, czując, jak własny głos nappełnia go odwagą.

- Valhalla!

Rzucił się ze wzniesioną tarczą między pazury i kły. Rąbał mieczem, jakby Thor prowadził jego rękę. Zślepiiony bitewnym szaleństwem nie zauważył, że między cizbę wpadł także Hvitr.

Napastnicy zdawali się zaskoczeni szaleńczą zaciekłością, z jaką odparto ich atak. Pod potężnymi ciosami Bjørna padły dwa wilkołaki. Pozostałe wyraźnie straciły animusz, co wykorzystał Ulf. Pchnął jednego w kałdun, wyszarpnął miecz w rozbryzgu ciemnej krwi, ciął momentalnie w gardło. Ostatni z ulfedinnów spróbował uciec, jednak dosięgnął go ciśnięty z rozpaczliwą mocą topór Hvitra. Ostrze wbiło się potworowi między łopatki. Ulf, nie czekając, doskoczył i wraził Rødraga w kark szamoczącego się wilkołaka.

Nastała cisza, która wydawała się nie na miejscu po niedawnym rozgardiaszu. Trupy wilkołaków leżały usieczone, parując lekko. Jedyne z ulfhedinnów, który został na placu boju, postąpił kilka kroków naprzód, oparł głowę o pień olchy. Ulf z Hvitrem, nadal drżąc od adrenaliny wywołanej walką, spojrzeli po sobie niepewni, co robić dalej. Widzieli, jak Bjørn uniósł włochatą łapę i przycisnął do rany na piersi. Następnie odwrócił się i z plecami opartymi o pień, usiadł w kucki. Księżykowe oczy utkwione były w Ulfie.

Wilkołak zawiercił się na piętach, skrzywił, gdy w zranionej piersi odezwał się ból. Futro w kilku miejscach zlepiła świeża krew. Rozwarł wilczy pysk, z którego wydobył się głuchy warkot. Dopiero po chwili do wargów dotarło, że Bjørn usiłuje coś powiedzieć.

- To tylko. - Głos ulfhedinna przypominał zachrypnięte szczekanie wielkiego brytana. - Skóra. Ja nadal tu jestem.

Upiór

Wczesnolistopadowa pogoda nie rozpieszczała mieszkańców środleśnej osady Svarozitz. Z ciężkich, stalowych chmur nieprzerwanie od kilku dni sypał mokry śnieg. Temperatura spadła niewiele powyżej zera, toteż pomimo przenikliwego chłodu i wilgoci biały puch topniał, zamieniając drogi i pobocza w bajoro. Deski, które ludzie poukładali wzdłuż głównej ulicy, by móc się w miarę komfortowo przemieszczać, niemal całkiem znikły w grząskim odmiecie.

Drwale z pobliskiej wycinki okupowali od kilku dni szynk Jakuba Szloma, ponieważ ich konie pociągowe grzęzły w błocie i robota w lesie nie miała najmniejszego sensu, dopóki pogoda się nie unormuje. Wyszynk był bodaj najstarszym miejscem użytku publicznego we wsi. Umiejscowiony w sąsiedztwie dawnej przeprawy drewnianym promem przez Stypiczę, obecnie zastąpionej nowoczesnym mostem, przez który mogły przejechać dwa wozy obok siebie, cieszył się sporą popularnością wśród podróżnych. Svarozitz leżały na trasie szlaku handlowego wiodącego z Wrocławia do Krakowa, mniej więcej w połowie drogi, toteż wielu kupców odwiedzało lokal Szloma. Jakub słynął z serwowania doskonałej jakości koszerne go wina, miodu, a także tradycyjnej gorzałki pędzonej na życie. Żyd w młodości odkupił podupadającą budę od polskiego właściciela, który pomimo świetnej lokalizacji nie miał za grosz smykałki do interesu. Polak, jak głosiła okoliczna wieść, był w prostej linii spokrewniony z XII-wiecznym

miodosytnikiem, który postawił oryginalny kram na przeprawie przez rzekę, z którego rozpoczął handel napitkami.

Miejscowi wpierv niechętni Żydowi w miejscowości, szybko się przekonali, że Jakub swój chłop. Nie gardził dobrym trunkiem, serwował normalne, polskie jadło, a i w szabas miał przeważnie otwarte. Od czasu do czasu chadzał nawet do kościoła na mszę jak porządny chrześcijanin. Nosił się na niemiecką modłę i dawno temu zgolił pejsy. Gdyby nie garbaty nos i gęsta broda nikt by nawet nie przypuszczał, że miał do czynienia z Żydem.

Uwijał się teraz, urobiony po łokcie, by obsłużyć gromadę podpitych drwali, kilku przejezdnych oraz stałych bywalców. Dziewka służebna, którą zatrudniał, również bez ustanku kursowała między stolikami a zapleczem. Szkaradna pogoda zaiste służyła interesowi.

Wewnątrz panowała przyjemna, gwarna atmosfera, kontrastująca z pluchą za drzwiami. W palenisku trzaskał ogień, woń potraw mieszała się z aromatycznym tytoniem i, niestety, odorem wielu mniej lub bardziej wyszorowanych ciał. Przy stole zajętym przez robotników pracujących przy wyrębie lasu wrzała rozochocona wódką rozmowa o wszystkim i niczym. Mężczyźni po kilku kieliszkach wyparli z pamięci, że przepijali pieniądze, których nie zdążyli jeszcze na dobrą sprawę zarobić.

- No i masz - rzucił z wesołym błyskiem w oku Piotr, postawny wąsacz w wymiętej wełnianej czapce zsuniętej zawadiacko na lewe ucho. - Słota polska jesień.

- Co? - Nie zrozumiał Jędrzej, speszony salwą śmiechu młodzik, któremu zarost ledwie przykrywał przyszcze.

- Słota, durniu. Brzmi jak złota. Jak w tym powiedzeniu, no. Że złota polska jesień, kiedy masz ładną pogodę w październiku na przykład - podjął się tłumaczenia Hans, syn zniemczonych Polaków, którzy jednak nie zapomnieli o pielęgnowaniu języka ojczystego.

- Eh, ty matołku. - Pokręcił głową z udawanym frasunkiem Piotr, ocierając z wąsa piwną pianę. - Żeby Niemiec tobie musiał na polski tłumaczyć.

- Bo żem nie usłyszał! Nic mi tłumaczyć nie trzeba. Gwar tu ino taki, że... no.

- No - zgodził się kpiąco Maciej, trąc kolano, w którym rwał go reumatyzm wywołany załamaniem pogody. - Dzie ten Żyd? Napić się muszę grzanego wina, bo mi kulas zaraz odpadnie.

- Tam idzie, o. - Wskazał brudnym palcem Jędrzej. - Jak mysza się uwija.

- Jaka znowu mysza? - parsknął Hans.

- Ta w ukropie.

- Boże, daj mnie cierpliwość. - Wzniósł oczy ku osmolonej powale Maciej. - Hej, panie Żyd! Znieście tu do nas grzanego czerwonego. Ino korzenności nie żałujcie.

Jakub w przelocie pokiwał do drwała, dając znać, że lada chwila usłuży. Wtem drzwi wejściowe odskoczyły od framugi z taką gwałtownością, że uderzywszy z hukiem o ścianę, zamknęły się na powrót. Zebrani w szynku z ciekawością, ale i lekkim przestraczem zaszemrali między sobą. Cesarscy z reguły z nieco większą kulturą zachodzą, jak coś chcą. Poza tym od powstania minęło sporo lat, już dawno przestali żywić urażę. Ale kto to w sumie wie z tymi Niemcami?

Drzwi otwały się ponownie, tym razem zdecydowanie mniej spektakularnie. W progu zaś nie zjawili się żołdacy kajzera, a dobrze wszystkim znany Morowy Jasiek, grabarz i opiekun parafialnego cmentarza. Jakub już sadził przez długość izby, by zbesztać choleryka za wejście, jakby ruchawkę miał zamiar jakąś urządzać, aż nagle zatrzymał się w pół kroku i sam nie wiedząc kiedy, ani tym bardziej czemu, wykonał szybki znak krzyża. Ci z gości, którzy siedzieli bliżej wejścia, również zauważyli to, co wywołało równie nietypową reakcję u, co prawda zasymilowanego, ale bądź co bądź Żyda.

Jaśka nazywano Morowym raczej ze złośliwości oraz przez wzgląd na zajęcie, jakiego się imał, aniżeli dlatego, że roznosił zarazę. Przewisko, które wpierw dokuczalo mu srodze, wkrótce stało się przydomkiem, którym sam Jasiek zaczął się przedstawiać. Tego pochmurnego dnia jednak, kiedy wpadł do szynku, rzeczywiście wyglądał, jakby niewiele mu życia zostało. Skórę miał bladą, jakby w młynie go mąką obtoczyli, podkopy pod oczami niby dwie kreski węglem nakreślone, wargi blade jak topielec z rzeki po tygodniu wyłowiony. Ale najgorsze były oczy, rozszerzone do granic możliwości, o źrenicach powiększonych tak, że zdawało się, a lada chwila wypadną na klepisko.

- Panie Boże, Jasiek - zakrzyknął Szlom, biorąc grabarza pod ramię i prowadząc na zydelek ustawiony tuż przy palenisku. - Siadaj, chłopie. Co się tobie stało? Napadł cię kto? Krzywdę jaką zrobił?

- Wódki mu dajcie - doradził Piotr, który podobnie jak większość gości stanął w wianuszkach okalającym nowo przybyłego. - Widzicie, że człowiek ledwie zipie ze strachu. Animuszu nabrać musi, nim cokolwiek wykrztusi.

- Dobrze mówicie. - Pokiwał palcem Żyd, po czym zanurkował za ladę.

Wrócił z glinianą flaszką i dwoma powleczonymi skórą kieliszkami. Nalał szcudrze, podał Jaśkowi jeden, drugi sam wychylił bez ceregieli. Otrząsnął się jedynie, nalał drugi. Grabaż tymczasem siedział na niskim krzeselku bez ruchu, ściskając w drżącej dłoni naczynie.

- Matko Boska, toż to źle z nim musi być - wyszeptał wcale głośno Marcin, kowal, który przyjechał do Svarozitz z młodą, piękną żoną aż z Poznania. - Gorzałki pić nie chce, znaczy chory. Jasiu, mów przecież, co tobie?

- Pij, chłopcze. - Jakub po ojcowsku ścisnął mu ramię, pomógł drugą ręką trafić do ust. - Nie łapczywie, masz tego

więcej, jeśli będzie potrzeba. Tylko ostrożnie, co byś się nie zadławił, bo to spirytus jest, kochany.

Jasiek z pomocą szynkarza wychylił kieliszek, przełknął głośno. Duch wina przywrócił mu nieco koloru na twarzy, ustąpiło też ogólne rozedrganie. Na wszelki jednak wypadek podano mu drugą porcję lekarstwa. Ludzie, widząc, że skończywszy drugi kieliszek, Jasiek strzepał ostatnie krople na ziemię, odetchnęli z ulgą.

- No, to mów - ponaglił Jakub, na co cała reszta, wliczając w to bogato odzianych rosyjskich kupców, ochoczo przystała.

- W imię Ojca i Syna. - Przeżegnał się Morowy Jasiek, wodząc po otaczających go ludziach błędnym wzrokiem. - Matko Boska, łaskiś pełna i błogosławiony owoc żywota twój. Upiora widziałem.

Przez moment w szynku panowała kompletna cisza, nie licząc trzaskających iskier w palenisku oraz wiatru gwizdającego w szczelinach. Naraz wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Wrzawa podniosła się niesamowita, nie dało się rozróżnić ani słowa z tego, co ludzie wrzeszczeli.

- Martwiej, on gada? - dopytywał jeden z Rosjan, bogato odziany jegomość o wypielegnowanej szpicbródce.

- Jaki upiór, chłopie? Szaleju się naćpałeś? - Drwał Piotr bez ceregieli chwycił Jaśka za barki i potrząsnął nim mocno.

- Było, jak mówię - zachnął się grabarz, strząsając z siebie stwardniałe dłonie. - Puśćcie mnie, bo mi łeb lata jak pakuła.

- Cichajcie, ludzie - przekrzyczał tłum Jakub. - Dajcie chłopu coś powiedzieć. Wszyscy jesteśmy ciekawi, ale w tym rejuwachu nic nie usłyszymy. Gorzałki jeszcze?

Jasiek ochoczo podstawił kieliszek, wypił jednym haustem. Oczy mu się zaszklily, wziął głęboki wdech. Wreszcie doszedł do siebie, pokręcił głową na niemą propozycję dolewki. Powiódł po zebranych spojrzeniem, mimo strachu rad będąc, że wzbudził niemałe emocje.

- Siedziałem w mojej szopie za żalniku, bo musiałem kilof nareperować, co mi z trzonka odpadł. Wiecie, ziemia zmarzła, jak żem dół kopał, a w twarde przydzwonił to ino po rękach mi drganie poszło. Patrzą, a tu kilof we dwie części. Jak żem nie zaklął! Bo to nowo kupione narzędzie, co mi Marcin wykuł. Ostrze, mówię wam, porządne, że kamienie kruszy, jak ciastka, ale stylisko...

-Kilof jak złoto - zaprotestował kowal, którego słowa krytyki mocno dotknęły. - Nie moja to wina, że się z nim obchodzić nie potrafisz i drugiego tygodnia zepsułeś.

- Panowie, później będziecie swojego dochodzić. My tu o upiorze mieliśmy słuchać, nie o jakości kilofa - napomniał Hans, na co tłum ochoczo przystał.

- Racja, panie Niemiec. Jak rzekłem, reperowałem kilof w szopie, przy drzwiach zawartych, bo ziąb straszny. Ale wiecie wszak, że okno sobie ostatnio wstawiłem, prawdziwe szklane, żeby móc żalnik obserwować ze swobodą, czy się tam kto nie kręci bez potrzeby. Tak też siedzę i robię i nagle coś żem złowił okiem. Podnoszę głowę, a tam...

- Upiór z grobu wstaje! - Nie wytrzymał napięcia Jędrzej i przeżegnał się trzykrotnie.

- Ja opowiadam, czy nie ja opowiadam? To cichajcie, jeśli łaska. Podnoszę głowę, patrzą, a tam między płytami ktoś człapie. Daleko był, śnieg mocno padał to i nie widziałem wyraźnie, ale zdało mi się, że to baba. W sukni czarnej, a długiej do ziemi. Taka zgarbiona szła, jakby się za brzuch trzymała. Myślę w pierwszej chwili, że może która skrętu kiszki dostała i się ukradkiem na cmentarz załatwić poszła.

Towarzystwo parsknęło, słysząc niewybredny komentarz. Jasek zaś rozochocony wrażeniem, jakie zrobiła opowieść, podetknął Szlomowi kieliszek pod nos. Szynek narwał spirytusu, po czym ostentacyjnie odniósł flaszkę za ladę.

- Wyskoczyłem tedy z szopy, żeby psią krew zrugać za świntuszenie. Jak mnie ino tamta usłyszała, zerwała się gibko jak sarna jakaś. Nigdy nie widział, żeby kto tak żwawo nogami robił. Stoję tedy w błocie ogłupiały i nie wiem, czy gonić za babą czy wracać do ciepłego. Ale nagle widzę, że mogiła hen tam pod płotem rozkopana. Włos się na mnie zjeżył, nogi mało nie ugięły. Wpadam jak piorun do szopy, biorę za lagę, co to do odganiania psów mam, i lecę przed siebie. Dobiegam i już wiem, że to świeży dół, co ostatnio dla Jadźki Barteczkowej kopałem.

Grabież zrobił pauzę, sięgnął za pazuchę, by wyjąć drewnianą fajeczkę. Nabijając cybuch paskudnej jakości tytoniem, wodził ukradkiem wzrokiem po tłumie, który zdawało się, że lada moment imploduje. Wtem na czoło dopchnął się młody chłopak z wąsem tak lichym, że za bród nad wargą go można było wziąć przez nieuwagę. Ludzie, widząc kto to, rozstąpili się nieco.

- Co wy mówicie? - Młody padł na kolana, ręce wczepił w poły Jaśkowego płaszcza. - Co mówicie?

- Jezus Maria, Józefie przenajświętszy. - Grabież zerwał się na nogi, upuścił fajkę.

- Co wy o mojej matce? - Chłopak sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał dostać ataku apopleksji.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie...

- Kogoście widzieli? - rozdarł się młodzik, napierając na przerażonego Jaśka?

- Święć się imię twoje, nie wiem, kogom widział. Ale grób, w którym trzy dni temu twoją matkę złożyliśmy na wieczne odpoczywanie, pusty.

Nikt nie wydał z siebie nawet najcichszego westchnienia. Jedynie dziewczka służebna narobiła nieco stukotu, gdy rozłożyła się jak długa, zemdlawszy ze strachu. Nikt jednak nie zwrócił na nią uwagi, każdy bowiem wlepiął oczy w młodego Barteczkę.

- Grób pusty, trumna... Boże, zmiłuj się, otwarta. Ziemia rozkopana, a w tej ziemi ślady świeżutkie.

- Chryste Panie i co dalej? - spytał Piotr, który z emocji kompletnie już wytrzeźwiał.

- Tu zem przyleciał, mało ducha nie wyzionąłem. W życiu się tak nie bał.

Jakub Szłom wrócił za ladę, nalał do sporej szklanki piołunówki, wsadził w zmartwiałą dłoń młodzika.

- Pij, chłopcze - polecił cicho, po czym zwrócił się do gości: - Niech kto idzie po księdza Polemskiego. Tu trzeba wstawiennictwa bożego.

Trzasnęły zamykane drzwi, gdy jedna z osób pospieszyła sprowadzić duchownego. W międzyczasie elegancki Rosjanin zainteresował się leżącą bez ducha dziewczką. Ocucił ją delikatnym poklepywaniem po policzku, a gdy dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję, szlochając histerycznie, gładził po włosach i szeptał śpiewnie słowa ukojenia.

Tymczasem młody Rafał Barteczko wznosił drżącą ręką szklankę do ust, upił łyk ziołowej nalewki. Nienawykły jeszcze do mocniejszych alkoholi, zakrztusił się, lecz momentalnie się zreflektował i wychylił do dna. Jakub nalał mu kolejną porcję, w duchu równocześnie rachując straty wynikające z dobrodziejstwa. Nie miał jednak serca liczyć ani grabarzowi, ani tym bardziej chłopakowi nawet grosza, biorąc pod uwagę to, co obaj przeszli.

- Chłopcze. - Zwalisty drwał położył sękatą dłoń na ramieniu młodzika. - Przyjmij moje szczere wyrazy ubolewania nad tym, jakie nieszczęście cię spotkało. Nie chcę być tym, który to powie, ale waszą matkę należy czym prędzej wytropić i... uratować - zawahał się na moment na ostatnim słowie, nie chcąc zabrzmieć niedelikatnie.

- Racja, trzeba jej ku spokojowi jej duszy kołek wbić i głowę urznąć, a i kamień w szczęki wcisnąć, coby nikogo po nocy nie

gryzła – podniecił się Jędrzej straszliwie, ucichł jednak szybko, gdy Piotr wraził mu pięść w brzuch, odbierając dech.

Rafał pobladł wyraźnie, oczy mu mgłą zaszczyły i zdawało się, że wybuchnie płaczem.

– Aj, wy Lachy – zaczął się rosyjski dandys. – Niedelikatne, gębami kłapią. Malczik w trwodze dostatecznej, a wy go jeszcze straszyc będziecie. Wstyd!

– Nie spodziewałem się, że to kiedykolwiek powiem, ale zgadzam się z kolegą Rosjaninem – rzekł Hans, patrząc z ukosa na usiłującego złapać dech Jędrzeja. – Won za drzwi, bo żal na ciebie patrzeć.

Pomimo komitywnego współczucia, jakie wszyscy czuli względem nieszczęsnego Rafała, nie sposób jednak odmówić kłapiącemu dziobem drwalowi racji. Wszak jeśli zmarła rzeczywiście wstała z grobu, powszechnie wiadomym było, jak należało postąpić w podobnych sytuacjach. Tak okrutnym sposobem ratowało się duszę potępionej przed wieczną tułaczką.

Ludzie, bojąc się odezwać, w milczeniu oczekiwali przybycia proboszcza. Wreszcie po czasie, jaki zdawał się wiecznością, do szynku wszedł ksiądz w towarzystwie jegomościa, który po niego pobiegł oraz, ku zgrozie zebranych, Jędrzeja.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen – odparł zgodny chór głosów.

– Proszę na krzesło, księżę Krzysztofie. – Szynkarz wskazał krzesło, które właśnie dostawił blisko ognia.

– Dziękuję, Jakubie, ale postoję. Sprawa z tego, co mi zostało po drodze, jakkolwiek pobieżnie i bełkotliwie wyjaśnione, jest niezwykle poważna. Tak tedy nie mamy czasu na posiadówki.

W tłumie dało się odczuć wyraźną zmianę spowodowaną pojawieniem się charyzmatycznego duchownego. Proboszcz był wcale młody, nie miał jeszcze czterdziestu lat, choć włosy

niemal całkiem siwe. Profil ostry, jakby ptasi o orlim, cienkim nosie i wystających łukach brwiowych. Pochodził podobno ze szlacheckiej rodziny z terenów Litwy, a sposób, w jaki się nosił, zdawał się potwierdzać tę plotkę. Nikt nie wiedział, dlaczego tak światła persona sprawowała urząd wśród gęstych lasów i uroczysk Górnego Śląska. Pewnego dnia ksiądz zjawił się, by zająć stanowisko po zmarłym starym Tadeuszu Gorlitzu. Przyjechał zaprzęgiem pod ochroną dwóch żołdaków pruskich, którzy pomogli mu wypakować ciężkie, okute kufry, po czym odjechali, nie zjadłszy nawet polewki w szynku Szłoma.

- Który z was to syn Jadwigi?

- Ja, proszę księdza - wyjąkał Rafał, wstydząc się, że czuć od niego wódką.

- Mój drogi chłopcze, czy wasza matka odczyniała uroki albo parała się jakimkolwiek procederem, który ohydny jest Bogu?

- Nie, proszę księdza. W życiu! Moja mama była dobrą chrześcijanką.

- Być może. Czarów wszak nikt otwarcie nie czyni, bowiem Szatan z ukrycia jak wąż w trawie atakuje. Faktem jednak, że mogiła, do której jej szczątki doczesne złożono, jest pusta, a w tej samej chwili niemal widziano niewiastę skradającą się po cmentarzu. Nie chcę wyciągać daleko idących wniosków, niemniej w tej instancji wnioski wysuwają się same. Jednakże należy rzecz zbadać empirycznie, aby móc cokolwiek stwierdzić z absolutną pewnością. Potrzebuję kilku śmiałków, którzy zechcą towarzyszyć mi na cmentarz, by przeprowadzić oględziny.

Pierwszy zgłosił się syn potencjalnej upiorki, wcisnąwszy uprzednio pustą szklanę po pióluńcówce w rękę Jakuba. Również po nim przed szereg wystąpili Piotr oraz Hans. Reszta starała się nie rzucać w oczy. Wszyscy prócz wypielegnowanego Rosjanina. Delikatnie, acz stanowczo wyswobodził się z uścisku

rozanielonej od jego obecności dziewczki i stanął przed księdzem Krzysztofem.

- Nazywam się Grigorij Petrowicz. Pójdę z wami, mości księdzu, jeśli pozwolicie. Handluję lekarstwami, których co prawda sam nie wyrabiam, ale znam się za to niemnożko na medycynie.

- Pozwalam, pozwalam. A i was, grabarzu, zachęcam, byś się do naszej misji przyłączył.

- Jakże to? - przeraził się Morowy Jasiek. - Toć mało już zrobiłem, przepędzając upiora precz z ziemi uświęconej?

- To ja przecież przez wzgląd na waszą odwagę oraz biegłość w egzorcyzmach was proszę na ochotnika. - Uśmiechnął się chytrze ksiądz. - Jeśli się nie mylę, największe spośród tej kompanii macie doświadczenia w starciu z upiorami.

Grabarz wyglądał jak lis, którego przyłapano na gorącym uczynku w kurniku. Wodził wokół oszalałym spojrzeniem, gryzł wargi, przestępował z nogi na nogę. Odczuwał niesamowitą presję, bowiem strach przed spotkaniem z upiorem niemal paraliżował mu członki, jednocześnie zaś nie śmiał sprzeciwić się autorytetowi księdza Polemskiego. Spojrzał na duchownego błagalnie, nie znalazł w nim jednak ani śladu współczucia.

- Pójdę z wami - wymamrotał smętnie, żałując, że w ogóle podzielił się opowieścią z kimkolwiek.

- Ruszajmy zatem - zakomenderował proboszcz, zacierając ręce. - Wy, którzy zostajecie w bezpiecznym przybytku, módlcie się za nami. Nie zapomnijcie również o zmarłej, o duszę której stoczmy niebawem batalię. Nie wychodźcie bez potrzeby i zaryglujcie okna oraz drzwi.

Sześciu śmiałków opuściło szynk, wychodząc wprost w objęcia wilgotnego, wnikającego pod odzież powietrza. Zapadał już zmierzch, słońce wisiało nisko nad parawanem lasu, z którego sączył się gęsty opar mgły. Białe woal kłębił się

wyraźnie nad rzeką, wkraczając na drugi brzeg i zbliżając w kierunku zabudowań.

Ksiądz szedł dziarskim krokiem na przedzie, pochód zaś zamykał Jasiek, który skulony jak pies rozglądał się nieustannie, jakby spodziewając się zobaczyć upiora za każdym rogiem.

- Księżę proboszczu - zagaił Piotr, mnąc w dłoniach mokrą od wilgoci czapkę. - Jeśli napotkamy upiora to w jaki sposób ksiądz planuje się z nim rozprawić?

- Po pierwsze, jako sługa boży posiadam immunitet, który chroni mnie oraz moich sprzymierzeńców przed wpływem sił nieczystych. Po drugie, w tej oto torbie mam zestaw niezbędnych utensyliów, przydatnych w sytuacjach takich jak ta. Po trzecie, zatrzymajmy się na moment. Namaszczę was dla dodatkowej protekcji.

Ksiądz Krzysztof wyjął ze skórzanej torby, którą miał przewieszoną przez ramię, słoik niemal przezroczystego płynu pachnącego wodą różaną. Zanurzył w nim palec, po czym po kolei nakreślił każdemu znak krzyża na czole. Hans jako protestant nie sprawiał wrażenia zadowolonego, nie odezwał się jednak słowem. W następnej kolejności proboszcz zmówił krótką modlitwę, powierzając siebie oraz towarzyszy pod boską ochronę. Wreszcie wyjął lniane zawiniątko z hostią. Wręczył każdemu po jednej, przestrzegając, by nie zgubili.

- Trzymajcie je w kieszeni, najlepiej na piersi. Baczcie tylko, abyście jej nie pokruszyli. Spieszmy na cmentarz.

Domorośli egzorcyści pod przewodnictwem wiejskiego proboszcza wznowili mozolny marsz błotnistą ulicą, cel wędrowki mając już w zasięgu wzroku. Cmentarz mieścił się w niewielkiej odległości od małego, drewnianego kościołka, w którym odprawiał nabożeństwa ksiądz Krzysztof. Otoczony wiklinowym płotkiem z jedną tylko furtką mieścił kilkadziesiąt mogił.

Rafał Barteczko zatrzymał się, jakby osadziła go w miejscu niewidzialna siła. Widział miejsce, w którym pochowano jego matkę. Widział zwały ziemi zalegające wokół rozkopanego grobu. Dostrzegał wieko trumny odrzucone na bok. Nie mógł postąpić ani kroku naprzód.

- Odwagi, synu.

Omam nie wrzasnął, słysząc przy uchu głos księdza. Duchowny wpatrywał się uważnie w młodzieńca. Przez szyję przewieszoną miał stulę, w dłoni ścisnął Pismo Święte. Pozostała czwórka stała nieopodal, a ich postawa wyraźnie dawała do zrozumienia, że będąc u celu, stracili sporo animuszu.

- To, co idziemy uczynić, jest dla dobra twojej matki - powiedział ksiądz, patrząc Rafałowi prosto w wytrzeszczone strachem oczy. - Wiem, że nie będzie to dla ciebie łatwe, niemniej jednak twoja obecność jest koniecznością. Doceniam, że jako pierwszy zgłosiłeś się na ochotnika. Jestem pewien, że wymagało to od ciebie niemało odwagi. Wznieć ją tedy w sobie po raz wtóry.

Rafał poczuł do proboszcza gwałtowny przypływ wdzięczności, aż wzruszenie ścisnęło mu gardło. Wspomniał na zmarłą Jadwigę, przypominając sobie, jaką była dobrą, troskliwą kobietą. Urodziła tylko jego jednego. Nie wiedział z jakiego powodu, ponieważ rodzice o tym nie rozmawiali. Nigdy. Całą matczyną miłość, jaką w młodości rozplanowała na gromadkę dzieci, przelała na Rafała. Ojciec zaś zdawał się winić chłopaka za to, że nie doczekał innych dzieci. Rzadko się odzywał, a kiedy to robił, to aby wydać opryskliwie polecenie. Sytuacji w domu nie ułatwiała babka Magda, która podjudzała syna i bez ustanku napiętnowała synową. Między innymi wyrzucała jej, że prawdziwa kobieta rodzi chłopu tyle dzieci, ile ten zapragnie. Jej pozostali synowie płodzili jedno po drugim, toteż wina z pewnością nie leżała po stronie jej chłopca. To

Jadwiga musiała być jałowa jak ziemia, której nikt odłogiem przez dłuższy czas nie pozostawił.

Od śmierci matki Rafał starał się jak najmniej przebywać w domu. Ojciec nie trzeźwiał, pijąc do nieprzytomności bimber własnej roboty. Babka zaś zawodziła przed obrazem Matki Boskiej, lamentując, że syn owdowiał i żadna go już nie zechce. Przeklinała Jadwigę od wszetecznic, babilońskich dziwek na zmianę z gorliwym różańcem i wiecznym odpoczywaniem. Rafał nie potrafił wytrzymać atmosfery obłędu, jaka panowała w domu. Przesiadywał zatem w szynku, jedząc i pijąc za pieniądze skradzione z ojcowskiej skrytki w zapiecku.

- Czy zbawimy jej duszę, żeby mogła iść do Boga? - spytał cicho.

- Zrobię, co w mojej mocy. To od Boga jednak zależy, jak oceni duszę twojej matki. My musimy ją wpierv wyrwać ze szponów nieżycia. Jesteś gotów?

Chłopak skinął głową i wraz z resztą przestąpił bramę cmentarną. Szli zwartą gromadą, czujni i napięci. Jedyne ksiądz Krzysztof sprawiał wrażenie rozluźnionego. W wyciągniętej ręce niby tarczę niósł Biblię, w drugiej dzierżył ampułkę z wodą święconą. Dotarłszy nad zbezczeszczone grób, nakazał wszystkim, by zachowali czujność, sam zaś przystąpił do działania.

Skropił otwarty dół wodą, wykonując ampułką znak krzyża. Cały czas szepcząc słowa modlitwy skruszył w palach poświęconą hostię i wrzucił okruszki do zamkniętej trumny.

Rafał tymczasem ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na miejsce, w którym powinno spoczywać ciało jego matki. Wpatrywał się w ścianę kościoła, śledząc wzrokiem ściekającą z drewnianych dachówek wodę. Kropla za kroplą deszcz z roztopionym śniegiem skapywał ginąc w błocku. Kropla za kroplą.

Wreszcie proboszcz, skończywszy modlitwę, wstał z klęczek, otrzepał sutannę.

- Dobrze, panowie. Zrobiłem, co w mojej mocy, by zabezpieczyć mogiłę. Upiór musi nocować w ziemi, w której go pochowano, inaczej znacząco słabnie i naraża się na zgłodzenie. Kiedy wróci w to miejsce o brzasku, by zapaść w letarg, czeka go niespodzianka. Żaden, wybac mi obcesowość chłopcze, pomiot Lucyfera nie zdierży świeżo poświęconej ziemi.

- Wyśmienicie, wracajmy tedy do szynku - zaproponował Hans, trąc zmarznięte dłonie.

- Otóż, tego uczynić jeszcze nie możemy - ogłosił z dziwną satysfakcją w głosie proboszcz. - Musimy czuwać na cmentarzu przez całą noc i ucapić upiora w momencie, gdy tutaj powróci. Proponuję, byśmy rozsiedli się w szopie naszego naczelnego egzorcysty, skąd będziemy mieli dobrą widoczność na cmentarz.

Mężczyźni bez dalszych słów zachęty ruszyli ku schronieniu, zatrzymali się jednak, gdy ksiądz Polemski dał im znak, że jeszcze nie skończył.

- Obawiam się, że musicie zrobić coś jeszcze, nim zaznacie ciepłoty pod dachem. - Wskazał na górkę rozmokłej ziemi leżącej wokół grobu. - Aby uchronić się przed zgubnym wpływem, jaki mogą mieć czary upiora, winniście przełknąć przygarść z mogiły jego. Gлина ta posiada dwojaką moc, będąc zarówno schronieniem dla potwora, jak i poświęconą Bogu moimi modlitwami.

Towarzystwo obdarzyło księdza pełnym powątpiewania spojrzeniem, jakby oczekując, że kapłan lada chwila oznajmi, że jedynie sobie z nich dworował. Proboszcz jednakże wyglądał równie poważnie co do tej pory.

- Księżę proboszczu - zaczął niepewnie Piotr. - Czy nie ma aby innego wyjścia? Wszak mamy ze sobą eucharystię i

samiście mówili, że Bóg jest po naszej stronie dzięki wam.

- Jest inne wyjście. Możecie dać się rozszarpać upiorzycy i pójść za jej przewodem do piekła.

- Jedzenie ziemi jest bardzo niezdrowe - zauważył Grigorij, kopiąc czubkiem buta dziurę w błocie. - Murzyni wzięci w niewolę właśnie nią się napychali, by zemrzeć i nie musiec pracować u Amerykanów.

- Zgadza się, aczkolwiek nieszczęśnicy owi kilogramy piachu w siebie pchali, nim zgon ich następował. Wy zaś ledwie garść przeżuć musicie.

- A czy ksiądz zje z nami? - spytał nieco bezczelnie Morowy Jasiek.

- Ja posiadam wystarczającą protekcję Pana. Nie muszę stosować dodatkowych środków ochronnych. Wam, jeśli życie miłe, sugeruję czym prędzej brać się do jedzenia.

Towarzystwo w dalszym ciągu wyglądało na mocno sceptycznie nastawionych do pomysłu księdza. Nikomu nie uśmiechało się pakować do ust cmentarnej ziemi. Z drugiej jednak strony żaden nie chciał ryzykować ataku upiора. Skoro zaś ksiądz twierdził, że ów kontrowersyjny sposób miał działać ochronnie, nie istniał powód, by w to powątpiewać. Pierwszy po garść błota schylił się syn potępionej. Reszta z wyraźną odrazą obserwowała, jak chłopak przeżuwał trzaskającą w zębach ziemię. Raz czy dwa zdawało się, że młodzik zwróci paskudztwo, zwalczył jednak odruch, przełknął z trudem.

- Bardzo dobrze - pochwalił proboszcz. - No, panowie, nie ma na co czekać.

Mężczyźni z ociąganiem sięgnęli po ziemię. Po czasie, który wszystkim zaangażowanym w przelykanie zdawał się ciągnąć w nieskończoność, było po wszystkim. Ruszyli zatem w kierunku szopy, plując ukradkiem i dłubiąc w zębach.

Szopę Morowego Jaska nawet przy sporych chęciach i jeszcze większych pokładach wyobraźni nie dało się uznać za

przytulną, jednak w tamtej chwili zdawała się istnym pałacem. Mężczyźni rozsiedli się, gdzie mogli, strząsając wodę oraz śnieg z ubrań. Właściciel przybytku zaś wyjął z rozklekotanej komody lampę oliwną i dwie świece, by rozświetlić mroczne wnętrza. Ze smutkiem rzucił przelotnie wzrokiem na butelkę żytniówki, skrytą za słojami z farbą. Miał bowiem straszliwą ochotę się napić, jednak dzielić wódką już niekoniecznie. Uznał, że spróbuje jakoś przetrwać o suchym pysku, a jeśli sytuacja miałaby stać się nie do zniesienia, schowa gorzałkę za pazuchę i uda, że musi opróżnić pęcherz.

- Przygotujcie się do całonocnego czuwania - polecił ksiądz, rozglądając się z obrzydzeniem po szopie w poszukiwaniu czystej powierzchni, na której mógłby spocząć. - Zalecam cichą kontemplację przeplataną modlitwą. Jesteśmy tu bezpieczni, lecz bożego wstawiennictwa nigdy dość.

- Czyli upiór się tu nie wędrze? - spytał z nadzieją w głosie Hans.

- Bodaj tylko z pomocą samego Lucyfera - skwitował proboszcz, moszcząc się ostrożnie na drewnianej skrzyni. - A teraz, módlmy się.

Po niespełna godzinie nawet najbardziej pobożny z towarzystwa Piotr wyczerpał znane mu modlitwy. Rozpoczęło się zatem zniecierpliwione pochrząkiwanie, szuranie nogami, wreszcie pierwsze, nieśmiałe z początku rozmowy. Wpierw ksiądz Krzysztof zareagował świętym oburzeniem, jednak dość szybko zrejterował i włączył się do rozmowy. Nigdy by tego nie przyznał, ale medytacja nie należała do jego mocnych stron.

- Miał ksiądz kiedyś do czynienia z upiorami? - spytał Piotr.

- Nie osobiście, ale mój dawny przełożony to światowej sławy egzorcysta. Zaopiekował się w swoim czasie co najmniej setką przypadków ingerencji sił diabelskich. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem na ten temat. To wspaniały człowiek i

wielki kapłan o niezachwianej wierze - dodał z ledwie wyczuwalną zazdrością w głosie.

- Też miałem dobrego nauczyciela - westchnął Grigorij. - Z nikim nie wypłem tyle wódki, co z Miszą.

Grupa parsknęła śmiechem, ale pod karcącym spojrzeniem księdza Polemskiego umilkła jak uczniowie skarceni przez pedagoga.

- Panie Petrowicz, proszę nie umacniać panujących powszechnie, a krzywdzących stereotypów o swoim narodzie.

- Tak? A jakie to stereotypy o Rosjanach krążą po Polszy? - uniósł się wyraźnie handlarz medykamentami.

- A takie, żeście pijacy, wszetecznicy, tumany niepiśmienne, co kubłów na śmieci od szaletu odróżnić nie potrafią - wyparował bez mrugnięcia okiem ksiądz, czym zaskoczył wszystkich i niejednemu zaimponował.

Grigorij zerwał się z miejsca, na twarz i szyję wystąpiły mu czerwone plamy. Przez moment zdawało się, że rzuci się na księdza z pięściami. Opanował rządę mordy, jednak wyrzucił z siebie imponująco długą litanie rosyjskich klątw i złorzeczeń, którą zakończył soczystym splunięciem pod nogi kapłana. Następnie pchnął mocno drzwi szopy i wyszedł w mrok.

- Oto, panowie, doskonały obraz tego, jak od zarania dziejów wyglądają stosunki polsko-rosyjskie - skwitował ksiądz Krzysztof. - Nie ma się czym przejmować. Obecność wrogo nastawionego imperialisty mogła działać jedynie na niekorzyść naszego przedsięwzięcia. Nie zaprzatajmy sobie głowy nic nie znaczącym incydentem.

Nastąpiła niezręczna chwila pełna konsternacji, gdy nikt nie wiedział, jak się zachować ani co powiedzieć. Czas włókł się niemiłosiernie, pogoda za oknem robiła coraz paskudniejsza. Chmury zasłoniły księżyc, pogrążając okolicę w gęstych ciemnościach. Gdzieś w oddali dało się słyszeć przeciągłe wycia

wilka, na które odpowiedziało zwarte ujadanie psów we wsi. Rafałem wstrząsnął dreszcz, co nie umknęło uwadze Piotra.

- Nie ma się co bać. Wilcy rzadko pod okna podchodzą. Głodne muszą być, żeby je do ludzi zagnało.

- Prawda. - Ppokiwał głową Hans, skręcając papierosa. - U nas na wycinkach to inna sprawa. Nieraz się zdarza, że bestie zakradają się na skraj obozu i węszą za odpadkami. Dlatego ogień całą noc podtrzymujemy, przy którym zawsze ktoś uzbrojony siedzi, by w razie czego odstraszyć zwierzęta.

- Nic nie jest pewne - westchnął Jasiek. - Ja, dla przykładu, do dzisiaj uważałem, że robota na żalniku spokojna jest. Dół się wykopie, krzyż do ziemi wbije, czasem jaką hienę cementarną przegoni. Aż tu, widzicie, upiór ni stąd ni zowąd. Tedy, nigdy człowiek nie wie, czego się spodziewać.

Wiatr gwizdał w szczelinach, szopa trzaskała, jakby za moment miała się rozlecieć. O szybę co jakiś czas stukały ciskane podmuchami kaskady deszczu. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Równie pospolity dźwięk w obecnych okolicznościach sprawił, że siedzący w schronieniu zerwali się na nogi, krzycząc jeden przez drugiego. Nawet ksiądz Polemski wyglądał, jakby miał zasłabnąć. Drżącą ręką schwycił biblię, naciągnął krzyż na rzemieniu, tak by odgradzić się nim od istoty czekającej na progu.

- Chłopy, nie lękajcie się. - Dobiegł z zewnątrz podniesiony głos, który bez wątplenia należał do Jakuba Szłoma. - Z prowiantem zachodzę.

- Jezusie, czy to możliwe, aby upiór podstępny stosował i pod naszego Żyda się podszył?- zląkł się Piotr, żałując, że nie ma w rękach siekiery.

- Wątpliwe - odparł proboszcz. - Aczkolwiek winszuję uważności. Wejdźcie, wejdźcie!

Jakub wszedł do środka, ociekając topniejącym śniegiem. Pod pachą ścisnął spory tobolek. Położył zawiniątko na stole

zawalonym w równej mierze narzędziami, co wszelakiego rodzaju rupieciami i jał wyjmować przyniesione dobra. Dzielnny Żyd przyniósł bochenek jasnego chleba, słoje ogórków kiszonych, kilka lasek kiełbasy jałowcowej, garniec parującej jeszcze kaszy z omastą oraz dwie butelki, w których ku rozczarowaniu towarzystwa nie znajdowało się wino ani nawet piwo.

- Wody gorącej z miodem i goździkami przyniosłem. Ogrzeje jak grzaniec, a nie uśpi was tak bardzo.

- Dziękujemy i wielce doceniamy waszą pomoc. - Skłonił się lekko ksiądz, ułamując kiełbasę. - Siadacie tu z nami, czy wracacie do szynku? Jak widzicie, jednego śmiałka nam brakło, gdy cyrulik wziął się uniósł kozackim honorem.

- Widziałem go po drodze, a wściekły był taki, że deszcz na nim parował. Wracać muszę i szynk zamknąć. Dziewka przybytku pilnuje, a zbałamucona od tego zemdlenia to mi jeszcze strat narobi. Gawiedź, co to siedzi i debatuje o waszej przygodzie, do domów rozgonić trzeba.

- Przykażcie im, aby chałupy pozamykali szczelnie i nie zapomnieli o modlitwie za powodzenie przedsięwzięcia.

- Tak zrobię - obiecał Jakub. - Zjedzcie na zdrowie, a rano zanieście naczynia do szynku. I uważajcie na siebie.

Gdy tylko dobroduszny szynkarz wyszedł, zabrali się do jedzenia. Jedynie Rafał poskubał odrobinę chleba i upił łyk słodkiej wody. Zbyt martwił się tym, co miało nastąpić, gdy jego matka w upiornej postaci pojawi się o świcie na cmentarzu, jak przewidywał proboszcz. Żując pieczywo, wpatrywał się w pluchę za oknem, z trudem powstrzymując się od łez. Nie chciał, by matka błąkała się po świecie jako krwiożerczy potwór, równocześnie lękając się, co mogło ją spotkać w trakcie planowanego starcia z księdzem, który dzierżył moc nadaną od samego Boga. Dumał nad cierpieniem, jakie musiała odczuwać, błąkając się po nocy w upiornej, wyklętej od śmierci postaci.

Podniósł na moment oczy, gdy grabarz otrzepawszy kurtkę z okruszków, oznajmił, że musi wyjść za potrzebą.

- Nie oddalaj się zbyttnio - przestrzegł ksiądz Krzysztof, wyławiając ze słoja kolejnego ogórka. - Moje moce, jakkolwiek wzmożone przez Boga, mają limity.

Morowy Jasiiek przyrzekł nie oddalać się zbyttnio, po czym wymknął na zewnątrz. Drwale zajęci byli negocjowaniem, komu miał przypaść w udziale ostatni kawałek kielbasy.

Rafał drgnął, gdyż zdało mu się, że za szybą przemknął szybko jak myśl rozmyty kształt. Zsunął się z niskiej szafki, na której przycupnął, i ruszył ostrożnie w stronę okna, gdy rozpętało się istne pandemonium.

Nocną ciszę rozdarł krzyk przestachu, który przeszedł w rozedrgany, świdrujący uszy wrzask, a następnie niemożliwy do wyobrażenia wizg. W chwilę później o drzwi szopy coś uderzyło z taką mocą, że górny zawias wystrzelił jak z bombardy i drzwi obwisły smętnie, wpuszczając do środka lodowaty wiatr z deszczem. Cisza, jaka nastąpiła, zdawała się jeszcze straszniejsza niż wcześniejszy chaos.

- Co to było? Chłopy, co to, kurwa, było? - Piotr niemal wciskał się w ścianę jak najdalej od drzwi.

- Niechże ksiądz coś zrobi - wychrypiał bliski hysterii Hans.

Proboszcz tymczasem tkwił w miejscu, blady jak wapno i drżący na ciele. Mamrotał coś nieskładnie pod nosem, szarpiąc włosy na głowie.

- O Boże, to prawda? Prawdziwa prawda? O Boże...

Jedynym, który jako tako zachował zimną krew, był młody Barteczko. Sięgnął po porzuconą przez księdza biblię i siłując się przez moment z drzwiami, wyszedł na zewnątrz. Kilka kroków od progu w grząskim błocie twarzą do ziemi leżały rozszarpane zwłoki Jaśka. Nieopodal, wbita dnem do góry tkwiła flaszka po wódce. Grabarz miał rozplątane gardło tak straszliwie, że głowa ledwie trzymała się ramion. Obok zaś

walała się nieskładna masa, która okazała się być wnętrznościami, które wypłynęły z rozerwanego brzucha grabarza.

Rafał nabrał tchu, po czymzgięty w pół zwrócił treść żołądka. Tknięty dziwnym przecuciem uniósł załzawione oczy. Na cmentarzu, w otoczeniu nagrobków, odcinała się od ciemności zgarbiona sylwetka. Dwa jasno opalizujące punkty zdawały się świdrować chłopaka z oddali. Rafał zatoczył się w tył, czując, że lada moment zemdleje. Ostatnim, co zarejestrował, była trójka niedawnych towarzyszy uciekająca w panice, przewracając się jeden przez drugiego. Nim upadł obok zmasakrowanego trupa, świadomość litościwie go opuściła.

* * *

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Wtedy dostrzegł trupa grabarza i wszystko wróciło. Szorując tyłkiem po błocie, odsunął się jak najdalej. Wpadł do pustej szopy w poszukiwaniu czegokolwiek, co można użyć w charakterze broni. Chwycił gruby, owinięty na jednym końcu skórzanymi pasami kij i wybiegł na zewnątrz.

Człapiąc w błocie, ruszył w kierunku grobu matki. Nadal panowała ciemność, jednak dało się zauważyć pierwsze, nieśmiałe kosmyki jutrzeńki wychylające się zza drzew. Grób był pusty.

Czując narastającą panikę, okręcił się na pięcie, pognął szaleńczym pędem do domu. Kiedy mknął rozmokłymi ulicami, przez głowę przelatowały mu urywki wydarzeń z nocnego czuwania. Nie mógł zrozumieć, jak równie stoicki człowiek, jak ksiądz Polemski, w chwili próby uleciał jak pierwszy lepszy łachmyta. Czyżby wszystko to, co mówił, było jedynie kłamstwem i czczyimi przechwałkami?

Wreszcie stanął przed domem. Chciał wpaść do środka, zabarykadować drzwi i już nigdy, przenigdy nie wyściubić nosa

na zewnątrz. Zatrzymała go jednak lodowata groza ziejąca od chałupy. Zrazu cmentarz wydał się Rafałowi przytulny jak izba w szynku. Odrzwia były lekko uchylone, w cieniu sieni dało się dostrzec niewyraźny kształt.

W pierwszym odruchu chłopak chciał uciec. Odrzucił drewniany obuch precz i czmychnąć byle dalej. Naraz jednak opadła go tajemnicza, chłodna obojętność. Wiedział, czego się spodziewać, co zastanie w domu. Pchnął drzwi i wszedł do wyziębionej izby. Na klepisku, rozwleczonej przez niemal całą długość pomieszczenia, leżała babka Magda. Poznał, że to ona wyłącznie po kwiecistej chuście, którą zawsze nosiła na głowie. Przystąpił nad krwawą, zakrzepłą smugą, kierując się ku drugiemu pokojowi. Stał w progu, a z gardła wyrwał mu się histeryczny szloch, przypominający bardziej czknięcie.

Ojciec, rozerwany w pół, leżał na łóżku w rdzawej od krzepnącej krwi pościeli. Twarz zastygła w groteskowym grymasie przerażenia i bólu. W nogach łóżka zaś siedziała matka. Miała na sobie ubranie, w którym ją pochowali, teraz ubrudzone i mokre. Wyglądała zupełnie normalnie, nie licząc zakrwawionych dłoni i ust. Podniosła na syna oczy blade jak światło księżycy i w tej samej chwili chłopak zrozumiał, że musi oszaleć. Po tym, co zobaczył, nie można wrócić do życia. Załkał przez ściśnięte gardło z dłonią przytkniętą do ust. Postać na łóżku uniosła się powoli, jakby bała się spłoszyć młodzieńca. Na zakrwawionej twarzy odmalowała się rozpacz, zagubienie i matczyzna troska.

- Synku mój - wycharczała Jadwiga straszonym, złym głosem, którego nikt żyjący nie powinien słuchać. - Ja nie chciałam. Synku, taka byłam głodna. Taka głodna.

Chłopak wzniosł oczy ku powale, witając wzbierającą falę obłędu jak zbawienie. Upiorzyca zaś przeniosła wzrok ku oknu, zza którego widać było jaśniejące coraz bardziej niebo. Szurając nogami po brudnej podłodze, podeszła do swojego

dziecka, wyciągnęła lepkie od posoki ręce. Musnęła policzki chłopca delikatnie, pieścotliwie, z czułością. Objęła sztywne, obojętne na dotyk ciało. Ta maleńka, migocząca jak płomyk zapałki w sztormie część jej jaźni, która wciąż była człowiecza, wyła właśnie z rozpacz. Słońce zaczęło z wolna wspinać się po nieboskłonie, niemal wychynęło zza linii drzew.

Tytanicznym wysiłkiem Jadwiga oderwała się od syna, spojrzała mu w twarz po raz ostatni, po czym wyszła na zewnątrz. Instynktownie wiedząc, co się miało stać w chwili, gdy słońce wszędzie, przywitała tę myśl. Była gotowa.

Więzy krwi

Leśne bagna uzbrojone w wyłysiałe, obrośnięte mchem i porostami kikuty drzew, skrywały liczne tajemnice, o jakich zwykli ludzie lękali się rozprawiać. Ściszonymi głosami mówili o grasujących rozmokłymi ścieżkami istotach, które winny zamieszkiwać li tylko opowieści oraz świat wydumany. Niewielu odważyło się zapuszczać na moczary, które zajmowały sporą połąć Radkowej Kępy na zachód od Swarżyc. Dawniej to przez podmokłe tereny właśnie wiodła najkrótsza droga, którą można było dotrzeć do głównego duktu prowadzącego do Wrocławia. Bez liku jednak podróżnych przepadło bez wieści wśród duszących oparów i zgniłych mgieł, toteż wytyczono i wykarczowano nowe ścieżki. Ścieżki okrężne, szerokim łukiem omijające przekłete bagnisko, które obwołano Dusznicą.

Ludzie powiadali, że nie sposób tamtędy przejść, by nie uświadczyc choćby potępieńczego zawodzenia w oddali. Inni zaś twierdzili, że upiory i strachy dawno już opuściły te ziemie, nad którymi od kilku wieków Chrystus sprawował opiekę. Należało zatem wyrwać bogate bagna z objęć zabobonu oraz dawnych bogów. Większość jednak, niezależnie od tego, jak mocno wierzyła w protekcję jesusową i wstawiennictwo świętych, nie zapuszczała się na moczary.

Z dawien dawna Swarżyczanie korzystali z dobrodziejstw mokradeł, wykopując torf, z którego następnie wypalali w specjalnych piecach żelazo na narzędzia i broń. Z biegiem lat jednak wyprawy te stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie jedynie najdzielniejsi czy też tacy, którzy nie mieli innego

wyjścia, trudnili się zbieraniem cennych brył. Wśród tych drugich znajdował się młody Karol, którego przezywano Dzięgiel. Chłopiec wciąż jeszcze puch miał na twarzy zamiast porządnego zarostu, a na Dusznicę po torf zachodził od lat istic szczenięcych. Ojciec jego, który tym samym trudnił się zajęciem, przekazał synowi wszystko, co wiedział na temat użytkowania i eksploatacji skarbu moczarów. Pech chciał, że też i żywicielka rodziny odebrała Karolowemu ojcu życie. Przepadł w tajemniczych okolicznościach podczas jednej z wypraw i nikt go więcej nie widział. Złośliwi powiadali, że związał się z babą wodną, która powabniejsza mu się zdała niż jego Alina.

Tak czy inaczej, młody Dzięgiel jako jeden z ostatnich Swarożyczan zapuszczał się na spowite nitkami mgły lesiste łąki, brodził w płycznach z łopatą zarzuconą na ramię i przerzucał ziemię w poszukiwaniu cennego złoza. Rzecz jasna słyszał legendy oraz opowieści o Dusznicy, lękał się sławy tego miejsca, jednak nie potrafił nic innego jak kopać torf, a do głowy mu nie przyszło, by spróbować nająć się do innego zajęcia. Wszak jego przodkowie, odkąd tylko osiedli na dalekim południu kraju, gdzie przybyli z gęsto zalesionego wschodu, zawsze kopali. Nikt w jego rodzinie nie przejawiał ambicji, by zmienić branżę, zatem Karol nie zamierzał się wyłamywać. Wolał już kilka godzin dziennie nieustannego strachu, niż prawdziwie mrozący krew w żyłach lęk przed nieznanym.

W trakcie częstych ekspedycji zdarzało się młodemu Dzięgielowi słyszeć niepokojące dźwięki i szelesty dolatujące z odległości o wiele bliższej niżby sobie tego życzył. Kilka razy zdało mu się również, że widział coś przekradającego się w oparze. Ani razu jednak nie spotkał się z siłami czy istotami, które rzekomo zamieszkiwały Dusznicę. Na wszelki jednak wypadek wędrował jedynie obrzeżami bagien po dobrze sobie znanych ścieżkach. Co prawda obszar, który Karol pojmował

jako obrzeża, dla niejednego stanowił niemal serce przekłętego uroczyska. W kilku strategicznych miejscach chłopak rozlokował niewysokie, własnoręcznie sklecone daszki na słupkach, pod którymi suszył torf. Dzięki temu nie musiał codziennie taszczyć ciężkich zdobyczy do chaty. Wystarczyło co kilka dni zająć z taczką.

Tamtego dnia maszerował jak zwykle w kierunku Perunowej Niecki, jak nazywał w myślach miejsce, które wyglądało, jak gdyby potężny grom ugodził prosto w ziemię, zostawiając jej sporą połąć permanentnie osmaloną. Niecka miała jakieś dwadzieścia metrów średnicy i wydawała się niemal idealnie okrągła. Karol zmajstrował tam jedną z suszarni. Nie czuł się najlepiej, bowiem odkąd tylko zanurzył się między drzewa, ciężko mu się oddychało, musiał kilkakrotnie przystawać na odpoczynek. Coś podobnego nigdy mu się nie zdarzyło. Był silnym, wytrzymałym młodzieńcem, toteż nagła słabość przyprawiła go o niepokój. W czasie drugiego postoju dumiał nawet nad powrotem do chaty, jednak szybko porzucił tę myśl, niechybnie spowodowaną lenistwem. Wznovił marsz, niemniej zarówno bezdech, jak i nasilający się niepokój nie opuszczały go przez całą drogę do Perunowej Niecki.

Wreszcie dotarł na miejsce. Usiadł na spalonej ziemi tuż obok suszarni. Zajrzał pod daszek, gdzie wszystko było w jak najlepszym porządku. Torf schnął równomiernie, pachniał coraz słabiej ziemią, toteż Karol ocenił że jutro, najdalej pojutrze będzie mógł wrócić z taczką. Dziegiel wszedł w układ z kowalem ze Swarożyc, któremu sprzedawał sporą część żelaza, które udawało mu się pozyskać. Kowal z jakiegoś powodu preferował żelazo z bagien nad to, które drążono w górach.

Młody drgnął nagle, a ucisk w piersi wzmógł się chwilowo, tak że Karol nie mógł złapać tchu. Zerwał się, ścisnął łopate mocniej w garści. Tuż na granicy spalonej ziemi stała kobieta. Wpatrywała się w młodego Dziegiela, a jej długie, choć rzadkie

włosy strąkami powiewały na nikłym wietrze, przesłaniając twarz. W ramionach ścisnęła zawiniątko z brudnego materiału, które nagle poruszyło się, zakwiliło.

Karol bez namysłu rzucił do ucieczki.

* * *

Paweł Swoboda siedział przed chatą, z wnętrza której dolatywały nieustanne krzyki oraz klątwy, którymi ciskano głównie w jego kierunku. Puszczając obelgi oraz niepochlebne epitety mimo uszu, uniósł do ust gliniany kubek wypełniony podpiwką. Paweł chlubił się tym, że nie pijał alkoholu. Pochodził z rodziny o wielopokoleniowych tradycjach upadlania się winem, miodem pitnym oraz innymi wyszukanymi trunkami. Jego dziadowie przepuszczali majątki, by ugasić niezaspokojone pragnienie. Paweł, przyglądając się upadkowi dziadka oraz ojca, obiecywał sobie nigdy nie dopuścić do tego, by skończyć jak oni. Dlatego też w młodym wieku przyjął się na naukę do mistrza kowalstwa. Wiedział bowiem, że konkretny, opłacalny fach w ręku stanowił jeden z filarów udanego życia. Dodatkowo kowal zawsze mógł liczyć na zajęcie, więc miał o wiele mniej czasu na krotchwile.

Z wyrazem dogłębnego zamyślenia na twarzy usiłował wyjąć muchę, która wpadła do kubka. Owad rozpaczliwie machał mokrymi skrzydełkami, usiłując wzbić się w powietrze, byle dalej od śmiertelnej topieli. Tymczasem im zacieklej walczył o życie, tym szybciej z niego uciekało. Aż wreszcie, ku niezmiernej uldze Pawła, mucha wyzionęła ducha i dała się w końcu chwycić. Kowal pstryknął utopionym owadem w stronę małych rosnących przy wejściu do chaty.

Spojrzał wzdłuż ubitej drogi, która wiodła do serca Swarożyc. Od strony wsi ktoś nadchodził. Dom oraz przylegająca doń kuźnia stały na uboczu, na samym skraju osady tuż przy mateczniku Radkowej Kępy. Paweł lubił ciszę i

spokój, jakie zapewniało sąsiedztwo przyrody. Dodatkowo dzięki oddaleniu od ludzkich sadyb nie musiał opędzać się przez pół dnia od ciekawskich dzieci oraz fachowców wszelkiej maści, którzy nieustannie plątali się po jego dawnej kuźni. Nie był zbyt rozmownym człowiekiem i cenił sobie samotność do spółki z milczeniem, jakie gwarantowała. Dlatego też widząc nadciągającego gościa westchnął przeciągle, wiedząc, że łatwo nie wykpi się od rozmowy. Zwłaszcza, że wszyscy we wsi wiedzieli, że jego Urszula miała wkrótce urodzić dziecko.

Gość dotarł wreszcie i sapiąc nieco po wspinaczce na niewielkie wzniesienie, pozdrowił Pawła uniesieniem dłoni, drugą opierając się o niewysoki płotek z wikliny, którym otoczone zostały grządki z warzywami i zielnik.

- Szczęść Boże - przywitał się nieco bardziej oschle niż zamierzał kowal. - Co też księdza proboszcza sprowadza?

- Żona rodzi? - wydyszał duchowny, łapiąc wreszcie oddech.

- Rodzi.

- Długo?

- Długo.

- Siąść mogę?

- Mogę. - Kowal zrobił nieco miejsca obok siebie.

- Piwem poczęstujesz?

- Przecież nie piję. Podpiwka nalać mogę.

Ksiądz skrzywił się z niesmakiem, po czym wyjął zza pazuchy niewielki gąsiorek opleciony ładnie garbowaną skórą. Pociągnął solidnie, twarz ponownie wykrzywił mu grymas, nieco innej jednak natury.

- Tak, mój drogi - rzekł, poufale wpatrując się w Pawła. - Nasza Urszulka rodzić poczęła. Dziecko na świat powije lada moment. Jak ty się z tym czujesz, powiedz no mnie.

Paweł aż zgrzytnął zębami, tak bardzo nie miał ochoty na rozmowę. Mimo to jednak nie mógł po prostu zbyć proboszcza

milczeniem. Z doświadczenia wiedział, że taka taktyka nie przynosiła oczekiwanego rezultatu.

- Syna się spodziewam - burknął, ledwie rozchylając wargi.

- No tak, no tak. - Pokiwał w zadumie głową ksiądz. - Chwali się to, syna mieć. Zwłaszcza w takim zawodzie jak twój, gdzie fach wraz z dobrodziejstwem inwentarza przekazać można. A, widzę po tobie, że tak sobie właśnie umyśliłeś począć. Zaprawdę, Pawełku, łebski z ciebie chłop, choć mruk straszny.

- Nie jestem żaden chłop - obruszył się kowal.

- Toć wiem i dworuję sobie z ciebie. Nie ma potrzeby, abyś mnie tak świdrował spojrzeniem. Wiedz, że nie lękam się ciebie, podobnie jak święty Sebastian nie zadrżał nawet, gdy go wiązano do drzewa.

- Mów, proszę, co tu robisz.

Ksiądz spojrział na Pawła z nieudawanym zdziwieniem. Pociągnął kolejny łyk gorzałki, schował naczynie za pazuchę.

- Czy to aż tak dziwne i niemiłe tobie, że do własnej siostry, która lada moment, wnioskując po jej krzykach, urodzi mi, miejmy nadzieję, siostrzeńca? Zaiste, Pawle, to tak doniosły dzień, że nie powinienes się dziwić mojej obecności.

- Skąd wiedziałeś, że to dzisiaj?

- Małą jesteśmy społecznością, kochany mój, wieści się szybko roznoszą. A duchowny wie o wszystkim, co się w jego trzodzie dzieje.

Mężczyźni przez chwilę siedzieli w milczeniu. O ciszy nie było mowy, bowiem Urszula dawała prawdziwy popis zarówno repertuarem klątw, jak i modlitw, które wdzięcznie, choć iście plugawie przeplatała ze sobą.

- Wybraliście już imiona? - zagaił po chwili proboszcz. - Zdaję sobie sprawę, że niewiele mam w tej kwestii do powiedzenia, niemniej Lucjusz to zacne miano, które każdy

mąż z dumą winien nosić. Znaczy ono, w języku naszego Pana, dziecię brzasku.

- Mój syn nie będzie miał imienia po tobie - uciął temat Paweł, zerkając na szwagra z ukosa.

- Nie widzę w tym niczego zdroźnego. Niemniej, jak sobie życzysz. Obyś go tylko nie ochrzcił pogańskim imieniem. Już kilka razy musiałem wybić z głowy ludziom Wojmirów i innych Sieciechów. Ech, za mało mamy we wsi Michałów, Piotrów czy Grzegorzów. Trzysta lat po tym, gdy wielki, choć przechrzta, Mieszko wyprowadził nasz kraj z ciemnoty, a nasi dalej kultywują zabobon i nadają dzieciom imiona bezbożne.

Paweł zmełł w ustach przekleństwo. Nie miał zamiaru dzielić się tą informacją ze szwagrem, jednak jemu, a także Urszuli, podobały się tradycyjne imiona i nie widzieli w nich niczego złego. Mało tego, Paweł uważał chrzest za zbędny, bowiem w skrytości ducha nie wyznawał wiary w żadnych bogów ani starych, ani tych nowych, ale tym nie zamierzał się dzielić z nikim. Nawet na torturach.

- Słyszysz? - zagaił nagle podnieconym tonem Lucjusz. - Lamenty ustały. Pójdźmy sprawdzić.

Nim mężczyźni zdążyli wstać, w ościeżnicy pojawiła się położna. Wycierając ręce w poplamiony krwią fartuch, skinęła, że mogą wejść do środka.

Urszula leżała w łóżku wśród zakrwawionych prześcieradeł, a na jej piersi spoczywało maleńkie, pomarszczone na nieco spłaszczonej twarzy niemowlę. Oserek ze spokojem wpatrywał się w matkę, od czasu do czasu wykrzywiając twarzyczkę w niekontrolowanym grymasie. Paweł ze ściśniętym wzruszeniem gardłem podszedł ostrożnie do żony, ucałował czule, po czym pochylił się nad dzieckiem. Jeden rzut oka wystarczył, by serce się w nim uradowało. Uwadze Urszuli nie umknęło, na co zerkał Paweł.

- Tak, tak - wychrypiała, bowiem głos miała mocno zdarty od krzyków. - Mamy syna, jak chciałeś.

- Mamy syna - powtórzył głucho kował, czując, jak słowa z trudem znajdują ujście. - Czy mogę go potrzymać?

Przejął maleństwo od żony, uważając, by nie zrobić mu krzywdy. Instynktownie ujął niemowlę w taki sposób, by podtrzymać główkę. Przypatrzył się dziecku, śledząc każdy detal uważnie. Niebieskie, niemal błękitne oczy, meszek jasnych włosów zlepiony krwią i śluzem, bezzębne dziąsła w szerokich ustach. Patrzył na to wszystko i czuł, jak rośnie w nim owa tajemnicza miłość, której nie pojmie nikt, kto nie trzymał w ramionach swego nowo narodzonego dziecka.

- Mały Lucjusz, jaki podobny do wujka.

Ksiądz proboszcz nachylił się Pawłowi przez ramię i z zachwytem wodził po maleństwie oczyma.

- Jaki Lucjusz? - Urszula podciągnęła się w łóżku, wyciągając ręce po dziecko. - Czy ja o czymś nie wiem?

- Twój brat bredzi - skwitował Paweł, oddając żonie syna. - Ubzdurał sobie, żeby małego nazwać po chrześcijańsku.

- Panowie - ucięła dalsze dyskusje położna. - Zostawcie mnie z matką na chwilę. Musimy umyć i ją, i dziecko. A nie przystoi, by dwóch mężczyzn na to patrzyło - dodała, patrząc wymownie na Lucjusza.

* * *

Dni mijały świeżo upieczonym rodzicom nad wyraz szybko. Nic jednak dziwnego, bowiem każdy niemal wyglądał tak samo, a składał się z karmienia, przewijania niemowlęcia oraz usypiania go, co nie było wcale łatwym przedsięwzięciem. Mały Konrad, jak w końcu zdecydowali się go nazwać Paweł z Urszulą, okazał się być żywym i ciekawskim dzieckiem. Kiedy tylko złowił wzrokiem któregoś z rodziców, momentalnie zaczynał parskać i miotać się, by zwrócić na siebie uwagę. Po

dość krótkim czasie Paweł z ulgą wypatrywał chwil, które spędzał na pracy w kuźni. Tłuczenie młotem rozgrzanego do białości metalu przynosiło mu ukojenie i pozwalało cieszyć się spokojem.

Rzecz jasna i na kuźni zdarzały się incydenty jak wtedy, gdy szwagier proboszcz dowiedział się, jakim imieniem postanowiono ochrzcić jego siostrzeńca.

- Nie dość, że miano na wskroś germańskie. - Załamywał ręce Lucjusz. - To w dodatku nosi je ten safandula i zdrajca narodu ksiązę krakowski. Niech mu ziemia lekką będzie, albowiem noszenie w sercu urazy jest grzechem nie mniejszym niż zabójstwo.

- Postanowiliśmy z Urszulą i zdania nie zmienimy. - Paweł wymownie zaplótł węzłaste ramiona na szerokiej piersi. - Już raz powiedziałem, że nic ci do tego, jak małemu na imię.

- W takim razie chrztu nie udzielę.

- Coś powiedział? - Kowal upuścił z powrotem w płomień kawał żelaza, z którego miał zamiar wykuć lemiesz do pług.

- Sumienie by mi nie pozwoliło. - Lucjusz wyraźnie stracił na animuszu, głos mu drżał i cofnął się o kilka kroków przed szykującym się do natarcia szwagrem.

- Jakie sumienie? Dziecku odmawiasz chrztu i mówisz o sumieniu? A, zejdz mi z oczu, bo patrzeć na ciebie nie mogę.

- Pawełku, no nie bądź taki. Wymsknęło mi się nieopatrznie. W złości powiedziałem, nie miałem nic złego na myśli. Przecież wiesz dobrze, że własnemu krewniakowi w życiu bym nie odmówił sakramentu. Ba, nawet i Saracenowi, gdyby po rozum do głowy poszedł, na wiarę we właściwego Boga nawrócił i chrzest zechciał przyjąć, nie odmówiłbym, bo taki mój kapłański obowiązek.

Paweł ukrył twarz w dłoniach na moment, by nie patrzeć na szwagra. Czuł bowiem, że lada chwila i mógłby popełnić grzech ciężki. Ksiądz niestety opacznie musiał zrozumieć gest kowala,

bowiem podszedł do niego z wyraźnie odzyskaną śmiałością i przygarnął do miękkiej piersi po ojcowsku.

- No już, nie frasuj się tak. Wiem, że stosunki między nami nie są takie, jak być powinny między dwoma braćmi, niemniej mamy całe życie, aby to naprawić.

Paweł powściągliwie, acz stanowczo odepchnął proboszcza.

- Idź do Urszuli i z nią się dogadaj, kiedy chce ochrzcić Konrada. Mam robotę do skończenia.

Lucjusz przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, jednak bezbłędnie wyczytał z postawy szwagra to, czego ten nie chciał powiedzieć wprost. Uniósł zatem rękę w niemym geście pożegnania i wyszedł z kuźni.

Długo jednak Paweł nie nacieszył się spokojem. Do nagrzanego wnętrza wsunął się bezszelestnie Karol Dzięgiel. Chłopiec wyglądał, jakby nie spał od kilku nocy. Twarz miał bladą, oczy podkrążone i dziwnie rozbiegane. Paweł drgnął niespokojnie, nie chcąc jednak zdradzić się przed młodzikiem tym, że go przestraszył, zaraz nastroszył się w udawanym gniewie.

- Gdzieś wałkonіл? Dwa dni temu miałeś zająć z dostawą. Już myślałem, że będę musiał albo jechać pod Kraków, albo uszczuplić zapasy dobrego żelaza od Duńczyków.

- Panie Pawle, przyszedłem przeprosić, bo ja nie mam żelaza - wymamrotał chłopak, unikając patrzenia kowalowi w oczy. - Byłem w Dusznicy i już prawie zebrałem torf, ale potem ją zobaczyłem i... uciekłem, proszę pana. Ja tam już chyba nie wrócę. Niech zdechnę z głodu, co mi zależy, ale nie wrócę. Jak ją jeszcze raz zobaczę...

Paweł nie sływał z delikatności, ale doskonale zrozumiał, że chłopak był śmiertelnie przestraszony i należało się z nim obejść w miarę delikatnie. Pomógł zatem Karolowi usiąść na trójnogim zydlu, podał mu kubek zimnej wody, którą zawsze trzymał w kamionkowej butelce, kiedy pracował. Zanim też

usiadł, wyjął z pieca żelazo, które zdążyło się tak rozgrzać, że niemal zaczęło topnieć.

- Mów, coś widział.

- Kiedy nie wiem. Panie Pawle, tylko przez chwilę ją widziałem, tam na bagnach była, gdzie ziemia jakby spalona od lat. Stała na skraju przecinki, tuż przy granicy drzew, i patrzyła na mnie. Ale tak, że całą odwagę ze mnie wyciągnęło. Wie pan, że nie jestem z tych, co skaczą na widok własnego cienia, ale...

Chłopak umilkł świadom, że mógł powiedzieć zbyt wiele. Że prawdopodobnie wystawił się na pośmiewisko. Tymczasem Paweł wyjął ze zmartwiałych palców kubek nalał wody i sam upił kilka tęgich łyków.

- Kogoś widział? Co to za kobieta?

- A bo ja wiem? Straszna. Chuda taka, a wysoka, by chłop na koniu.

- Może jaką babę, co z zarazy się zratowała widział? Widziałeś kiedy, jak ludzie od choroby potrafią zeszeptnieć? Nie widziałeś. Powiadam ci, że od takiego widoku sen może człowiekowi na dobrych kilka nocy odejść.

- Może i tak było, że widziałem jaką biedną duszę, a uciekłem jak ostatni tchórz, miał pomóc. Spytać choćby, czy głodna nie była.

- Nie frasuj się. Każdemu się zdarzyć mogło.

- Dziękuję, panie Pawle. A za torf to przepraszam, ale naprawdę nie wiem, czy kiedy wrócę na Dusznicę.

- Nie szkodzi. - Machnął ręką kowal. - Poszukam innego dostawcy, a zapasów mam jeszcze dość, żeby zrobić kilka robót.

Karol już w drzwiach odwrócił się na moment, a Paweł znów drgnął, widząc nieludzki wręcz strach zakorzeniony głęboko w oczach młodego.

- Wie pan, co było najgorsze, co mnie cały czas prześladowe? Ona miała w ramionach tobolek. A z tego tobołka dolatywał

płacz dziecka. Ale taki płacz, jakiego w życiu nie słyszałem. I mam nadzieję, że już nigdy nie usłyszę.

* * *

Urszula dogadała się z bratem co do daty chrztu. Paweł i Lucjusz boczyli się na siebie przez jakiś czas, przeszło im jednak i wrócili do dawnego schematu relacji, w którym kowal udawał mrukliwego marudę, a ksiądz skakał wokół niego jak nadpobudliwe szczenię.

Małeńki Konrad rósł nad podziw szybko, co w pierwszej chwili napawało rodziców radością. Dość szybko jednak okazało się, że nie wszystko z dzieckiem w porządku. Pierwszym, na co Urszula z Pawłem zwrócili uwagę, były oczy chłopca. Tuż po urodzeniu, jak wszystkie dzieci, Konrad miał oczy w kolorze bławatków. Natomiast z biegiem czasu jedno stało się zupełnie czarne, tak że nie dało się w nim dostrzec ani śladu źrenicy, drugie zaś zzieleniało jak soczysta wiosenna trawa. Wkrótce jednak nie tylko kolor oczu dziecka wzbudzać zaczął niepokój. Konrad stawał się bowiem nieforemny. Głowa urosła mu nieproporcjonalnie duża i jakby stożkowata, ręce miał długie i chude, a nogi zaś krótkie i krzywe. Jakby tego nie starczyło, gdy skończył roczek, wyrosły mu pierwsze zęby, które przypominały bardziej kły żbika niż mleczaki.

Wygląd dziecka sprawił, że Paweł niechętnie zajmował się synem, ani pokazywał z nim we wsi. Nie mówił o tym głośno, ale winę za upośledzenie fizyczne Konrada zepchnął na żonę i jej rodzinę. Nie dopuszczał do siebie możliwości, aby to od niego chłopiec mógł przejąć nieszczęsne, niemiłe dla oka cechy.

Lucjusz z kolei przekonany był, że winę za podobny stan rzeczy ponosiła zbytnia opieszałość rodziców w ochrzczeniu dziecka. Twierdził, o czym zwykł głośno i dobitnie przypominać Pawłowi i Urszuli, że należało małego zanieść do kościoła tuż po porodzie. Perorował, że po niegodziwym świecie wszelkie

piekielne plugastwo się tułało, czekając, by wniknąć w ciało i duszę niewinnych istot, niezdolnych bronić się przed złowrogą mocą sługusów Lucyfera. Nie odwrócił się jednak od siostrzeńca, a wręcz przeciwnie. Postanowił otoczyć dziecko opieką zarówno kapłańską, jak i rodzinną, tak by mały Konrad nie czuł się odrzucony i niechciany.

- Nie możesz pozwolić, by twój syn cierpiał ze względu na coś, co w żaden sposób nie jest jego winą - powiedział któregoś dnia Urszuli.

Paweł pracował, jak zresztą niemal każdego dnia od chwili, gdy Konrad przejawiał pierwsze oznaki nienormalności, toteż nie był świadkiem tej rozmowy. Ksiądz zaszedł do siostry, wiedząc, że ta cierpiała w dwojaki sposób. Bólu przysparzało jej zarówno nieszczęście związane z urodzeniem niepełnosprawnego dziecka, jak i to że jej mąż oddalał się od niego, nie kryjąc się nawet ze swymi uczuciami względem syna.

- Jestem pewien, że Paweł nauczy się go kochać - mówił dalej Lucjusz. - Brakuje mu ogłady, to prawda, ale nie jest złym człowiekiem. Ty też o tym wiesz, inaczej byś za niego nie wyszła.

- Ludzie się zmieniają - westchnęła Urszula. - Nie mieszkasz z nim, braciszku, nie wiesz, jak to jest. On prawie nie patrzy na Konrada. Dwa dni temu wyszłam na moment tylko po to, by przynieść trochę ziół z ogródka, a gdy wróciłam, mały płakał wniebogłosey. Czy wiesz, co zrobił Paweł, by go uspokoić? Stał nad kołyską i po prostu patrzył, a w twarzy miał takie coś, że bałam się, że...

Kobieta spuściła wzrok, otarła cisnące się do oczy łzy. Następnie spojrzała w kierunku uplecionego z wikliny i łożin łóżeczka, w której spał syn. Brzydkie, pokraczne dziecko, które nie miało najmniejszych szans na przeżycie w świecie, w którym każdy przejaw inności wiązano z siłami zła.

- Nie sposób zmusić człowieka do pokochania kogoś - odezwał się po dłuższej chwili Lucjusz. - Paweł sam musi dojrzeć do tego, by zrozumieć, że Konrad jest jego synem. Wierzę w to, że któregoś dnia tak się właśnie stanie. Twój mąż nie jest złym człowiekiem.

- Bracie. - Urszula pogłaskała księdza do policzku. - Mój mąż nienawidzi naszego dziecka, ponieważ jest zdeformowane. Paweł oczekiwał zdrowego syna, którego mógłby uczyć, jak stać się twardym i zaradnym. Tymczasem nie wiemy jeszcze, czy Konrad jest... Nie wiemy, czy będzie normalnym dzieckiem.

- Musisz mieć wiarę. - Lucjusz uśmiechnął się smutno. - Nie wolno ci się poddać. Ktoś wszakże musi kochać to biedne dziecko.

* * *

Umysłowo Konrad rozwijał się nad podziw dobrze. Potrafił mówić pełnymi zdaniami, mając niespełna dwa lata. Uczył się szybko i wiele zapamiętywał. Wnet okazało się, że pod względem intelektu przewyższał większość dzieci w swym wieku. Niestety, ułomność cielesna sprawiała, że rodzicom ciężiej było cieszyć się z inteligencji syna. Bowiem im Konrad robił się starszy, tym dysproporcjonalność jego ciała mocniej rzucała się w oczy. Wielka głowa pokryta plackami lichych włosów sterczała jak groteskowe jajo na cienkiej szyi, wyrastającej z krzywych ramion. Ręce dziecka były tak długie, że zdawało się, że chłopiec winien powłóczyć nimi za sobą, gdy kroczył na pałakowatych nogach. Kły, które objawiły się u niego we wczesnym okresie niemowlęctwa, uwydatniły się z wiekiem, tak że mowa Konrada stała się nieco niewyraźna i trudno mu przychodziło artykułować niektóre słowa. Sytuacji w żaden sposób także nie poprawiały oczy chłopca. Jedno zdawało się martwe i nieruchome, drugie niepokojąco i jadowniczo zielone nieustannie poruszało się, jakby czegoś szukając.

Mieszkańcy Swarozyc wytykali dziecko palcami i śmiali się z niego, jednocześnie bojąc się inności oraz dziękując Bogu, że to ich opatrność nie pokarała czymś podobnym. Urszula pozornie nic sobie z kpin nie robiła. Jak tylko mogła, starała się chronić syna. Wychowywała Konrada w przekonaniu, że niczym nie różnił się od innych chłopców z wioski. Ani jej syn, ani tym bardziej ona nie wierzyła w kłamstwa, jakimi w dobrej wierze go karmiła. Najgorzej jednak sytuację znosił Paweł. Oddawał się pracy z chorobliwym zapałem, całe dnie spędzając na kuźni. Kiedy nie pracował, przesiadywał na obrzeżach lasu, popijając okowitę własnej produkcji. Nieszczęśliwe ojcostwo bowiem przyczyniło się do tego, że stroniący do tej pory od alkoholu Paweł zaczął coraz częściej zaglądać do szklanki.

* * *

Lata mijały, a sytuacja w domu Konrada nie ulegała poprawie. Małżonkowie niemal zupełnie ze sobą nie rozmawiali, relacje z sąsiadami umarły śmiercią naturalną. Jediną osobą, która jeszcze odwiedzała chatę na skraju lasu, był Lucjusz, który przez wszystkie lata kpin, niezrażony zachodził do siostrzeńca. Nauczył chłopca czytać oraz pisać, wyuczył katechizmu tak, że Konrad potrafił recytować modlitwy i ustępy z pamięci. Zaszczepił w chłopcu ciekawość świata oraz głód wiedzy, a dzięki książkom mały Konrad mógł oderwać się od monotonii i marazmu Swarozyc. Czytał żywoty świętych, romanse, a nawet dzieła arabskich uczonych, na które kościół katolicki spoglądał coraz mniej życzliwym wzrokiem. Wuj proboszcz uważał jednak, że chęć pobierania nauki winna stać ponad podziałami, które dzieliły świat chrześcijański od muzułmańskiego.

Konrad, oprócz literatury, ukochał również przyrodę. Wychował się u bram jednego z największych mateczników w Polsce, co z pewnością wpłynęło na upodobania chłopca. Tak czy inaczej, leśne wędrówki stanowiły jedno z jego ulubionych

zajęć. W borze nikt nie wytykał go palcami, nie śmiał się, ani nie wzdragał na jego widok. Wśród gęstego poszycia i prastarych drzew czuł się maluczki, nic nie znaczący i czuł się z tym dobrze. Skoro on był niczym w porównaniu do ogromu natury, to również i jego szpetota nie miała najmniejszego znaczenia.

* * *

Ksiądz Lucjusz, którego kilka niespełna lat znacznie nadwątlilo, zwał się ciężko na ławkę stojącą w ogrodzie na tyłach kościoła. Laskę z polerowanego drewna, bez której od dłuższego już czasu nie ruszał się z domu, położył na udach i westchnął ciężko, chłonąc przyjemnie chłodne powietrze. Zima wyniosła się precz, jednak wiosny nie było jeszcze widać na horyzoncie, w efekcie panował lekki chłód okraszony pięknymi promieniami słońca. Proboszcz patrzył na jabłonie i śliwy upstrzone maleńkimi niby ziarna maku zaczątkami pączków, z których niebawem miały rozwinąć się liście.

Czekał na siostrzeńca, który ze względu na stan zdrowia Lucjusza coraz częściej przychodził po nauki na plebanię. Wpierw Urszula sprzeciwiała się temu, aby jej i tak już wyszydzone dziecko narażało się na dalsze kpiny, chodząc do wsi, jednak Lucjusz uważał, że obcowanie z ludźmi jest nieuniknione i może jedynie wzmocnić charakter chłopca.

- Nie możesz go trzymać pod dachem przez całe życie - mówił do siostry któregoś razu. - Chłopak prędzej czy później musi zacząć własne życie. Musi pogodzić się z innością i nauczyć się radzić z tym, jak inni ludzie będą na nią reagować.

Konrad właśnie z tego powodu tak bardzo cenił sobie przebywanie w towarzystwie wuja. Ten bowiem nie udawał przed chłopcem niczego, nazywał jego kalectwo po imieniu, równocześnie traktując go jak człowieka. Jak równego sobie. Wszyscy inni, których Konrad znał albo użalali się nad jego

losem, albo kpili z niego. Był też ojciec. Ten z kolei udawał, że syn w ogóle nie istniał.

Wreszcie Konrad dotarł do ogrodu na tyłach plebanii, gdzie zastał wypoczywającego wuja. Lucjusz z szycją owiniętą wełnianym szalem i kozuchem z barana narzuconym na sutannę wystawiał z lubością twarz na słońce. Zdawało się, że drzemie, jednak gdy tylko pojawił się chłopiec, otworzył oczy i obdarzył siostrzeńca promiennym uśmiechem.

- Cieszę się, że cię widzę, mój kochany. Pomyślałem, że dziś jest tak piękny dzień, że szkoda go spędzić w jednym miejscu. Dlatego też odbędziemy spacer.

- Spacer? - zaniepokoił się Konrad. - Mama mówi, że im mniej ludzi mnie ogląda, tym lepiej.

- Chłopcze, mój drogi chłopcze, twoja mama to mądra kobieta, ale zdecydowanie zbyt wiele czasu spędza z panem kowalem. Przez to zdarza się jej palnąć coś niemądrego. Poza tym, czy nie przyszedłeś do mnie na własnych nogach? A zatem masz za sobą już pierwszy spacer tego dnia. Czy coś złego ci się po drodze przydarzyło? Otóż nie. Zatem przestań się martwić na zapas i pomóż mi wstać.

Konrad podał wujowi ramię, na którym ten wsparł się ciężko.

- Tak, pospacerujemy sobie. Mnie też się nieco ruchu przyda, bowiem całą zimę gnuśniałem na plebanii. Mam wrażenie, że nieco omszałem z tego siedzenia w jednym miejscu.

Wolnym krokiem ruszyli w stronę centrum wioski, gdzie mieścił się niewielki placzyk z udeptanej ziemi, na którym stał pręgierz. Placzyk nie posiadał żadnej oficjalnej nazwy, a miejscowym nie przyszło do głowy ochrzcić jakoś miejsca spotkań, obwieszczeń czy sporadycznej kaźni. Swarózyce należały do Jaksy z Raciborza, zamożnego rycerza, który ponoć mógł nawet rościć sobie pretensje do tytułu księcia śląskiego.

Ziemiańin dobrze traktował chłopów, nie pozwalał też na częste egzekucje ani zbyt srogie karanie przewinień. Dlatego też i pręgierz częściej stał ukwiecony na różne święta oraz inne okoliczności niż służył celowi, w jakim go wyheblowano.

Sunąc zabłoconą uliczką, wkomponowaną między niezbyt regularną zabudowę, kaleki chłopiec oraz schorowany ksiądz wzbudzali dość wyraźne zainteresowanie wśród mieszkańców.

- Wujku - syknął speszony Konrad. - Wszyscy na nas patrzą.

- Wiem.

- Ale dlaczego patrzą?

- Patrzą, bo wyglądamy inaczej. Odbiegamy od tego, co zwykło się określać jako normę. Wiesz, co znaczy to słowo? Norma to coś, według czego sprawdza się czy dana rzecz jest taka, jakiej się spodziewasz. Weźmy dla przykładu kurze jajo. Chcąc kupić kopę jaj, spodziewasz się dostać sześćdziesiąt jajek o określonym kształcie i rozmiarze. To właśnie norma.

- Ale my nie jesteśmy jajkami. Ludzie się różnią. Mój tato jest rudy, moja mama ma czarne włosy. Grabarz ma duży nos, a pani, która szyje ubrania, mały.

- Bardzo trafna obserwacja. Jednak wszystko to, co powiedziałaś, te różnice wciąż mieszczą się w granicach normy. Dopiero jawne odstępstwa sprawiają, że ktoś staje się wyjątkowy, czym równocześnie wzbudza, bywa że niezdrowe, zainteresowanie bliźnich. Widzisz, gdyby ulicą przeszedł człowiek o trzech rękach i jednej nodze na pewno wszyscy, w tym i ja, przyznają bez kozery, odwracaliby się za nim z zaciekawieniem. Rozumiesz?

- Chyba tak. Ale ani ja, ani ty nie mamy trzech rąk i jednej nogi.

- To prawda, za to mamy lub też brakuje nam pewnych rzeczy, by uznać nas za normalnych. Ty, mój kochany bratanku, wyglądem odbiegasz od tego, czego ludzie zwykli oczekiwać po ośmioletnim chłopcu. Ja z kolei jestem chory, a do niedawna tak

nie było, toteż patrzą z ciekawością, aby wyłowić różnice, jakie we mnie zaszły. Widzisz, Konradzie, ludzie patrzą trochę z litością, trochę ze współczuciem. Patrzą z wdzięcznością, że ich coś podobnego nie dotknęło, ale i ze strachem, że los może się odmienić.

- Czyli, że cieszą się z tego, że mamy gorzej?

- Po pierwsze, kto powiedział, że mamy gorzej od kogokolwiek? A po drugie, myślę, że w pewnym sensie możesz mieć rację. W naturze człowieka leży dość podłe czerpanie radości z nieszczęść, które dotyczą jego pobratymców. Jeśli mnie wiedzie się przeciętnie, ale sąsiad ma gorzej to mój żywot wcale nie jest taki zły.

Dotarli wreszcie do placyku, na którym stał pręgierz. Drewniane rusztowanie nie było niczym przyozdobione, bowiem żadne kwiaty jeszcze nie zakwitły, a stare dekoracje niszczały przez zimę. Na skraju placu stała karczma, wciąż jeszcze ciesząca oko jasnymi balami, z których ją wzniesiono. Wnuk miodosytnika, który postawił w Swarżycach pierwszy kram z alkoholem, zbudował przybytek zeszłej jesieni, rozwijając i pomnażając majątek przodka. Tam właśnie skierował swe niepewne kroki Lucjusz. By nie poślizgnąć się w grząskim błocie, jedną rękę kurczowo zaciskał na lasce, drugą zaś wpijał w ramię siostrzeńca.

- Wujku - zagał po chwili Konrad, zasapany z wysiłku. - To co mówisz, że ludzie myślą o nieszczęściach, to strasznie nie po chrześcijańsku. Przecież pan Jezus nauczał, żeby kochać wszystkich jednakowo.

- Masz rację, ale wielu o tym nie wie. Dlatego światu są potrzebni kapłani tacy jak ja, by nawracać błądzących na właściwą drogę. A teraz cichaj o panu Jezusie, ponieważ wchodzimy do przybytku, w jakim on nie przebywał i obawiam się, że mógłby nawet spojrzeć na niego wraz z jego bywalcami nieprzychylnym okiem.

Weszli do środka pachnącego wywarem gotowanym na kościach, piwem oraz potem. Wnętrze karczmy ogrzewało sporych rozmiarów kamienne palenisko, w którym wesoło trzaskał ogień. Gości przed południem było niewiele, a ta nieliczna gromada, która jednak okupowała heblowane ławki, posilała się raczej strawą, aniżeli oddawała picciu z namiętnością, jakiej nieraz w karczmach świadkowano.

Pojawienie się księdza wzbudziło chwilową konsternację. Goście wstali z miejsc, ukłonili się duchownemu, mrużąc pod nosem powitania. Równocześnie ukradkiem spoglądali na Konrada, który rozglądał się po wnętrzu z ciekawością. Nigdy dotąd nie był w żadnej karczmie. Fascynowało go wszystko, począwszy od rozstawienia ław oraz taboretów, przez wysoką ladę zastawioną kuflami oraz glinianymi naczyniami, po ozdobione wstążkami i kolorowymi kogucikami koła od wozu zawieszane pod sufitem.

Za szynkwasem stał wysoki mężczyzna o zaczerwienionych oczach, które zdawały się nieustannie łzawić. Zobaczywszy Lucjusza, uniósł rękę w geście powitania i wyskoczył na środek sali, służąc księdzu ramieniem. Nie zwracając niemal uwagi na towarzyszącego mu Konrada, poprowadził duchownego w stronę stolika stojącego najbliższej lady.

- Zje ksiądz coś? Pyszna gicz właśnie dochodzi. - Dziękuję pięknie, ale nie skorzystam. Może zajdę później i skosztuję - dodał szybko, widząc rozczarowanie wyraźnie wymalowane na twarzy szynkarza. - Po miód przyszedłem, co go zamówiłem w listopadzie. Dojrzał aby wreszcie?

- Dojrzał, dojrzał. Z brzeczką były jakieś problemy, tak jak na jesieni księdzu mówiłem, ale się uporaliśmy. Ojciec nie od parady czapkę na łysinie nosi, to i zaradził i miodek, że ośmielię się tak rzec, pierwsza klasa wyszedł. Zaraz przyniosę.

Wysoki mężczyzna zniknął na chwilę na zapleczu, by po chwili wrócić ze sporą skrzynią, w której poupychano butelki

miodu pitnego zabezpieczone pakułami, by się nie potłukły.

- Proszę, jak ksiądz sobie życzył - rzekł karczmarz, kładąc skrzynkę na stole przed Lucjuszem. - Niech mi ojciec wybaczy, ale nie mogę nie zauważyć, że od długiego już czasu nie kupiliście u mnie innego trunku, jaki zwykliście spożywać. Przestał aby smakować i swój własny wyrób pędzicie?

- Gdzie tam. - Lucjusz poklepał bok skrzynki. - Zdrowie tak mi się pogorszyło, że nic mocniejszego od tego wypić nie mogę, bo mnie potem niemoc kilka dni trzyma.

Karczmarz pokiwał głową ze zrozumieniem i współczuciem. Następnie zerknął ciekawie na kalekie dziecko, które towarzyszyło proboszczowi. Chłopiec odwzajemnił spojrzenie. Karczmarz drgnął na widok różnokolorowych oczu.

- A to wasz ministrant? Pomocnik jaki?

- Nie, Konrad jest moim siostrzeńcem.

- To ksiądz ma tu we wsi rodzinę? - zdziwił się szynkarz, chociaż dobrze wiedział, podobnie jak bodaj każdy w Swaróżykach, że Urszula była siostrą proboszcza.

Ignorując nieszczerze zdziwienie, Lucjusz wskazał skrzynię miodu siostrzeńcowi. Chłopiec bez najmniejszego trudu podniósł ciężar, pod jakim dorosły człowiek musiał się nieco namęczyć i ruszył za wujem do wyjścia.

- Wujku, czy ty nie lubisz się z tamtym panem?

- To nie to. Tamten pan po prostu chciał mnie wypytać o ciebie, podchodząc mnie w nieładny sposób.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że aby wyciągnąć ze mnie informacje dotyczące mojej rodziny, trzeba czegoś więcej niż nieudolnie pokracznej retoryki.

* * *

Przez płytkie mokradła przedzierał się Cień. Falujące w mętnej wodzie szuwały łaskotały odsłonięte łydki. Cień brnął, chlapiąc na boki, a żaby i zaskrońce pierzchały na jego widok. Musiał zdążyć do domu przed zapadnięciem zmroku. Nie mógł się spóźnić, bowiem oczekiwała go matka, a ona nie lubiła, gdy się spóźniał. A kiedy czegoś nie lubiła lub nie rozumiała, wtedy lepiej było schodzić jej z drogi.

Cień zatrzymał się nagle, czując na sobie czyjś wzrok. Rozejrzył się z przestachem, a jego długie, zmierzwione włosy załopotwały na wietrze. Niczego ani nikogo jednak nie dostrzegł, choć mógłby przysiąc, że kątem oka złowił kształt na granicy powidoku. Kształt najstraszniejszej istoty, na jaką można było natrafić w głuszy. Człowieka.

Cień odegnał złe myśli i wznowił marsz. Nie chciał tłumaczyć się przed matką ze spóźnienia.

* * *

W roku, w którym chrześcijańskie rycerstwo po raz szósty wyruszyło ogniem i mieczem nawracać innowierców czczących fałszywego proroka, Konrad skończył trzynaście lat. Wyrósł na solidnie zbudowanego, choć nadal nieproporcjonalnego młodzieńca. Głowa zdawała się być jeszcze większa niż kiedy był dzieckiem, a porastało ją kilka kępek lichych, niemal przezroczystych włosów, które Konrad sumiennie przycinał. Już dawno przestał się łydzić, że systematyczne obcinanie kosmyków sprawi, że zgęstnieją. Domyślił się, że w ten sposób matka starała się go pocieszyć. Chłopak obcinał się na niemal łyso, bowiem uważał, że w ten sposób wygląda mniej nedorzecznie niż z kilkoma plamami zarostu na plackowatej głowie.

Dzięki regularnym naukom, które pobierał od wuja, potrafił płynnie czytać i pisać zarówno po polsku, jak i po łacinie. Ulubioną książką Konrada stała się *Kronika* autorstwa Galla

zwanego Anonimem, a zwłaszcza ustęp o pradawnych księciach słowiańskich, założycielach dzisiejszej Polski. Chłopak ukochał sobie postać Mieszka, z którym zaczął się nawet utożsamiać. Według legendy Mieszko miał urodzić się niewidomy, a mimo to osiągnął wielkość. Konrad widział w tym nadzieję dla siebie, marząc, że pomimo szkaradnego wyglądu także i jego czekało w życiu coś wspaniałego. Zaczytywał się zatem w opowieściach o ludziach wielkich z urodzenia, ale i takich, którzy do majestatu doszli własną pracą. Dumał śmiało, że może i o nim ktoś kiedyś wspomni w jednej z kronik lub chociażby jakimś annale.

Tymczasem zaś nie tylko we wsi, w której przyszło mu żyć, ale i w domu traktowano go jak niechcianego, plątającego się pod nogami psa. Ojciec nie zwracał na niego uwagi, gdy był trzeźwy, a gdy pił wykazywał z kolei niezdrowe zainteresowanie. Natrząsał się z Konrada, kpił z jego wyglądu, doszukując się winy za to, co nazywał karą boską, wszędzie, gdzie tylko miało to choć krztynę sensu. Utyskiwał, że pokarało go bękartem, który nie nadawał się do uczciwej męskiej pracy, a miast tego mitrężył czas na czytaniu zapleśniałych kartek o ludziach, którzy dawno umarli. Nawet matka, która zawsze stawiała w obronie dziecka, zdawała się zmęczona niekończącą się walką. Stawała się coraz bardziej wycofana, pochłonięta nieznanymi nikomu myślami.

Jedynym życzliwym Konradowi człowiekiem był wuj Lucjusz, który nie ustawał w wysiłkach, by wychować chłopca na wartościowego człowieka. Nie wierzył bowiem, że czyjąś wartość należało określać na podstawie czegoś równie nietrwałego jak wygląd czy krzepa. Sam bowiem do niedawna stanowił okaz zdrowia, po czym spadła na niego choroba, która odjęła mu większość sił. Mimo to nie tracił pogody ducha ani zapału, z jakim nauczał siostrzeńca. W myślach zwykł nazywać

Konrada synem, choć nigdy nie wyrzekł tego nikomu na głos w obawie, że może narazić się na śmieszność.

Ze względu na postępujący niedowład w nogach Lucjusz niemal nie opuszczał plebanii, toteż siostrzeniec przychodził na nauki do niego. Gdy pogoda dopisywała, przesiadywali w ogrodzie, popijając chłodną wodę z miodem, zaś w czasie pluchy i mrozów grzali się w izbie przy piecu oraz parującym kubku podpiwka z przyprawami korzennymi. Proboszcz lubił powtarzać, że ucząc się w warunkach przyjemnych i komfortowych, wiedza chętniej znajdowała drogę do głowy ucznia. Porównywał się też niejednokrotnie do starożytnych mędrców, którzy nauczali młodzieńców w gajach oliwnych popijających lekkie, letnie wino. Z owych młodzieńców, mawiał Lucjusz, wyrastali później tacy geniusze jak Arystoteles, Epikur czy Tales.

- Opowiesz mi swoich studiach, wuju? - zagaił pewnego dnia Konrad.

Panowała wyjątkowo mroźna zima. Rzeka Stypicza wpiervniosła ciężkie, niemal szare kry, aż wreszcie całkiem zamarzła. Spod grubej warstwy lodu dał się słyszeć głuchy, niemal złowróźbny pomruk uwięzionej rzeki. Zwały skrzącego się od zimna śniegu otulały Swarożyce niby puchowa pierzyna, a Radkowa Kępa piękniała od białych czap, które przystrajały drzewa.

- Moje studia nie były ani przyjemne, ani łatwe - rzekł po chwili Lucjusz. - Widzisz, jestem najmłodszym synem w rodzinie. Miałem dwóch braci, Marka i Andrzeja. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci o tym wspominałem, ale pochodzimy z rodziny rycerskiej.

Konradowi na sam dźwięk tego słowa rozbłysły oczy. Wzmógłony zachwyty chłopca nie uszedł uwadze księdza, który uśmiechnął się pod nosem.

- Owszem, jesteś spokrewniony z rycerstwem. Po kądzieli, niemniej nikt ci tego nie odbierze. Mój ojciec, Helmut von Ansbach, pochodził z dalekiej Bawarii i zawędrował na ziemię pszczyńską, gdzie z kolei ja i twoja matka przyszliśmy na świat. Sprowadziły go w tamte rejony wojna, interesy oraz miłość, jak się później okazało. Zakochał się bowiem w córce bogatego kupca, Jadwidze. Wkrótce się pobrali i w odstępie kilku lat na świat przyszliśmy kolejno moi bracia, ja i na samym końcu Urszulka, twoja matka.

Książd umilkł na moment, pogrążając się we wspomnieniach. Konrad nie śmiał wyrwać wuja z zadumy w obawie, że ten zupełnie porzuci opowieść. Jednocześnie zaś aż kipiał z ciekawości, chętny posłuchać o dziadku rycerzu, z istnienia którego do tej pory nie zdawał sobie sprawy.

- Ojciec nie był dobrym człowiekiem. Miał ognisty temperament i skłonność do okrucieństwa. Źle traktował zarówno matkę, jak i dzieci. Cieszyliśmy się, gdy wyjeżdżał na długie miesiące, a czasem i lata. A wyjeżdżał nader często, Bogu niech będą dzięki. Jedyne, co zawdzięczaliśmy ojcu, to pieniądze, których w domu nigdy nie brakowało. Nie głodowaliśmy, chodziliśmy dostatnio odziani, mieliśmy nawet własną stajnię. Ale cóż po pieniądzach dziecka, które nie znało ojcowskiej miłości?

Konrad spojrzał na wuja bystro. Zastanowił się, czy miała to być jedna z alegorii, o jakich ostatnio rozmawiali. Wyraźnie bowiem dostrzegał podobieństwa między dzieciństwem Lucjusza, a swoim.

- Mój najstarszy brat, Marek, zgodnie z ojcowską wolą wstąpił w szeregi rycerstwa. Pod czujnym i srogim ojcowskim okiem szkolił się we władaniu bronią wszelaką, jeździe konnej, a także okazywaniu wszystkim wyższości. Andrzeja ojciec zamyślił sobie na kupca, tudzież rzemieślnika natury nie budzącej wstrętu. Tak tedy mój drugi brat został złotnikiem.

Bardzo wziętym złotnikiem, który osiadł na dalekim Pomorzu w wolnym mieście Gdańsku, gdzie prowadzi zakład. O ile mi wiadomo, wiedzie mu się znakomicie.

- Co się stało z twoim ojcem i bratem rycerzem, wuju?

- A jak myślisz, mój drogi chłopcze? - Uśmiechnął się smutno ksiądz. - Zginęli na wojnie, na którą pojechali, by zarobić na okupach. Widzę, żeś skonfundowany, pozwól zatem, że wyjaśnię. Rycerstwo jest szlachetne głównie, a z mojego doświadczenia wyłącznie w eposach i romansach. W rzeczywistości kwiat i zbrojne ramię bierze udział w różnego rodzaju ruchawkach głównie dla zarobku. Gdy do bitwy stają naprzeciw siebie dwie armie, wielu spośród rycerstwa przystępuje do boju z zamiarem wzięcia w niewolę innych członków swej kasty.

- Po to, by ich później sprzedać? - spytał niepewnie Konrad.

- Owszem. Rycerz niechętnie zabija drugiego rycerza, chyba że musi. Jeśli nie musi, zrobi wszystko, by takiego drogocennego nieprzyjaciela ogłuszyć, zakuć w kajdany, a następnie odsprzedać rodzinie. Tak też mój ojciec dorobił się małej fortuny. Ponoć w swoim czasie nie miał sobie równych w wypatrywaniu co znamienitszych herbów na polu bitewnym. Zawsze też znalazł się pierwszy tam, gdzie bili się najdrożsi.

- A jak to się stało, że on i wuj Marek polegli?

- Ot, trafili w bitwie na takich, którym albo okupy były obojętne, albo nie poznali się na herbie mojej rodziny. Lub też oszacowali tenże na zbyt tani, by kłopotać się braniem w niewolę. Nie ma w tym większej historii. Ojciec i brat mój najstarszy polegli w bitwie gdzieś na rozerwanych kopytami, błotnistych polach pod Raciborzem.

Lucjusz sprawiał wrażenie beztroskiego, choć ból, który czuł, nigdy do końca nie zelżał. Cierpiał zarówno dlatego, że miał ojca okrutnego, skorego do szyderstwa, ale także dlatego, że ten poległ, nim najmłodszy syn zdobył się na odwagę, by się

z nim skonfrontować. Helmut wysłał bowiem Lucjusza na nauki do stanu duchownego wbrew woli głównego zainteresowanego. Młody przyszły proboszcz parafii w Swarżycach kochał sztukę, a zwłaszcza poezję, pieśni oraz grę na lirze. Ojciec za nic sobie jednak miał marzenia syna, które uważał za mrzonki. Postanowił, że każdy z synów podejmie się takiego zajęcia, jakie jemu zdawały się godne, o jakich mógłby bez wstydu myśleć, a także opowiadać innym. Tak zostało postanowione i tak też zrobiono.

- A ty, wuju, nie marzyłeś o tym, by nosić błyszczącą zbroję i wojować przeciwko... - Konrad zająknął się, uciekł szybko wzrokiem.

- Niech zgodnę, chciałeś rzec przeciwko niewiernym. Ktoś zapewne wypowiadał się w twojej obecności niepocholebnie o muzułmanach, najpewniej w korelacji z najnowszą wyprawą krzyżową. Nie musisz potwierdzać, widzę przecież, że mam rację. Cieszy mnie to, że w porę wyłapałeś niesłuszność sprowadzania ludzi do jednego mianownika. Jesteś zbyt mądry, by wierzyć w brednie, które ktoś powiełał w twojej obecności, że wyznawcy Allaha to krwiożercze bestie, które czyhają tylko na niewinnych chrześcijan, by ich nawrócić pod groźbą dekapitacji.

- Nie wierzę w to, wuju. Tak samo jak nie wszyscy chrześcijanie jeżdżą do Ziemi Świętej, by mordować ludzi innej wiary.

- Słusznie, że w to nie wierzysz, ale na twoim miejscu powstrzymałbym się od wygłaszania równie niebezpiecznych ocen względem krucjat. Są tacy, którzy za podobne słowa mogliby chcieć wyrządzić ci krzywdę. A wracając do pytania, które chciałeś mi zadać. Nie, nie marzyłem o rycerstwie. Nigdy nie miałem podobnych ambicji.

- O czym w takim razie marzyłeś, gdy byłeś w moim wieku?

- Mój drogi, w twoim wieku wiedziałem, kim zostanę - rzekł gorzko ksiądz proboszcz. -

Lucjusz przez moment żałował wypowiedzianych słów. Stawiały go bowiem w niezręcznej sytuacji, podważały autorytet jako nauczyciela. Dawał bowiem do zrozumienia siostrzeńcowi, że nie miał wpływu na swój los. Uznał jednak, że chłopcu należała się szczerść. A wstyd oraz gorycz, które odczuwał, potwierdzały jedynie wartość lekcji, jaką zamierzał przekazać Konradowi.

- Pamiętaj, abyś zawsze decydował o swoim życiu w taki sposób, by nie musieć się niczego wstydić. Bądź kowalem swego losu, nie kowadłem, z którego los skorzysta, by cię ukształtować. Wiele w moim życiu zostało postanowione za mnie. Nie mogę tego cofnąć i na dobrą sprawę chyba bym tego nie chciał. Dzięki temu jestem bogatszy o doświadczenia, jakich inaczej bym nie zdobył. I mogę je przekazać dalej, przestrzec nowe pokolenia. Zapamiętaj tę rozmowę, mój kochany Konradzie. I obiecaj, że nie dasz sobą rozkazywać.

- Obiecuję - wyszeptał z przejęciem chłopiec, czując, że działo się coś ważnego. - Obiecuję, wuju.

- W porządku. - Uśmiechnął się Lucjusz i w tym samym momencie ciężar, ale i podniosłość chwili, rozwiały się jak poranna mgła. - A teraz skocz no do kuchni i przynieś po kubku grzańca.

* * *

W chacie ciężko było wytrzymać, gdy ojciec pił. Sprawiał wrażenie, jakby za wszelką cenę pragnął nadrobić lata wstrzemięźliwości. Upijał się nie częściej niż raz w miesiącu, ale robił to z prawdziwie epickim rozmachem. Kiedy przychodziła odpowiednia pora, siadał do śniadania, a w ręce już ścisnął kubek pełen okowity. Nim słońce stało w zenicie, Paweł z reguły zataczał się już solidnie i zaczynał bełkotać. Po

południu śpiewał nedorzeczne piosenki, które zdawały się nie mieć żadnej ustalonej melodii ani słów posiadających większego sensu. Im bliżej wieczora, tym kowal stawał się bardziej horyzontalny, kładąc się wszędzie, gdzie tylko się dało. Półożąc z kubkiem w garści, lżył wszystko i wszystkich, szukając zaczepki bez większych nadziei na to, że ktokolwiek z domowników podejmie wyzwanie. Nocą zaś, gdy Urszula zakopana w pościeli usiłowała zasnąć, Paweł wtaczał się od izby i wsparty o framugę drzwi mamrotał pod adresem żony komplementy na przemian z obelgami. Mówił jaka jest piękna i dobra, tak dobra, że on, miernota oraz cham z urodzenia, nie zasługiwał na tę dobroć. Chwilę później zaś wrzeszczał, przyskając drobinkami śliny, obwiniając żonę o wszelkie nieszczęścia, jakie zaległy świat. Poczynając od narodzin Konrada aż po epidemie i pogromy Żydów.

Schemat powtarzał się dość regularnie i z reguły wyglądał niemal tak samo. Czasem Paweł upijał się szybciej i mocniej, co kończyło się omdleniem. Czasem zaś kołatał się po obejściu do późnych godzin nocnych, rycząc bardziej jak zwierzę niż człowiek. Zdarzało mu się także w pijanym widzie rozpalać ogień pod kuźnią, kiedy to umyślił sobie dokończyć zaczęta poprzedniego dnia robotę. W takich sytuacjach Urszula biegła czym prędzej do męża, siłą odciągając go od pieca, by nie spalił domu.

Tak, Paweł bardzo źle zniósł przyjście na świat syna. Nie potrafił pogodzić się z tym, jak chłopiec wyglądał i ani myślał doszukiwać się ukrytych pod szpetną powierzchownością walorów Konrada. Nie interesowała go inteligencja chłopaka, to, że lubił czytać, ani jego wrażliwość. Widział tylko to, co chciał widzieć. Pokraczne brzydactwo.

Konrad z kolei unikał ojca, jak tylko mógł. Jeśli tylko nie przesiadywał na plebanii, gdzie pobierał nauki od Lucjusza, wędrował po lesie. Przez te lata samotnych spacerów zdążył

poznać wiele zakątków, wytyczył niejedną ścieżkę. Zdarzyło mu się również nazwać kilka miejsc. Mimo to zdawał sobie sprawę, że miejsce równie prastare co Radkowa Kępa, skrywało niezliczoną ilość sekretów. Po cichu liczył, że uda mu się ich odkryć jak najwięcej.

Podczas jednego ze spacerów po lesie, o których chłopak myślał bardziej w kategorii wypraw, zdarzyła się rzecz niespodziewana, która uruchomiła ciąg zdarzeń, jakie na zawsze już miały zmienić życie Konrada.

* * *

Słońce wciąż stało nisko, gdy wyszedł z chaty. Wziął nieduży bochenek chleba, kilka nieco pomarszczonych jabłek, pętko kiełbasy oraz bukłak podpiwka, które zapakował do torby na ramię. Wymknął się z domu, tak by nie zbudzić odsypiającego comiesięczne pijaństwo ojca. Matka jedynie powiodła za synem zmęczonym spojrzeniem, nie pytając nawet, dokąd zamierzał pójść.

Gdy tylko otworzył drzwi do chaty, owionął go podmuch suchego, lodowatego wiatru. Był luty, śnieg zalegał wszędzie głębokimi skrzącymi się od słońca i mrozu zaspami. Każdy krok skrzypiał donośnie, a oddech snuł kłębem pary. Konrad okutał się szczelniej kożuchem, naciągnął wełniany szalik na nos.

W Radkowej Kępie panowała ciężka, nieco przytłaczająca cisza. Powietrze zdawało się napierać jak głęboka topiel, przez co szło się ciężko, a i dźwięki niosły znacznie słabiej. Konrad miał wrażenie, że gdyby otworzył usta do krzyku, nawet on nic by nie usłyszał. Maszerował przez chwilę głównym traktem, którym można dotrzeć aż do Wrocławia, po czym przy drewnianej kapliczce z figurką Matki Boskiej, umieszczonej pod przykrytym czapą śniegu daszkiem, skręcił w bór. Ktoś, kto nie znał okolicy równie dobrze jak Konrad mógłby pomyśleć, że chłopiec zanurzył się w gęstwinę z dala od jakichkolwiek

ścieżek. Jednak Konrad znał okolicę i wiedział, którądy chodzić. Ledwie widoczna ścieżynka prowadziła do jednego z wielu leśnych jezior, które miejscowi przezywali Czarcim Odmętem. Nikt już nie pamiętał, skąd zwyczajne skądinąd oczko wodne otoczone gęstymi łozinami, wzięło równie złowrogą nazwę. Nie wiązało się z nim bowiem żadne tragiczne lub tajemnicze wydarzenie. Być może w dalekiej, skrytej w mroku pogaństwa i bezbożności przeszłości stało się tam coś tragicznego, co przeważało o nazwie jeziora. Dla Konrada jednak Czarcia Odmęt stanowił jedną z ulubionych odskoczni. Znajdował się bowiem na tyle daleko od Swarozyc, że ciężko tam trafić na kogoś przypadkowego, a poza tym większość wieśniaków trzymała się z dala od przekłętego w ich mniemaniu uroczyska.

Konrad oswoił samotność, nie zdając sobie do końca sprawy z wielkości tego osiągnięcia. Dla wielu bowiem brak towarzystwa stanowił powód do trwogi. Jedną z najstraszniejszych kar, jaką można zastosować wobec człowieka, jest zamknięcie w izolacji. Konrad przez to, że wychowywał się w domu, w którym przez większość czasu ignorowano jego obecność, uczynił z samotności towarzyszkę. Pomijając chwile, które spędzał w kompanii ukochanego wuja, nie miał nikogo.

Dotarł wreszcie do Czarciego Odmętu. Zamarznięte, przykryte grubą pierzyną jezioro odznaczało się zaledwie niewyraźną niecką. Ze wszystkich stron otaczały je drzewa, uginające się od śnieżnych czap. Konrad ruszył w stronę niewielkiego półwyspu, wcinającego się w powierzchnię jeziora. Na cyplu znajdowały się pozostałości kamiennego kręgu, pośród którego tkwił ukruszony kikut solidnego niegdyś menhira. Tuż nad ziemią widniały jeszcze zatarte czasem rzeźbienia w powierzchni głazu wyobrażające fantazyjne, plecione kształty. Konrad snuł przypuszczenia, że zarówno gład, jak i otaczające go mniejsze kamienie stanowiły pozostałość po

prastarym miejscu kultu. Rzeźbienia wskazywały na skandynawskie pochodzenie lub też fakt, że artysta inspirował się północną estetyką. Do wyobraźni chłopca mocno przemawiała wizja, że wieki temu w miejscu, które także dla niego stało się wyjątkowe, ludzie przybywali, by wznosić modły do zapomnianych już niemal bogów. Czasem siadał w kręgu i wyobrażał sobie dawne czasy.

Tym razem również ruszył w stronę miejsca dawnego kultu. Brnął w świeżym śniegu, sięgającym miejscami aż po kolana. Wtem przystanął, zmrużył oczy i wpatrywał się w oslepiającą biel. Dotarł niemal do miejsca, gdzie zaczynał się półwysep. Po lewej ręce miał ścianę lasu, osadzoną nieco poniżej poziomu wody tak, że grobla, po której się szło, stanowiła niewielkie wzniesienie. Właśnie tam poniżej spomiędzy drzew wylaniał się szpecący gładką warstwę śniegu ślad. Bez wątplenia należący do człowieka. Konrad z bijącym mocniej sercem spojrzął w stronę cypla, jednak nikogo nie zobaczył. Nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że ktokolwiek wychynął z Radkowej Kępy, poszedł na półwysep.

Chłopiec przez moment chciał zawrócić lub też zapaść w las i zniknąć z pola widzenia, górę jednak wzięła ciekawość. Wszak nigdy, odkąd tylko zachodził nad Czarci Odmęt, nie spotkał tam żywej duszy. Ostrożnie, jak gdyby podchodził płochliwą zwierzynę, ruszył wydeptanym śladem ku kamiennemu kręgowi i stojącemu w jego centrum okruchowi menhira.

* * *

Cień lubił śnieg. Mokry w dotyku, przyjemnie chłodzący rozgrzaną skórę, który ucieszenie skrzypiał pod stopami. Cień ze śmiechem przestępował w miejscu z nogi na nogę, ciesząc ucho skrzypieniem.

Wyszedł z jamy, w której mieszkał, aby rozprostować kości. Długie dni leżał osłabiony chorobą, z której, sądził, nie uda mu

się wyjść. Matka także straciła nadzieję. Nie powiedziała mu tego, ale domyślił się, że pożegnała się w duchu ze swym dzieckiem. Wreszcie jednak lecznicze wywary, okadzanie dymem z szaławii oraz żarliwe modlitwy przyniosły skutek. Cień poczuł się lepiej, a po kilku dniach spokojnej rekonwalescencji nabrał sił, aby wyjść na zewnątrz. Ubrał się zatem w ciepłe futra, na głowę wcisnął kołpak z lisich kit, do ręki wziął gruby kostur, z którym lubił spacerować.

Gdy znalazł się już przy drewnianej klapie, która maskowała wejście do jamy, matka napomniała go, by uważał na ludzi. Przestrzegła, jak zwykle kiedy opuszczał dom, aby nie rzucał się nikomu w oczy, z nikim nie rozmawiał.

- Ludzie są źli - powtarzała raz po raz, choć Cień znał ten wywód na pamięć. - Takich jak my zabijają bez litości. Miej się na baczności.

Cień zapewnił matkę, że będzie ostrożny, choć wywracał niecierpliwie oczami, gdy wiedział, że nie patrzyła. Wyszedł na zewnątrz, po czym wsunął klapę na miejsce, tak by ponownie zakrywała otwór wiodący do jamy. Dla pewności nasypał na włącz nieco śniegu, całość zamiótł gałązką jodły. Tak, jak uczyła go matka, przez pewien czas człapał tyłem do kierunku, w którym zmierzał i zacierał sumiennie ślady. W końcu jednak odrzucił miotełkę, ruszył dziarsko naprzód. Śmiał się w duchu na myśl o kimś, kto mógłby natrafić na pojawiające się znikąd odciski stóp. Pewnie pomyślałby, że Cień spadł prosto z nieba.

Za cel wędrówki obrał jezioro, które przed wiekami łączyło się z rzeką Stypiczą, a którą przepłynęły smocze okręty z północy. Matka opowiadała tę historię po wielokroć, bowiem uważała, że jej praprababka przybyła na jednym z nich. Jeśli wierzyć opowieści rodzinnej, praprababkę matki przywieziono na te ziemie w pętach jako niewolnicę. Na szczęście zdołała zbiec i zasyła w pobliskich lasach, z których już nigdy nie wyszła w obawie przed spotkaniem z ludźmi.

Cień odczuwał z kamiennym kręgiem na jeziorze pewnego rodzaju więź, której nie umiał wytłumaczyć. Wiedział jednak, że z jakiegoś powodu było to miejsce znaczące, takie, które należało odwiedzać przy każdej nadarzającej się okazji. I któremu należała się bogobojna cześć.

* * *

Konrad podszedł niemal do samego kręgu, gdy nagle zza centralnego głazu wyskoczył włochaty potwór. Stwór zaryczał wściekle, podskoczył i natarł z uniesionym bojowo kijem. Sadził przez śnieg z zadziwiającą sprawnością, tak że w kilka kroków znalazł się przy sparaliżowanym ze strachu Konradzie. Zdzielił chłopca w czoło drągiem, aż Konradowi pociemniało w oczach i osunął się na kolana.

Otumaniony od uderzenia, ale i samego faktu, że został skrzywdzony, wpatrywał się beznamiętnie w krew kapiącą z rozciętej głowy na śnieg. Niemal nie zarejestrował, że napastnik czmychnął, bowiem całą uwagę poświęcał nowemu doświadczeniu. Został zraniony. Drżącymi dłońmi zagarnął garść śniegu, uformował kulkę i przycisnął do czoła. W pierwszej chwili zimno zaatakowało ranę i obolałe miejsce na ciele nieprzyjemną sensacją, która z wolna przechodziła w tępe pulsowanie. Gdy udało mu się zatamować krwawienie, Konrad wstał chwiejnie i rozejrzawszy za napastnikiem, ruszył do domu.

* * *

Już na skraju lasu słyszał ojca pracującego w kuźni. Dzwonienie młota o rozgrzane żelazo niesło się między drzewami donośnie. Przeszedł obok, nie rzuciwszy nawet spojrzeniem przez uchylone drzwi do pracowni, skąd buchały kłęby pary i sypały się iskry. Wszedł do chaty, gdzie niemal od progu przyskoczyła

doń zalękniona matka. Chwyliła syna za głowę, obejrzała dokładnie niewielkie rozcięcie pośrodku czoła.

- Upadłem na kamień - skłamał Konrad gładko, podczas gdy rodzicielka wcierała w ranę pachnącą mocno ziołami maść.

Urszula bez słowa zakręciła słoiczek z lekarstwem, poklepała chłopca po ramieniu i wróciła do przerwanych zajęć.

* * *

Długo leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Leżał w ciemnościach w niewielkiej izdebce, którą wydzielił dla niego ojciec. Pokój mieścił się na tyłach chaty, niewiele większy od drewni. Znalazło się w nim wystarczająco miejsca, aby wstawić łóżko oraz skrzynię z odzieżą.

Chłopiec rozmyślał o przerażającym spotkaniu w kamiennym kręgu. Dumał nad tym, że gdyby potwór chciał, mógłby go zabić. Konrad czuł się niezwykle słaby, bezbronny. Po raz pierwszy uświadomił sobie kruchość życia. Dotarło również do niego, że nie potrafił o nie zaważyć. Nie umiał się bronić. Jego ojciec, dobrze zbudowany mężczyzna o szerokiej piersi i silnych ramionach, z pewnością rzuciłby się na napastnika, powalił na ziemię i zwyciężył. Każdy inny człowiek stawiałby jakikolwiek opór. Konrad zaś nie zrobił nic. Zamiast tego wpatrywał się w ciekącą z rozbitego łba krew.

Rzucił się wściekle w pościeli, przekręcił na drugi bok. Złościła go bezradność, słabość, jaką okazał. Cóż z tego, że potrafił czytać, pisać, recytować poezję oraz modlitwy z pamięci, skoro nie umiał obronić się przed napaścią. Jaki pożytek miał z umiejętności, których uczył go Lucjusz, gdy wystarczył kmiotek z kijem, by połamać mu kości, roztrzaskać czaszkę i zostawić wilkom do rozwłóczenia.

Wreszcie skapitulował i wyszedł z łóżka. Wdział ciepłe ubranie, po czym skradając się przez izbę, w której spali rodzice, wymknął się na zewnątrz. Nocne powietrze zdawało

się być kompletnie nieruchome. Cisza aż napierała na uszy. Konrad usiadł na ławce przed domem, otulił szczelniej kocem, który zabrał ze sobą i oddał dalszym rozmyślaniom.

- Wybacz, nie chciałem cię tak zdzielić - odezwał się ktoś tuż obok Konrada.

Chłopak podskoczył ze strachu, zagryzł wargi tak mocno, że w ustach poczuł smak krwi.

O ścianę domu opierał się kudłaty stwór, nadal dzierżący kij, którym kilka godzin wcześniej zaatakował Konrada. Chłopiec poczuł, jak miękną mu nogi. Ledwie chwilę wcześniej wściekał się na siebie o tchórzostwo, po czym w obliczu zagrożenia znów reagował w ten sam sposób. Potwór tymczasem zdjął futrzaną czapę, spod której wychynęła rozczochrana grzywa jasnych włosów i wesołe, niebieskie oczy.

- Podszedłeś mnie tak zniecka i wydumałem, żeś człowiek, co mi krzywdę zrobić chciał. Ale tera widzę, żeś nie człowiek, ino swój. Nie gniewaj się, proszę.

- Jaki swój? Przecież jestem człowiekiem - wydusił Konrad, podnosząc na kosmatego gadułę niedowierzający wzrok. - Chodzi o to, jak wyglądam, tak? Wiedz zatem, że tylko maluczcy oceniają bliźniego po jego szatach.

- Jeśli o mnie chodzi, twoje szaty są w porządku, choć nie ma jak futro.

- Mówię o... Nieważne. Skąd się tu wzięłeś? Śledziłeś mnie?

- No tak - odparł jasnowłosy zdziwiony, że kazano mu potwierdzać oczywistość. - Chciałem cię przeprosić. Nie zachowałem się jak należy. Ze strachu tak... Nie gniewaj się na mnie. Nic wielkiego się przecież nie stało.

- Rzeczywiście, poza tym, że zostałem zaatakowany i odebrano mi człowieczeństwo, nie ma się czym przejmować.

- To ty jesteś człowiek? Bo nie wyglądasz. Przypominasz mi całkiem, ale to całkiem moją mamę.

Konrad spojrział z ukosa na tajemniczego rozmówcę. Sądząc po głosie i posturze, byli mniej więcej w jednym wieku, choć tamten zdawał się być nieco powolny na umyśle.

- Jak masz na imię? Jestem Konrad ze Swarożyc.

- Hm, być może rzeczywiście jesteś człowiekiem, skoro nosisz ludzkie imię. Mama mówi, że w imionach zaklęte jest istnienie. Dlatego nazwała mnie Cieniem.

- Masz na imię Cień?

- Tak, ponieważ muszę stale się ukrywać przed niedobrymi ludźmi, którzy chcą mnie matce odebrać. I muszę przemykać przez świat jak cień. To dobre imię.

- Mówisz zupełnie tak, jakbyś nie był człowiekiem - zauważył Konrad, na co drugi chłopiec zareagował śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Jestem mamuną.

- Ale wyglądasz jak człowiek.

- A ty nie wyglądasz jak człowiek, choć twierdzisz, że nim jesteś - odciął się Cień, krzyżując ramiona na piersi. - Nie wszystko wygląda na to, czym jest.

Chłopcy przez chwilę patrzeli na siebie hardo, po czym nagle napięcie między nimi zelżało. Cień usiadł na ławce obok Konrada, spojrział w stronę emanującej lekką, śnieżną poświatą wsi.

- Nigdy nie byłem tak blisko ludzi - wyznał zmienionym głosem. - Mama od maleńkości ostrzegała, bym się nie zbliżał, trzymał w ukryciu. Mówiła, że ludzie krzywdzą takich jak ja. Ale mówisz, że jesteś człowiekiem i ani mnie nie skrzywdziłeś, ani nie wołasz nikogo, by to zrobił. A przecież cię zabiłem. Więc jak to jest z tymi ludźmi, co?

- Są i dobrzy i źli ludzie - odrzekł ostrożnie Konrad. - Nie jestem złym człowiekiem i nie chcę czynić złego nawet moim wrogom.

- Mówisz, że jesteśmy wrogami?

- Teraz chyba nie, ale wcześniej pewnie byliśmy. Ty się mnie bałeś i ja się ciebie przestraszyłem. Powiedz, kim są mamuny?

Cień uciekł spojrzeniem w bok wyraźnie speszony. Pogrzebał końcem kostura w śniegu.

- Tak po prawdzie to nie wiem, bo ja i mama jesteśmy jedynymi mamunami, jakie znam. Matka zaś w ogóle nie chce rozmawiać na ten temat. Wiem tylko, że mieszkamy w jamie, ukrywamy się i wyglądamy zupełnie nie tak samo. Za to ty. - Wskazał na Konrada. - Wyglądasz całkiem jak mama.

- Tak, już to mówiłeś - westchnął chłopiec. - A ona się nie martwi o to, gdzie jesteś? Pewnie myśli, że cię ludzie porwali.

- Pewnie się martwi, ale chciałbym tu jeszcze chwilę posiedzieć.

Dwaj chłopcy, syn ludzi i syn mamuny, siedzieli obok siebie na drewnianej ławce przed chatą przycupniętą tuż na skraju boru. Patrzyli na spokojny, niezmacony najmniejszym podmuchem wiatru krajobraz rozciągający się w płytkiej dolince, w której leżały Swarożyce. Nie rozmawiali więcej, każdy bowiem pogрузzył się we własnych rozmyślaniach. A kiedy nadeszła pora, wstali, podali sobie ręce i wrócili do domów.

* * *

Kilka dni po nocnych odwiedzinach Cienia do chaty kowala dotarła wiadomość, która zdruzgotała młodego Konrada. Ksiądz Lucjusz zmarł, przegrawszy nierówną walkę z chorobą, która trawiła go od lat. Gosposia, która usługiwała proboszczowi, przyszła o wczesnych godzinach porannych, by podzielić się wieścią z rodziną Lucjusza. Urszula opadła na zydelek i łkała cicho. Paweł, mamrocząc niewyraźne słowa pociechy, stanął nad żoną, położywszy jej dłoń na ramieniu. Konrad z kolei wystrzelił na zewnątrz, łapiąc tylko w przelocie ciepły płaszcz z wełny. Człapiąc w głębokim śniegu i ślizgając

na skrytym pod warstwą puchu lodzie, ruszył do Radkowej Kępy. Nie myślał o tym, dokąd idzie, a mimo to doskonale wiedział, gdzie skończy wędrówkę.

Przepełniała go rozpacz, jaka zdawała się nie mieć końca. Człowiek, będący mu nauczycielem, przyjacielem, a także kochającą rodziną, nie żył. Konrad zdawał sobie z wolna sprawę z tego, że jego życie miało się bezpowrotnie zmienić.

Szedł zaśnieżonym borem na pamięć, pozwalając, by nogi same go niosły, podczas gdy w myślach starał się uporządkować chaos. Snuł wyobrażenia na temat tego, jak jego życie miało wyglądać bez wuja. W lesie, gdzie wiedział, że nikt go nie obserwował, nie wstydył się też płakać.

Wreszcie dotarł do Czarciego Odmętu, gdzie wszedł między kamienie pozostawione przez skandynawskich osadników. Usiadł plecami oparty o menhir i objąwszy ramionami kolana, pogrążył się w rozmyślnościach. Nie wiedział, jak długo spędził w bezruchu do chwili, gdy słońce zawisło tuż nad linią drzew, rozlewając się po zamarznętym, przykrytym śniegiem jeziorze. Dopiero wtedy Konrad rozruszał zeszywniałe członki, wstał ociężale.

Pomimo wielu godzin rozmyślań nie doszedł do żadnych konkretów. Ruszył w stronę Swarożyc, gdy na skraju drzew dostrzegł postać odcinającą się wyraźnie na tle wszechobecnej bieli. Postać miała na sobie kosmaty, uszyty byle jak kaftan z futra oraz pokraczną czapę z lisów. Widząc, że Konrad go zauważył, Cień uniósł dłoń w geście powitania.

Chłopcy wyszli sobie naprzeciw, spotykając się na styku półwyspu z groblą. Konrad zauważył, że Cień miał opuchniętą jedną stronę twarzy.

- Matka dała mi nauczkę - wyjaśnił niedbałym tonem chłopak. - Powinienem się słuchać, a nie robić, jak mi się żywnie podoba. Mam za swoje. Rodzice są od tego, żeby ich słuchać.

- Moi mnie nie biją. Przeważnie udają, że nie istnieję.

- Być może to ty powinieneś nosić moje imię. Co ty tu w ogóle robisz tak późno w dzień?

Konrad wzruszył ramionami, nie mając najmniejszego zamiaru zwierzać się dzikiemu człowiekowi z boru. Po chwili jednak, zaskoczony tym, co nastąpiło, opowiedział Cieniowi wszystko. Mówił o tym, że rodzice, a zwłaszcza ojciec, mieli mu za złe, że urodził się szpetny. Opowiadał o wuju Lucjuszu, zawsze pogodnym i łagodnym, pomimo tego, że ostatnie kilka lat wyraźnie cierpiał. Nie chciał, by ktokolwiek się nad nim litował, choć Konrad widział kiedyś, w jakim stanie znajdowały się nogi wuja. Od tamtej chwili nabrał do niego nowego szacunku, a także pokochał jeszcze mocniej. Zwierzał się z lęków, które go nachodziły odnośnie przyszłości, w której brakowało Lucjusza, jego nauk i porad. Konrad mówił, Cień słuchał, a słońce niemal zupełnie zaszło.

- Wygląda na to, że potrzeba ci pocieszenia - rzekł chłopiec z lasu, gdy milczenie, które zapadło, przedłużało się coraz bardziej. - Nie wiem, czy cię rozumiem. Mam tylko mamę, nie znam nikogo oprócz niej. No i ciebie. I kilku jeleni, i drozdów, i wilków. Jednego niedźwiedzia też, ale z nim niewiele rozmawiam. Chodzi mi o to, że z nikim nie znam się tak dobrze, jak ty się znałeś ze swoim Lucjuszem. Tak czy inaczej, pora jest późna, zbyt późna, by człowiek samotnie chadzał przez las. Pojęcia nie masz, jakie tu można spotkać dziwy. A większość nie jest nastawiona przyjaźnie. Spędzisz noc w naszej jamie. Matka nie będzie miała nic przeciwko.

W pierwszej chwili Konrad chciał zaprotestować, nie miał zamiaru nikomu się narzucać. Rozglądając się jednak po mroczniejącym z każdą chwilą lesie, doszedł do wniosku, że jeszcze bardziej nie palił się do samotnej wędrówki pośród rachitycznych drzew, których gałęzie sięgały ku niemu niby rozczapierzone palce.

Chłopcy ruszyli przez śnieg z dala od ścieżek. Cień kluczył między drzewami i огоłoconymi krzewami z taką wprawą i gracją, że ani jedna śnieżna czapa nie zadrgała. Konrad tymczasem po kilku chwilach sapał głośno, a płaszcz przyprószyła mu wcale gruba warstwa puchu, którego spora część dostała się chłopcu za kołnierz. Pomimo, iż nawykły do leśnych wędrówek, nie mógł się w żaden sposób równać ze sprawnością Cienia. Gdy wreszcie dotarli do celu, Konrad ledwo trzymał się na nogach.

Jamę dobrze zamaskowano, jednak gdy już wiedziało się o jej istnieniu, można było ją bez większego trudu dostrzec. Wejście zabezpieczał sklecony z gałęzi, powleczony korą właz. Cień schylił się, wsunął palce w niewidoczną szczelinę i uniósł klapę. Na śnieg wylało się ciepłe, migotliwe światło kaganków i świec.

- Zapraszam. - Cień wskazał wejście, kłaniając się płytko.

* * *

- Chłopiec sobie nie poradzi z tą stratą.

- Będzie musiał, jest już niemal mężczyzną.

- Lucjusz... mój brat potrafił do niego dotrzeć, zaopiekować nim. My tego nie potrafimy.

- Nie, my tego nie chcemy. Nie oszukuj siebie tak, jak od lat usiłujesz zwodzić mnie. Nienawidzisz tego bękartu równie mocno jak ja.

Urszula spojrzała na męża z niedowierzaniem. Nigdy nie posądziłaby go o podobną przenikliwość.

- Jak śmiesz? - wyszeptała z nieszczerym oburzeniem. - Konrad jest naszym synem.

- Czujesz się za niego odpowiedzialna, ale nie zwiedziesz mnie, że to miłość - warknął niecierpliwie Paweł. - Przyznaj, że jesteś nim równie mocno rozczarowana.

- Ja... Konrad jest trudnym dzieckiem, ale... Nie nienawidzę go.

- Widzisz, nie potrafisz tego powiedzieć. Twój święty brat go kochał. Lucjusz umiał najwyraźniej dostrzec w nim coś, czego żadne z nas nie potrafi.

- Co chcesz powiedzieć?

Paweł westchnął, zapatrzył się w ogień strzelający w kamiennym palenisku. Milczał przez długi czas, usiłując złożyć przemyślenia w logiczny ciąg. Taki, dzięki któremu udałoby mu się osiągnąć zamierzony cel. Nie doszedł jednak do słowa, bowiem ciszę przerwała Urszula.

- Paweł, już zupełnie ciemno, a chłopca nie ma. Wyszedł rano, nic nie zjadł.

- Wróci - mruknął kowal, choć w środku poczuł ukłucie czegoś niepokojącego, czego się nie spodziewał. - Zawsze wraca.

Urszula nie dała się jednak przekonać. Wstała od stołu, przy którym siedziała z mężem i wyjrzała przez okno na zalane nikłym światłem księżycą podwórze. Widziała jedynie poskręcane gałęzie buków i topoli, wśród których meandrował na podmuchach wiatru śnieżny pył. Martwiła się o Konrada.

- Musisz iść go poszukać. - Odwróciła się do męża z zaciętą miną. - Weź lampę, żebyś nie zbłądził.

- A to ciekawe - parsknął Paweł. - Powiedz mi jeszcze, że wiesz, gdzie go szukać, żeby mi trudu zaoszczędzić.

- Wiem.

Twarz kowalowi stężała, zacisnęła pięści. Wziął jednak od żony grubą tunikę z wełny, narzucił na ramiona płaszcz z kapturem. Zabrał lampę, za pas zatknął toporek do rąbania szczap na opał. Nie pożegnawszy się z Urszulą, wyszedł z chaty.

* * *

Pomimo że wewnątrz jamy oświetlało kilka kaganków, Konrad potrzebował chwili, by wzrok przyzwyczaił się panującego wewnątrz półmroku. Ściany, jak i wszystko zresztą wokół, wydziały intensywny zapach wilgotnej ziemi i grzybów. Sufit stanowiła prawdziwa mozaika poskręcanych fantazyjnie korzeni. Podłogę zaś wyścielał powycierany w wielu miejscach mech. W jamie znajdowały się dwa sklecone z brzozowych gałęzi łóżka, stół z przeciętych na pół sosnowych pni oraz dwa głazy imitujące krzesła. Na jednym siedziała najbrzydsza kobieta, jaką Konrad kiedykolwiek widział. Jej podłużną, spiczastą głowę porastały rzadkie, jasne włosy opadające niemal do ziemi. W długich, szponiastych palcach trzymała postrzępioną koszulę, której cerowaniem się zajmowała. Mamrocząc coś pod krzywym, ostro zakończonym nosem, wysilała wzrok, by w nikłym świetle trafić igłą we właściwe miejsce. Miała różnokolorowe oczy. Jedno niemal czarne, zdawało się pochłaniać źrenicę, drugie jasnozielone jak trawa po wiosennych deszczach.

Słyszając rejwach przy wejściu do jamy, odwróciła się w tamtym kierunku, by napomnieć syna, żeby szybko zamknął kłapę, i zamarła. Spojrzenie niepokojących oczu utkwiała w Konradzie, który z równym napięciem wpatrywał się w mamunę. Czuł, jak serce kołatało mu się w piersi.

Mamuna odłożyła robótkę na stół, następnie wstała bardzo powoli, jakby z trudem. Ruszyła w kierunku chłopców, nie odrywając dziwnych oczu od Konrada. Idąc, powłóczyła lekko prawą nogą, która wyglądała na nieco krótszą od lewej. Długie ramiona zwisały jej poniżej kolan, a palce przypominające szpony kani nieustannie tłamsiły powietrze, jakby usiłowały się na czymś zacisnąć. Wreszcie stanęła o krok od Konrada, omiotła chłopca baczny spojrzeniem.

- Mamo - odezwał się zmienionym głosem Cień. - On wygląda jak ty. Mówił, że jest człowiekiem, ale mu nie

uwierzyłem.

Mamuna pokiwała zniekształconą głową, nie zaszczycając syna nawet przelotnym spojrzeniem. Całą uwagę poświęcała Konradowi, który nie potrafił zmusić zmartwiałych warg, by się rozchyliły, chociaż bardzo chciał coś powiedzieć. Tymczasem szkaradna kobieta postąpiła ostatni krok naprzód. Pomimo iż Konrad wzrostem przewyższał wielu swych rówieśników, mamuna zagórowała nad nim tak, że by spojrzeć jej w oczy, musiał mocno zadzierać głowę. Była wyższa niż jego ojciec. Wyciągnęła długie ramiona, zagarnęła nimi chłopca ku sobie. Przytuliła mocno. Tak mocno, by przekazać to, czego słowami nie Potrafiła. Konrad także objął mamunę, czując, jak gardło ściska mu wzbierający płacz.

- Dziecko, ty nie możesz tu być - przemówiła w końcu kobieta, a głos miała niespodziewanie przyjemny, choć mocno ochryply. - Nie wolno ci się ze mną widzieć.

- Ale dlaczego? Przecież jesteś...

- Tak, jestem.

- Zawsze wiedziałem, że nie jestem ich. Zawsze.

- Mamo, czy on jest twój? Czy to znaczy, że ja jestem... Co to znaczy?

Mamuna uniosła dłoń do twarzy, potarła w zamyśleniu policzek. Wyglądała na zagubioną.

- To znaczy, że nie powinieneś tu przyprowadzać tego chłopca. On nie powinien mnie widzieć. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Coś podobnego nie powinno się wydarzyć. Raz podrzucony na zawsze zgubiony. Zamienisz swe dziecię, żegnaj okrutny świecie.

Nagle spojrzenie mamuny zogniskowało się na Konradzie. Chłopiec drgnął niespokojnie, gdy poczuł na ramieniu chłodny dotyk długich palców.

- Powiem to, co mogę. A ty, kiedy to usłyszysz, odejdziesz. To, co się stało, nie może zostać zmienione. Ja ciebie urodziłam i ciebie oddałam. Tym samym spełniłam przeznaczenie twoje, jak i moje. Już nie jesteś moim synem, przestałeś nim być w chwili, gdy cię złożyłam w kołysce ludzkiej, a zabrałam z niej drugie dziecko. Taka jest natura istnienia dziwożoniego. Nie możemy wychować tego, co się z nas zrodziło. Więcej powiedzieć nie mogę, bo więcej nie wiem. Wiedza dawnych matek umarła, przepadła dawno temu. Ja i moje siostry od wieków postępujemy tak, jak nas nauczono. Jak każe tradycja.

Konrad postąpił chwiejnie naprzód, a w oczach gorzał mu płomień, jakiego do tej pory nie znał. Twarz skrzywił mu grymas odrazy i pogardy. Głos nabrał głębokiego brzmienia, pewności.

- Oddałeś syna na wychowanie ludziom, którzy mnie nienawidzą. A wszystko dla tradycji, której nie rozumiesz? Pozbawiłaś i mnie, i Cienia rodziny. Całe życie wyrastaliśmy w kłamstwie.

- Matko - odezwał się po raz pierwszy od długiej chwili Cień. - Jak mogłaś mnie tak okłamywać? Jak mogłaś mnie ukraść? Czy to znaczy, że moimi rodzicami...

- Ja jestem twoimi rodzicami - zaprotestowała ostro mamuna. - Jestem twoją matką od chwili, gdy po raz pierwszy wzięłam cię na ręce. Kiedy tylko wyjęłam twoje wątłe ciało z kołyski, stałeś się moim przeznaczeniem. A ty - zwróciła się do Konrada. - Jesteś mi równie obcy co ludzie, z którymi mieszkasz. Odejdź z mego domu i nigdy nie wracaj. Niczego ode mnie nie dostaniesz. Nie można oszukać przeznaczenia.

* * *

Paweł brnął przez śnieg, a drogę oświecał chybottliwym światłem lampy oliwnej. Ślad, po którym szedł, był dość wyraźny, jako że tego dnia nie padało. Ciemny las napawał

mężczyznę zabobonnym lękiem, do jakiego nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą. Wyobraźnia podsuwała mu straszne obrazy tuż na granicy powidoków, na których nie chciał się skupiać w obawie, że okażą się prawdziwe. Sprawy nie ułatwiała lampa, która momentami bardziej oślepiła niż kroila mrok.

Nie znając okolicy, Paweł nie zdawał sobie sprawy, że znalazł się blisko Czarciego Odmetu. Rzadko wędrował po lesie, poświęcając większość czasu pracy. Nagle w ciemności przed sobą posłyszał wyraźne skrzypienie śniegu. Ktoś zmierzał w jego stronę. Kowal przesunął siekiere za pasem, tak by z łatwością móc po nią sięgnąć i krzyknął w mrok.

- Kto idzie?

Kroki ustały, by po chwili wyraźnie przyspieszyć. Paweł wyszarpnął toporek i ponownie krzyknął, gdy w granicę światła wpadł pokraczny, rozedrgany kształt. W pierwszej chwili mężczyzna przeraził się śmiertelnie, że to jedna z maszkar, które podsuwał mu strach, wychynęła z czeluści wyobraźni, by go zaatakować. Wzniósł zatem broń do ciosu, gdy dostrzegł wpatrzone w siebie oczy rozszerzone strachem. Jedno czarne, drugie zielone.

- Ojcze? - Dał się słyszeć cichy głos. - To ja.

Paweł ukradkiem odetchnął z ulgą, opuścił siekiere. Nie schował jej jednak za paskiem. Coś mrocznego zaczęło w nim z wolna kiełkować. Coś, nad czym ze strachu wołał nie zatrzymywać się zbyt długo.

- Gdzieżeś był cały dzień? Matka się martwi, a mnie nocą w las wysyła. Łażę po zaspach jak kuna.

Konrad przez moment zastanawiał się, jak odpowiedzieć na pytanie. W końcu zdecydował się wyznać ojcu część prawdy. Resztę, jak uznał, opowie, gdy matka też będzie słuchać.

- Czyli siedziałeś sobie pod kamieniem, patrzyłeś na chmurki i nie przyszło ci do głowy, że ktoś może zachodzić w

głowę, czy coś ci się stało, a? – warknął Paweł to zaciskając, to rozluźniając chwyt na drewnianym trzonku siekierki.

W dalszym ciągu zagradzał chłopcu drogę, górując nad nim znacznie. Nie ruszył z miejsca ani w żaden inny sposób nie dawał znać, że był gotowy do powrotnego marszu.

- Wuj Lucjusz... - zająknął się Konrad. - Potrzebowałem samotności.

- Patrzcie go, pustelnika oto pod dachem wyhodowałem, jak grzyba na wilgotnym stryszku. Wrażliwy się, widzę, zrobiłeś. Ten fircyk, brat mojej żony, cię tak musiał wyszkolić. Ja niedojdy bym w życiu nie uchował.

- Ty w ogóle nic nie uchowałeś! - wybuchł zniechęca Konrad, postępując krok naprzód tak gwałtownie, że Paweł w pierwszej chwili cofnął się pod naporem.

Zaraz jednak się opamiętał. Chwycił chłopca za przód tuniki, przyciągnął do siebie, jednocześnie podtykając lodowato zimne ostrze siekiery pod nos. Konrad targnął się rozpaczliwie w żelaznym uścisku kowala.

- Cichaj, szkarado - syknął mściwie Paweł, sycąc się strachem wymalowanym na twarzy chłopaka. - Ty strzygulcu parszywy, bękarcie, podtrzutku ty. Cichaj, albowiem jeszcze jedno słowo, a cię tym oto obuchem do snu ułożę. Matce powiem, że cię nie znalazł, że szukał i szukał, ale nie naszłem nigdzie. A ciebie, o tam, pod tą smukłą brzoźką darnią i liśćmi nakryję.

Czując, że jego słowa odniosły zamierzony skutek, kowal puścił Konrada i bez słowa ruszył w kierunku domu. Po krótkiej chwili wahania chłopiec o różnokolorowych oczach udał się śladem ojca, który wcale jego ojcem nie był.

* * *

Po drodze nie zamienili ze sobą ani słowa. Podobnie, gdy weszli w końcu do chaty. Urszula, która mimo tego, że wyraźnie

czuwała w oczekiwaniu na ich powrót, wstała od stołu i bez słowa udała się na spoczynek.

Noc z wolna ustępowała miejsca dniowi, a Konrad nadal nie spał. Siedział na skraju łóżka, pogrążony w rozmyślaniach. Jednego dnia stracił najlepszego przyjaciela i dowiedział się druzgocącej prawdy o rodzicach oraz swym pochodzeniu. Rewelacji, jakimi go przytłoczono, było nieco zbyt wiele jak na trzynastoletniego chłopca. Bił się z myślami, nie wiedząc, co powinien uczynić. Matka mamuna dała mu dobitnie do zrozumienia, że nie uważała go za swoje dziecko. Niemniej jednak to jej krew w sobie nosił. To przez naturę mamuny wyglądał odrażająco i przez nią rodzice, którym został podrzucony, nienawidzili go mniej lub bardziej skrycie. Uzmysłował sobie z bolesną jasnością, że był niczyj. Niechciany.

Kiedy nastał dzień, chłopiec postanowił opowiedzieć o wszystkim rodzicom. Słuchali w grobowym milczeniu, aż w końcu matka zaniosła się łzami, nie mogąc dłużej tłumić ich w sobie. Od zawsze wiedziała, że Konrad nie był jej dzieckiem. Pamiętała pierwsze dni karmienia i delikatne ssanie oseska, które po tygodniu przemieniło się w bolesne, przykre doświadczenie. Zawsze czuła, że to nie jej dziecko wyrastało na abominację, z której połowa wsi szydziła, podczas gdy druga obawiała się w niemal zabobonny sposób. Od trzynastu lat chowała pod dachem wykarmioną własną piersią poczwagę, której nie urodziła. Od zawsze o tym wiedziała, gdzieś głęboko, tam, gdzie sama nie mogła sięgnąć. Bez wahania zatem uwierzyła słowom chłopca, bowiem wyjaśniły to, z czym tak długo się borykała.

Paweł z kolei uderzył pięścią w stół i z zaciśniętymi szczękami wystrzelił z chaty. Jakaś część nie chciała dać wiary, że jego syna, prawdziwego syna, uprowadziła istota, o której nie słyszał od dzieciństwa, kiedy to babka Ania straszyła go wraz z rodzeństwem mamunami, które rzekomo porywały

niegrzeczne dzieci. Z drugiej zaś strony czuł niemal ulgę na myśl o tym, że Konrad nie był jego rodzonym synem.

Chodził w tę i wewtę przed chatą, gdy nagle zamarł, przypomniawszy sobie wydarzenie sprzed trzynastu lat. A raczej opowieść, którą usłyszał niedługo po narodzinach Konrada.

* * *

Drzwi do warsztatu będącego równocześnie mieszkaniem Karola zamknięto, a ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Niemniej z komina ulatywał dym, toteż ktoś musiał w środku być. Dzięgiel kilkanaście lat temu porzucił rodzinną tradycję wypalania torfu na rzecz garncarstwa, w którym osiągnął niemałą wprawę. Większość okolicznych posilało się i popijało z naczyń wyrobionych i wypalonych przez Karola. Rękodzielnik twierdził, że nowy zawód nie tylko jest o wiele bezpieczniejszy od starego, bowiem nie trzeba wałęsać się samemu po uroczysskach, ale także o wiele bardziej opłacalny. Garnki można lepić cały rok, a i handel nie stawał zimą.

Paweł załomotał w drzwi warsztatu, jednocześnie wzywając Karola po imieniu. Kilka ciekawskich głów obróciło się w jego kierunku. Powszechnie w Swarożycach wiedziano, że kowal, odkąd zabrał się za picie, bywał agresywny i porywczy. Zdarzało mu się wchodzić w co mocniejsze zatargi z miejscowymi, które kończyły się rękoczynami, toteż ludzie zaczęli zastanawiać się, czym też mógł Pawłowi podpaść garnkolep.

Po niedługiej chwili drzwi otwarły się, a w progu stanął Karol. Jedną ręką tarł zmrużone od snu oczy, drugą przytrzymując opadające gacie. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, został wepchnięty na powrót do warsztatu. Siłą, z jaką pchnął go Paweł, niemal posłała go na klepisko. Utrzymał

się na nogach tylko dzięki temu, że przytrzymał się stołu, jednocześnie jednak gacie zjechały mu aż po kostki.

- Czego chcesz, poćpiego? - warknął na pozór groźnie, choć strach go obleciał na samą myśl o bójce z potężnie zbudowanym kowalem. - Znowuś okowity pochłał i zaczepki we wsi szukasz? Ja ci wrogiem nie jestem, idź tedy precz, jeśli łaska.

- Za tę poćpiegę to ci się lanie należy. - Paweł zmrużył złowrogo oczy. - Zachodzę w sprawie tego, coś widział w Radkowej Kępie przed trzynastu laty.

- Masz ci artystę! A bo pamiętam? Pewniem drzewa widział, jałowca jakiego, może sarnę. Skąd mam niby wiedzieć?

- Zaraz ci przypomnę. Przyszedłeś na kuźnię w strachu, biały jak młynarz. Mówiłeś, żeś babę z dzieckiem na ręku widział na bagnach. Pamiętasz?

Karol zbladł nieco, zasznurował w końcu portki. Siadł przy stole, wskazał Pawłowi wolny taboret.

- Ano, pamiętam. - Skinął głową niechętnie. - Przez to porzuciłem zajęcie, do którego mnie ojciec uczyli. I dobrzem na tym wyszedł.

- Cieszy mnie to - mruknął zniecierpliwiony kowal. - Potrafisz opisać tę babę, coś ją widział? A dziecko, jakie niosła? Wiem, że to ogrom czasu minął, ale się wysił.

- A co ty tak wypytujesz, co? Co to takie ważne teraz? Było pytać na świeżo, jak zem przyszedł na kuźnię. Wtedy bym wiedział, a teraz? Teraz to już nie wiem, co prawda, a co w głowie siedzi zmyślane.

Paweł westchnął, potarł twarz, siląc się na cierpliwość.

- Pomogę ci. Przyszedłeś na kuźnię, żeby powiedzieć, że torfu nie dostarczysz, boś straszną babę na moczarach zobaczył. Baba niosła coś, co mogło być tobołkiem z dzieckiem

w środku, boś mówił, że z tobołka kwilenie dobiegało. Przestraszyła cię...

- Pamiętam, pamiętam - przerwał nagle Karol. - Nigdym tego dnia nie zapomniał, bo też i się nigdy tak nie bałem jak wtedy. Ale więcej to ci nie powiem, nadto co sam żeś powiedział. Baba pokraczna, długa i chuda straszliwie, z włosami rzadkimi naszała mnie na bagnach z tłumokiem w rękach. Z tłumoka tego darło się niemowlę, ale jakimś takim nieludzkim płaczem. Straszny. Więcej naprawdę nie wiem, bom uciekł w popłochu.

Kowal i garncarz siedzieli naprzeciw siebie, nie odzywając się przez dłuższy czas. Wreszcie Paweł zabrał głos, a słowa dobierał z wielką ostrożnością.

- O mamunach od matki albo babki słyszałeś? Słyszałeś, każdy słyszał. Jak ci one mamuny opisywali, co?

- Jako dziwne, pokraczne baby. Wysuszone jak skwarek, a silne. Szkaradne tak, że kto na nie spojrzy, sam oparszywieć zdolny. Dodatkowo dziecka swoje, obrzydliwe im będąc, ludziom pocziwym zostawiają, biorąc ichnie w zamian. Znaczy, podmieniają bękarta za człowieczego. - Karol umilkł nagle, spojrzał na kowala bystro. - Co ty chcesz? Czego się dowiedzieć próbujesz? Że Konrad twój...?

- Nie mój! - przerwał ostro Paweł, jednocześnie wstając od stołu. - Nie mój.

* * *

Wpadł na kuźnię gwałtownie jak wiatr, co z gór wczesną wiosną schodził. Wyrwał z pieńka siekierę, po krótkim namyśle zabrał też młot. Z chaty wytargał za koszulę Konrada, który sparaliżowany strachem nie stawiał oporu. Urszula, łkając i załamując ręce, wyszła za mężem z domu. Stała jednak w progu, jakby nie śmiejąc postąpić ani kroku dalej.

- Gdzie go bierzesz? - wołała za oddalającym się Pawłem. -
Co chcesz zrobić?

Konrad z oczyma pełnymi łez odwrócił się za krzyczącą matką. W głowie czuł zamęt, w sercu strach, a w nogach niemoc. Ojciec musiał siłą go trzymać w pionie. Patrzył na chatę, w której wyrósł, której nienawidził, jednocześnie kochając jako jedyny dom, który znał. Jedyny poza plebanią wuja Lucjusza. Patrzył na rozmytą łzami matkę i jakaś część jego chłopięcego umysłu wiedziała, że widział ją po raz ostatni.

* * *

- Zaprowadzisz mnie do nory, w której wczoraj byłeś.

Paweł odezwał się po raz pierwszy, odkąd wywłókł chłopca z domu. Byli już daleko w Radkowej Kępie, blisko kamiennego kręgu.

- Ojczy, po co...?

- Nie nazywaj mnie tak! Ty dziwożoni ułomku, ty. Nie śmieję tak do mnie mówić. Prowadź do nory. A po co to ty już dobrze wiesz. Szkaradny jesteś, ale głupi, wiem przecie, że nie.

Przez chwilę Konrad rozważał ucieczkę. Chciał rzucić się między drzewa i czmychnąć, zwinny jak jeleń. Wiedział jednak, że nie miał najmniejszych szans prześcignąć ojca. Nie na tych koślawych kulasach. Ruszył zatem przed siebie, wiodąc Pawła w stronę jamy, w której mieszkała mamuna z Cieniem. Nie bez trudu trafił na miejsce, w końcu jednak dotarł do ukrytej za drewnianym włazem kryjówki.

Paweł odepchnął chłopca na bok, zamaszystym ruchem otworzył klapę. Jednocześnie sięgnął drugą ręką za pasek. Z siekierą w ręce wszedł do jamy.

* * *

Do wnętrza wdarło się mocne światło dnia i przez moment myślała, że syn wrócił z drewnem na opał. Kiedy jednak

spojrzała w stronę wejścia, zobaczyła potwora. Potwór toczył pianę z ust, oczy świeciły mu złowrogo, warczał jak pies, a w rękę ścisnął topór. Ruszył w jej kierunku, wykrzykując niezrozumiałe słowa. Być może nie były to wcale słowa.

Odgrodziła się od potwora stołem, wiedząc jednak, że jedyna szansa na ratunek to prześlizgnąć się obok i uciec w las. W pewnej chwili zrozumiała, że potwór to w istocie człowiek. Wściekły, groźny człowiek. Piana, którą widziała na jego ustach, okazała się być szronem na brodzie.

- Czego chcesz? - wychrypiała przez ściśnięte strachem gardło.

- Oddawaj moje dziecko - wycedził wolno kowal, unosząc znacząco siekiere. - Wiem, że masz mojego chłopca. Gdzie on jest?

Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy i dostrzegła tam ogrom nienawiści okraszony bólem. Poczowała strach, jednak także współczucie. Przez krótką chwilę wstydziła się swej natury urodzonej złodziejki, wykradającej innym to, co kochali najbardziej. Ale tylko przez chwilę, bowiem w następnym momencie zdominował ją paniczny strach. Potwór ryknął wściekle, odtrącił ciężki stół, jak skrzynkę obierków, i skoczył naprzód.

Pchnął o wiele wyższą mamunę tak, że plecami uderzyła o ścianę jamy. Jednocześnie wraził jej pod brodę stylisko siekiery, którą schwycił oburącz. Mamuna poczuła, jak jej stopy delikatnie unoszą się nad ziemię, tak że musiała sięgnąć czubkami palców, by nie wisieć na trzonku.

- Gdzie moje dziecko? - powtórzył kowal, a mięśnie przedramion drgały mu z wysiłku.

- On jest mój - wycharczała z trudem mamuna.

W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, współczucie zniknęło. Zostało poczucie słuszności i zaciętość. Woląca umrzeć, niż oddać Cienia komukolwiek. Sama go wychowała. Był jej. Więzy

krwi nie miały znaczenia, kiedy to do niej całe życie mówił matko.

Skrzywiła się, wizgnęła, usiłując złapać dech, kiedy kowal naparł na stylisko. Miała wrażenie, że krtań lada chwila pęknie. Mimo to uparcie milczała. Wolała osierocić syna niż go oddać. Z wolna zaczęła tracić czucie w członkach, w oczach jej ciemniało, gdy do jamy wpadł zamazany kształt i rzucił się na Pawła. Nacisk zelżał i mamuna osunęła się na ziemię, łapiąc powietrze głębokimi haustami. Nie widziała, jak kowal szarpał się z jej synem. Nie widziała, jak Cień usiłował odebrać napastnikowi siekiere. Nie widziała, jak upadł z rozplataną pierśią. Jak patrzył zdziwiony na rosnącą szybko plamę krwi rozlewającą się na materiale. Usłyszała natomiast rozpaczliwy wrzask, który przeszedł w rozdzierający uszy szloch. To Paweł padł przed zranionym chłopcem na kolana i usiłował tulić do piersi.

Chłopak, najwyraźniej w szoku, nie krzyczał ani nie wił się z bólu, choć rana na piersi krwawiła obficie i musiała być głęboka. Ojciec kołysał nim jak małym dzieckiem, szlochając opętańczo. Tuż obok uklękła mamuna, pogładziła Cienia po policzku, a jej brzydką twarz wykrzywił grymas cierpienia. Bardzo cicho, tak że niemal nie jej słysząc, powiedziała coś do Pawła, na co ten równie cicho odpowiedział.

* * *

Konrad przez cały czas siedział na zewnątrz, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca. Nawet gdy obok niego przemknął Cień, chłopiec ani drgnął. Dopiero gdy z jamy wychynął Paweł, niosąc zakrwawionego i omdlałego syna, Konrad wstał. Patrzył, jak kowal przeszedł obok zupełnie obojętny.

- Ojczy?

- Nie wolno ci iść za mną - rzucił przez ramię Paweł, nie zwalniając kroku. - Nie śmiej iść za mną.

- Ojczy, ale dokąd mam pójść?

- Twoja rodzina jest w tej dziurze w ziemi.

Zupełnie nie wiedząc, co czynić, Konrad pobiegł za oddalającym się mężczyzną. Kiedy jednak zrównał się z Pawłem, ten odepchnął go nogą, jakby odtrącał natrętnego psa. Nie wypowiedział nawet słowa. Nie musiał. Konrad załkał żałością i jeszcze raz spróbował zrównać się z ojcem. I tym razem otrzymał kopniaka, który posłał go w zaspę śniegu. Uniósł się na kolana i patrzył, jak sylwetka mężczyzny z ciężko rannym chłopcem na rękach maleje w oddali. Odwrócił się w stronę jamy, w której mieszkała mamuna, nie mogąc zdecydować, co począć. Wreszcie ruszył śladem Pawła. Liczył na to, że ojciec zmieni zdanie, że kiedy go zobaczy na progu, wpuści do środka. Być może nie odzyskałby dawnej izby i musiałby spać w drewnutni, ale to nie stanowiło przeszkody. W tamtej chwili liczyło się jedynie to, by ktokolwiek go zechciał.

Kiedy jednak dotarł do domu, przekonał się, że nie miał co liczyć na skruczę. Ojciec otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz, popychając Konrada, który z trudem utrzymywał równowagę. Przez uchyloną ościeżnicę widział, jak matka płakała nad złożonym na wymoszczonej futrami ławie Cieniem. Przez moment ich spojrzenia się spotkały i chłopiec aż zadrżał, widząc odrazę, jakiej do tej pory nie zaznał od Urszuli.

- Wynoś się precz - warknął kowal, nadal popychając cofającego się pokracznie Konrada. - Dość czasu żywiłem i gościłem cię pod moim dachem.

- Ojczy, nie mam...

- Nie śmiej tak do mnie mówić! Dość mam... Precz stąd!

Konrad skulił się, widząc, jak ojciec wzniosł pięść do ciosu, który jednak nie spadł. Miast tego Paweł odwrócił się i zniknął we wnętrzu chaty. Chłopiec stał przez chwilę na ścieżce, nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Rzeczywistość

powoli jednak wdzierą się do jego świadomości. Ile sił w nogach pognał z powrotem do lasu.

* * *

Jama ziała pustką. Zostały jedynie meble i naczynia. Wszystko inne przepadło wraz z mamuną. Konrad leżał na łóżku pozbawionym siennika i płakał gorzko. Łkał tak długo, aż rozboleło go gardło, a oczy spuchły od łez. Wtedy też wstał z okrutnie mocnym postanowieniem i ruszył do kamiennego kręgu na Czarcim Odmęcie.

Marsz zdawał mu się nienaturalnie dłużyć. Myśli, które przelatywały przez głowę, to pogrążały go w cięższej rozpacz, to znów napawały nadzieją. Kiedy w końcu stanął nad brzegiem jeziora, miał wrażenie, że szedł kilka dni, by tam dotrzeć. Patrzył na zamarznąłą taflę i rozliczał się ze swoim krótkim, samotnym życiem. Nie czuł już łez, które na nowo pociekły po kąsanych mrozem policzkach. Zaparł się mocno i nie bez trudu wyszarpnął jeden z głazów tworzących krąg ułożonych przez dawnych Skandynawów. Cisnął go mocno przed siebie, a lód załamał się z głuchym trzaskiem. Czarna, trupia woda chlusnęła przez wybity przeręb.

Konrad wyszedł na taflę i zapatrzył się w śmierć.

* * *

Wiele lat później drogą od Wrocławia zdążył do Swarżyc niewielki wóz zaprzęzony w muła. Zwierzę dreptało niespiesznie, acz wytrwale, woźnica niewielki użytek miał z cienkiego batoga, który spoczywał mu na kolanach. Mężczyzna pomimo tego, iż siedział na koźle i miał na sobie workowatą sutannę, wyglądał na wysokiego. Głowę i twarz chronił przed prażącym słońcem pod szerokim rondem słomianego kapelusza.

Wóz toczył się ubitą drogą, skrzypiąc donośnie. Ptactwo leśne wydierało się ucieszenie, lekki wiaterek kołysał gałęziami drzew. Był wczesny lipiec, pora największych upałów i niespodziewanych pożarów boru. Radkowa Kępa jednak przetrwała niejeden ogień i, zdawało się, że żaden płomień nie mógł jej trwale zaszkodzić.

Wreszcie oczom powożącego ukazała się granica lasu, za którą, jak wiedział, rozpościerała się wieś. Nie był w Swaróyzcach od siedemnastu lat, toteż ciekawiło go, jak też mogły się zmienić. Kiedy jednak wyjechał spod leśnego baldachimu, okazało się, że wcale tak wiele nie uległo zmianie. Mimo to wstrzymał muła w miejscu, gdzie dawniej wznosiła się kuźnia. Zamiast niej z trawy i chwastów wyrastały czarne kikuty spalonych belek. Jedyne, co pozostało po warsztacie, to samotne wśród zgliszczy kowadło, którego nikt z jakiegoś powodu nie ukradł.

Ksiądz przez długi czas wpatrywał się w pozostałość po kuźni, aż w końcu z trudem przełknął ślinę. Cmoknął na muła skubiącego przydrożne chwasty i ruszył do centrum wsi. Zatrzymał się dopiero przed budynkiem plebanii, a widząc piękny i zadbane sad owocowy na tyłach, uśmiechnął się mimowolnie do wspomnień. Nie wszedł jednak do środka jak planował. Postanowił najpierw udać się do karczmy, napić zimnego piwa i zasięgnąć języka.

Wnętrze zmieniło się, od jego ostatniej wizyty. Panował porządek, pachniało przyjemnie, a za ladą stała pulchna, rumiana nie wiadomo od upału czy tuszy, kobieta. Widząc zbliżającego się duchownego, wykonała szybki znak krzyża i pozdrowiła zgodnie ze zwyczajem.

- Na wieki wieków, amen - dokończył ksiądz, zatrzymując się przy ladzie. - Piwa, dobra kobieto, jasnego bym się napił.

Gospodyni uwinęła się szybko, postawiła gliniany kufel ociekający pianą przed wysokim kapłanem. Nie odrywała

wzroku od jego oczu. Niepokojących oczu.

- Powiedzcie mi, siostrze, co się stało z kuźnią? - spytał, pozornie nie zwracając uwagi na natarczywe spojrzenie księdza.

- Och, proszę księdza. Wielka tragedia. - Załamała ręce karczmarka. - Rodzina, co tam mieszkała, od zawsze nieszczęściem naznaczona była. Powiadają, że pierworodny kowala martwiejcem się urodził i go rodzic boginiec matce przeklętej oddał. W zamian rodzzonego syna odzyskał, wydzierając z łap tamtej. Ale go chłopiec za to nie pokochał nigdy, bo już sam się na poły dziki stał. Miru między nimi nie stało nigdy, dobrodzieju. Ale sprawy się pogorszyły, jak się kowalowej żonie zmarło. Różnie gadali, na co biedaczka umarła, ale myślę, że z tęsknoty za tamtym martwiejcem, którego od maleńkości przy sobie miała. Co wam, księże? Piwo nie smakuje?

- Smakuje, smakuje - wychrypiał duchowny, uciekając wzrokiem na bok. - Mówcie dalej, proszę.

- Ano, jak się Urszuli zmarło, tak nie minął rok, jak kuźnia poszła z dymem. Którejś nocy patrzymy, a tu nad wzgórzem, gdzie stała, czerwona łuna. Chłopy biegli z wiadrami, żeby ugasić żywioł, ale za późno. Powiadali później, że takiego ognia gorejącego to nigdy nie widzieli. Musi czarnej natury. W imię Ojca i Syna.

- A co z kowalem i synem?

- Kowal na żalniku obok żony spoczywa - westchnęła karczmarka, ocierając pot z czoła. - Znaleźli go chłopcy we zgliszcach. Chłopaka zaś nigdy my już nie naszli. Są tu w Swarżycach tacy, co powiadają, że to młody ogień pod chałupę podłożył, ojca zatrzasnął w środku i zemknął w świat. Jak było naprawdę, nikt się nigdy nie dowie.

- Macie rację - potaknął ksiądz, odstawiając opróżniony do połowy kufel na szynkwias. - Nikt się pewnie nie dowie.

- Ale co my przy pierwszym spotkaniu o takich ponurych rzeczach rozmawiamy. - Uśmiechnęła się niespodziewanie kobieta. - Ksiądz do nas w następstwie proboszcza Krystiana?

- Nie inaczej. - Odwzajemnił uśmiech duchowny, po czym wyszedł z karczmy, choć widział, że dla gospodyni rozmowa bynajmniej się nie skończyła.

Wszedł na plebanię, dziwiąc się, jak niewiele się zmieniło, odkąd przesiadywał w środku w dzieciństwie. Ruszył dobrze znanym korytarzem wiodącym do izby, z której urzędował proboszcz. W środku pachniało świeżo zebranymi kwiatami, ułożonymi w ładny bukiet na sekretarzyku. Ksiądz odwrócił się, słysząc skrzypienie podłogi. W progu stała wcale młoda i urodziwa kobieta w fartuchu i z chustą na głowie. Spuściła skromnie wzrok, zaplotła dłonie na podołku.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Księżo Lucjuszu, zjecie po podróży czy też wolicie udać się na spoczynek?

- Zjem najpierw, a potem chętnie usiądę w ogrodzie. - Uśmiechnął się duchowny, a w jego różnokolorowych oczach zaigrał refleks światła.

Gospościa podeszła nieśmiało i wyjęła z rąk księdza słomiany kapelusz. Starła się nie patrzeć na łysą, jajowatą głowę. Musiała wszak przywyknąć do nowego proboszcza, któremu miała służyć.